

michael

PALMER

efekty uboczne



PALMER MICHAEL

Efekty uboczne

MICHAEL PALMER

(Side effects) Przełożył Piotr Roman

Dla Jane Rotrosen Berkey

mojej agentki, przyjaciółki, muzy,

a także – oczywiście -

dla Danny'ego i Matta

Podziękowania

Wbrew temu, co sądzi wielu ludzi, powieść nie jest dziełem jednej osoby. Jestem wdzięczny losowi i szczęśliwy, że mogłem spotkać w moim pisarskim życiu Jeanne Bernkopf, która jest wydawcą moich książek, i Lindę Grey, dyrektora do spraw wydawniczych w Bantam.

PROLOG

Meklemburgia, Niemcy Sierpień 1944 roku

Willi Becker opierał się o pokrytą nieheblowanymi deskami ścianę klubu oficerskiego i mrużąc oczy, wpatrywał się w popołudniowe słońce – bladą tarczę niemal niewidoczną w tumanach pyłu unoszącego się po setkach alianckich bombardowań, wymierzonych w obiekty przemysłowe otaczające obóz koncentracyjny dla kobiet w Ravensbrück. Zamknął oczy i przez chwilę zdawało mu się, że słyszy na południu dudnienie maszyn wroga.

– Ani o sekundę za wcześnie, doktorze Becker... – mruknął. – Opuścisz ten zakątek piekła akurat na czas. – Spojrzał na luksusowy zegarek, który jego brat Edwin „dostał” w obozie w Dachau od „wdzięcznego pacjenta”. Prawie wpół do czwartej. Po wielu miesiącach skrupulatnych przygotowań zbliżał się do celu – do finału pozostało kilka godzin. Podniecenie sprawiało, że czuł się tak, jakby przez ciało przepływał elektryczny prąd.

Po drugiej stronie placu grupy więźniarek, których ogolone na łyso głowy świeciły w słońcu, kopały schrony przeciwlotnicze, a pilnujący ich esesmani chowali się w każdym kawałku cienia rzucanego przez okapy dachów baraków. Becker rozpoznał dwie kobiety: Ewę, wysoką nastolatkę o zbyt długich kończynach, oraz nieodpowiedzialną Rosjanę, która namawiała go, by nazywał ją Królikiem. Były to dwa z prawie czterdziestu „obiektów”, z których badania musiał zrezygnować w imię przygotowań do ucieczki.

Przez chwilę walczył z chęcią przywołania tych dwu kobiet, wyglądających jak strachy na wróble, i powiedzenia, że los odebrał im szansę wniesienia wkładu we wspaniałe dzieło, które przyszliz uczeni i pokolenia będą określać mianem metody kontroli urodzeń, opracowanej przez Beckera. METODA BECKERA. Nazwa ta, choć powtarzał ją co dzień, ciągle brzmiała podniecająco. Fizyka newtonowska, teatr szekspirowski, filozofia maltuzjańska – niewiele jednostek w historii ludzkości zostało obdarzonych tak wielkim wyróżnieniem. Becker był stuprocentowo przekonany, że w swoim czasie stanie się „nieśmiertelny”. Dopiero za sześć tygodni miał trzydzieste urodziny, a już uznawano jego błyskotliwość w dziedzinie fizjologii rozrodu.

Wysoki lekarz o klasycznie nordyckim wyglądzie poprawił kołnierzyk szarzielonego munduru SS, który miał dziś na sobie po raz ostatni, przeciął plac i skierował się ku budynkom sekcji badawczej, mieszczącej się na północnym skraju obozu.

Personel medyczny obozu w Ravensbrück, liczący kiedyś pięćdziesiąt osób, zmalał do niecałego tuzina. Himmler, uginając się pod wpływem żądań o kierowanie lekarzy

do pracy w

szpitalach frontowych, kazał zawiesić eksperymenty dotyczące zgorzeli gazowej i przeszczepów kości oraz przyżegania ran na polu walki za pomocą węgla i kwasów. Lekarzy, którzy prowadzili te eksperymenty, przeniesiono. Na miejscu pozostały jedynie wydziały zajmujące się sterylizacją – w sumie trzy, a każdy pracował nad metodami, które pozwoliłyby zlikwidować zdolność rozmnażania się bez osłabiania zdolności wykonywania niewolniczej pracy. Becker minął puste laboratoria – kolejny znak tego, co nieuniknione – i skręcił w Grünestrasse, asfaltową uliczkę, przy której mieściły się biura i laboratoria Wydziału Zielonego, jego wydziału. Na wschodzie widać było pomalowane w kamuflujące wzory kominy krematorium. Lekki zachodni wiatr zwiewał cuchnący dym i popiół poza obóz. Becker lekko się uśmiechnął i kiwnął głową. Zatoka Meklemburska, obejmująca pięćdziesiąt kilometrów kapryśnego Bałtyku między Rostockiem a duńską wioską rybacką Gedser, będzie spokojna. Jedna zmienna, którą należy się martwić, mniej.

Rozważał w myślach listę możliwych nieprzewidzianych wypadków i w którymś momencie zajrzał przez okno do swego gabinetu. W jego bibliotece był doktor Franz Müller! Stał odwrócony plecami do Beckera i przeglądał stojące na półkach książki. Becker spał się. Wizyta Müllera, komendanta Wydziału Niebieskiego i dyrektora programu badań nad procesem rozrodu, nie stanowiła niczego niezwykłego, ale był to człowiek do przesady liczący się z otoczeniem i zawsze zapowiadał swą wizytę telefonicznie.

Czy ta obecność była przypadkowa? Becker stanął w drzwiach swego gabinetu i przygotował się do słownej potyczki, w której jego starszy kolega był mistrzem. Pogratulował sobie, że zachował dokumentację – choć nie do końca jednoznaczna – oszustwa Wydziału Niebieskiego. „Klinga” Müllera może i była tak szybka jak jego własna, ale on zaopatrzył swoją w truciznę. Pomijając dokumenty, był pewien, że Müller to pozorant.

Praca Wydziału Niebieskiego, dotycząca badań wpływu napromieniania jajników na płodność, wyglądała na papierze obiecująco, tyle że Becker miał podstawy sądzić, iż ani jednej więźniarki nie poddano działaniu promieniowania. Dane zostały sfalszowane przez Müllera i jego kompana Josefa Rendla. Becker nie był pewien, czy posunęli się tak daleko, by pomagać więźniarkom w ucieczce, ale podejrzewał ich o to. Jego dowody – choć skąpe -powinny doprowadzić do zdyskredytowania, jeśli nie zniszczenia obu kolegów po fachu. Nie o zniszczenie mu jednak chodziło – wolał nad nimi panować.

Aby zachować przewagę, Becker cicho otworzył zewnętrzne drzwi i wszedł na palcach po trzech schodkach prowadzących do gabinetu. Nie rozległ się najmniejszy szmer. Nie skrzypnęła podłoga.

Błyskawicznie otworzył drzwi. Müller przysiadł na rogu biurka i patrzył wprost na przybysza.

–Ach, Willi, przyjacielu... Wybacz mi bezczelne wtargnięcie, ale właśnie przechodziłem i przypomniałem sobie, że masz w swoich zbiorach „Fizjologię rozrodu”

Fruhopfa.

Pierwsze skrzyżowanie kling; punkt dla mistrza.

–Miło cię widzieć, Franz. Jak nieraz ci mówiłem, moja biblioteka i moje laboratorium zawsze stoją dla ciebie otworem. – Nastąpiło niedbałe podanie sobie rąk i Becker usiadł w fotelu za biurkiem. – Znalazłeś?

–Przepraszam?

–Fruhopfa. Znalazłeś podręcznik?

–O! Tak. Oczywiście, mam go w ręku.

–To świetnie. Zatrzymaj, jak długo ci będzie potrzebny.

–Dziękuję. – Müller nie zdradzał jednak chęci pójścia sobie. Zamiast tego opadł na krzesło naprzeciwko Beckera i zaczął nabijać fajkę tytoniem, który wyjmował z kapciucha noszącego ślady częstego używania.

Nawet nie uznał za stosowne spytać, czy może zostać. Czujność Beckera coraz bardziej rosła. Jego schowane za biurkiem długie wymanikiowane palce falowały nerwowo.

–Cukierka? – spytał, przesuwając po blacie miseczkę z miętówkami. Było to przedstawienie Müllera i jedynie Müller mógł zrobić pierwszy ruch.

–Nie, dziękuję. – Müller poklepał się po brzuchu. – Słyszałeś o Paryżu?

Becker skinął głową.

–Należało się tego spodziewać. Może z wyjątkiem tempa, w jakim Patton załatwił sprawę.

–Zgadza się. Szatan, nie generał. – Müller przeciągnął palcami po gęstych, szarawych blond włosach. Był podobnego wzrostu jak Becker, może dwa centymetry wyższy, ale budową przypominał niedźwiedzia z wyspy Kodiak. – A na wschodzie

coraz bliżej i bliżej nadchodzą Rosjanie. Likwidujemy dywizję... jej miejsce zajmują dwie. Słyszałem, że zbliżają się do pól naftowych wokół Ploesti.

–To barbarzyńcy. Przez dziesięciolecia nie robili nic poza parzeniem się i rozmnażaniem. Czego nie są w stanie wyrządzić im nasze armie, tego dokona przeludnienie.

–No tak... – stwierdził Müller. – Teorie twego świętego Thomasa Malthusa. Zatrzymajmy czołgi i pozwólmy wrogom rozmnażać się, aż staną się nam posłuszni.

Becker czuł rosnącą złość. Cynizm był tym ciosem Müllera, który najlepiej przenikał obronę przeciwnika. Zirytowany, rozzłoszczony oponent otwierał zasłonę, robił błędy. Uspokój się, nakazywał sobie. Uspokój się i zaczekaj, aż Müller się zdeklaruje. Czy możliwe, by wiedział o ucieczce? Sama myśl o tym sprawiała, że komendantowi Wydziału Zielonego zrobiło się nieswojo.

–Cóż, Franz – rzekł obojętnym tonem – wiesz, jak wielką przyjemność sprawia mi dyskutowanie z tobą o filozofii, zwłaszcza maltuzjańskiej, ale teraz chyba w pierwszym

rzędzie stoi wygranie wojny?

Oczy Müllera się zwężyły.

–*Quatsch* – rzucił krótko.

–Słucham?

–Powiedziałem *Quatsch*, Willi. Bzdura, kompletny nonsens. Po pierwsze nie wygramy wojny. Wiesz o tym tak samo dobrze jak ja. Po drugie nie wierzę w to, by miało to

dla ciebie jakiegokolwiek znaczenie. Tak czy owak.

Becker zeszytniał. Drań się dowiedział. Jakimś sposobem się dowiedział. Przesunął nieco prawą dłoń po kolanie i oszalował odległość dzielącą ją od walthera leżącego w lewej górnej szufladzie.

–Jak możesz podawać w wątpliwość moje zaufanie do führera?

Müller uśmiechnął się i opadł plecami na oparcie.

–Źle mnie rozumiesz, Willi. To, co mówię, to komplement dla ciebie jako naukowca i

filozofa. *Surtout le travaille*. Wzniesć się ponad pracę. Nie czujesz tego? A może jednak

poproszę cukierka, jeśli wolno.

Becker podsunął miseczkę gościowi. Był zdziwiony, pełen obaw, całkowicie wytracony z równowagi i w dalszym ciągu nic miał pojęcia, jaki jest powód wizyty Müllera. W duchu, aczkolwiek niechętnie, uśmiechnął się. Müller był śliski jak węgorz. Kompletny drań, ale śliski.

–Wierzę w sens moich badań... jeśli to masz na myśli.

–W istocie.

–A twoje badania, Franz? Jak się posuwają? – Nadszedł czas na kontratak.

–Posuwają się, potem stają w miejscu, po jakimś czasie znów się posuwają do przodu. Wiesz, jak to jest.

Becker miał ochotę powiedzieć: „Oczywiście, właściwie wcale nie istnieją”. Zamiast tego kiwnął potakująco głową.

–Willi, przyjacielu, obawiam się, że wojna w każdej chwili się skończy. W ciągu kilku tygodni, dni, godzin... nikt tego dokładnie nie wie. Nie mam pojęcia, co się po niej stanie z nami, z ludźmi z naszego laboratorium. Może dojdzie do publikacji wyników naszych prac, a może nie. Uważam, że dla każdego wydziału... Niebieskiego, Zielonego i Brązowego... sprawą zasadniczej wagi jest dokładne poznanie rodzaju i stanu prac prowadzonych przez pozostałe. Dzięki temu będziemy w miarę najlepiej przygotowani na to, co przyniesie przyszłość. – Oczy Beckera się rozszerzyły. – Postanowiłem rozpocząć od Wydziału Zielonego – ciągnął Müller. – Na dwudziestą pierwszą dziś wieczór zostało wyznaczone spotkanie w sali konferencyjnej Wydziału Niebieskiego. Przygotuj się, proszę, do szczegółowego przedstawienia swych badań.

–Słucham?

–I chciałbym mieć nieco czasu na zapoznanie się z twoimi danymi przed konferencją. Zostaw je na moim biurku o dziewiętnastej. – Oczy Müllera były twarde jak krzemienie.

Becker poczuł, jak jego ciało drętwieje. Dane, w tym dotyczące syntezy oraz biologicznych właściwości estronatu 250, były zapisane w kilkunastu notesach, schowanych obecnie w kadłubie pewnego kutra rybackiego w Rostocku. Jego myśli rozpoczęły szaleńczą gonitwę.

–Moja... moja praca jest bardzo pokawałkowana, Franz. Potrzebowałbym...

przynajmniej dnia, może nawet dwóch, by poskładać dane w całość. – To, co się działo, nie

mogło być prawdą. Dziewiętnasta to za wcześnie. Nawet dwudziesta pierwsza była zbyt

wczesną godziną. – Pozwól, że pokażę ci, co mam. – Becker sięgnął do szuflady z waltherem.

W tym momencie w drzwiach gabinetu stanął doktor Josef Rendl. Jego asystent, olbrzym, którego Becker znał jedynie jako „Stossela”, został na korytarzu. Cały czas musieli kręcić się w pobliżu – nie było co do tego najmniejszej wątpliwości. Rendl, z wykształcenia pediatra, był niski i kluchowaty, jego cera przypominała ciasto, które zapomniano upiec, więc zaczynało powoli pleśnieć, a śmiech miał piskliwy jak dziecko. Wszystkie te cechy Becker uważał za paskudne. Udało mu się zdobyć informację, że matka Rendla była Żydówką – fakt ten głęboko skrywano. Przez wydające się wiecznością sekundy Becker oceniał sytuację. Müller siedział dwa metry od niego, Rendl stał w odległości trzech, to zwierzę – Stossel -może pięć. Nie było szansy na trzy zabójstwa, uwzględniając nawet element zaskoczenia -choć i to było wątpliwe. Bitwa będzie musiała ograniczyć się do broni słownej... przynajmniej na razie.

Becker skinął głową przybyszowi.

–Witam, Josef. Proszę, proszę... cały bank mózgow Wydziału Niebieskiego. Cóż za zaszczyt.

–Cześć, Willi. – Rendl uśmiechnął się i odklonił. – Przechodziliśmy właśnie z porucznikiem Stosselem i zauważyliśmy was. Co sądzisz o spotkaniach? Zaprezentowanie wszystkim swej pracy to dobry pomysł, mam rację?

Ty wazeliniański synu żydowskiej kurwy, pomyślał Becker.

–Oczywiście. Jak najbardziej. Znakomity pomysł – odparł.

–I zaszczytis nas dziś wieczór prezentacją wyników badań biochemicznych

Wydziału Zielonego? – Rendl, choć w randze *SS-Oberfuhrera** [SS-Oberfihrer odpowiada

rangą pułkownikowi (wszystkie przypisy sporządził tłumacz).], czyli takiej samej jak Becker,

często rozmawiał z ludźmi tak, jakby przez fakt bezpośredniej współpracy z szefem spłynęło

nań trochę jego autorytetu.

Becker, który walczył o zachowanie spokoju, wciągnął dodatkową porcję powietrza.

–Dzisiejszy wieczór jest do przyjęcia. – Obaj goście skinęli głowami. – Ale... – dodał –dzień jutrzejszy byłby znacznie lepszym terminem. – Ponieważ zamierzam wtedy być tysiąc kilometrów stąd, dodał w myślach.

–Czyżby? – Franz Muller oparł podbródek o dłoń.

–Naprawdę. Muszę przeprowadzić kilka końcowych testów estronatu dwieście pięćdziesiąt. Uzupelnąć kilka drobiazgów, które nie zostały wyjaśnione podczas pierwszej serii eksperymentów. – Becker mozolnie układał słowa, szukając jakiejś wymówki. Wreszcie zakiełkował mu pewien pomysł. – Nie udało mi się dokończyć ekstrakcji eterowej, gdyż wyczerpał mi się zapas. Dopiero wczoraj wieczór przywieziono kilka dwudziestolitrowych puszek. Sam podpisywałeś ich przyjęcie.

Müller skinął potakująco. Słowa Beckera popłynęły z większą pewnością.

–Cóż, jeśli pozwolicie mi dziś wieczór dokończyć ten etap, jutro z przyjemnością

przedstawię wszystko. Nie wolno zapominać, że nie mam zbyt wielu danych, estronat

dwieście pięćdziesiąt to bardziej teoria niż fakt. Obiecująca koncepcja, ale na ludziach

przeprowadzone zostały jedynie wstępne testy.

Müller poprawił się na krześle i opuścił nieco wzrok, by patrzeć prosto na Beckera.

–Jeśli mam być szczery, Willi, nie wierzę, że to, co mówisz, jest prawdą. – Słowa o sile uderzenia młota parowego popłynęły z lekkością jedwabiu.

–Ccco... co masz na myśli? – Becker nie zastanawiał się już nad tym, CZY Müller wie, lecz ILE wie. Będzie musiał wyłożyć swego asa atutowego, którym był argument o

sfalszowaniu danych w Wydziale Niebieskim. Pozostawało jedynie zdecydować, kiedy przyjdzie najodpowiedniejszy moment.

–Mam na myśli to, że według moich informacji twoja praca nad estronatem dwieście pięćdziesiąt jest dość zaawansowana.

–To niedorzeczność! – odparował Becker.

–Podobno brakuje ci już tylko badań nad stabilnością preparatu i wyeliminowaniem niepożądanych efektów ubocznych... zwłaszcza krwawień, tak? Wtedy będzie można przystąpić do szerszych badań klinicznych. Willi, dlaczego zachowujesz tę wiedzę dla siebie? Jesteś w posiadaniu być może najwspanialszego odkrycia... może nawet najwspanialszej broni... naszych czasów, a twierdzisz, że nic nie wiesz.

–Bzdura.

–Nie, Willi. To nie jest bzdura. To wiadomość ze źródła w twoim laboratorium. Albo otrzymamy pełną informację o stanie twojej pracy, albo będę musiał zadbać o to, by Mengele... może nawet Himmler... zostali poinformowani.

–Twoje oskarżenia są niedorzeczne.

–Ocenimy to po przedstawieniu przez ciebie wyników prac. Więc wieczorem, tak?

–Nie. Nie dziś. – Nadszedł czas na cios. – Moje wyniki nie są gotowe do prezentacji. – Becker zrobił teatralną przerwę, zabębnił palcami w blat biurka, po czym splótł dłonie i dramatycznie je wygiął. – Twoje są gotowe?

–Słucham?

Becker bardziej wyczuł, niż dostrzegł, że Müller zeszywniał.

–Twoje wyniki. Wyniki badań Wydziału Niebieskiego nad wpływem promieniowania. Nie jesteście jedynymi, którzy mają jak to nazwałś...? „Źródła”?
No

właśnie, źródła.

Rendl i Müller wymienili ukradkowe spojrzenia. Ich zachowanie było dla Beckera wystarczającym potwierdzeniem prawidłowości informacji, które zdobył.

Willi, Willi... – Müller pokręcił głową. – Wystawiasz moją cierpliwość na próbę. Zaczekaj do wieczora. Do tego czasu poukładamy nasze dane i przedstawimy je zaraz po tobie na dzisiejszym spotkaniu.

–To świetnie – stwierdził Becker, ciesząc się, że przynajmniej pod koniec przeszedł do

ofensywy. – Miałbym tylko prośbę, byście udostępnił mi do zbadania któryś z wykorzystywanych przez was „obiektów” eksperymentalnych. Bardzo by to pomogło lepiej

zrozumieć naturę waszej pracy.

Tym razem Müller i Rendl popatrzyli po sobie w znacznie mniej skrywany sposób.

–Tak naprawdę wcale cię to nie obchodzi, prawda, Willi? – nieoczekiwanie spytał Müller.

–Obawiam... obawiam się, że nie rozumiem, Franz.

–Myślisz tylko o sobie. O swoim miejscu w historii. To, co się dzieje tu i teraz, wcale cię nie obchodzi. Niemcy, Rzesza, Żydzi, Amerykanie, więźniarki, koledzy... to dla ciebie jedno i to samo. Nikt się nie liczy.

–Ty masz swoje kochanki, ja mam moje – odparł Becker. – Czy nieśmiertelność jest tak tuzinkowa, że powinienem wyrzucić ją z łóżka? Masz rację, Franz, nie dbam o sprawy codzienne. Stworzyłem szkic teorii i programu badawczego, o którym niewielu ludzi nawet marzyło. Naprawdę uważasz, że powinienem zamiast tego martwić się ceną jajek, zapaleniem hemoroidów führera albo tym, czy tutejsze więźniarki są bardziej żalosne za drutami, czy poza nimi, na ziemi lub pod nią?

–Willi, Willi, Willi... – W oczach Müllera kryła się raczej litość niż wyrzut.

Becker popatrzył na Rendla i także w jego minie dostrzegł protekcyjność, a nie

złość. Miał ochotę wykrzyknąć: Jak śmiecie czuć wobec mnie litość! Macie mnie czcić! Dzieci waszych dzieci będą prosperować dzięki mnie. *Lebensraum* * [Lebensraum (ujem.) -przestrzeń życiowa.], o który tyłu walczyło i w imię czego zginęło, nie zostanie zdobyty za pomocą kul, ale dzięki moim formułom, moim rozwiązaniom! Moim! Müller przerwał ciszę.

–Pracujemy w tym samym laboratorium i jeśli popadniemy w niełaskę, wszyscy

mamy wiele do stracenia. Dotyczy to obecnie Rzeszy, a wkrótce aliantów. Oczekuję pełnego

ujawnienia wyników pańskiej pracy nad estronatem dwieście pięćdziesiąt, doktorze Becker.

Becker kiwnął głową, że przyjmuje polecenie do wiadomości, i modlił się w milczeniu, by jego mina człowieka pokonanego była przekonująca.

Kilka minut później trójka mężczyzn z Wydziału Niebieskiego opuściła gabinet. Becker zamknął oczy i zaczął masować twarde miejsca u nasady karku. Potem, z butelki, którą przysłał mu Edwin, nalał sobie na grubość trzech palców polskiej wódki i wypił ją jednym haustem. Starcie z Müllerem i Rendem, choć zakończone triumfem,

wycięczyło go. Wymacał w kieszonce zegarek. Spojrzał na niego, by sprawdzić, czy wystarczy czasu na krótką drzemkę. Niestety miał go za mało. Będzie musiał zapomnieć o śnie aż do chwili, gdy ten śmierdzący obóz i obsługujący go nieważni ludzie oraz wyglądające jak szkielety więźniarki staną się przeszłością.

Wyszedł z gabinetu i udał się szybkim krokiem do niskiego, przypominającego barak budynku, w którym mieściła się sekcja biochemiczna Wydziału Niebieskiego. **Uważnie**

rozglądając się na boki, sprawdził teren, po czym wszedł tylnym wejściem do środka i zaryglował drzwi od wewnątrz. Drewniane okiennice były zamknięte i zaryglowane, przez co w pomieszczeniu panowała niemal fizycznie namacalna ciemność.

Latarka wisiała przy samych drzwiach – tam gdzie powiesił ją rano. Przyświecając sobie osłoniętym światłem, zaczął liczyć płyty łupku, pokrywające stojący pośrodku długi stół roboczy. Sięgnął pod piątą i pociągnął. Podpierająca stół szafka wysunęła się z szeregu. Pod spodem, niewidoczny nawet przy uważnym oglądaniu stołu, pojawił się okrągły otwór -wejście do tunelu.

And the rockets red glare, the bombs bursting in air... - Alfie Runstedt kopał i śpiewał, choć nie rozumiał słów. Wiedział, że to hymn amerykański, a tego dnia – przynajmniej – tylko to się liczyło. Jako dziecko, w Lipsku, spędził wiele godzin przy nowiutkim gramofonie, który kupił ojciec, ucząc się na pamięć wybranych hymnów różnych krajów świata. Już wtedy „Gwiaździsty sztandar” podobał mu się najbardziej. Teraz będzie miał okazję obejrzeć Amerykę z bliska i – co było jeszcze wspanialsze – zostać Amerykaninem. – *Oh say ilors that spar spangled ba-a-ner-er ye-et wa-ave...* - Wbijał szpadel w piaszczystą glebę i wyrzucał ziemię na brzeg grobu w rytm sylab. Metrowej głębokości dół był w połowie gotów. Na trawie, po lewej stronie Alfiego, dwa metry dalej, leżały zwłoki wieśniaczki i jej syna; miały one trafić do ziemi, zaraz po tym jak dół będzie wystarczająco głęboki. Alfie Runstedt nie zwracał na nie uwagi.

Był rozebrany do pasa, nad którym zwisał pokaźny brzuch. Zmieszany z potem brud zamienił jego ramiona i potężny jak u słonia morskiego tors w grzęzawisko. Gęste rude włosy na piersi były pokryte warstwą masy przypominającej kał. Spodnie od munduru SS miał przemoczone i brudne.

–...And the home of the brave. O-oh say can you see...

–Alfie, jeśli potrzebujesz, zrób przerwę. Już ci mówiłem, że do zmroku i tak mamy związane ręce. – Willi Becker patrzył w wykopany dół, opierając się o wielki głaz.

Alfie przerwał pracę i przeciągnął brudnym nadgarstkiem po spoconym czole.

–To drobiazg, *Herr Oberführer*. Proszę mi uwierzyć, naprawdę drobiazg. Za zaszczyt, jaki mi pan uczynił, i nagrodę, którą obiecał, mógłbym wykopać tysiąc takich dziur. Niech pan powie... wiele amerykańskich kobiet jest tak szczupłych jak Betty Gracie? Jeden z chłopaków w barakach pod Friedrichshafen ma przy łóżku jej zdjęcie.

–Nie wiem, Alfie. – Becker się roześmiał. – Wkrótce będziesz się mógł przekonać sam. Jeśli złapiemy kuter w Danii, a mój kuzyn wszystko zaaranżował, powinniśmy być w Ameryce Północnej, z ważnymi dokumentami, w ciągu kilku tygodni.

–Wiele w tym znaków zapytania, prawda?

–Wcale nie. Największym problemem wszędzie i zawsze są pieniądze, ale mam nadzieję, że nam ich wystarczy. Będziemy potrzebowali nieco szczęścia, lecz szansa na to, byśmy dotarli na miejsce niezauważeni, jest dość spora.

–I nie ma mnie pan za zdrajcę ani tchórze za to, że chcę wyjechać z panem?

–A ja jestem zdrajcą albo tchórzem?

–Pan to co innego, *Oberführer*. Pan musi dokończyć badania. Ważne eksperymenty. Ja jestem jedynie podoficerem armii, która przegrywa wojnę.

–Ale jesteś także moim asystentem. Nieocenionym asystentem. Jak sądzisz, co by było, gdybyś mi nie opowiedział o systemie rur kanalizacyjnych, biegnących pod Ravensbrück?

–Cóż, miałem szczęście, że pracowałem w młodości w oddziale sanitarnym i...

–A kto inny niż ty zechciał uczynić z tej informacji nasz wspólny sekret i pomógł mi kopać tunel łączący?

–Cóż, chyba...

–Więc nie mów, że nie zasługujesz, *Unterscharführer** [Odpowiada starszemu kapralowi.] Runstedt. Nigdy więcej tego nie mów.

–Dziękuję, *Oberführer*. Bardzo dziękuję. – W tym momencie Alfred Runstedt, człowiek, który uczestniczył w eksterminacji kilku tysięcy więźniarek Ravensbrück, człowiek, który niecałą godzinę wcześniej ze spokojem udusił kobietę, jej syna, męża i ojca, zapłakał z radości.

Hollywood, Nowy Jork, baseball, Chicago – teraz jedynie słowa – wkrótce staną się jego życiem. Od czerwcowej inwazji w Normandii, a jeszcze częściej od nieudanej lipcowej próby zamachu na führera w Wilczym Szańcu pod Kętrzynem, musiał znosić

nawracające w czasie snu koszmary, w trakcie których aresztowano go i zabijano. W jednym śnie wieszano, w innym rozstrzeliwano. W jeszcze innym podobne do duchów kompletnie nagie więźniarki zatłukiwały go na śmierć pałkami.

Wkrótce koszmary się skończą.

Grób był już prawie wystarczająco głęboki. W porośniętym drzewami zagajniku, który służył jako zaimprovizowany cmentarz, ściemniało się szybciej niż na sąsiednim polu. Kiedy Becker odsunął się od głazu, było mroczno jak w nocy.

–To co, jeszcze tylko kilka łopat i koniec? – spytał.

–Tak sędzę – odparł Alfie. Włożył wiatrówkę, by ochronić się przed wieczornym chłodem. Jego koszula mundurowa wisiała na gałęzi – musiała pozostać czysta na ostatni etap.

–Cygaro?

–Dziękuję, *Herr Oberfihrer*. - Alfie zrobił przerwę, by zapalić cygaretkę, których zapas zdawał się Beckerowi nigdy nie kończyć.

–Chyba jest dostatecznie głęboki – stwierdził Becker po kilku kolejnych machnięciach szpadlem. – Pomogę ci.

Alfie wylazł z grobu. Obaj współnicy podeszli do zwłok; jeden chwycił za rękę, drugi za nogi i bezceremonialnie wrzucili do dołu najpierw ciało kobiety, potem jej syna. Alfie zasypał mogiłę ziemią, Becker zaś towarzyszył mu w pracy, spychając ziemię butem.

–Proszę wybaczyć, jeśli się narzucam, *Herr Oberfihrer* - odezwał się Alfie, kiedy skończyli – ale nie ma żadnej możliwości powiadomienia mojej siostry, która pracuje w

fabryce amunicji w Schwartzheide, że wbrew oficjalnym wieściom żyję i dobrze mi się

wiedzie?

Becker zachichotał i pokręcił głową.

–Alfie, Alfie... przecież wyjaśniałem ci, jak ważna jest dyskrecja. Dlaczego, twoim zdaniem, czekałem do dzisiejszego popołudnia, by powiedzieć ci o moim planie ucieczki? Sam od tygodni wyważam każde słowo, obawiając się, że mógłbym się zdradzić. Na razie... i tak samo będzie w najbliższej przyszłości... musimy pozostać

w gronie nieszczęsnych ofiar wojny. Nawet mój brat Edwin, który stacjonuje w obozie w Dachau, o niczym nie wie.

–Rozumiem – odparł Alfie, w duchu przyznając, że nie rozumie, przynajmniej nie do końca.

–Rano powinniśmy być obaj wolni i martwi. – Becker zaczął ubijać nogami świeżo narzuconą ziemię i sypać na nią garście piaszczystego kurzu i sosnowych igieł.

Musiał przyznać, że pomysł wykorzystania ciała wieśniaka i jego zięcia był genialny. Początkowo planował, że ci dwaj mężczyźni zawiozą go do Rostocku, ale w końcu doszedł do wniosku, iż ciężarówka pojedzie tak samo dobrze z nim samym za kierownicą. Pozostałe udoskonalenia pierwotnego planu były nie mniej błyskotliwe. Kiedy wszystko zostanie powiedziane i zrobione, Müller i Rendl w życiu nie wpadną na to, by podejrzewać, że ich znakomity kolega żyje.

–...*And the home of the brave.* - Becker dołączył przy ostatnich słowach do zaskoczonego Runstedta.

Ciągnąc najpierw jedno, potem drugie ciało rurą kanalizacyjną do fałszywej szafki w budynku badań biochemicznych, obaj pojękiwali z wysiłku. Z odgłosami, jakie z siebie wydawali, mieszały się drapania i popiskiwanie niezliczonych szczurów, biegających w kruczoczarnej ciemności.

Młody wieśniak był – jeśli chodzi o wzrost i budowę ciała – jak Becker. Jego teść miał budowę podobną do Runstedta, mógł być jedynie kilka centymetrów wyższy.

–Nie martw się różnicą wzrostu, Alfie – uspokoił podoficera Becker. – Po wybuchu i pożarze nikt nie będzie miał ochoty zajmować się ciałami dłużej, niż wynosi czas potrzebny

do zdjęcia zegarków, obrączek, blaszek identyfikacyjnych i odszukania portfeli.

Przy pomocy Beckera, który pchał od dołu, Runstedt wciągnął ciała mężczyzn do laboratorium i położył oba na drewnianej podłodze.

–Idealnie... doskonale... – zachwycał się Becker, który, wlaższy przez otwór, rozejrzył się wokół. – Wszystko idealnie na czas.

–*Herr Oberführer...* jeśli można, mam pytanie.

–Oczywiście.

–Jak zapobieżemy odkryciu tunelu po wybuchu i pożarze?

–Ha! Znakomite pytanie, choć muszę stwierdzić, że się go spodziewałem.

Zachowałem stalową płytę, którą odkręciłeś, by zrobić wejście do rury. Pasuje idealnie i

można ją umocować za pomocą haczyków, które przyspawałem. Kiedy spadnie na nią masa

popiołu i szczątków, wątpię, by ktokolwiek odkrył wejście do tunelu.

–Znakomite! *Herr Oberführer*, jest pan naprawdę doskonały.

–Dziękuję, *Unterscharführer*. Teraz musimy sprawdzić ostatnie szczegóły. Czy powiedziałaś komukolwiek cokolwiek, co mogłoby sugerować, że zamierzasz dziś w nocy

opuścić obóz?

–*Nie, Herr Oberführer*

–To dobrze. Powiadomiłeś kolegów ze swojego baraku, że zamierzasz pracować ze mną do późna w nocy w laboratorium?

–Tak jest, *Herr Oberführer*.

–Wspaniale. Czas przygotować eter, umieścić ładunek i ustawić zegar oraz zamienić się ubraniami z naszymi przyjaciółmi.

–I ruszamy do hot dogów i Betty Gracie.

–Hot dogi i Betty Gracie... Najpierw jednak wzniesmy toast za dotychczasowy sukces. Amaretto?

–Jezu! Amaretto! Boże, *Herr Oberführer*, jak panu się udaje zdobywać takie rzeczy?

Alfie wziął do ręki kieliszek, wciągnął nosem wspaniały migdałowy aromat i połknął trunek jednym haustem. Śmiercionośny cyjanek, którego zapach i smak ginął w likierze, zadziałał po kilku sekundach.

Becker właśnie zdejmował mundur i biżuterię, kiedy Runstedt, wijąc się na podłodze i wymiotując, wydał ostatnie tchnienie.

Z pewnym wysiłkiem Becker ubrał młodego wieśniaka w swój mundur, nałożył mu na palec obrączkę, wsunął za pazuchę portfel, zawiesił na szyi blaszkę

identyfikacyjną i na koniec zapiął na nadgarstku zegarek od Edwina – elegancki wyrób, natychmiast kojarzony przez wielu ludzi w obozie z jego osobą.

Cofnął się i – za pomocą latarki – dokonał inspekcji pomieszczenia. Wszystkie przedmioty i ciała muszą być umieszczone dokładnie według planu.

Rozebrał wieśniaka, który miał służyć za sobowtóra Alfiego, odrzucił jego ubranie na bok, po czym wsunął nagie ciało do otworu tunelu.

–Teraz, Alfie, mój najwierniejszy sługo, musimy znaleźć miejsce dla ciebie.

Poświecił latarką na wykrzywioną, fioletową twarz u swych stóp.

Po kilku minutach scenografia była gotowa. Ciało młodego wieśniaka leżało na

środku laboratorium, przy samej głowie znajdował się laboratoryjny czasomierz, a obok niego stała dwudziestolitrowa puszka eteru. W budynku, którego drewniana konstrukcja była dobrze przesuszona, Becker porozstawiał kilka puszek eteru. Alfiego ułożył przy drzwiach, najdalej od miejsca spodziewanego wybuchu. Niespalona twarz Runstedta będzie najlepszą gwarancją, uwiarygodniającą śmierć Beckera.

Stworzenie tak prostego i eleganckiego planu dawało przyjemność nie mniejszą niż odniesienie wielkiego sukcesu badawczego i kiedy Becker po raz ostatni spoglądał na swe dzieło, rozpierała go duma.

Sprawdził niewielki ładunek zapalający i ustawił czasomierz na dziesięć minut.

Spuszczając się do tunelu, Willi Becker był uśmiechnięty od ucha do ucha. Zasunął szafkę na miejsce, zamknął płytą otwór w rurze kanalizacyjnej i nie spoglądając na ciało wieśniaka, popęzł w kierunku wyjścia na powierzchnię. Znajdowało się ono za będącym pod napięciem płotem obozu.

Siedział przykucnięty za kołem ciężarówki, pięćset metrów od obozu, kiedy spokojne niebo zrobiło się czerwonożłote. Kilka sekund później rozległa się seria stłumionych wybuchów.

–Żegnaj, Josefie Rendlu. Z przyjemnością przeczytam w „New York Timesie” o

twoim procesie i wykonaniu wyroku. Jeśli chodzi o nas, doktorze Müller, to gem, set i mecz,

prawda? Wielka szkoda, że nigdy się nie dowiesz, kto naprawdę wygrał. Może któregoś dnia, jeśli przeżyjesz, przyślę ci widokówkę.

Żona i syn będą czekali na niego w Rostocku. Za pierwszym zakrętem Becker zaczął nucić „Gwiazdzisty sztandar”.

TERAŹNIEJSZO

Rozdział 1

Niedziela, 9 grudnia

Był typowy dla stanu Massachusetts grudniowy poranek. Niebo w kolorze szczołkowanego aluminium zlewało się z trzydniowym śniegiem, pokrywającym pola po obu stronach drogi państwowej 127, ale przymatowiony smugami soli z jezdni czerwony roadster MGTD Jareda Samuela migotał na tle krajobrazu niczym flara.

Siedząca na fotelu pasażera Kate Bennett patrzyła, jak mąż pokonuje trasę, trzymając kierownicę jedynie kciukiem i dwoma palcami lewej ręki. Jego ciemnobrązowe oczy, mimo że skoncentrowane na jezdni, były odprężone i chyba śpiewał pod nosem. Kate się roześmiała.

–Hej, pani doktor! – Jared popatrzył na nią. – Co cię tak cieszy?

–Ty.

–Cóż za ulga. Przez chwilę myślałem, że śmiejesz się ze mnie. Powiedz, co tak zabawnego zrobiłem... może warto, bym zapisał.

–Nic śmiesznego – odparła Kate. – Coś miłego. Czuję się szczęśliwa, kiedy widzę, że jesteś szczęśliwy. Jest w tobie spokój, którego nie widziałam od początku kampanii.

–W takim razie powinnaś była wczoraj wieczór zapalić lampkę w sypialni. O... hm... wpół do dwunastej, tak?

–Nie straciłeś po tych szaleństwach przytomności?

–Nie. Pięć minut całkowitej ekstazy... potem straciłem przytomność. – Uśmiechnął się tym swoim szczególnym uśmiechem, zarezerwowanym tylko dla niej.

–Wiesz... Kocham cię – stwierdziła Kate.

Jared znów na nią popatrzył. Minęło już sporo czasu, odkąd po raz ostatni słowa te padły między nimi poza sypialnią.

–Choć nie zostanę kongresmanem z Szóstego Dystryktu?

–Przede wszystkim dlatego, że nie zostaniesz kongresmanem z Szóstego Dystryktu. –

Spojrzała na zegarek. – Jared, jest dopiero wpół do dziesiątej. Myślisz, że moglibyśmy

zatrzymać się chwilę nad jeziorem? Nie robiliśmy tego od tak dawna. Wzięłam ze sobą na

wszelki wypadek torbę chleba.

Zwolnił.

–Ale obiecasz nie podkradać piłek, kiedy cholerny Carlisle zacznie mi walić na bekhend.

–To było tylko raz. Zabrałam ci piłkę tylko raz przez prawie dwa lata wspólnego grania i nie możesz mi tego zapomnieć.

–Żadnego podkradania piłek?

Mówił poważnie, czy żartował? Martwiło ją, że po prawie pięciu latach małżeństwa nie zawsze jest w stanie to odróżnić.

–Żadnego podkradania. – Zdecydowała się w końcu ustąpić, zmęczona udzielaniem odpowiedzi, które psuły nastrój poranka. Wyglądało na to, że dobra atmosfera stawała się ostatnio zjawiskiem coraz rzadszym i kruchszym.

–Kaczki będą cię błogosławić – powiedział Jared tonem, który nie rozwiał jej wątpliwości.

Jeziro – właściwie duży staw – znajdowało się półtora kilometra od drogi, mniej więcej w kierunku Oceanside Racquet Club. Otaczały go gęsto sosny i karłowate dęby, poprzecinane podwórkami kilkunastu domów, które w większości miejsc Ameryki byłyby siedzibami ludzi z klasy „wyższej”, ale w osiedlu North Shore miasteczka Beverly Farms były jedynie przeciętne. Po drugiej stronie pokrytego lodem jeziora trzech chłopców grało w hokeja na zaimprovizowanym boisku. Ich jaskrawe szaliki i czapki odcinały się od perłowoszarego tła niczym placki fosforyzującej farby. Nieco bliżej drogi, w miejscu gdzie przelewała się woda, był niezamarznięty kawałek. Na półksiężycu wody pływało kilka kaczek. Dalsze siedziały na lodzie wokół.

Małżonkowie znieruchomieli, stojąc przy samochodzie, zaczarowani sceną.

–Currier i Ives* [Currier Ives – nazwa znanej w XIX wieku amerykańskiej firmy, w

której produkowano litografie przedstawiające amerykańskie scenki rodzajowe, ważne osoby

i wydarzenia.] – powiedziała z zazdrością Kate.

–Bonnie i Clyde* [Bonnie i Clyde – amerykańska legenda. Para sławnych

przestępców, napadająca w latach 1932-1934 z bronią w ręku na stacje benzynowe,

restauracje i banki.] – odparł tym samym tonem Jared.

–Bardzo pan romantyczny, mecenasie. – Zanim się uśmiechnęła, Kate udało się przez

dwie sekundy patrzeć z wyrzutem. Czarny często humor Jareda był krańcowy – albo bardzo

celny, albo bardzo kiepski. Nazwała go nawet kiedyś „dowcipem kamikadze”. – Chodź,

bierzemy się do kaczek!

Jej znakomicie wytrenowane nogi, których mogła pozazdrościć niejedna biegaczka i które były obiektem westchnień niejednego lekarza z Bostońskiego Szpitala Metropolitalnego, zwanego w skrócie Metropolitan albo wręcz Metro, pozwoliły jej bez trudu

zbiec zaśnieżonym brzegiem na dół. Kasztanowe włosy podskakiwały przy każdym kroku na odrzuconym do tyłu kapturze długiej kurtki, którą miała na sobie.

Kiedy podchodziła do wody, zbliżył się do niej wielki gąsior i arogancko gęgając, zaczął żądać należnej daniny. Kate srogo na niego popatrzyła, po czym rzuciła garść chleba nad łbem ptaka – w kierunku grupy kłębiących się mniejszych krzyżówek i karolinek. Chwilę później z samego szczytu nasypu prosto pod łapy gąsiora pofrunęła cała bułka. Ptak natychmiast ją capnął i kiwając się na boki, odczłapał.

Kate oparła dłonie na biodrach i odwróciła się do Jareda.

–Czyżbyś próbował podkopywać mój autorytet?

–Zawsze stawaj po stronie najsilniejszego. To moje motto – odparł wesoło. – W trakcie wyborów do Kongresu głosowałem na Mattingly’ego. Kto marnowałby swój głos na tego drugiego, który i tak nie miał szans?

–Przegrana dwoma punktami procentowymi, choć zaczynałeś od dwudziestu dwóch? Niezły wynik. Zsuń się na dół, wielki chłopcze, to dam ci tradycyjnego

niedzielnego porannego buziaka.

–Mamy tradycję dawania sobie buziaków w niedzielę rano?

–Jeszcze nie.

Jared popatrzył wzdłuż brzegu i zdecydował się pójść dłuższą, ale bezpieczniejszą drogą niż ta, którą wybrała Kate.

Powstrzymała uśmiech. „Nigdy nie podnoś lewej nogi, dopóki prawa nie stoi pewnie”. Było to ulubione powiedzenie ojca Jareda, a tu, na jej oczach, młody pęd – najlepszy uczeń -wcielał w życie tę filozofię w najdosłowniejszy sposób. Któregoś dnia, Jared, pomyślała, uniesiesz obie nogi naraz i pojmiesz, że umiesz latać.

Pocałunek był mocny i głęboki – jego język długo pieścił jej podniebienie i wewnątrz policzków. Kate odwzajemniła się pięknym za nadobne – objęła dłońmi jego pośladki i mocno go do siebie przycisnęła.

–Dobrze całujesz, pani doktor. Naprawdę świetnie.

–Sądziś, że kaczki miałyby coś przeciwko temu, gdybyśmy zaczęli robić

nieprzyzwoite figury na śniegu? – szepnęła, ogrzewając jego ucho wargami.

–One pewnie nie, ale Carlisle’owie raczej tak. – Jared się uwolnił. – Musimy jechać. Zastanawiam się, dlaczego ciągle nas zapraszają, jeśli przez dwa lata ani razu ich nie pokonaliśmy.

–Sądzę, że po prostu kochają wyzwania. – Kate wzruszyła ramionami, rzuciła ptakom resztę chleba i ruszyła za Jaredem do samochodu bezpieczną drogą.

–Ktoś dzwonił rano? – zapytał.

–Słucham?

–Byłem pod prysznicem. – Kiedy doszli do samochodu, odwrócił się do Kate i oparł o idealnie utrzymany płócienny dach. – Zdawało mi się, że słyszałem dzwonek.

–Dobrze słyszałeś. – Poczula, jak za jej mostkiem tworzy się mała kulka powodująca nieprzyjemne napięcie. A jednak Jared usłyszał telefon... – To nic... nic ważnego. Tylko doktor Willoughby. – Kate wsunęła się na folel pasażera. Nie wspomniała o telefonie, ponieważ zamierzała poczekać na odpowiedni moment, by omówić ofertę ordynatora patologii.

–Co u Yody? – spytał Jared, siadając za kierownicą.

–Wszystko w porządku. Wolałabym jednak, byś go tak nie nazywał. Był dla mnie przyzwoity, a ten przydomek brzmi poniżająco.

–Nie ma w nim nic poniżającego. Naprawdę. – Jared przekręcił kluczyk i silnik ożył z głośnym burczeniem. – Bez pomocy Yody Luke Skywalker nigdy by nie przeżył pierwszej części „Gwiezdných wojen”. Jak mam inaczej nazywać gościa, który ma metr wzrostu, łysinę, krzaczaste brwi i mieszka na bagnie? A poza tym... czego chciał?

Kate czuła, jak grudka za mostkiem rośnie. Spróbowała zwalczyć nieprzyjemne wrażenie.

–Zapraǳnął omówić ze mną kilka meandrów polityki szpitala – odparła obojętnym tonem. – Opowiem ci później. Może wykorzystajmy tę odrobinę czasu, który nam pozostał, na wymyślenie zaskakującej strategii wobec Carlisle’ów?

–Nie podkradać sobie piłek. To jedyna strategia, jakiej potrzebujemy. No więc co tak ważnego miał do omówienia Yoda, że musiał zadzwonić o wpół do dziewiątej rano w niedzielę?

Choć zostało to powiedziane pozornie obojętnie, Kate zauważyła, że Jared jeszcze nie wrzucił biegu. Od początku ich związku czuł się dziwnie zagrożony zarówno tym, że robiła karierę, jak i jej niecodzienną przyjaźnią ze starzejącym się ordynatorem. Co prawda nigdy tego wprost nie wyraził, ale czuł się zagrożony. Była o tym stuprocentowo przekonana.

–Później? – spróbowała jeszcze raz.

Jared wyłączył silnik.

Dobry nastrój rozprysł się niczym rzucony na ziemię kryształowy wazon. Kate zmuszała się do patrzenia mężowi w oczy.

–Powiedział, że jutro rano zamierza wysłać listy do Akademii Medycznej oraz do Nortona Reese’a... z informacją, że planuje odejść na emeryturę w czerwcu albo w chwili, kiedy uda się wybrać jego następcę na stanowisko ordynatora.

–I?

–I sądzę, że wiesz, co dalej nastąpi. – W głębi duszy Kate czuła, jak napięcie zmienia się w iskielki złości. Wybór, wiadomość, szansa na to, że może w wieku trzydziestu pięciu lat zostać najmłodszym ordynatorem... nie wspominając, że byłaby jedyną kobietą-ordynatorem w Metropolitan... powinny zostać przyjęte przez nich z taką samą radością, z jaką przyjęliby wybór Jareda do Kongresu.

–Więc sprawdź – powiedział, patrząc na drugi koniec jeziora.

Kate westchnęła.

–Chce, bym wyraziła zgodę na przekazanie mego nazwiska członkom komisji fakultetu jako osoby, którą osobiście poleca.

–A ty mu pięknie podziękowałaś, ale odmówiłaś, gdyż dwa lata temu umówiłaś się z mężem, że po wyborach zakładasz rodzinę i w związku z tym nie możesz wziąć na siebie ani tak wielkiej odpowiedzialności, ani obciążeń czasowych, jakich wymaga stanowisko ordynatora... zwłaszcza że chodzi o tak biedny, niedostatecznie obsadzony i poddany politycznym wpływom oddział, z którego Yoda właśnie zamierza zwać. Tak?

–Nie! – Jej odpowiedź była odruchowa. Zakłęła w duchu, że tak łatwo straciła panowanie nad sobą, i zanim mogła mówić dalej, potrzebowała kilku sekund na uspokojenie. – Powiedziałam, że się zastanowię, porozmawiam z mężem i przyjaciółmi w szpitalu. Poprosiłam, żeby dał mi tydzień do namysłu.

–Zastanowiłaś się nad tym, ile ta praca z ciebie wyssie? Yoda miał w ostatnich kilku latach dwa zawały, a jest od ciebie znacznie mniej wybuchowy.

–Cholera, Jared! Przestań go tak nazywać! Poza tym to nie były zawały, lecz napady duszniczy.

–Dobrze, niech będą napady duszniczy.

–Moglibyśmy dokończyć rozmowę na ten temat po meczu? Martwiłeś się, że się spóźnimy.

Jared popatrzył na zegarek, po czym ponownie uruchomił silnik. Odwrócił się do żony. Minę, miał opanowaną, ale w oczach pobłyskiwało coś gwałtownego – może wręcz strach. To samo Kate widziała w jego oczach, kiedy przed wyborami mówił, że przegrana „to nie koniec świata”.

–Oczywiście, odpowiedz mi tylko na jedno pytanie. Czy zdajesz sobie naprawdę sprawę z tego, co oznaczać będzie dla ciebie... dla nas... przyjęcie tego stanowiska?

–Wiem... zdaję sobie sprawę z tego, że nie byłoby łatwo. Ale nie o to pytasz, prawda?

Jared pokręcił głową i wbił wzrok w splecione dłonie.

Kate doskonale wiedziała, co oznacza pytanie. Jared miał trzydzieści dziewięć lat i był

jedynakiem. Jego pierwsze małżeństwo zakończyło się koszmarem, a żona uciekła z małą córką do Kalifornii. Nawet ojciec Jareda – wspólnik w jednej z najbardziej prestiżowych kancelarii prawniczych Bostonu – mając do dyspozycji wszystkie rumaki i wszystkich ludzi króla, nie był w stanie ich odnaleźć. Jared chciał mieć dzieci. Chciał je zarówno dla siebie, jak i dla ojca. Zgodził się poczekać do zakończenia wyborów, ponieważ rozumiał doskonale obciążenia, jakie nakłada na człowieka kampania wyborcza, a ich małżeństwo było bardzo świeże. Teraz obie przeszkody zniknęły. O tak, doskonale wiedziała, co oznacza pytanie.

–Odpowiedź brzmi – stwierdziła po chwili – że jeśli przyjmę nominację i otrzymam stanowisko, będę potrzebowała trochę czasu, by odpowiednio ustawić pracę. Teraz to jednak dzielenie skóry na niedźwiedziu. Od momentu kiedy ujawniłam, w jaki sposób wykorzystywał pieniądze, zastrzeżone w budżecie dla naszego oddziału, na zakup sprzętu kardiochirurgicznego, Norton Reese nie jest zbyt zainteresowany lansowaniem mojej osoby. Sądzę, że wolałby amputować sobie ramię, niż mieć mnie na stanowisku ordynatora w szpitalu, którym administruje.

–Ile czasu? – Głos Jareda był lodowaty.

–Skarbie, proszę cię... Błagam. Zajmijmy się tym we własnym salonie, omówmy spokojnie wszystkie warianty...

–Ile?

–Nie... nie wiem. Rok? Dwa?

Jared szybkim szarpnięciem wrzucił jedynkę i wcisnął gaz. Spod tylnych kół wyprysnął śnieg i lód, dopiero po chwili opony złapały przyczepność.

–Dalszy ciąg nastąpi – mruknął bardziej do siebie niż do Kate.

–Świetnie. – Odrętwiała opadła na oparcie fotela i zapatrzyła się niewidzącym

wzrokiem w zaśnieżony krajobraz. Jej myśli bezładnie odpłynęły, potem jednak zaczęły się

skupiać. Na wspomnieniu, choć raczej należałoby powiedzieć: na twarzy. Kate zamknęła

oczy i spróbowała odepchnąć wizję, pozbyć się widoku. Szkliste, podkrążone oczy Arta nie

chciały zniknąć – widziała je tak wyraźnie jak wtedy, nieszczęsnego popołudnia ponad

dziesięć lat temu, kiedy ją zgwałcił. Czuła w jego oddechu whisky, czuła ciężar ciała futbolisty. Mimo że była owinięta długą, ciepłą kurtką i miała na sobie odpowiednie na zimę ubranie, zaczęła drżeć.

Jared skręcił w wąską drogę prowadzącą do klubu. Po prawej ręce Kate, przez pozbawione liści gałęzie dębów i buków, przeświecała metaliczna powierzchnia Atlantyku. Widok nie docierał do jej świadomości.

„Art, proszę... nie – błagała. – Sprawiasz mi ból. Pozwól mi wstać. Tylko zrobiłam test. Nie powiedziałam, że zamierzam się zapisywać”.

–Patrz, przed nami są Carlisle’owie. Chyba się nie spóźniliśmy.

Głos Jareda przebił się przez koszmarne wspomnienie. Złana zimnym potem, zmusiła

się do wstania. Jej mąż – który najpierw poniósł fiasko jako zawodowy futbolista, potem w szkole średniej, na końcu jako biznesmen – zaatakował ją dzień po drugiej rocznicy ślubu, godzinę po tym jak się dowiedział, że wypełniła Test Kwalifikacyjny do Akademii Medycznych, i, co gorsza, osiągnęła wynik plasujący ją w górnych pięciu procentach. Jego potrzeba dominowania nad nią – zawsze nieprzyjemna – zamieniła się w coś paskudnego. Wieczorem się wyprowadziła.

–Jared... – poprosiła cicho – porozmawiamy, dobrze?

–Jasne, pewnie. Na pewno porozmawiamy.

Piłka odbiła się od rakiety Jareda w zwodniczy sposób. Idealny lob topspinowy.

Stojąc przy siatce, Kate patrzyła, jak Jim i Patsy Carlisle’owie zatrzymują się w tym samym ułamku sekundy i – w plątaniu machających rąk, nóg i rakiet – wracają do linii bazowej.

Piłka odbiła się piętnaście centymetrów przed linią i pognęła w kierunku ściany. Carlisle’owie rzucili się za nią w gorączkową pogoń.

–Ty lisie... – szepnęła Kate, kiedy Jared przesunął się do przodu, by móc zadać kończące uderzenie, które, o czym wiedzieli oboje, nie będzie potrzebne. – To było przepiękne.

–Udawaj, że jesteś obojętna. Jak byśmy nie zdawali sobie sprawy z tego, że

możemy ich po raz pierwszy pokonać.

Patsy Carlisle rzuciła się bezwocnie do tyłu i zaplątała w zieloną nylonową siatkę wyłapującą za dalekie piłki.

Kate obserwowała dramat przeciwniczki – Patsy patrzyła na męża, który oddalił się na sztywnych nogach, nawet nie proponując, że pomoże jej wstać. Miksty małżeńskie... gry, w trakcie których odbywają się całkiem inne gry, a w nich jeszcze inne gry.

–Trzy piłki meczowe – oznajmiła. – Może powinniśmy przed grą częściej się kłócić. –

Spojrzenie w oczy Jareda poinformowało ją, że lepiej by było oszczędzić sobie tej uwagi. –

Załatw ich wysokim, mocnym serwem – powiedziała, kiedy szedł na pozycję. Zdawała sobie

sprawę, że jej entuzjazm brzmi nieco sztucznie... jest próbą zadośćuczynienia.

Jared kiwnął głową i pomachał.

Kate skuliła się przy siatce. Pięć metrów przed nią Jim Carlisle przestępował z nogi na nogę, przenosząc na boki doskonale wytrenowane ciało. Jako odnoszący sukcesy szef firmy developerskiej, żeglarz i od kilku lat mistrz klubu, w żadnej dziedzinie nie był przyzwyczajony przegrywać.

–Wiesz co? – powiedział po jedynej próbie nawiązania z nią romansu. – Są

mężczyźni... nie muszę mówić kto, bo doskonale wiesz... zadowoleni, że mogą dreptać

śladami tatuśka, i tacy, którzy łapią życie za gardło i robią swoje. Ja lubię robić swoje.

Aluzja do Jareda, choć może sprowokowana kilkoma martini, pozostawiła u Kate niesmak, który – dobrze o tym wiedziała – nigdy do końca nie zniknie. Kiedy Carlisle przysłał komitetowi wyborczemu „Samuels do Kongresu” czek na pięćset dolarów, miała ochotę odesłać go z notką, by łapał za gardło życie kogoś innego. Zamiast tego, przez szacunek dla męża, zaprosiła Carlisle’ów na kolację. Jej hipokryzja – choć wynikała ze szlachetnych pobudek – od czasu do czasu napełniała ją goryczą, zwłaszcza kiedy Carlisle, który narzucał swe cwaniactwo otoczeniu, zamierzał zadać kolejny cios drużynie Samuels/Bennett.

W końcu jednak udało jej się go pokonać. Nawet zwada z mężem nie była w stanie

odebrać chwili blasku.

Na podstawie kolejnych ruchów Carlisle'a, szykującego się do odebrania serwu, Kate wyobrażała sobie ruchy Jareda za swoimi plecami. Przesunięcie stopy – Jared ustawił stopę na linii. Pochylenie do przodu oraz zgięcie kolan – Jared odbija rakieta piłkę o kort, stara się złapać odpowiedni rytm. Chwilę przedtem nim Carlisle zaczął szybko podskakiwać, co oznaczałoby, że Jared wyrzucił piłkę w górę, zza jej pleców doleciał głos.

–Wysoki, mocny.

Kate napięła mięśnie, spodziewając się doskonale znanego, ostrego PAK po serwie oraz niemal jednoczesnego wykroku Carlisle'a do returnu. Zamiast tego – bez żadnego dźwięku – z przerażeniem dostrzegła, jak Carlisle, z radością kocura, który dostrzegł rannego wróbla, ruszył do przodu, by rzucić się na tragicznie miękki serw. Zagrywka była całkowicie przemyślana – Jared Samuels chciał zakomunikować żonie, że na pewno nie zapomniał o ich kłótni.

–Ty draniu! – wybuchnęła, kiedy Carlisle huknął z trzech metrów prosto w kierunku jej klatki piersiowej.

Sekundę po tym jak piłka odbiła się od rakiety Carlisle'a, dotarła do rakiety Kate i zrykoszetowała w niepilnowany róg kortu. Odbicie było całkowicie odruchowe, ale idealne.

–Gem, set, mecz – rzuciła Kate. Uścisnęła obojgu przeciwnikom dłonie, ręką Jima potrząsnęła o raz więcej niż zwykle. Nie oglądając się za siebie, zeszła z kortu i udała się prosto do szatni.

Oceanside Racquet Club, czyli zajmujący jedną trzecią hektara blaszak z rdzewiejącego aluminium, przycupnął w brzydki sposób na małym wzgórku wznoszącym się nad Atlantykiem. „Frontem do Wimbledonu” mawiał o nim nadęty dyrektor klubu.

Nie myjąc włosów i poruszając się szybko, by mieć pewność, że skończy toaletę przed Jaredem, Kate wzięła prysznic i wyszła z baraku. Zasady ich gry wymagały, by w jakiś sposób zareagowała na zachowanie męża, postanowiła więc wziąć samochód i zatrzymać się może kilometr, może dwa za klubem. Kiedy szła przez zapełniony w połowie parking, zaczęła szukać w kieszeniach swoich kluczyków. Niemal natychmiast przypomniała sobie, że wychodząc, widziała je na stole w kuchni.

–Cholera! – Uczucie było jej aż nazbyt znane. W przeszłości przespała kilka

egzaminów, musiała prosić policję o pomoc w znalezieniu samochodu w garażu lotniskowym

i zapomniała, gdzie wetknęła pierścioneł zaręczynowy od Arta. W końcu nauczyła się

traktować tę cechę swego charakteru jako irytującą, choć zazwyczaj nieszkodliwą, był jednak

taki okres, kiedy wizja pozostawionych w brzuchu pacjenta zacisków na tyle ją dręczyła, że

zdecydowała się zająć patologią, a nie medycyną kliniczną. W tej chwili nie odczuwała

najmniejszej sympatii do tego mankamentu swego charakteru.

Wściekła minęła samochód i ruszyła drogą przed siebie. Był to oczywiście blef, który Jared natychmiast rozszyfruje. Do ich domu było prawie trzynaście kilometrów, a temperatura oscylowała wokół zera. Pokaz oburzenia był konieczny, szybko jednak dotarło do niej, że nie powinien być aż tak demonstracyjny. Gdy pojęła absurdalność zachowania i postanowiła wracać, usłyszała za plecami charakterystyczny odgłos silnika MG. Nie było powrotu.

Rozgrywała się między nimi jedna z gier-nie gier. Ich scenariusze były często starannie zainscenizowane, ale równocześnie stanowiły „samo życie”. Akcje i reakcje, spontaniczne albo i nie, tworzyły wyjątkową dla ich związku dynamikę. W jej pierwszym małżeństwie nie było podobnej wymiany. Krótko powiedziawszy, Arthur Everett wydawał polecenia, a jego żona Kathryn się podporządkowywała. Działo się tak przez całe dwa destrukcyjne lata. Programowanie, jakie otrzymała w dzieciństwie, nie przewidywało innej

drogi, poza tym była zbyt zastraszona i niepewna, by je kwestionować. Nawet teraz miewała okresy – choć znacznie rzadziej – kiedy w jej myślach dominowały obrazy domu na wsi, gromadki dzieciaków, dobrze zaopatrzonej, nasłonecznionej kuchni i wypływającego z gabinetu fajkowego dymu. Przynajmniej wiedziała, że to jedynie ślady – wcielenia -programowania z dzieciństwa.

Niestety to, do czego zaprogramowano Jareda w dzieciństwie, było nieustannie wzmacniane – głównie przez ojca, który postępował zgodnie z przekonaniem, że boski plan dla kobiet dość się różni od planu dla mężczyzn.

–Masz świetny tyłek, wiesz o tym?

Głos Jareda zaskoczył ją. Jechał obok, obserwował przy tym szczegóły jej anatomii przez lornetkę.

–Wiem. – Napięła się wystarczająco, by mógł to zauważyć, i szła dalej. Nie zrób sobie tylko krzywdy, myślała. Odlóż tę idiotyczną lornetkę i patrz, jak jedziesz.

–Twoja twarz... mówiłem ci ostatnio o twarzy?

–Nie, ale kontynuuj, jeśli musisz.

–To twarz zasługująca na błękitną wstęgę, na złoty medal, twarz dziesięciolecia. To wszystko.

–Próbowałeś mnie zabić. – Kate zwolniła, ale nie stanęła.

–To było dziecinne.

–I?

–Głupie.

–I?

–Nie udało się.

–Jared!

–I przepraszam. Naprawdę. Diabeł mnie podkusił, a ja mu pozwoliłem.

Otworzył drzwi. Kate stanęła, odczekała kilka obligatoryjnych sekund i wsiadła.

Przedstawienie skończone. Udało się dzięki niemu ściągnąć z ich małżeństwa odrobinę ropy, zanim zapalenie zdążyło się zaognić. Energia, do tej pory przemieniana w złość, popłynie innymi kanałami – może wszystko zakończy się dziś po południu wspólnym atakiem na stertę leżącego na podwórzu drewna do porąbania albo krzyżówkę w „Timesie”. Najprawdopodobniej jeszcze przed wieczorem będą się kochać.

Kate usadowiła się jak najwygodniej na fotelu, zamknęła oczy i rozkoszowała się tym, co właśnie usłyszała. „Przepraszam”. Naprawdę tak powiedział.

„Umiejętność przeproszania została genetycznie usunięta z męczyzn rodziny Samuelsów”, brzmiała kolejna mądrość z filozofii J. Winfielda Samuela. Kate nieraz musiała to odcierpieć. Możliwe, że gwałtowność reakcji Jareda wynikała z tego, że żona mogła zostać ordynatorem. Uznała, że poranek zakończył się remisem: Tata 1;

Żona 1.

–Proszę kontynuować, doktorze Engelson. Jęk Toma Engelsona był bardziej słyszalny, niż by sobie życzył.

–Mam do powiedzenia tylko tyle, że pańska pacjentka w dalszym ciągu krwawi. W trakcie półtora roku, odkąd rozpoczął specjalizację w Ashburton Service

Bostońskiego Szpitala Metropolitalnego, Engelson miał dość spotkań z doktorem D. K. Bartholomew, by wiedzieć, że będzie miał szczęście, jeśli uda mu się odłożyć słuchawkę po kwadransie pogaduszki.

Donald K. Bartholomew, ze słuchawką w lewej ręce, poprawił leżący przed nim notes i wyprostował się.

–Ile ma krwinek płytkowych?

–Dwadzieścia pięć. Hematokryt spadł z dwudziestu ośmiu do dwudziestu pięciu. – Engelson wyobrażał sobie, jak liczby te są uwieczniane drżącym flamastrem na papierze. – W ciągu ostatniej doby przetoczyliśmy pięć jednostek – dwie pełnej krwi, jedną koncentratu krwinek czerwonych i dwie świeżo mrożonego osocza. – Zamknął oczy i czekał na nieunikniony łańcuch pytań. Przez kilka sekund panowała cisza.

–Ile świeżo mrożonego osocza?

–Dwie jednostki. Musieli ją znów obejrzeć hematolodzy. Jej krew nie krzepnie w normalny sposób. – Postanowił, na ile się da, ominąć skomplikowane wyjaśnienie przyczyn krwawienia Beverly Vitale. Jedno pytanie o szczegóły i rozmowa mogła się ciągnąć dalsze pół godziny. Prawda była taka, że wyjaśnienie problemu okazało się niemożliwe. Hematolodzy wiedzieli, co się dzieje; ilość dwóch kluczowych czynników krzepnięcia krwi pacjentki spadła do krytycznie niskiego poziomu. Nie mieli jednak pojęcia, z jakiego powodu. Chirurg powinien był to rozpoznać przed przeprowadzeniem D i C.

–Zamierzają przeprowadzić dalsze badania?

–Nie, panie doktorze. Na pewno nie dziś. – Sprowadzenie doktora D. K. Bartholomew do szpitala w niedzielny poranek było jak namówienie kota, by z własnej woli wskoczył do wanny. – Zaproponowali podanie jej świeżych czynników krzepnięcia i może zrobienie kolejnego D i C. Obawiają się, że w innym wypadku może się wykrwawić.

–Ile potrwa podanie jej czynników krzepnięcia?

–Już zaczęliśmy, panie doktorze.

Znowu zapadła cisza.

–No, cóż... – stwierdził w końcu Bartholomew – mamy więc chyba randkę na sali operacyjnej.

–Chce pan, bym asystował? – Engelson zamknął oczy i pomodlił się o potakującą odpowiedź.

–Przy D i C? Nie, dziękuję, doktorze. To zabieg jednoosobowy. Powinienem przyjechać na dwunastą. Proszę zawiadomić zespół.

–Oczywiście – słabym głosem odparł Engelson. Już wyznaczył termin zabiegu i wpisał Beverly Vitale na listę. Odłożył słuchawkę i spojrzał na zegar wiszący nad drzwiami wejściowymi do przepełnionego pokoju lekarzy rezydentów* [W amerykańskim systemie mianem rezydenta określa się lekarza bez stałego etatu, po ukończeniu stażu podyplomowego, przygotowującego się do specjalizacji. Tłumacz zdecydował się użyć tego nieistniejącego w Polsce terminu, aby móc zachować nazwę „stażysta” dla lekarza początkującego, tuż po studiach, oraz nie stosować długiego, niezręcznego określenia: „lekarz w trakcie stażu specjalizacyjnego”].
Osiem minut. – Rekord – oznajmił sardonicznie w przestrzeń. – Ustanowiłem rekord.
– Kilka sekund później dzwonił na salę operacyjną. – Denise, tu Tom Engelson. Chodzi o D i C, które wpisałem dla doktora Bartholomew... Vitale, zgadza się. Pomyślałem sobie, że może dałoby się przenieść zabieg do sali z galeryjką obserwacyjną. Chciałbym popatrzeć. Tak, wiem, że masz nie używać tej sali w weekendy, dlatego rozmawiam z tobą takim płaszczącym się tonem. Bartholomew nie chce asystenta, ale nie może mi zabronić przyglądania się z góry. Dzięki, jestem twoim dłużnikiem, Denise.

Tom Engelson stał za grubą szybą okna obserwacyjnego i wymieniał pełne niepokoju spojrzenia z asystującą doktorowi Bartholomew instrumentariuszką. Poszerzanie kanału szyjki macicy oraz wyłyżeczkowanie macicy nie przebiegało jak należy. Trzy dni temu pacjentka trafiła na oddział nagłych przypadków z powodu krwawienia, które zaczęło się wraz z menstruacją i nie chciało ustąpić. Od kilku lat Beverly Vitale była pod rutynową opieką ginekologiczną Omnicenter – poradni ambulatoryjnej Ashburton Service Szpitala Metropolitalnego. Natychmiast wezwano doktora D. K. Bartliolomew, który był tam jej lekarzem prowadzącym.

W trakcie badania wstępnego Bartholomew stwierdził na rękach i nogach pacjentki liczne siniaki, mimo to postanowił przeprowadzić D i C – często wykonywany zabieg ginekologiczny, powszechnie stosowany w celu leczenia silnych krwawień. Nie kazał zbadać

czynników krzepnięcia krwi – zrobił to dopiero, kiedy po zabiegu stan chorej znacznie się pogorszył. W tej chwili – po podaniu Beverly Vitale świeżych czynników

krzepnięcia krwi -Bartholomew przystąpił do ponownego wyłyżeczkowania.

Beverly Vitale, szczupła, delikatnej budowy młoda wiolonczelistka, o prostych, kruczoczarnych włosach i delikatnych palcach artystki, leżała na plecach na stole operacyjnym, oczy miała zaklejone taśmą, a głowę ułożoną na policzku. Z ust wystawała jej polistyrenowa rurka dotchawicza, połączona z urządzeniem do podawania narkozy. Okryte sterylnymi płachtami nogi były uniesione na owiniętych wokół kostek taśmach. Tom Engelson patrzył z góry i czekał. Był ubrany w standardowy strój operatora – w czepku na głowie i z osłonami na butach, nie miał jedynie maski na twarzy.

Obserwując, jak z każdą chwilą podnosi się poziom krwi w umieszczonej na ścianie butli podciśnieniowej, Engelson zaczął się zastanawiać, czy doktor Bartholomew nie zamierza usunąć pacjentce macicy. Zaklął po cichu, zły na siebie, że nie machnął ręką na wymogi lekarskiego „protokołu” i nie wprosił się na salę operacyjną.

Perspektywa przyglądania się, jak stary chirurg dokonuje histerektomii, spowodowała, że poczuł narastającą w gardle kulę złości. Zdawał sobie oczywiście sprawę z tego, że jego reakcja wiąże się głównie z osobą poddawaną zabiegowi. Choć rozmawiał z Beverly Vitale jedynie kilka razy, Engelson zaczął fantazjować na jej temat i podjął decyzję o spotkaniu się z nią, kiedy zostanie wypisana ze szpitala. Teraz musiał do swego postanowienia dodać warunek: „jeśli zostanie wypisana”. Popatrzył ponownie na naczynie próżniowe, następnie na chirurga. W oczach starego lekarza widać było zdziwienie i niepewność.

–Ciśnienie nieco spada – rozległ się skrzeczący głos anestezjologa ze znajdującego się na ścianie za plecami Engelsona ledwie działającego głośnika.

–Młoda damo, poproszę o najświeższą jednostkę krwi, jaką dysponujemy, i proszę sprawdzić, czy bank krwi może nam przysłać dziesięć jednostek płytek.

–Tak jest – odparła pielęgniarka. – Panie doktorze, utrata krwi jak na razie sto pięćdziesiąt mililitrów.

Bartholomew nie od razu zareagował. Stał bez ruchu i patrzył na nieustanny wypływ czerwonego płynu z szyjki macicy Beverly Vitale.

–Spróbujmy nieco oksytocyny. Może macica się zasklepi – stwierdził w końcu.

–Panie doktorze – odparł anestezjolog z wyraźnie słyszalnym napięciem w głosie. – Już pan kazał podawać oksytocynę i dostała. Maksymalną dawkę.

Engelson próbował wyobrazić sobie twarz chirurga. Gdyby wpadł na salę operacyjną, a okazało się, że operator naprawdę nie potrzebuje pomocy, miałby jak w banku formalną

skargę do... Zanim dokończył myśl, wiszący u jego paska pager zapiszczał, powiadamiając o napłygnięciu informacji. Napis brzmiał:

DR ENGELSON, PROSZĘ

ZADZWONIĆ

POD DWA-OSIEM-TRZY. CITO. DR

ENGELSON CITO

POD DWA-OSIEM-TRZY.

Engelson jeszcze raz rzucił nerwowo okiem na scenę w dole i pośpieszył do najbliższego telefonu. Podstawowa zasada Ashburton Service brzmiała, że na wszystkie komunikaty oznakowane „cito” należało oddzwaniać w ciągu minuty. W tym celu zamontowano nawet telefony w toaletach dla rezydentów.

Sprawa dotyczyła pacjentki po operacji, której temperatura podniosła się do 39,4°C, nie był to jednak w żadnym wypadku stan zagrażający życiu. Engelson wysłuchał raportu pielęgniarki i wydał zalecenia dotyczące obserwacji. Kiedy wrócił do kabiny nad salą operacyjną, Bartholomew zaczął smarować dół brzucha Beverly Vitale środkiem aseptycznym.

Engelson włączył mikrofon.

–Co się dzieje? – spytał, ale nikt na dole nie zareagował na jego głos. – Słyszycie mnie?

Nie doczekał się jakiegokolwiek reakcji. Przez szklaną szybę drzwi, za którymi znajdowała się umywalnia, dostrzegł Carol Nixon, świeżo upieczoną lekarkę, która odbywała staż w Ashburton Service. Zaczynała się myć. Najwyraźniej Bartholomew wezwał ją do asystowania – prawdopodobnie nie mógł znaleźć jego.

–Po moim trupie – mruknął Engelson pod nosem i popędził korytarzem do schodów. – Mowy nie ma, byś ją otworzył beze mnie. – Nie minęła minuta, jak stał w umywalni obok Carol Nixon.

–Pielęgniarki mówiły, że doktor Kamienne Dłonie cię szukał – odezwała się młodsza koleżanka. – Właśnie kończyłam zajmować się pacjentką w głębi korytarza, kiedy Denise mnie capnęła. Muszę zostać?

–Może chcesz się czegoś nauczyć od znajdującego się na sali mistrza – odparł zjadliwie Engelson, czyszcząc paznokcie pomarańczową pałeczką. Stażystka się uśmiechnęła, kiwnęła głową w sposób, który mógł jedynie oznaczać „dziękuję, nie

trzeba”, i zostawiła go samego.

–Zamawiasz brzoskwinie, dostajesz gruszkę – skomentował Bartholomew zmianę asystenta. Roześmiał się radośnie z własnego dowcipu i zdawał się nie zauważać braku reakcji otoczenia.

Engelson zajął się gąbkami i kleszczykami, Bartholomew wziął elektryczny skalpel i zaczął robić nacięcie spod pępka Beverly Vitale do kości łonowej. Nóż – który wydawał z siebie dźwięki przypominające skwierczenie tłuszczu na patelni w trakcie wysmażania boczku – równocześnie ciął skórę i przyżegał przecięte naczynia krwionośne. Po przecięciu skóry Bartholomew zwiększył woltaż i przedostał się przez warstewkę tłuszczu koloru szafranu, za którym znajdowała się otrzewna – migocząca błona, okrywająca jamę brzuszną. Kilka cięć nożyczkami Metzenbauma i otrzewna się rozdzieliła, ukazując jelita, pęcherz moczowy i – pod spodem – macicę.

Niedbale – zbyt niedbale jak na gust Engelsona – chirurg zbadał jedną dłonią jamę brzuszną.

–Wygląda, że wszystko jest w porządku – rzucił w przestrzeń. – Sądzę, że możemy kontynuować histerektomię.

–Nie! – gwałtownie wyrzucił z siebie Engelson. Wszyscy na sali zamarli. – Chciałem powiedzieć, czy nie sądzi pan, że powinniśmy rozpatrzyć możliwość podwiązania tętnicy biodrowej wewnętrznej? – Miał wielką ochotę dodać kilka słów o tym, co sądzi o usuwaniu macicy trzydziestoletniej kobiecie, która jeszcze nie rodziła, ale się powstrzymał. Nie dodał również, że podwiązanie tętnicy biodrowej wewnętrznej, choć nie zawsze skuteczne przy krwawieniach, było ogólnie aprobowaną metodą w takich wypadkach jak ten. Bartholomew był jednak reprezentantem „starej szkoły”, której przedstawiciele usuwali macicę, tak jak dermatolog usuwa brodawkę.

D. K. Bartholomew powoli podniósł głowę i jego blado-błękitne oczy popatrzyły prosto w oczy Engelsona. Przez pięć, może dziesięć sekund trwała upiorna cisza, zakłócana jedynie odgłosem powietrza napływającego do podciśnieniowego odsysacza krwi. Wysoki rezydent wytrzymał spojrzenie, wstrzymywał jednak oddech. Wybuch starszego kolegi po fachu doprowadziłby w nieunikniony sposób do konfrontacji, która mogła jedynie zaszkodzić Beverly Vitale. Na szczęście płomień w oczach chirurga zaczął powoli gasnąć.

–Dziękuję za sugestię, doktorze – oświadczył chłodno. – Chyba powinniśmy spróbować.

Odgłosy westchnień ulgi stłumiły maski na twarzach.

–Pan czy ja? – spytał Engelson.

–Dość... od dość dawna tego nie robiłem – przyznał Bartholomew, co było bardzo delikatnym określeniem czasu, jaki minął od chwili, kiedy robił ten zabieg po raz ostatni.

–Niech się pan nie martwi, zrobimy to razem.

Po kilku minutach tętnica była podwiązana. Niemal natychmiast krwawienie z macicy

osłabło.

–Czy nie miałby pan nic przeciwko temu – powiedział Engelson – gdybym podczas oczekiwania na efekty procedury przyjrzał się dokładniej jajnikom i jajowodom?

Bartholomew wzruszył ramionami i pokręcił głową.

Engelson zaczął badać jajowody i jajniki palcami. Coś było nie tak. Ostrożnie wyciągnął lewy jajnik przez nacięcie w otrzewnej. Organ był skurczony do połowy normalnej średnicy, poznaczony szarymi plamami i dość twardy. Oczy lekarza zapłonęły na myśl o słowach: „Wygląda, że wszystko jest w porządku”!

Bartholomew nagle zapadł się w sobie. Wydawał się kompletnie zdezorientowany - jakby stanął przed lustrem, otworzył oczy i nieoczekiwanie dostrzegł jakąś bolesną prawdę.

Prawy jajnik Beverly Vitale był taki sam jak lewy.

–Jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziałem – stwierdził Engelson. – A pan?

–Nie, w zasadzie to nie.

–Przepraszam?

–Chciałem powiedzieć, że ja również jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziałem. – W słowach chirurga była jednak niepewność, wahanie. Wyciągnął rękę i dotknął jajnika.

–Na pewno? – naciskał Engelson.

–Może... może kiedyś miałem coś takiego pod palcami. Próbuję sobie przypomnieć.

Proponuje pan biopsję? – Engelson skinął głową. – Wycięcie kawałka? – Engelson znów skinął głową.

Pewność siebie doktora Bartholomew była mocno zachwiana.

Podczas biopsji krwawienie wyraźnie ustawało. Kiedy Engelson przygotowywał się do zaszcicia brzucha tuż nad macicą, którą właśnie uratował, gorzka ironia tego, co się stało, sprawiła, że głęboko w trzewiach poczuł przykry ucisk. Macicę udało się uratować, ale jeśli zmiany w narządach rodnych Beverly Vitale były tak znaczne, jak się wydawało na podstawie oglądu, kobieta i tak nigdy nie urodzi.

–Denise, mogłabyś się dowiedzieć, kto bada w tym miesiącu wycinki dla chirurgii? – poprosił.

–Już się robi.

Engelson popatrzył na spokojną twarz i zmierzwione włosy młodej wiolonczelistki. Niektóre kobiety przez lata próbują zająć w ciążę, długi czas nie wiedząc, czy im się uda. W twoim wypadku jest to przynajmniej jasne. Pełen ponurych myśli zaczął zamykać brzuch.

Dwadzieścia minut później obaj lekarze weszli do szatni.

–Panie doktorze, przypomniał pan sobie, gdzie zetknął się z podobną patologią jajników? – spytał Engelson.

–Hm, cóż... nie. Doszedłem do wniosku, że chyba jeszcze nigdy się z czymś takim nie zetknąłem.

–Wydaje mi się jednak, że chciałby pan powiedzieć więcej.

–Mam chwilami wrażenie, że kiedyś wyczułem coś podobnego pod palcami. To wszystko.

–Kiedy? U kogo? – w głosie Engelsona było podniecenie. D. K. Bartholomew, członek Amerykańskiego Kolegium Chirurgów, specjalista w zakresie położnictwa i ginekologii, członek Amerykańskiego Kolegium Położników i Ginekologów, pokręcił głową.

–Obawiam się... że nie pamiętam – odparł.

–Nie rozumiem.

–To mógł być zabieg... może usunięcie włókniaka. Jajniki były w dotyku takie jak tej kobiety, ale nie miałem nikogo pod ręką do konsultacji... Jeśli się nie mylę, musiałem jeszcze wykonać jeden albo dwa zabiegi, więc...

–Zignorował pan stan i zamknął pacjentkę?

–Wydało mi się, że może to być odchylenie w granicach normy.

–Jasne, pewnie. Wspomniał pan o swej obserwacji w raporcie pooperacyjnym?

–Nie... nie pamiętam. To musiało być wiele lat temu.

Zadzwoił telefon na ścianie.

–Panie doktorze – kontynuował Engelson, ignorując brzęczenie. – Uważam, że powinien pan przestać operować. – Odwrócił się i wziął do ręki słuchawkę.

–Doktorze Engelson, mówi Denise. Dzwoniłam na patologię.

–I?

–Nie udało mi się dowiedzieć, kto z rezydentów jest odpowiedzialny za wycinki dla chirurgii, ale z etatowego personelu doktor Bennett.

–Świetnie.

–Słucham?

–Powiedziałem, że to świetnie. Dzięki, Denise.

–To ja panu dziękuję za to, co pan zrobił. Uratował mi pan dzień.

Kate wysokim łukiem unosiła plecy nad podpierające biodra poduszki, Jared zaś klęczał między jej nogami i obejmując dłońmi pośladki żony, wbijał się w nią jak najgłębiej. Raz za razem jej trzewia zalewały fale przyjemności i bólu, które płynęły prosto do gardła. Orgazm nadchodził niczym zbliżający się pociąg – najpierw był ledwie słyszalnym drzeniem, potem wibracją, buczeniem, na koniec rykiem. Przy pomocy Jareda uniosła się całkowicie nad poduszki, aż dywanu dotykały jedynie stopy i tył głowy. Jej mięśnie zacisnęły się wokół niego, jakby chciały wciągnąć go jeszcze głębiej. Wbił palce tuż nad jej pośladkami i zaczął krzyczeć cichym, chłopięcym głosem. Wytrysnął i zaczęli pulsować naprzemiennie – kiedy ona się rozluźniała, on się napinał, kiedy jej mięśnie tężały, on się na ułamek sekundy rozluźniał.

–Kocham cię... – szepnął. – Och, Katey, tak bardzo cię kocham. – Delikatnie objął ją

wokół pasa i ułożył na boku, próbując pozostać w niej jak najdłużej. Przez pół godziny leżeli

na miękkim dywanie w salonie, a pot miłości schnął na nich w ciepłe pobliskiego kominka.

Dolatujący z kuchni zapach zaparzonej kawy, zapomnianej od ponad godziny, wreszcie

przebił się przez słodki aromat płonącego brzoźowego drewna.

Obok nich leżał kaszmirowy koc, jeden z niezliczonych prezentów ślubnych od ojca Jareda. Kate przykryła śpiącego męża i wysunęła się spod koca. Uklękła i dłuższą chwilę obserwowała twarz mężczyzny, któremu pięć lat temu się udało – wraz z wielkim bukietem róż – wślizgnąć pod prześcieradłem, na łóżku do transportu zwłok, do sali autopsyjnej, by namówić ją do przemyślenia, czy naprawdę chce odrzucić jego zaproszenie na kolację. Pięć lat. Czas ten upłynął pod znakiem zmian i dla obojga oznaczał ogromny rozwój. Była nerwową, przepracowaną adeptką lekarskiej braci, a on młodym, napalonym adwokatem, wyznaczonym przez kancelarię Minton/Samuels do zajmowania się sprawami ledwo dyszącego z wysiłku Szpitala Metropolitalnego. Myśl o tym, jaki wtedy był – gorliwy i pełen energii – wywołała na jej ustach lekki uśmiech.

Kate wyciągnęła rękę i dotknęła drobnych zmarszczek, które – zdawało się, że przez noc – pojawiły się w kącikach oczu jej męża.

–Rok, Jared? – szepnęła. – Czy rok to tak wiele? Swoje potrzeby doskonale rozumiesz.

Możesz zrozumieć moje?

Niemal natychmiast pojawiło się inne, znacznie bardziej niepokojące pytanie. Czy ona sama naprawdę zdaje sobie sprawę z tego, czego jej trzeba?

Wstała cicho i podeszła do panoramicznego okna, za którym widać było zarośnięte drzewami „podwórze” za ich domem. Na łagodnych falach naniesionego wiatrem śniegu

odbijało się jej nagie ciało, szczupłe i wygimnastykowane dzięki nieustannej diecie i niemal obsesyjnym ćwiczeniom fizycznym. Kierowana odruchem, ustawiła się bokiem i wypchnęła brzuch do przodu. Szósty miesiąc, stwierdziła w myślach, może siódmy. Nawet niezła figura jak na ciężarną.

Piętnaście minut później kręciła się po kuchni i robiła późne śniadanie. Kiedy podbiegła, by podnieść słuchawkę po pierwszym dzwonku, skrajem frotowego

szlafroka o mało nie ściągnęła na podłogę patelni z kiełbaskami w słodkim sosie. Kątem oka dostrzegła jednak, że Jared się obudził i zaczyna się prostować z płodowej pozycji, w której leżał zwinięty na dywanie.

–Halo – powiedziała, zmuszona zapomnieć o „egzotycznym” sposobie, w jaki zamierzała obudzić męża.

–Dzień dobry, doktor Bennett. Mówi Tom Engelson, starszy rezydent w Ashburton Service w Metropolitan. Pamięta mnie pani?

–Oczywiście, Tom. Spotkaliśmy się kiedyś w Omnicenter. Uratował mi pan życie, kiedy nie było doktora Zimmermanna.

–Naprawdę? – W jego głosie był ślad zażenowania. – O co chodziło?

–Hm, właściwie to potrzebowałam nowej recepty na pigułki antykoncepcyjne. Mimo to pamiętam pana. W czym mogę pomóc? – Zachowała go w pamięci jako zbyt swobodnie poruszającego rękami i nogami patykowatego mężczyznę w wieku trzydziestu, może trzydziestu jeden lat, o regularnych rysach i młodzieńczej twarzy, którą nieco postarzały wąsy w stylu Teddy’ego Roosevelta.

–Proszę mi wybaczyć, że dzwonię do pani w niedzielę rano.

–Nonsens.

–Dziękuję. Telefonuję, gdyż chciałbym poprosić o radę w pewnym nietypowym chirurgicznym przypadku. Szczegółów dowie się pani jutro – chodzi o wycinek lewego jajnika jednej z naszych pacjentek, pobrany w trakcie podwiązania wewnętrznej tętnicy udowej z powodu krwawienia.

–Ile lat ma ta kobieta? – Kate odruchowo wzięła długopis, by zanotować dane pacjentki na kopercie. Pisząc, zauważyła, że Jared usiadł przy kominku w towarzystwie Roscoe, ich czteroletniego „prawie teriera”, obiektu miłości obydwójga małżonków, pozbawionego jakiegokolwiek zazdrości.

–Trzydzieści – odparł Engelson. – Nie rodziła, nie była w ciąży i tak naprawdę... nie ma jajników.

–Słucham?!

–To znaczy, one są, z tym że nie wykazują jakiegokolwiek podobieństwa do jajników,

które widziałem w swej karierze. Oglądał je ze mną doktor Bartholomew... kobieta jest jego

pacjentką... i twierdzi, że też jeszcze nigdy nie widział podobnej patologii.

Kate przysunęła sobie zza kontuaru wysoki stółek, usiadła i owinęła lewą stopę wokół prawej nogi.

–Proszę wyjaśnić dokładniej.

–Cóż, bez względu na to, co zobaczyłem, narządy są jednorodne i symetryczne. Wzięliśmy wycinek z lewego jajnika, ale tak samo dobrze można go było pobrać z prawego. Jajniki są skurczone, mają konsystencję... piłeczki do squasha, czegoś dość twardego, a jednocześnie gumowatego. Powierzchnia jest jakby ospowata, dzioby wklęsłe.

–Kolor? – Kate zapisywała niemal każde słowo.

–Szary. Może szarobrązowy.

–Ciekawe.

–Czy mój opis z czymkolwiek się pani kojarzy?

–Nie. Przynajmniej nie od razu. Jest kilka możliwości. Czy wiadomo, dlaczego kobieta zaczęła krwawić?

–Z dwóch powodów. Pierwszy to spadek liczby płytek krwi do czterdziestu pięciu tysięcy, drugi to poziom fibrynogenu, wynoszący jedynie piętnaście procent normy.

–Jakaś choroba autoimmunologiczna? – Kate szukała w pamięci jednostki

chorobowej, która wykazywałaby oba wymienione odchylenia od normy w obrazie krwi.

Choroba autoimmunologiczna, czyli stan, w którym dochodzi do zmian zapalnych różnych

tkanek, spowodowanych wytwarzaniem przez organizm przeciwciał przeciwko własnym

tkankom, które organizm przestaje uważać za własne, wydawała się logicznym wyjaśnieniem.

–Jak na razie ta ewentualność jest na pierwszym miejscu listy – odparł Engelson. – Hematolodzy zaczęli podawać steroidy.

–Dostawała przedtem jakieś leki?

–Halo, Kate! – dobiegł z salonu głos Jareda. – Nie wydaje ci się, że coś się pali?

–Tylko witaminy – odparł Engelson

Kate nic na to nie odpowiedziała. Ściskając słuchawkę między policzkiem a

obojczykiem, stała przy piecyku i wyciągała blachę z czterema spalonymi kupkami, które miały być jajkami pieczonymi w skorupkach, ulubionym daniem Jareda.

–A niech to cholera...

–Słucham? – Obaj panowie powiedzieli to równocześnie.

–Przepraszam, to nie było do pana. – Z pieca unosiła się pod sufit miniaturowa chmura. – Jared, nic się nie stało! – krzyknęła, zakrywając mikrofon. – To tylko... nasze śniadanie. Nic straszego.

–Doktor Bennett, jeśli woli pani porozmawiać później...

–Nie, Tom, nie ma takiej potrzeby. Mamy stale pod telefonem technika z histologii. Dyżurny laborant będzie wiedział, kto nim dziś jest. Niech pan każe jemu albo jej przyjechać do szpitala i przepuścić wycinek przez Technichron. Dzięki temu będzie gotowy do zbadania nie we wtorek, lecz jutro. Jeszcze lepiej będzie, jeśli po przyjeździe do laboratorium zadzwoni do mnie do domu. Wydam odpowiednie instrukcje osobiście. Zgoda?

–Jasne. Dziękuję bardzo.

–Żaden problem. – Popatrzyła na spalone resztki. – Zadzwonię do pana później.

–Pieczone jajka? – Jared, owinięty w kaszmirowy koc, opierał się o framugę drzwi. Spomiędzy jego kolan spoglądał Roscoe.

Kate głupkowato kiwnęła głową.

–Czułam smród, ale mój jednotorowy umysł był skoncentrowany na tym, co mówił rezydent, i wygodniej mu było przyjąć, że to dym z kominka. Nigdy nie... nie byłam zbyt dobra w robieniu dwóch rzeczy naraz.

–Szkoda, że nie zdecydowałaś się na spalenie na wiór rezydenta i uratowanie jajek.

–Następnym razem.

–Świetnie. Jak wyglądają możliwości zastępstwa?

–„Howard Johnson's”?

–Dziękuję pięknie, ale spróbuję ograniczyć się do kawy i tego, co widzę na patelni. To na pewno nie był Yoda?

–Jared... Uniósł ręce w obronnym geście.

–Chciałem tylko sprawdzić. Tylko sprawdzić. Chodź, Roscoe, nakryjemy do stołu. Kate zauważyła, że nie przeprosił, uznała jednak, że podwójne przeprosiny w tak

krótkim czasie to byłby nadmiar szczęścia. Znacznie trudniej przyszło jej pogodzić się z tym, że Jareda najwyraźniej nie interesowało, czego dotyczyła rozmowa. Odnosiła wrażenie, że w ten sposób deprecjonuje jej życie zawodowe. Kiedy byli wśród ludzi, wydawał się dumny z jej profesjonalizmu i stopnia naukowego, ale na co dzień wszystko kończyło się na przypalaniu jajek. Niemal wbrew woli rozczarowanie zaczęło przesłaniać ciepło i bliskość, wyzwolone miłosnym aktem. Podeszła do kupki ciuszków w salonie i ubrała się,

równocześnie po cichu obiecując sobie, że zrobi wszystko, by uniknąć do końca dnia kolejnego spięcia.

Kilka minut później chrzęst żwiru na podjeździe ogłosił sprawdzian jej postanowienia. Roscoe jako pierwszy usłyszał przybysza i pobiegł do frontowych drzwi. Jared – w dżinsach i flanelowej koszuli – podążył za nim.

–Hej Kate, to Sandy! – zawołał, jak tylko otworzył wewnętrzne drzwi.

–Sandy? – Dick Sandler, kumpel, z którym Jared dzielił pokój w Dartmouth, był drużbą na ich ślubie. Pracował jako pilot w TWA, mieszkał w South Shore i od kilku miesięcy nie mieli z nim żadnego kontaktu. – Jest z Ellen?

–Nie. Sam. – Jared otworzył drzwi. – Cześć, królu niebios! – wykrzyknął z

hiszpańskim akcentem. – Witaj! Mam dokładnie to, czego pan sobie życzy, señor, szesnastoletnią amerykańską dziewicę. Tylko pięćdziesiąt peset.

Sandler, szorstki typ o urodzie podobnej do Marlona Brando, wymienił się z Jaredem niedźwiedzimi uściskami, a platonicznymi całusami z Kate, po czym przyjrzał się resztkom ich śniadania.

–Co, nie ma krwawych?

Kate aż jęknęła na myśl o obu kumplach, podochoconych kilkoma „krwawymi Mary”. Wyobraziła sobie, że przerzucają się świńskimi dowcipami, które rzadko ją śmieszyły, i śpiewają „Chcę wrócić do kochanego Dartmouth, do Dartmouth, co na wzgórzu tkwi”. Niezmiennie podczas tych spotkań nie umiała podjąć decyzji, czy

wyść z domu, czy spróbować ich uciszyć, czy może do nich dołączyć. Problemy te nigdy się nie pojawiały, kiedy była z nim żona. Ellen Sandler, kilka lat starsza od Kate, żona Sandy'ego od chwili ukończenia przez niego studiów, była czarująca, interesująca i tak pełna życia jak żadna kobieta, którą Kate kiedykolwiek spotkała. Była opanowaną i pełną gracji gospodynią, matką trzech zachwycających córek i do tego odnoszącą skromne sukcesy bizneswoman. Stworzyła firmę doradczą z zakresu zarządzania wewnątrz, przez kilka lat prowadziła ją sama w domu, a od niedawna przeniosła się do studia z biurem w centrum.

Ekstrawagancki i bardzo inteligentny Sandy, cieszący się renomą kapitana boeinga 747, był magnesem przyciągającym do kręgów towarzyskich, w których obracali się Sandlerowie, wielu fascynujących i znakomitych ludzi. Kate uważała jednak, że pozostawali w nich tylko dzięki Ellen.

–No więc, Sandy – powiedziała, wrzucając mu do szklanki łydę selera i przesuwając

ją po blacie – co cię sprowadza na północ od Bostonu? Jak się ma Ellen, co u dziewczynek? –

W tym momencie dostrzegła, ile w jego oczach jest smutku.

–Hm... cóż... kręciłem się po okolicy i postanowiłem wpaść. Coś mnie naszło. Chciałem... porozmawiać z Jaredem... i z tobą.

–Chodzi o ciebie i Ellen? – Jared tak dobrze znał przyjaciela, że od razu się domyślił, o co pytać.

–Tak... odchodzę od niej. Wyprowadzam się. – Sandler wpatrywał się skonsternowany w szklankę.

Kate poczuła, jakby kłós ją uderzył w brzuch. Ellen przy tylu okazjach i na tyle sposobów deklarowała bezkompromisową miłość, jaką obdarzała męża. Ile czasu byli po ślubie? Osiemnaście lat? Dziewiętnaście?

–Jasna cholera... – szepnął Jared i położył dłoń na przedramieniu przyjaciela. – Co się stało?

–Nic. To znaczy nic drastycznego. Jakimś sposobem się potraciliśmy.

–Sandy, ludzie, którzy są małżeństwem przez prawie dwadzieścia lat, nie „tracą się” ot tak, bez powodu – stwierdziła Kate. – Co się stało? – W jej głosie była drażliwość, która ją samą zaskakiwała. Mina Jareda sugerowała, że jest nie mniej zdziwiony.

Sandler wzruszył ramionami.

–No cóż, pośród rozlicznych zajęć, związanych z prowadzeniem domu, zabawianiem gości, zawożeniem dziewczynek na lekcje i zbiórki harcerskie, uczestniczeniem w posiedzeniach komitetu naszego klubu i swoim biznesem, Ellen po prostu nie miała już energii dla mnie. W wielu sprawach ciągle jest sprawna, ale nie ma w tym iskry.

–Jak Ellen sobie radzi z sytuacją? – spytała Kate, obserwując równocześnie Jareda, czy nie da jej do zrozumienia, by nie drażyła zbyt wieloma pytaniami. Jego mina jednak nic konkretnego nie wyrażała.

–Jeszcze o niczym nie wie.

–Co?! – Okrzyk ten wywołał w spojrzeniu Jareda komunikat: „bądź ostrożna”.

–Podjąłem decyzję dopiero wczoraj, ale zastanawiam się od tygodni. Dłużej. Miałem nadzieję, że może mi powiecie, jak powinienem jej to przekazać.

–Byłeś u doradcy małżeńskiego, psychiatry albo kogoś w tym stylu? – spytał Jared.

–Jest za późno.

–Co masz na myśli? Właśnie powiedziałeś, że Ellen nie wie, jakie masz plany. – Jared wydawał się autentycznie zdziwiony.

Kate zamknęła oczy. Znała odpowiedź na to pytanie.

–Jest ktoś inny... – odparł ze skrzepowaniem Sandler. – Stewardesa. Mam... widzimy

się od... dłuższego czasu.

Każde słowo było dla Kate jak ukłucie grubą igłą. Z jednej strony Jared naciskałby zgodziła się na zmianę swego stylu życia i podążyła ścieżkami, którymi Ellen Sandler umiała się poruszać z zawiązanymi oczami, z drugiej stał Sandy – Jared będzie za kilka lat taki sam -który odrzucał Ellen, gdyż „nie miała dla niego dość energii”. Wizja Ellen, której Sandy oznajmia swoje plany, z początku wywołała u niej mdłości, potem ją przeraziła. Strach, jak to się często zdarza, przemienił się w złość

–Ellen nie zasługuje na to – rzuciła i cofnęła się o dwa kroki od stołu. – „Jakimś sposobem się potraciliśmy”. Sandy, nie sądzisz, że to obskurne wyjaśnienie tego, co tak naprawdę się dzieje? Ile ta dziewczyna ma lat?

–Dwadzieścia sześć. Nie rozumiem jednak, co wspólnego ma jej...

–Wiem, że tego nie rozumiesz. Nie rozumiesz wielu rzeczy. Jared wstał.

–Sekundeczkę, Kate...

–Ty też wielu rzeczy nie rozumiesz, do jasnej cholery! – Po jej policzkach spływały

łzy. – Jedynym waszym zmartwieniem jest to, jak poinformować Ellen, że choć robiła w

życiu, co tylko się dało... i prawdopodobnie osiągnęła więcej, niż wy obaj razem... to jeszcze

za mało. Zostaje wyrzucona. Zwolniona. Nie jest już wystarczająco wystrzałowa. Za kiepsko

się prezentuje. Jej usługi już nie są potrzebne. Przepraszam, ale pójdę do łazienki

zwymiotować. Potem pojedę do szpitala. Ludzie są tam wdzięczni i doceniają dobrą robotę.

Lubię to. Pomaga mi to rano wstawać.

Zaciskając pięści, odwróciła się i wybiegła. Roscoe, który siedział pod stołem, wybiegł na środek pokoju i po krótkim spojrzeniu na mężczyzn, podążył za nią.

Ginger Rittenhouse, nauczycielka szkoły podstawowej, przestała biec wzdłuż skutej lodem rzeki Charles i... nagle zaczęła umierać. Jak przypadkowa ofiara szalonego strzelca, nie usłyszała odgłosu wystrzału, który ją zabił, ani nie dostrzegła wylatującego z lufy ognika. Zabiło ją coś tak niewinnego jak róg szuflady jej własnego domowego biurka... przypadkowe uderzenie tuż nad prawym uchem, które nastąpiło niecałą dobę wcześniej.

–Ale guz! – wykrzyknęła jej nowa współlokatorka, przyciskając łód do wzdórka

wielkości piłki golfowej. Ponieważ była licencjonowaną pielęgniarką, zwróciła także uwagę

na wielki siniak pod prawym kolanem. Ginger zbyt się wstydziła, by przyznać się do innych,

podobnych siniaków – u dołu pleców, na pośladkach, na ramionach.

Jej śmierć zaczęła się tikiem, irytującym skurczem mięśni za prawym okiem. Ściana prawej środkowej tętnicy mózgu zaczęła się rozciągać. Naruszona uderzeniem szuflady

tętnica, normalnie średnicy szpagatu, doznała drobnego uszkodzenia wewnętrznej wyściółki. Konieczne w takiej sytuacji płytki krwi oraz fibrynogen co prawda krążyły we krwi, ale w ilości niedostatecznej do wykonania zadania. Krew zaczęła się sączyć

między warstwy, z której zbudowana jest ścianka naczyń.

Mrużąc oczy, by zmniejszyć ból, kobieta siedziała na ławce i patrzyła za rzekę na mieszczący się w Cambridge budynek General Electric. Jego kontury zdawały się zamazywać. Krew przesączająca się przez naddarcie w tętnicy mózgowej zaczęła wpływać do przestrzeni między czaszką a mózgiem. Włókna nerwowe – niezwykle czułe – odkryły ten fakt i przystąpiły do wykrzykiwania swych ostrzeżeń. Nie zwracając uwagi na wielki guz nad uchem, Ginger ścisnęła głowę dłońmi, by zmusić ból do ustąpienia.

Napędzane coraz szybszym pulsem krwawienie nasilało się. Myśli Ginger zamieniły się w nieskoordynowane strzępki. Dachy Cambridge zaczęły znikać za mgłą. Za ławką mijali ją biegacze. Jakaś zakochana para przeszła obok niej wystarczająco blisko, by móc odczytać godzinę z jej zegarka. Kobieta, sparaliżowana bólem, który przekraczał granice wszelkiego bólu, nie była w stanie wołać o pomoc.

Nagle jej cierpienie spowiło jaskrawe, białe światło. Ciepło, jakie z nim płynęło, ogarnęło głębiny oczodołów. Przypadkowe fragmenty myśli zaczęły się zbierać wokół wizji lasu i strumienia. Była to Dolina – jej tajna kryjówka z dzieciństwa. Znała tu każde drzewo, każdy kamień. Nareszcie bezpieczna w domu, Ginger Rittenhouse poddała się kojącemu ciepłu i łagodnie przewróciła się do przodu na przybrudzony śnieg.

Rozdział 2

Poniedziałek, 10 grudnia

Najpierw pojawiło się intensywne, żółtobiałe światło – kolor wytwarzany przez słońce innej planety. Potem, powoli i stopniowo, zaczęły się wykształcać barwy: czerwienie i róże, purpury i błękity. Kate czuła, jak opada coraz głębiej – niczym Alicja, ściągnięta przez własną ciekawość w głąb króliczej nory. Ile razy ustawiała ostrość mikroskopu na preparacie? Dziesiątki, może setki tysięcy razy, a mimo to w dalszym ciągu każda podróż przez żółtobiałe światło zaczynała się takim samym napięciem jak za pierwszym razem. Co będzie dalej?

Kolory pociemniały i zmieniły się w mozaikę komórek – pochodzących z lewego jajnika Beverly Vitale – zakonserwowanych w sposób mający zapobiec rozkładowi, umieszczonych w bloczku parafiny, by umożliwić pocięcie na plasterki o grubości ułamka milimetra, na koniec zabarwionych odczynnikami, które wchodziły w reakcje z określonymi strukturami komórkowymi. Róż oznaczał cytoplazmę, cętkowany fiolet jądro komórkowe, czerwień – ściany komórek.

Z głębokim oddechem, który miał równocześnie odprężyć oraz poprawić skupienie uwagi, Kate skoncentrowała soczewki i myśli na powiększonych tysiąckrotnie komórkach. Jej wysiłek był mniej skuteczny niż zazwyczaj. Myśli dotyczące Sandy'ego i Ellen, Jareda oraz dyskusji, którą odbyli po jej wczorajszym powrocie ze szpitala, w dalszym ciągu nie dały się odsunąć.

Zjawiła się w domu późno, niemal o jedenastej. W szpitalu spotkała się z Tomem Engelsonem, rozmawiała z Beverly Vitale, zbadła zamrożony wycinek jajnika i godzinę spędziła w bibliotece. Spodziewała się zastać dawnych współlokatorów w gabinecie, bliskich zapaści, siedzących wokół resztek piwa. Ku jej zdziwieniu przywitał ją poważny i stuprocentowo trzeźwy Jared.

–Cześć – odezwał się zdawkowo.

–Cześć. – Pocałowała go w czoło i usiadła na kanapie przy jego fotelu. – Kiedy Sandy poszedł?

–Kilka godzin temu. Zrobiłaś, czego od ciebie oczekiwano?

Kate kiwnęła głową. Jego mina była pozbawiona wyrazu i świadczyła o zmęczeniu...

...tak samo jak słowa. W końcu nic dziwnego. Najpierw żona wybiegła z domu bez wyjaśnienia, potem musiał wysłuchać opowieści o agonii małżeństwa najlepszego przyjaciela.

–Chyba... chyba jestem ci winna przeprosiny za moją reakcję. Jakieś wyjaśnienie.

Jared wzruszył ramionami.

–Przeprosiny przyjmuję. Wyjaśnienie nie jest zbyt konieczne.

–Przykro mi i przepraszam, że wyszłam w taki sposób.

–Mnie też jest przykro, że wyszłaś w taki sposób. Przydałoby mi się trochę pomocy, przynajmniej wsparcia moralnego.

–Przepraszam jeszcze raz. – Dzieląca ich metrowa odległość mogła być równie dobrze kanionem. – Coś zostało postanowione?

–Wydaje mi się, że pojechał do domu, żeby oznajmić Ellen swą decyzję i

wyprowadzić się. Po tym jak wyszłaś, zrobiło się okropnie cicho. Żaden z nas nie mógł się tak

do końca otworzyć. Chyba obaj zaplątaliśmy się we własne problemy.

–Trzecie przeprosiny. Ale na tym koniec. – Odpięła spinkę, ruchem głowy rozrzuciła włosy i przeczesła je palcami. Gest był naturalny, wiedziała jednak, że zrobiła go, gdyż podobał się Jaredowi. – Po naszej rozmowie w samochodzie nie byłabym w stanie wytrzymać opowieści Sandy’ego o tym, jak zostawia Ellen... niszczy małżeństwo... Sama stoję na głowie, by jako tako radzić sobie z karierą i być dla ciebie przyjacielem i żoną, Ellen zaś robi bez trudu jedno i drugie, na dodatek wychowuje trójkę pięknych, utalentowanych dzieci, a...

–To, co mówisz, nie jest w porządku, Kate.

–Nie rozumiem.

–Porównujesz swoje problemy wewnętrzne z jej wyglądem. Ellen trzyma się dobrze, to muszę przyznać, ale nie traktuj Sandy’ego jak drania tylko dlatego, że to on się wyprowadza. W tym związku brakuje różnych rzeczy. Może są to poważne sprawy, niemożliwe do realizacji? Poza tym co ich sytuacja ma wspólnego z naszą poranną dyskusją?

–Jared, doskonale wiesz, co ma wspólnego. Dzieci to ogromna odpowiedzialność. Na myśl o tym, jak wielka, czuję się czasami jak jednoręki żongler. Nasze życie, nasze zawody, to, co robimy razem i osobno... dołącz teraz do tego dziecko. Jaką masz gwarancję, że w takich warunkach nie zacznę zaniedbywać różnych spraw?

–Czego ode mnie oczekujesz? Mam prawie czterdzieści lat. Jestem żonaty. Chcę

mieć dzieci. Moja żona kiedyś mówiła, że też chce mieć dzieci. Teraz się okazuje, że dzieci są zagrożeniem naszego małżeństwa.

–Boże, Jared, nie to mam na myśli... i doskonale o tym wiesz. Nie powiedziałam, że nie chcę mieć dzieci. Nie powiedziałam, że dzieci są zagrożeniem naszego małżeństwa. Mówię jedynie, że w związku z dziećmi jest mnóstwo spraw do przemyślenia – szczególnie w kontekście możliwości, które pojawiły się w szpitalu. Nie mam problemu z samą ideą, jedynie z momentem. Wystarczy jeden błąd i ma się zgorzkniałą, niespełnioną kobietę albo

neurotyczne, niepewne siebie dziecko, albo... dwudziestosześcioletnią stewardesę. Jesteś w stanie to zrozumieć?

–Rozumiem tyle, że są sprawy, którym nie chcesz spojrzeć w twarz. Sprawy krążące wokół mnie lub związane ze zdecydowaniem się na dzieci, a może chodzi o jedno i o drugie.

–A ty ze wszystkimi swoimi problemami już sobie poradziłeś, tak? – Kate z całej siły próbowała pohamować łzy, które zdawały się wypływać głęboko z brzucha.

–Wiem, czego chcę.

–Cóż, ja nie. Pasuje? A to ja będę musiała odrzucić możliwość objęcia stanowiska ordynatora, przeżyć ciężę i na tyle zmienić swe życie, by nie popełnić z naszym dzieckiem tych samych okropnych błędów, które moja matka popełniła ze mną. Jared... boję się. – Chyba po raz pierwszy w życiu tak wyraźnie to dostrzegła.

–Halo, pani Przestraszona. Ja jestem Zaskoczony. Jak się pani miewa?

–Wiesz, mógłbyś mieć lepsze wyczucie chwili.

–Jasne, kochanie, o to chodzi! Znów nadszedł czas na zabawę w niesłuchanie tego, co powiedział Jared. Proszę bardzo, nim się ruszysz, wyeliminuj mnie. Idę spać.

–Zaraz do ciebie przyjdę.

–Nie budź mnie.

Wycinek jajnika Beverly Vitale nie kojarzył się Kate z żadnymi znanymi jej zmianami patologicznymi. Komórki tworzące część rdzenną jajnika oraz – jak mówiła teoria - dostarczające krytycznych hormonów żeńskich wydawały się całkowicie normalne. Ale pęcherzyki jajnikowe – otaczające jajo kieszonki, zawierające komórki, które mają je odżywiać – były wybiórczo lub całkowicie zniszczone i zastąpione wrzecionowatymi, ciemnoróżowymi stwardniałymi tworami – zbliznowaczeniami. Zakładając, że ten sam stan występował w obu jajnikach – a nie było powodu sądzić

inaczej – należało przyjąć, że zdolność reprodukcyjna Beverly Vitale jest praktycznie równa zeru.

Kate siedziała przez niemal godzinę, oglądała fragment po fragmencie i robiła notatki w bloku z żółtymi kartkami, jakich używają adwokaci. Dlaczego Jared nie mógł zrozumieć, co naprawdę znaczy dla niej praca w szpitalu? Dlaczego nie dostrzegał, jakim darem niebios jest medycyna dla życia naznaczonego bezcelowością oraz zwątpieniem we własną wartość, graniczącym z odrazą do samego siebie?

–Boże drogi, kobieto, gdybym nie znał prawdy, przysięgłbym, że jesteś modelką wynajętą przez Zeissa do zachwalania najnowszej generacji mikroskopów.

–Oho! – odparła melodramatycznie Kate, nie unosząc wzroku znad okularu. – Nadchodzi miniaturowa męska szowinistyczna świnia. Właściwie to się ciebie spodziewałam,

doktorze Willoughby. – Odwróciła się i jak zwykle poczuła falę ciepłych emocji na widok

swego ordynatora. Stan Willoughby był tuż po sześćdziesiątce, a pomijając siwiuteńki

wianuszek włosów, przypominający mnisią tonsurę, jego głowa była łyśa jak jajko.

Cieniusieńkie niczym ołówek wąsiki, częściowo ukryte pod potężnym nosem, były także

siwe. Oczy migotały spod brwi przypominających dmuchawce w ostatnim stadium życia. W

sumie, używane przez Jareda porównanie z Yodą – choć nieeleganckie – nie było całkiem

nietrafne.

Willoughby schował fajkę i usiadł na krześle naprzeciwko Kate.

–Młoda kobieta z Ashburton Pięć? – spytał. Kiedy Kate potaknęła, dodał: – Nie miałabyś nic przeciwko temu, bym spojrział?

Choć główną specjalnością Willoughby’ego była histochemia, to trzydzieści pięć lat doświadczenia zawodowego uczyniło z niego eksperta w niemal każdej dziedzinie

patologii. Nie nauczył się jedynie kierować oddziałem szpitalnym. Był zbyt bierny i zbyt miły, jak na zwyczaje panujące w świecie polityki szpitalnej, w której każdy walczył z każdym i w którym obowiązywała wolna amerykanka w wydzieraniu sobie nawzajem ograniczonych funduszy.

–Stan, przysięgam, że jeszcze nigdy nie widziałam czegoś podobnego ani nie słyszałam o czymś podobnym.

Ordynator zajrzał w zamocowane z boku dodatkowe okulary dydaktycznego mikroskopu, pozwalającego na równoczesną obserwację preparatu dwóm osobom.

–Mogę wyostrzyć?

Skinęła głową. Jakby wykonywał boski rytuał, przeszedł z małego powiększenia na średnie, potem na duże, w końcu na wymagające wkroplenia olejku immersyjnego powiększenie tysiąckrotne. Każdy manewr podkreślał mruknięciem „hmmm...” albo „uhuhhli...”. Kale śledziła, co się dzieje, przez drugą parę okularów.

Wyjęte z tkanki i przyholowane do oglądania komórki wyglądały niewinnie, zwodniczo niewinnie. W pewnym sensie były dziełem sztuki – delikatną, idealnie geometryczną konstrukcją, stanowiącą antytezę olbrzymich, pełnych najróżniejszych elementów metalowych rzeźb, które Kate tworzyła i wystawiała w trakcie burzliwych lat w Mount Holyoke. Ironia tej myśli była niezwykła. Forma realizuje funkcje. Tak brzmi zasadnicze prawo projektowania strukturalnego, tutaj jednak mieli do czynienia z perfekcyjnymi w formie komórkami wytworzonymi przez kataklizm biologiczny, porównywalny do erupcji wulkanu. Był to wirus? Toksyna? Nagle przetworzone

przeciwnie? Sztuka patologii wymaga, by nigdy – choć są utrwalone i zabarwione – nie traktować komórek i tkanek jako zjawiska statycznego.

–Posłałaś wycinki do zbadania mikroskopem elektronowym? – spytał Willoughby.

–Jeszcze nie, ale zamierzam.

–Ta kobieta w dalszym ciągu krwawi?

–Płytki trzydzieści tysięcy, fibrynogen piętnaście procent normy.

–Auu!

–Dokładnie. Rozmawiałam z nią dość długo wczoraj wieczór. Nic znaczącego w wywiadzie rodzinnym, żadnych poważnych chorób, nie pali, alkohol w normie,

żadnych leków...

–Żadnych?

–Witaminy i żelazo, nic więcej. Żadnej operacji poza zabiegiem przerwania ciąży mniej więcej pięć lat temu w Omnicenter. – Rozmawiając, obserwowali komórki. – Jest wiolonczelistką w filharmonii.

–Podróże?

–Europa, Chiny, Japonia. Nie była w krajach Trzeciego Świata. Wspomniałam, że zazdroścę ludziom, którzy umieją grać na instrumencie, a ona ze smutkiem się uśmiechnęła i powiedziała, że za każdym razem, kiedy bierze do ręki wiolonczelę, czuje się tak bogata i spełniona, jak tylko można by sobie życzyć. Rozmawiałam z nią jedynie pół godziny, ale wiesz, Stan... jakbyśmy byli... przyjaciółkami. – Spędź tu kiedyś cały dzień, Jared. Przyjdź do mnie do pracy i zobacz, co robię i jak to robię. – Hematolodzy uważają, że to choroba autoimmunologiczna. Ich zdaniem problem z jajnikami trwa od dawna, a odkrycie go w obecnej fazie jest przypadkowe.

–Nigdy nie postuluj dwóch schorzeń, jeśli jedno może wyjaśnić objawy. – Willoughby powtórzył maksymę, którą wpajał Kate od dawna. – Chyba podają jej steroidy.

–Stan, ona ma problemy. Poważne problemy.

–Oczywiście. Wybacz mi. Czasami zapominam, że medycyna to nie tylko prawidłowa diagnoza. Dzięki, że nie pozwalasz mi w ten sposób gadać. Cóż, pani doktor, moim zdaniem masz coś poważnego. Też jeszcze nigdy czegoś podobnego nie widziałem.

–Tak samo doktor Bartholomew.

–Ta skamielina? Prawdopodobnie ma rano problemy z odróżnieniem lewego buta od prawego. Jest zagrożeniem, właściwie jednoosobową epidemią.

–Bez komentarza.

–Świetnie. Mam dość komentarzy dla nas obojga. Posłuchaj, Kate. Miałabyś coś przeciwko temu, gdybym wypróbował na tym materiale parę moich nowych barwników na

bazie srebra? Wydaje mi się, że nowa technika byłaby idealna do tego typu zmian patologicznych.

–Właśnie zamierzałam spytać, czy byłbyś tak miły i spróbował.

Willoughby włączył klawisz interkomu – jednej z innowacji, którą udało mu się wprowadzić na oddziale.

–Sheila, jesteś tam?

–Nie, doktorze Willoughby, tu Jane Fonda. Oczywiście, że ja. Zadzwoił pan do mojej pracowni.

–Czy mogłabyś przyjść do gabinetu doktor Bennett? – Cisza. – Sheila, jesteś tam?

–Nie wygląda na to, doktorze Willoughby – padła w końcu odpowiedź.

–Co nie wygląda na co?

–Sheila – wtrąciła się ostro Kate – to ja. Dzwonimy, ponieważ mamy materiał, który chcemy zabarwić srebrem.

Przez kilka sekund panowała cisza.

–Zaraz... zaraz u pani będę – padła wreszcie odpowiedź.

Willoughby odwrócił się do Kate; grube brwi informowały, jakie zada pytanie, zanim je wypowiedział.

–Co to miało znaczyć?

–Nic. Nic takiego.

–Nic? Kate, ta kobieta pracowała dla mnie piętnaście lat. Może więcej. Jest cyniczna, impertynencka, irytująca, agresywna i czasami rządzi się jak moja żona, ale jest równocześnie najlepszym technikiem, jakiego znam. Jeśli macie ze sobą jakieś kłopoty, może powinienem o tym wiedzieć. Chodzi o sprawdzanie wydatków oddziału, które zleciłem tobie i twojemu przyjacielowi od komputerów, Sebastianowi?

–Nic się nie dzieje, Stan. Naprawdę. Jak wielu ludzi, którzy są dobrzy w tym, co robią, Sheila jest strasznie dumna. Zwłaszcza jeśli chodzi o jej szefa... tego samego od piętnastu lat. Wiem, że nie do mnie należy decyzja, ale jeśli to możliwe, chciałabym, byśmy poradziły sobie z dzielącymi nas różnicami bez wciągania w tę historię ciebie. Może być?

Willoughby zawahał się, po czym wzruszył ramionami i skinął głową.

–Dziękuję – powiedziała Kate. – Gdybym miała kiedykolwiek zostać ordynatorem,

wolałabym mieć pewność, że mogę liczyć na szefową techników... osobę tak bezcenną jak

Sheila Pierce.

–Beczenna to pasujące określenie. Daję jej nieustannie podwyżki i premie, choć za każdym razem, kiedy otwiera usta, robi mi się słabo. Ale zaraz... czy mam rozumieć, że

dajesz mi zielone światło w kwestii przekazania twojego nazwiska Reese'owi?

–Powiedziałam „gdybym” i dokładnie mnie usłyszałeś. Willoughby figlarnie się uśmiechnął.

–Twoje usta powiedziały „gdybym”, ale oczy...

–Dzwoniła pani po mnie? – wejście Sheili Pierce uwolniło Kate od konieczności udzielenia odpowiedzi.

Kate doskonale wiedziała, że czterdziestoletnia, wysportowana, atrakcyjna w nieco chłopięcy sposób Pierce zrobiła magisterium i specjalizację, cały czas pracując na pełnym etacie w szpitalu. Kiedy Kate zaczynała staż podyplomowy, Sheila była asystentką w laboratorium, teraz zajmowała stanowisko kierowniczkki zespołu techników oddziału patologii.

–Ach, Sheila... – odezwał się Willoughby. – Wejdz.

–Witam. – Kate miała nadzieję, że jej głos i postawa są na tyle spokojne, żeby nie dopuścić do wybuchu kolejnego konfliktu przynajmniej do chwili, kiedy będą mogły porozmawiać na osobności.

Przez ułamek sekundy patrzyły sobie prosto w oczy, po czym – łaskawie – Sheila odwzajemniła powitanie. Nieporozumienie między obiema kobietami – jak trafnie podejrzewał Stan Willoughby – pojawiło się w trakcie kontroli budżetu i wydatków oddziału patologii, prowadzonej przez Kate, z wykorzystaniem danych w komputerze. Stwierdzono wówczas nieudokumentowaną kwotę w wysokości sześciuset pięćdziesięciu dolarów. Pieniądze te zostały przekazane Sheili na pokrycie kosztów kursu w Miami, a problem polegał na tym, że nie była ona w stanie potwierdzić swego uczestnictwa. Kate postanowiła nie informować o nadużyciu ordynatora, Sheila nie była jednak przekonana, że tak się stało.

–Co z nową partią mojego barwnika srebrowego? – spytał Willoughby.

–Jest znacznie gęstszy od poprzedniego – odparła Sheila i usiadła na wysokim stołku, w równej odległości od obu lekarzy. – Czternastogodzinne podgrzewanie to zbyt długi proces.

–Chyba sobie przypominam, jak mnie ostrzegałaś, kiedy zaproponowałem czternaście godzin. Wszystko zostało zniszczone?

–Gotowałam tylko siedem godzin.

–I?

–I wygląda dobrze... idealnie, równomiernie. Westchnienie ulgi Willoughby'ego było wyraźnie słyszalne.

–Wiesz, ile kosztowało zrobienie tego barwnika? Wiesz, ile zaoszczędziłaś mi dzięki temu...

–Oczywiście, że wiem. Kto, według pana, zamawiał składniki? Duch Święty?

Willoughby popatrzył na Kate, jakby chciał powiedzieć: „A nie mówiłem?”, po czym wziął do ręki szkiełka i bloczki parafiny z wycinkiem jajnika Beverly Vitale.

–Doktor Bennett ma ciekawy problem, który moim zdaniem nadaje się do barwienia srebrem. Sądzisz, że mogłabyś spróbować?

–Pańskie życzenie jest rozkazem. Pierce ukloniła się. – Proszę dać mi godzinę. Odwróciła się do Kate. – Doktor Bennett, sądzę, że powinna pani zbadać naszemu szefowi ciśnienie. Na jego biurku, tuż obok pigułek na nadciśnienie, leży w torebce kilka niezjedzonych solonych chipsów. Kłaniam się.

Sheila Pierce zostawiła bloczki parafiny w pracowni histologii i wróciła do swego gabinetu. Na jej biurku leżał barwnik, o którym Willoughby mówił „mój”. Roześmiała się z pogardą. Gdyby nie ona, to barwnik, który wkrótce będzie znany pod jego nazwiskiem, byłby zwyczajną kupką gówna. Siedzieli tam, Willoughby i ta przekłeta doktor Bennett, opowiadali sobie idiotyczne dowcipy w stylu „między nami doktorami”, marnowali czas na intelektualną lekarską masturbację i wydawali polecenia komuś z ilorazem inteligencji – sprawdzonym za pomocą rzetelnych badań – znacznie wyższym niż ich. Sto pięćdziesiąt. Tak mówiła jej matka. Poziom intelektualny geniusza. Sto i pieprzone pięćdziesiąt. Gdzie więc dyplom lekarski, który pozwoliłby jej zająć stanowisko, na które zasługiwała?

Pierce wpatrywała się w stojące na biurku nieduże zdjęcie za szkłem, przedstawiające jej rodziców. Po chwili złagodniała. To nie ich wina, że byli biedni.

Jedynie nieszczęśliwy los. Nie chcieli wylewu ani raka, które to choroby kazały ich córce odłożyć na bok marzenia i zacząć prowadzić życie polegające na przyjmowaniu poleceń od uprzywilejowanych bachorów, najczęściej nie sięgających jej intelektualnie do pięt. Sto pięćdziesiąt. Jaki iloraz inteligencji miała Kate Bennett? Sto dziesięć? Góra sto dwadzieścia. A jednak to ona miała stopień naukowy, władzę i przyszłość przed sobą.

„Posłuchaj, Sheila, jesteś znakomita w pracy. Nie widzę potrzeby informowania o tym incydencie doktora Willoughby’ego ani żądania zwrotu pieniędzy oddziałowi. Nie rób jednak nigdy więcej nic podobnego, dobrze?”.

–Protekcjonalna dziwka...

–Kto jest dziwką?

Zaskoczona, gwałtownie się odwróciła. W otwartych drzwiach stał oparty o framugę Norton Reese i uważnie ją obserwował.

–Boże, ale mnie przestraszyłeś.

–Kto jest dziwką? – Reese sprawdził korytarz, po czym wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi.

–Pani Bennett.

–No tak. Co nowego wymyśliła nasza mała Rebeka ze Słonecznego Potoku?*

[„Rebecca of Sunnybrook Farm” – popularna powieść dla młodzieży, napisana przez Kate

Douglas Wiggin w 1903 roku, a w 1938 zekranizowana, z Shirley Tempie w roli głównej.]

–Nic nowego. Chodzi o to przekłete spotkanie Amerykańskiego Towarzystwa.

–W Miami?

–Tak. Zapewniałeś, że nie ma możliwości, by ktokolwiek się dowiedział, że mnie tam nie było.

–Cipa ma możliwości... – mruknął Reese. – To trzeba jej przyznać.

–Co?

–Nie mówiła, że zamierza zrobić swój miesięczny dobry harcerski uczynek i zapomnieć o wszystkim?

–Tak powiedziała, ale jest z doktorem Willoughbym tak – Sheila skrzyżowała dwa palce. – Albo już mu wszystko wypaplała, albo zamierza trzymać mi sprawę nad głową jak katowski miecz. Tak czy owak... – Pokręciła ze złością głową.

–Spokojnie, dziecinko, spokojnie... – stwierdził Reese, podszedł i wsunął jej rękę pod kitel.

Sheila skrzywiła się, pozwoliła mu się jednak objąć. Łysiejący, z niewielką nadwagą, zawsze w trzyczęściowym garniturze, Reese nigdy nie działał na nią seksownie w sensie emocjonalnym. Był jednak administratorem ogromnego kompleksu szpitalnego, a lata doświadczeń nauczyły ją, że prawdziwy seksapil nie polega na tym, co mężczyzna może zrobić z nią, ale DLA niej.

–Masz najpiękniejsze cycki, jakie widziałem u kobiety – szepnął Reese. – Mała, wiesz,

jak dawno był nasz ostatni raz?

Zablokowała ruch jego dłoni w kierunku jej piersi.

–Nie moja wina, Norty. Ja jestem rozwiedziona. Ty masz przeróżne obowiązki rodzinne. Zapomniałeś?

Reese ocenił kryjącą się w jej oczach determinację i postanowił nie naciskać dalej.

–A więc – stwierdził i usiadł na krześle przy biurku – Panna Wspanialska znów cię napadła? Uwierz albo nie, ale to z jej powodu... między innymi z jej powodu przyszedłem.

–I co?

–Może lepiej usiądź. – Zachęcił ją, gestem i zczekał, aż to zrobiła. – Wiedziałaś, że Willoughby postanowił zrezygnować ze stanowiska?

–Nie. Nie wiedziałam. – Uraziło ją trochę, że Reese dowiedział się przed nią.

–Jako powód podaje stan zdrowia, ale moim zdaniem stary cap już sobie nie radzi. Choć tak naprawdę nigdy sobie dobrze nie radził.

Sheila rzuciła Reese'owi spojrzenie, które mówiło, by nie próbował deprecjonować człowieka, dla którego pracowała przez piętnaście lat.

–To bardzo źle... – mruknęła.

–Tak? No to, mała, teraz mocno się trzymaj. Nawet nie wiesz, jak bardzo źle. Na

swego następcę twój Willoughby chce polecić niejaką doktor K. Bennett.

Sheila nagle poczuła, że zbiera się jej na wymioty. Przez wiele lat praktycznie ona prowadziła oddział, a Willoughby zajmował się głównie podpisywaniem zamówień sprzętu i materiałów oraz podejmowaniem decyzji personalnych. Gdyby Bennett została ordynatorem, to ona straciłaby wszelką władzę i wpływy... wręcz powinna być szczęśliwa, gdyby udało jej się nie stracić pracy.

–Powiedziałaś, że „chce” polecić – udało jej się z trudem powiedzieć.

–Bennett jeszcze nie wyraziła zgody, najpierw chce omówić wszystko z mężem. Sheila wzięła stojącą na biurku laleczkę przedstawiającą smurfa i nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, ukrecała jej ramię.

–A co ty na to? – spytała.

–Po tym co zrobiła w zeszłym roku... mam na myśli pismo, które było *de facto* skargą na mnie do zarządu? Jak sądzisz?

–Nie wiem. – Niebieskie gumowe ramię leżało na jej dłoni.

–Nie chcę mieć tej kobiety jako ordynatora w moim szpitalu i tyle.

–Co jesteś w stanie zrobić?

Głos Reese'a złagodniał.

–Na razie można trochę mieszać. Rozmawiałem z członkami zarządu, rozmawiałem z kilkoma ordynatorami i okazuje się, że nie miałyby zbyt wielu problemów z dostaniem

nominacji. Wygląda na to, że niewiele osób poza mną... – uśmiechnął się konspiracyjnie – i

tobą wie, jak jest wkurzająca.

Sheila wrzuciła zniszczoną laleczkę do kosza na śmieci.

–Wiemy to oboje.

–Mała, potrzebuję czegoś na nią. Czegokolwiek. Muszę mieć argument, który pozwoli wpłynąć na kilka osób. Perspektywa walki co miesiąc z krucjatami pani Bennett jest ponad moje siły. Trzymaj oczy i uszy otwarte. Pokop tu i ówdzie. Coś musi się znaleźć.

–Jeżeli coś znajde, oczekuje wdziecznoci – stwierdzila Sheila.

–Bede bardzo wdzieczny.

–To swietnie – slodziutko zakonczyla rozmowe. – W takim razie zobaczymy, co da sie znalezc. – Wstala i pocalowala go w czolo. – Bardzo wdzieczny – szepnela. – Nie zapomnij. – Kiedy wyciagnal do niej rece, cofnela sie. – Nastepnym razem, Norty. Teraz musze popracowac.

Budynek Braxtona byl zlokalizowany w znakomitym miejscu, ale wyglad mial znacznie mniej imponujacy. Kiedyś ten dwudziestosiemipiętrowy granitowy obelisk stanowił centrum dzielnicy finansowej Bostonu, teraz jednak, otoczony olbrzymami ze szkła i stali, wygladal jak ich skrupowany starszy brat. Żaden niepoinformowany przechodzień nie byłby w stanie stwierdzić na podstawie wyglądu budynku, jak wielki mieści się w nim hol i jak wielkie są tu biura – zwłaszcza na ostatnim piętrze, najelegantszym z trzech, które zajmowała kancelaria Minton/Samuels.

J. Winfield Samuels wziął z kryształowej skrzyneczki hawańską panatellę i podał cygaro synowi. Jared, który siedział z boku ogromnego, intarsjowanego biurka w stylu Ludwika XIV, jęknął.

–Tato, jeszcze nie ma jedenastej – Czy doktor jak-mu-tam nie ograniczył ci dziennej dawki?

–Place Shrigleyowi, zeby utrzymywal mnie w formie, bym mogl robic wszystko, co mi sie zycznie podoba, niezaleznie od wypalanych w ciagu dnia cygar. – Obcial koncowke opraviona w kosc obcinarka i przypalil cygaro od plomienia srebrnej repliki „Queen Elizabeth II”. – Przysiegam, ze gdyby Fidelowi Castro udalo sie znalezc sposob na powstrzymanie tych slicznosci przed dotarciem do Stanow, juz wiele lat temu znalazlbym cos na skasowanie drania. Zastanow sie nad tym. Prawdopodobnie mamy dzis na swiecie pokoj dzieki cygarom. – Zaciagnal sie glęboko, z rozkosza, polowe dymu wydmuchal, reszte wciagnal w pluca i zapatrzyl sie przez siegajace od podlogi do sufitu okno na port i lotnisko za nim.

Jared popijal kawe z kubka i w ktorymś momencie zaryzykowal spojzenie na zegarek. Win Samuels go wezwal i Win Samuels powie mu dlaczego, kiedy uzna to za

stosowne. Zawsze sie to tak odbywalo i, o ile Jared wiedzial, tak samo wygladaly kontakty Jareda Winfielda Samuela Seniora z Winem. Na mysl o tym poczul na jezuku gorzki posmak. Przed dziadkiem drzewo genealogiczne rodziny obejmowalo przynajmniej dwanaście pokoleń, powstalo trzy wieki temu, a czlonkowie rodziny byli rozrzczeni po trzech kontynentach. Dawniej nie bardzo go to obchodzilo – lata buntu w Vermoncie wystarczajaco tego dowodzily – ale teraz, kiedy pojawilo sie ryzyko, ze bedzie ostatnim z rodu, stal sie bardziej... dbaly o sprawy rodziny.

–Co u Kate? – spytał starszy pan Samuels, nie odwracając się od okna.

–Wszystko w porządku. Jest trochę zawałona pracą, ale wszystko gra. – Przez lata Jared nauczył się, że przekazywanie ojcu więcej informacji niż absolutne minimum nie jest rozsądne. Mimo siedemdziesiątki był w dalszym ciągu bystry jak każdy inny w jego zawodzie. Jeśli chciał się czegoś dowiedzieć, pytał.

–A co z negocjacjami związkowymi w Granfield?

–Świetnie. Wydaje mi się, że są na ukończeniu. Mamy spotkanie ze związkowcami dziś po południu. Jeśli ten debilny mąż zaufania zrozumie pakiet płac, jaki sporządziliśmy, cały bałagan powinien dać się rozwiązać bez dalszych przerw w pracy.

–Wiedziałem, że sobie poradzisz. Powiedziałem Toby’emu Granfieldowi, że jesteś w stanie dać sobie z tym radę.

–Cóż, sprawa nie została jeszcze definitywnie zakończona.

–Ale zostanie. – Nie było to pytanie, lecz rozkaz.

–Tak jest. Zostanie.

–Znakomicie, doskonale... Co sądzisz o małych wakacjach dla siebie i Kate, kiedy wszystko będzie już podpisane i zaklepane? Na Boga, zasługujesz na wypoczynek. Te związkowe zbiry są powolne, ale twarde. Bert Hodges przekazał mi wiadomość, że w przyszłym tygodniu jego mieszkanie na Arubie będzie wolne. Może zarezerwujemy je dla ciebie?

–Nie... chcę powiedzieć, że musiałbym porozmawiać z Kate. W szpitalu sporo się dzieje.

–Wiem. – Win Samuels powoli się odwrócił i popatrzył na syna. Mając metr

osiemdziesiąt trzy wzrostu, był niemal tak wysoki jak Jared i nie ważył od niego więcej niż

trzy kilogramy. Okulary bez oprawek i dyskretnie ufarbowane włosy neutralizowały

postarzające kurze łapki w kącikach oczu i nieco ziemistą cerę.

–Słucham?

–Powiedziałem, że wiem, jak bardzo jest zajęta w szpitalu. – Samuels przerwał, może dla nasilenia dramatyzmu chwili. – Norton Reese dzwonił do mnie dziś rano.

–O! – Oświadczenie Wina było nad wyraz denerwujące. Jared przez pięć lat zajmował się wszystkimi sprawami prawnymi bostońskiego szpitala Metro i nie było najmniejszego powodu, by Norton Reese załatwiał cokolwiek bezpośrednio z jego ojcem, choć znali się od lat.

–Powiedział mi, że ordynator oddziału patologii wybiera się na emeryturę. – Jared skinął głową, że wie. – Powiedział także, że doktor Willoughby, obecny ordynator, chce, by jego stanowisko objęła Kate.

–Wspominała o tym.

–Naprawdę? To dobrze. Jestem szczęśliwy, że informujecie się nawzajem o takich drobiazgach. – Frywolność tonu nie była zbyt subtelna.

Niezależność Kate niejednokrotnie bywała tematem rozmów między nimi. W jednej z szuflad biurka, przy którym siedzieli, leżał wydruk komputerowy, z którego wynikało, że Jared dostał czterdzieści dziewięć procent głosów całej populacji, ale jedynie czterdzieści dwa procent głosów kobiet. Dla Wina Samuela oznaczało to, że gdyby pani Jaredowa Samuelsowa, zamiast grzebać się po łokcie w badaniu zwłok, wzięła się do pomocy mężowi w kampanii, Jared mógłby pakować walizki na podróż do Waszyngtonu. „Dba tylko o własne dobro... przekorna, niełojalna, bezmyślna” – od czasu do czasu te i podobne określenia padały jak ciężkie zarzuty z ust starszego Samuela, aczkolwiek nigdy przy Kate. W jej obecności ojciec starał się być jak najbardziej kordialny i szarmancki.

–Posłuchaj, tato, muszę się jeszcze przygotować do posiedzenia w Granfield. Nie sądzisz, że...

–Donno – powiedział w tym momencie Samuels przez interkom – mogłabyś przynieść mi jeszcze jedną herbatę i kawę dla mojego syna?

Jared opadł na oparcie i bezradnie wbił wzrok w przeciwległą ścianę, pokrytą zdjęciami polityków, sportowców i innych sław trzymających się pod ramię albo obejmujących z jego ojcem. Kilka podobnych zdjęć ukazywało dziadka. Na jednym – formacie dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów – widać było jego samego z prezydentem, a zostało zrobione w trakcie trzyminutowego spotkania, zaaranżowanego przez ojca tylko w celu pstryknięcia wspólnej fotografii.

Rozległo się dyskretne pukanie i do gabinetu weszła zmysłowa sekretarka Samuela. Postawiła na mahoniowym stoliku napoje i koszyk z bułeczkami. Uśmiech, jakim

zareagowała na „dziękuję” Jareda, był całkowicie sztuczny – informował w delikatny sposób, że jej lojalność należy się mężczyźnie siedzącemu po tej stronie biurka, która oznacza władzę.

–No więc – stwierdził Samuels Senior, z kubkiem herbaty w jednym i cygarem w drugim ręku – co sądzisz o zamieszaniu w Metropolitan?

–Zbyt wiele się nad tym nie zastanawiałem – skłamał Jared. – O ile wiem, nie doszło jeszcze do żadnych formalnych posunięć.

–Proponowałbym, byś zaczął o tym myśleć.

–Słucham?

–Norton Reese nie chce, by Kate objęła to stanowisko i, jeśli mam być uczciwy, ja też nie. Uważa, że jest za młoda i za mało doświadczona. Jego zdaniem, jeżeli Kate dostanie nominację, co jest raczej wątpliwe, zacznie się dla niej piekło, wypali się, a na koniec zostanie obgryziona do gołej kości przez polityków szpitalnych i pozostałych ordynatorów. Uważa, że Kate po prostu nie rozumie zasad, jakie obowiązują w tej grze – nie potrafi pojąć, iż są osoby, którym nie depcze się po palcach.

–Na przykład on.

–Jared, mówiłeś mi, że zamierzacie założyć rodzinę. Czy Kate sądzi, że może być równocześnie żoną, matką i prowadzić oddział? Co z jej obowiązkami wobec ciebie i twojej kariery? Już wystarczającym złem pozostaje to, że choć jest twoją żoną, nie nosi twojego nazwiska. Jezu, sam jej wygląd byłby wart kilka tysięcy głosów, gdyby raczyła od czasu do czasu pokazać się przed kamerami. Dodaj do tego dzidziusia, a będę gotów się założyć, że wygrasz wybory do Senatu.

–Sprawy Kate to sprawy Kate – stwierdził Jared bez entuzjazmu i przekonania.

–Zabierz ją na Karaiby. Porozmawiaj z nią. Pomóż jej dostrzec prawdę, uświadom, że małżeństwo to seria... kompromisów. Dawanie i branie.

–Dobrze, spróbuję.

–Świetnie. Kate powinna zrozumieć, na czym polegają jej obowiązki i komu należy się jej lojalność. Ross Mattingly stacza się może po równi pochyłej, ale udało mu się wziąć w garść i wygrać wybory. Nie myśl, że następnym razem przewróci się na plecy i zacznie udawać trupa. Im mniej będziemy mieli problemów, tym lepiej, a uczciwie mówiąc... Kate jest w tej chwili minusem. Wyraziłem się jasno?

–Stuprocentowo. – Jared czuł się jak gówniarz.

–To świetnie. Poinformuj mnie, kiedy załatwiona zostanie sprawa w Granfield i

przeznacz datę waszego wyjazdu, bym mógł zawiadomić Berta Hodgesa. – Skinieniem

głowy

Winfield Samuels dał znak, że audyencja została zakończona.

Ubrany w bluzę i spodnie koloru morskiego oraz biały kitel do kolan, Tom Engelson mógłby bez trudu grać rolę poważnego młodego lekarza z codziennej opery mydlanej, lekarza, który na zmianę to rozkochuje w sobie kolejne pielęgniarki, to walczy skutecznie z tragicznymi chorobami. Zdradzały go jednak oczy. Kiedy Kate weszła do pokoju rezydentów, mieszczącego się na trzecim piętrze budynku wyremontowanego przez Fundację Ashburtonów i nazwanego na cześć Sylvii Ashburton, natychmiast dostrzegła kryjące się w nich ogromne zmęczenie. Jego wycieńczenie było znacznie głębsze, niż mogły sugerować otaczające oczy szare kręgi i delikatne czerwone kreseczki na białkach.

– Spał pan w ogóle? – spytała. Postawiła na stoliku do kawy dwie miseczki z grubej folii aluminiowej z sałatką i popatrzyła na zegarek. Była za dwadzieścia druga.

Engelson lekko pokręcił głową i zaczął zdejmować plastikową pokrywkę miseczki, ze sprawnością daleko odbiegającą od tej, jaka charakteryzowała jego dłonie ponad trzydzieści godzin temu, kiedy rozpoczął dyżur. Obserwując twarz kolegi, Kate zadawała sobie pytanie, jak program szkolenia rezydentów może sankcjonować tak absurdalne godziny pracy – szczególnie wycieńczające dla lekarzy specjalizujących się w chirurgii. Szkolenie było zorganizowane tak, jakby jedno pokolenie lekarzy chciało powiedzieć następnemu: „My też musieliśmy przez to przejść i poradziliśmy sobie”. Efekt był jednak taki, że raz na jakiś czas zdarzało się błędne odczytanie elektrokardiogramu albo nieudana operacja. Nie były to zjawiska częste, ale od czasu do czasu w jakimś szpitalu, raz na jednym, raz na innym kursie, dochodziło do pojedynczych incydentów... Nie miały większych konsekwencji – oczywiście poza tymi, które dotyczyły zdrowia pacjentów i tragedii ich rodzin.

– Mam nadzieję, że lubi pan ser pleśniowy – powiedziała Kate. – Gianetti robi – też znakomity sos winegret. Strzeliłam w ciemno.

– Dobry wybór. Idealny, doktor Bennett – mruknął Engelson między dwoma kęsami. – Odkąd zaczął się wczoraj rano kryzys z Vitale, opuściłem jeden czy nawet dwa posiłki.

– Proszę jeść, może pan nawet wziąć nieco z mojej porcji. Nie jestem bardzo głodna. A tak poza tym to mam na imię Kate. My, patolodzy, nie bardzo lubimy formalności.

Engelson, z pełnymi ustami, kiwnął głową na zgodę.

– Przepraszam, że się minęliśmy wczoraj po południu. Pielęgniarka powiedziała mi, że byłeś na porodówce.

–Bliźniaki.

–Jak Beverly Vitale?

–Liczba płytek jeszcze spadła. Rano było dwadzieścia pięć tysięcy. Ma mieć ponowne badanie za godzinę albo dwie. Przy dalszym spadku będziemy znów musieli podać krew.

–A układ trawienny? – pytanie dotyczyło miejsca, z którego pacjentka krwawiła.

–W każdym stolcu, który sprawdzaliśmy, było trochę krwi. Jest na steroidach.

–Wiem. Bez steroidów jej przeciwciała powariowałyby i zaczęły niszczyć własne czynniki krzepnięcia, ze steroidami zaś ryzykujemy krwawiące wrzody. To jedna z sytuacji, z jakimi mają do czynienia lekarze. Między innymi z tego powodu jestem zadowolona, że wybrałam patologię. Oglądałam dziś rano wycinki jajników ze Stanem Willoughbym. Uważa, że to, co u niej się dzieje, jest czymś absolutnie wyjątkowym. W tej chwili przeprowadza badanie z użyciem nowych barwników, wysłał też preparaty do kolegi, który jest, jego zdaniem, najlepszym specjalistą chorób jajników. Telefonował także do kilku miejsc, by sprawdzić, czy coś podobnego pojawiło się gdzieś w mieście.

–Etiologia?

–Nie wiadomo, Tom. Wirus, toksyna, reakcja na lek. Wszystko to mogło być przyczyną i nie musiało nią być; A i B, nie C. Powiedziała ci, że nie brała żadnych leków,

tak?

–Nic poza witaminami. Multiwitaminę z żelazem, którą dajemy przez Omnicenter.

–Cóż, jestem żywym przykładem, że nie powoduje ona żadnych ujemnych efektów. Biorę ją od kilku lat. Robi z kruchych „patolożek” baby silne jak byki. – Kate napięła biceps.

–Robi z nich także znakomite nauczycielki.

–Hm, dziękuję. – W zielonych oczach Kate pojawił się błysk. – Bardzo dziękuję, Tom. – Zauważyła, że młody lekarz się spłonił. – Może pójdźmy się przywitać z Beverly. Chciałabym się upewnić co do kilku spraw zaznaczonych w wywiadzie. Proszę, włóż sałatkę do lodówki, na później.

–Pod warunkiem że bakteria, która uważa tę lodówkę za swój dom, nie zje jej

pierwsza.

Szli korytarzem w kierunku schodów, gdy nagle ożyły wiszące pod sufitem głośniki. „Kod dziewięćdziesiąt dziewięć, Ashburton pięć-zero-dwa... kod dziewięćdziesiąt dziewięć, Ashburton pięć-zero-dwa...”.

–Boże... – Tom rzucił się biegiem do wyjścia.

Kate zareagowała nieco wolniej. Dopiero przy samych drzwiach na klatkę schodową dotarło do niej, że w sali pięćset dwa leży Beverly Vitale.

Minął rok, może nawet dwa, od czasu kiedy Kate po raz ostatni obserwowała zatrzymanie pracy serca i reanimację. Była co prawda przeszkolona w zaawansowanych

metodach ratowania życia w nagłych wypadkach kardiologicznych, ale zarówno nauka, jak i egzamin odbywały się przy użyciu manekina zwanego Reanimacyjną Annie. Jej doświadczenie praktyczne w tym zakresie było sprawą dalekiej przeszłości – pochodziło z okresu stażu na internie. W tej jednak chwili rozważania te nie miały znaczenia. Istotne było jedynie życie młodej kobiety, która kochała grę na wiolonczeli. Z szybkością lekkoatletki Kate popędziła za Tomem Engelsonem z Ashburton Cztery na Ashburton Pięć.

Wezwanie sprowadziło spory tłumek. Na sali pięćset dwa byli rezydenci, pielęgniarki, studenci i technicy; część z nich musiała pozostać na korytarzu. Kate przebiła się do drzwi, skąd obserwowała koszmar ostatnich minut życia Beverly Vitale.

Nastąpiło krwawienie z przewodu pokarmowego, niemal na pewno z wrzodu, który uszkodził tętnicę. Gwałtowne krwawienie było komplikowane przedostawaniem się krwi do płuc. Uwięziona w kleszczach beznadziejnej bezradności, Kate obserwowała, jak Tom Engelson wydaje złudnie opanowanym głosem desperackie polecenia, a ubrani na biało członkowie zespołu reanimacyjnego, tworzący doskonale zorganizowany pozorny chaos, pompują, wstrzykują, monitorują, odczytują, podają tlen i odsysają. Między poruszającymi się postaciami widziała pozbawioną wyrazu, pobrudzoną krwią twarz Beverly Vitale.

Choć ani na chwilę nie pojawił się puls ani optymistyczny obraz EKG, walka trwała niemal godzinę. Okazała się na koniec kolejną lekcją uświadamiającą, jak bezradni są ludzie i medycyna w porównaniu z kapryсами choroby i śmierci. Tom Engelson, z zapadniętymi i pociemniałymi oczami, pokręcił głową w obliczu daremnego trudu.

–To koniec – stwierdził łagodnie. – Dziękuję wszystkim. To koniec.

Rozdział 3

Wtorek, 11 grudnia

Kate usłyszała w radiu informację przekazaną przez helikopter WEEI o gigantycznym korku, ciągnącym się do mostu Mystic/Tobin, stojąc w kolumnie samochodów. Dojeżdżanie do pracy z North Shore było specjalnym doświadczeniem, wyzwalam emocje, które porównać można do tego, co się czuje podczas przesłuchania w Izbie Skarbowej lub w czasie kanałowego leczenia zęba. Choć wtorek był zwykle dniem, w którym niewiele się działo, tym razem pięćdziesięciokilometrową jazdę urozmaicał deszcz, deszcz ze śniegiem, śnieg a także przedziwne słońce, co, nawet dla mieszkańca Bostonu, stanowiło nadmiar wrażeń pogodowych. Z jękiem pogodziła się z półgodzinnym, może nawet dłuższym, spóźnieniem na spotkanie, które Stan Willoughby zaaranżował dla niej w szpitalu White Memorial.

Telefon od ordynatora odmienił w pewnym stopniu kolejny zagmatwany, gorzko-słodki poranek z Jaredem. Można było odnieść wrażenie, że siła łączącego ich związku oraz wzajemna opiekuńczość zmieniają się nie tylko z dnia na dzień, ale z godziny na godzinę czy nawet z minuty na minutę. W jednej chwili jej mąż był Jaredem Samuelsem – wesołym, czułym, pomysłowym facetem, za którego wyszła i którego w dalszym ciągu głęboko kochała, w następnej był to wyrachowany i daleki tata, nieprzejednany w sprawach, w których małżonkowie powinni dochodzić do kompromisu. Po przedziwnej godzinie podkreślania różnic w poglądach, przypominającej podkładanie pożarów w buszu, a następnie gorączkowe robienie wszystkiego, co się da, by je ugasić, zaproponował wyjazd na tydzień albo dziesięć dni na Arubę, żeby uwolnić się od stresów i spraw zawodowych.

–Co ty na to, Dzieciaku? – spytał, używając swego ulubionego z czterech czy pięciu pieszczotliwych przydomków, którymi nazywał Kate. – Tylko Aruba i ty. – Coś w jego oczach... zdenerwowanie... strach...? zadawało kłam pozornej beztrosce.

–I ty.

–Czyli jedziemy?

–Jeśli Stan da mi wolne, a ty jesteś w stanie znieść myśl, że będziesz miał na karku babę grubo posmarowaną kremem do opalania, to jedziemy.

W tym momencie Jared wyglądał jak nowo narodzony.

„Z powodu zapakowanej zderzak w zderzak lewej jezdni do samego mostu wije się niczym senny wąż sznur aut, które wloką się jak muchy w smole, podjeżdżają metr, by znów stać przez kilkanaście sekund” – do opisu katastrofy na południowym

odcinku trasy numer

jeden „oko na niebie” nie oszczędzało słuchaczom żadnego głupkowatego frazesu ze swego repertuaru. Kate spróbowała wjechać między dwa samochody, ale niewiele to dało. Wreszcie się poddała, opadła na oparcie fotela, przygłośniła radio nastawione na kanale nadającym wyłącznie wiadomości i skoncentrowała się na ignorowaniu casanowy, który machał do niej ze stojącego na sąsiednim pasie trans-ama.

Głównym tematem wiadomości – z tego samego powodu zatelefonował Stan Willoughby – była nagła śmierć bohatera drużyny Red Sox, Bobby’ego Geary’ego, miejscowego chłopaka, który zaczynał karierę na piaszczystym placu niecałe dwa kilometry od luksusowego apartamentu, gdzie znalazła go matka, po przebytym - najprawdopodobniej – zawale. Kilka razy wymieniano nazwisko Stana, informując, że właśnie on został wyznaczony do przeprowadzenia sekcji człowieka, który rozdał w życiu tysiące biletów na mecze, a „dla dzieciaków Bostonu” sfinansował budowę piętra w szpitalu dziecięcym.

–Kate – zaczął Willoughby – mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

–Nie, właśnie szykuję się do pracy – odparła, uśmiechając się do Jareda, który, stojąc nagi w drzwiach łazienki, próbował zademonstrować taniec brzucha i dawał znaki szczotką na długiej rączce, by przysła pod prysznic.

–Chciałbym cię prosić, byś nie przyjeżdżała do szpitala.

–Słucham?

–Musisz jechać do White Memorial. Masz tam o wpół do dziewiątej spotkanie. Będzie na ciebie czekał Leon Olesky. Znasz go?

–Tylko z nazwiska.

–Dzwoniłem w różne miejsca, by sprawdzić, czy ktoś zetknął się z przypadkiem podobnym do panny Vitale. Z początku nie było żadnego odzewu, ale wczoraj na wieczór zadzwonił do mnie do domu Leon. Na podstawie tego, co mi powiedział, mogę sądzić, że oba przypadki, i nasz, i jego, są identycznie. Poinformowałem go, że wpadniesz porównać dane.

–Ile ta kobieta miała lat? – spytała nagle podniecona Kate.

–Nie pamiętam dokładnie. Chyba dwadzieścia osiem.

–Przyczyna śmierci?

–Aha! Już myślałem, że nie zapytasz. Krwotok mózgowy, spowodowany drobnym urazem głowy.

–Płytki? Fibrynogen? – Zaciskająca się na słuchawce dłoń Kate zbieleła.

–Leon nie mógł mi powiedzieć. Pacjentką zajmował się jeden z jego podwładnych. Obiecał, że spróbuje to ustalić przed twoim przyjazdem.

–Nie możesz przyjechać?

–Jezu, skądże! Nic słyszałaś o Bobbym Gearym?

–Tym futboliście?

–Miał w nocy zawał. Znalaziono go martwego w łóżku. Robię mu sekcję o wpół do jedenastej. Prawdę mówiąc, wołałbym, byś się tu zjawiała, nim skończę, na wypadek gdybym potrzebował pomocy.

–Załatwione. Wiesz, jesteś niesamowitym szefem. Na pewno chcesz iść na emeryturę?

–Gdyby to było możliwe, zrobiłbym to już wczoraj, dziewczyno. Po spotkaniu z Oleskym przyfruń natychmiast do Metropolitan. Nie chcę nawet myśleć o tym, czego może

nie zauważyć mój wysuszony mózg.

Szpital White Memorial, architekuralny konglomerat, składający się z kilkunastu połączonych ze sobą budynków, był „flagowym statkiem” floty szpitali stowarzyszonych z Harvard Medical School. Umieszczony nad rzeką Charles, niedaleko North End, ma więcej ośrodków badawczych, profesorów, dotacji i doświadczeń administracyjnych niż wszystkie inne szpitale w okolicy – jeśli nie na świecie. Kiedyś prym wiodł szpital Metropolitan -wychodziło z niego dziewięćdziesiąt procent profesorów medycyny, pracujących we wszystkich amerykańskich akademiach medycznych – lecz okres ten należy do przeszłości pogrzebanej pod lawiną decyzji niekompetentnych administratorów oraz działań skorumpowanych polityków miejskich. Choć Metro nieco się odrodziło pod rządami Nortona Reese’a, istniała niewielka szansa odzyskania prestiżu, dotacji oraz zaufania pacjentów, jakim cieszyło się w dniach chwały, kiedy to pewien mężczyzna kazał sobie wytatuować na piersi napis: ZABIERZCIE MNIE DO METROPOLITAN.

Minęło sporo czasu, odkąd Kate po raz ostatni miała okazję odwiedzić oddział zajmujący się badaniami z zakresu patologii w White Memorial. Kiedy ujrzała, jak

został zmodernizowany i powiększony, poczuła gorzką zazdrość. Sprzęt, o który jej własny oddział musiał dosłownie walczyć, tu znajdował się w podwójnej, a nawet potrójnej liczbie egzemplarzy. Korytarze i pozostałe pomieszczenia były jasno oświetlone, wokół stały kwiaty, na ścianach wisiały obrazy; architekci zadbali także o inne elementy, dzięki którym otoczenie wydawało się mniej nużące i przytłaczające. Kate złapała się na tym, że podświadomie zaczęła sporządzać listę rzeczy, które próbowałaby wydębić, gdyby przejęła funkcję ordynatora.

Leon Olesky, łagodny mężczyzna, nieco podobny do Lincolna, zbył machnięciem ręki przeprosiny za spóźnienie, po czym – rzuciwszy kilka komplementów pod adresem Stana Willoughby'ego – zostawił ją w swoim gabinecie, z materiałem z sekcji Ginger Rittenhouse. Na kawałku różowej kartki, umieszczonej obok eleganckiego mikroskopu, zapisane były dane z badań krwi zmarłej. Poza granicami normy znajdowały się jedynie dwa z licznych zmierzonych parametrów: poziom fibrynogenu i liczba płytek. Obie wartości były tak niskie, że każda z osobna mogła stanowić zagrożenie życia. Drżącymi z podniecenia palcami Kate wzięła pierwszy preparat zrobiony z wycinka jajnika i położyła go pod obiektywem. Potrzebowała jeszcze chwili, by rozluźnić napięte mięśnie karku, a potem się pochyliła i rozpoczęła kolejną podróż przez żółtobiałe światło.

Czterdzieści pięć minut później siedzieli we trójkę. Leon Olesky zajął dodatkowe miejsce przy mikroskopie i spoglądając w okular dla drugiego obserwatora, prawą ręką nastawiał ostrość, lewą zaś przesuwiał płytkę z preparatem. Naprzeciwko niego siedział Tom Engelson.

–Gdyby Stan nie zadzwonił z informacją o waszym przypadku – mówił Leon Olesky –

nie zwrócilibyśmy uwagi na dane dotyczące tej kobiety. Przedstawiłem sprawę na naszej

cotygodniowej konferencji na oddziale i nie było odzewu. Godzinę później przyszedł do mnie

doktor Hickman. Bruce Hickman jest prawdopodobnie najbystrzejszym z naszych rezydentów, niestety czasami bywa w gorącej wodzie kąpany, przez co sam sobie szkodzi.

Kate westchnęła. Opis Olesky'ego pasował do wielu „pistoletów”, z którymi pracowała przez ostatnie lata.

–Ja też preferuję metodyczność w konfrontacji z genialnością – stwierdziła.

–Najlepsza jest kombinacja obu cech, choć to rzeczywiście rzadkość – odparł

Olesky. – Powinienem chyba nadmienić, że pani nauczyciel twierdzi, iż miał szczęście odnaleźć to połączenie w pani osobie.

–Metodyczność na pewno – przyznała Kate – ale jeszcze nie dostałam zaproszenia do Mensy.* [Stowarzyszenie skupiające ludzi o wybitnej inteligencji.]

–Jest najlepsza w szpitalu – wtrącił nieco porywczo Tom.

–Niech pan dokończy sprawę rezydenta. – Kate pohamowała reakcję na entuzjazm Engelsona, czując, że równocześnie jej schlebia i wywołuje zażenowanie.

–Cóż, wygląda na to, że doktor Hickman nie miał pewności co do zmian

patologicznych, jakie zaobserwował w jajnikach naszej pacjentki. W każdym razie zamiast

zaznaczyć, że obraz kliniczny jest raczej wyjątkowy, doszedł do wniosku – choć nie użył do

opisu tylu słów – że powinien rozpoznać istotę choroby, a prosząc o pomoc, głupio by

wypadł. Ponieważ śmierć nie miała związku ze stanem jajników, postanowił opisać swe obserwacje w raporcie z sekcji i na tym poprzestać.

–W niczym nikomu nie zaszkodził – stwierdziła Kate.

–Wręcz przeciwnie. To wydarzenie może się okazać tym, czego potrzebuje jego „ja”, by mógł osiągnąć pełną satysfakcję jako lekarz. Jeszcze większe wrażenie zrobi fakt, że... jak podejrzewa doktor Willoughby oraz oddany pani, niżej podpisany... zmiany te okażą się stanem, którego dotychczas medycyna nie знаła.

Kate i Tom wymienili się podnieconymi spojrzeniami.

–Jak wyjaśniłby pan pojawienie się objawu u dwóch kobiet z tego samego miasta w mniej więcej tym samym czasie? – spytała Kate.

Profesor najpierw skierował swe ciemne i bardzo poważne oczy na Engelsona, potem na Kate.

–Biorąc pod uwagę śmierć obu pacjentek, proponowałbym bardzo dokładne zajęcie się znalezieniem odpowiedzi na to pytanie. W tej chwili nie mam wyjaśnienia.

–Musi istnieć jakiś związek – stwierdził Engelson.

–Mam taką nadzieję, młody człowieku. – Olesky wstał z krzesła. – I mam także nadzieję, że go odkryjecie. Przepraszam, ale śpieszę się teraz na wykład, po południu wyjeżdżam na spotkanie w San Diego, a stamtąd prosto na ślub syna do Nowego Meksyku. Mój gabinet i oddział są do waszej dyspozycji.

–Dziękujemy – odparli chórem.

Olesky przebrał się, włożył znoszony trencz. Na pożegnanie podał rękę najpierw

Engelsonowi, potem Kate, rzucił okiem na swoje biurko i wyszedł. Kate czekała, aż drzwi się zatrzasną.

–Cieszę się, że udało ci się tak szybko przyjechać – powiedziała. – Nie miałeś problemu z ludźmi z archiwum? Nie lubią, jak wywozi się dokumentację z budynku.

–Nie. Po prostu zastosowałem pierwszą zasadę Engelsona: Im bardziej ktoś wygląda na człowieka, który robi to, co robi, tym mniej prawdopodobne, by ktoś zwrócił uwagę na to, że nie powinien tego robić. Muszę przyznać, że zasadę tę stosują od dawna złodzieje, którzy przebierają się w uniformy robotników, podjeżdżają ciężarówkami do przewozu mebli i czyszczą domy do gołych ścian, ale to ja ją sformułowałem. Szukałem cię wczoraj po reanimacji, ale poszłaś sobie. Zanim zadzwoniłem, wezwano mnie na salę operacyjną na cesarskie cięcie.

–Nic mi nie było. – Zamilkła na chwilę. – Nie, tak naprawdę wcale dobrze się nie czułam. Oglądanie tej śmierci było dość bolesnym doznaniem. Nie pamiętam, kiedy czułam

się taka bezradna. – Ujrzała przed sobą groteskową twarz Arthura Everetta... zaczerwienione oczy, wybałuszone z wysiłku... Pamiętam, pomyślała. Pamiętam, kiedy to było. – A co z tobą? Engelson wzruszył ramionami.

–Chyba ciągle jeszcze jestem odrętwiały. Jakbym się bał, że jeśli odpuszczę i przyznam się do emocji i tego, co się stało, nigdy więcej nie postawię nogi w szpitalu.

Kate kiwnęła ze zrozumieniem głową.

–Wiesz, Tom, wbrew powszechnej opinii tego rodzaju ludzkie reakcje nie dyskwalifikują lekarza. Jesteś żonaty? – Engelson pokręcił głową. – Moim zdaniem to

niełatwa sytuacja, kiedy człowiek ma do czynienia z takimi sprawami, z jakimi my się

niejednokrotnie stykamy, i jednocześnie brakuje mu kogoś, z kim mógłby po powrocie do

domu o tym porozmawiać lub, jeśli to mu potrzebne, przy kim mógłby się wyplakać.

– Pomyślała o trudnym poranku z Jaredem i uśmiechnęła się w duchu z ironii własnych słów. –

Znałeś Beverly przed szpitalem?

–Nie. Poznałem ją w szpitalu i zapragnąłem podtrzymać tę znajomość po... – Głos mu zachrypł i musiał odchrząknąć.

–Rozumiem. Posłuchaj, może niedługo będziemy mieli okazję porozmawiać o naszej pracy i życiu, ale na razie musimy szukać czegoś, co łączy śmierć obu kobiet. Mam być w Metropolitan za... – spojrzała na zegarek... – cholera, zostało mi dwadzieścia minut!

Tom przeglądał cienki plik papierów dotyczących Ginger Rittenhouse.

–Sprawdzenie nie powinno długo potrwać. Praktycznie nie ma na jej temat nic. Ginger Rittenhouse, dwadzieścia osiem lat, nauczycielka szkoły podstawowej. Mieszkała i pracowała w Cambridge. Straciła przytomność, kiedy biegła wzdłuż rzeki po bostońskiej stronie. Wygląda na to, że żyła po tym wypadku wystarczająco długo, by zdążono jej zrobić tomografię, ale zbyt krótko, by mogła trafić na salę operacyjną.

–Mężatka?

–Nie. Samotna. Zadajesz to pytanie po raz drugi w ciągu ostatnich dwóch minut. – Zmrużył oko i podkręcił wąsa. – Czyżbym diagnozował fiksację małżeńską?

Kate się uśmiechnęła.

–Zostawmy moje fiksację na boku. Przynajmniej w tej chwili. Co z jej rodziną? Miejscem urodzenia? Najbliższymi? Przechodzili jakieś choroby?

–Zaraz, powoli! My, ginekolodzy, nie za szybko czytamy... Nic nie wiadomo o przebytych chorobach. Najbliższa rodzina to brat w Seattle. Jest tu jego adres. Wiesz co... Może to i najświetniejszy szpital świata, ale historie choroby robią mikroskopijne.

–Zapewne nie mają czasu na pisanie – z powagą stwierdziła Kate. Zastanawiała się cały czas, co może łączyć obie kobiety. Oba przypadki były zbyt charakterystyczne i za bardzo podobne. W jakiś sposób życie nauczycielki z Cambridge przecięło się z

życiem wiolonczelistki z przedmieść po drugiej stronie Bostonu.

–Chwileczkę... – rzucił nagle Engelson – miała koleżankę, z którą mieszkała. Jest to zaznaczone na formularzu z izby przyjęć. Sandra Tucker. W ten sposób musieli się dowiedzieć o jej rodzinie.

Kate znów spojrzała na zegarek.

–Tom, muszę jechać. Obiecałam doktorowi Willoughby’emu, że pomogę mu w sekcji Bobby’ego Geary’ego. Mógłbyś spróbować nawiązać kontakt z tą Sandrą Tucker? Dowiedz się, czy zmarła była ostatnio u lekarza albo miała przeprowadzone badanie krwi. Nauczyciele nie muszą przechodzić corocznych badań zdrowotnych?

–Ci, którzy mnie uczyli, nie musieli. A mieli średnią wieku przybliżającą ich do śmierci.

–Zamierzasz telefonować stąd? – spytała Kate.

Engelson chwilę się zastanowił, po czym skinął głową. – Świetnie, przekręć do mnie, kiedy wrócisz. Aha, Tom, dziękuję za komplement, którym mnie obdarzyłeś. – Wyciągnęła rękę i uścisnęli sobie dłonie mocno, jak ludzie interesu, po czym Kate natychmiast wyszła.

Wraz z brzęcącym jak wystrzał z pistoletu uderzeniem w piłkę trzydzieści tysięcy przerażonych głów odwróciło się w kierunku płotu z prawej strony.

–Boże, Katey, poszła za płot... – Jared nie był w stanie więcej z siebie wydusić.

Piłka niczym biała gwiazda pomknęła łukiem w granatowoczarne letnie niebo.

Czterech graczy, stojących na liniach bazowych, rzuciło się biegiem w stronę bazy-mety. Dwóch zostało wyłączonych z rundy – dziewiątej rundy. Tablica z wynikami, umieszczona na płocie po lewej stronie stadionu Fenway Park, informowała, że drużyna Red Sox ma trzy punkty przewagi nad Yankees, wszystko wskazywało jednak na to, że prowadzenie potrwa już tylko kilka sekund.

Kate, zachwycona światłami, kolorami i precyzją pierwszego w swoim życiu meczu baseballowego, jaki oglądała na żywo, stała niczym sparaliżowana i, podobnie jak wszyscy, wpatrywała się nieruchomo w piłkę, która zdawała się leniwie spadać za płot. Nagle w jej polu widzenia pojawiła się postać biegnąca z gracją antylopy; jakby poruszała się w zwolnionym tempie. Oderwała się od ziemi w nieprawdopodobnej odległości od płotu, lewą ręką w rękawicy sięgając do piłki w sposób przekraczający ludzkie możliwości. Przez

sekundę zarówno piłka, jak i rękawica były niewidoczne, w następnej zaś stanowiły jedność, przyciśnięte do piersi Bobby'ego Geary'ego, który runął na brudną ziemię pasa ostrzegawczego przy akompaniamencie ryku trzydziestu tysięcy ludzi. Tę chwilę Kate miała pamiętać do końca życia.

Tak samo jak zapamięta chwilę obecną.

Ciało, które jeszcze tak niedawno mieściło w sobie ducha i umiejętności Bobby'ego Geary'ego, leżało na stalowym stole przed nią, pozbawione tego, co pozwalało mu w tak niesamowity sposób czuć i działać. Z boku, w płaskiej metalowej misce, leżało serce sportowca, starannie pocięte, aby móc obejrzeć mięśnie obu komór oraz trzy główne tętnice wieńcowe – lewą, i prawą i okalającą. Wspomnienia wieczoru, spędzonego ponad cztery lata temu w Fenway, mąciły obiektywizm Kate i wyzwalały tęsknotę, na którą – z czego doskonale zdawała sobie sprawę – nie było miejsca w pracy.

–Absolutnie nic w sercu? – spytała po raz drugi.

Stan Willoughby, w zielonym stroju i fartuchu z czarnej gumy przypominający irlandzkiego elfa, pokręcił głową.

–Chyba przyczyny należy szukać w czymś, co zjadł – stwierdził, pośrednio przyznając, że nie odkrył żadnego anatomicznego wyjaśnienia obrzęku płuc, czyli wypełnienia ich płynem, co mogłoby spowodować śmierć Bobby'ego Geary'ego.

Kate, ubrana tak samo jak szef, przyglądała się sercu w jasnym świetle.

–Serce nastolatka u trzydziestosześcioletniego mężczyzny. Gdzieś czytałam, że zamierzał grać do pięćdziesiątki. To serce świadczy o tym, że mogło mu się udać.

–Ale obrzęk powiada: „mowy nie ma” – sprostował Willoughby. – Skłaniam się ku teorii, że doszło do arytmii i spowodowanego nią zatrzymania pracy serca. Wstępne badanie krwi nie wykazuje żadnych odchyleń od normy, więc być może nigdy nie poznamy specyficznej przyczyny. – W jego głosie słychać było wyraźne rozczarowanie.

–Czasami się po prostu nie udaje – odparła Kate słowami, które wielokrotnie padały z ust Willoughby'ego.

Ordynator przez chwilę przyglądał się jej, po czym wybuchnął głośnym śmiechem.

–Nieżył z ciebie numer, częstować mnie w takiej chwili moimi własnymi słowami.

Może jeszcze mi powiesz, co mam przekazać porucznikowi policji, który siedzi w moim

gabinecie, pije kawę i rozrzuca wokół okruchy pączków, albo bandzie dziennikarzy czekających w holu na informacje. Panie i panowie, lekarze patolodzy stanowiący kadrę

elitarnego oddziału, który utrzymujecie ze swoich podatków, chcieliby poinformować, że są

stuprocentowo pewni, iż nie mają zielonego pojęcia, dlaczego Bobby Geary dostał obrzęku płuc i zmarł.

Kate nie odezwała się słowem. Zamiast tego wzięła do ręki szkło powiększające i zaczęła uważnie oglądać stopy Geary'ego, zwłaszcza miejsca między paluchem i drugim palcem oraz po wewnętrznej stronie kostek.

–Stan, popatrz... – stwierdziła w końcu. – Są tu wszędzie. Ślady po ukłuciach. Niemal

niewidoczne. Musi ich być kilkanaście. Zaraz... więcej.

Willoughby ustawił lampę i wziął szkło powiększające.

–Święty Boże... – westchnął. – Bobby Geary narkomanem? – Odsunął się od stołu i popatrzył na Kate, która jedynie wzruszyła ramionami. – Jeśli to prawda, był artystą igły.

–Znaki tej wielkości zrobiłaby dwudziestkasiódemka albo dwudziestkadziewiątka.

–A przedawkowanie narkotyków wyjaśniałoby obrzęk płuc. – Kate skinęła głową. – Święty Boże... – powtórzył Willoughby. – Jeśli to prawda, w jego domu muszą być jakieś dowody.

–Chyba że brał, będąc z kimś, kto przywiózł go do domu i położył do łóżka. Może pošlijmy próbkę krwi do analizy na obecność narkotyków i ustalmy poziom każdej substancji, jaką da się wydzielić?

Willoughby rozejrzał się po sali sekcyjnej. Dyżurny technik stał za daleko, by mógł usłyszeć choć fragment ich rozmowy.

–Co powiesz na to, by oznaczyć próbkę nazwiskiem „Smith” albo „Schultz”? Nie jestem fanem sportu, ale zdaję sobie sprawę z tego, o jaką stawkę idzie gra. Facet był bohaterem.

–A co z policjantem?

–Detektyw nazywa się Finn i jest kibicem. Moim zdaniem, jeśli nawet badanie krwi potwierdzi naszą hipotezę, będzie wolał opowiadkę o zawale serca.

–Schultz może być – odparła Kate. – To te próbki? Zaraz zrobię nowe etykiety.

–Skieruję Finna do mieszkania chłopaka, a psom gończym z prasy powiem, że musimy poczekać z ostateczną decyzją do chwili otrzymania wyników badań mikroskopowych. Kiedy będziesz mogła podzielić się ze mną tym, czego się dowiedziałas w White Memorial?

–Cóż, nie ma wiele do opowiadania. Stwierdziliśmy u obu kobiet coś w rodzaju mikrostrwardnienia jajników, połączonego ze znacznym niedoborem zarówno krwinek płytkowych, jak i fibrynogenu. Na razie nie odkryliśmy niczego, co by łączyło obie pacjentki,

nie mamy nawet dowodów na to, że problemy z jajnikami i obrazem krwi były tego samego pochodzenia.

–I co dalej?

–Dalej? Cóż, Tom Engelson, ginekolog, który zajmował się Beverly Vitale, próbuje uzyskać jakieś informacje od współmieszkanki kobiety zmarłej w White Memorial.

–A ty?

Kate trzymała ręce wzdłuż boków, wnętrzem dłoni ku górze.

–Mam w tym miesiącu dyżur na chirurgii, więc będę mogła porównać nasze próbki z kilkoma zamrożonymi skrawkami, pobranymi na sali operacyjnej. Pomyślałam, że potem porozmawiam z moim przyjacielem Markiem Sebastianem, by sprawdził, czy da się coś znaleźć w komputerze na temat pani Ginger Rittenhouse.

–Brzmi rozsądnie. Informuj mnie na bieżąco. – Wyglądał tak, jakby miał jakieś wątpliwości.

–Jest coś jeszcze?

–W zasadzie jeden drobiazg.

–Rozumiem, dawaj. – Kate domyślała się, co nastąpi.

–Jestem... hmm... mam dziś po południu spotkanie z Nortonem Reese'em. Będzie na nim kilku członków komisji zajmującej się sprawą zatwierdzenia mojego następcy i... po prostu się zastanawiałem, czy miałaś czas... – Willoughby nie dokończył.

Kate zmrużyła oczy. Obiecał poczekać tydzień, a minęły dopiero dwa dni. Jeszcze nie miała gotowej odpowiedzi. Poza „chcę” albo „nie chcę” musiała rozpatrzyć więcej czynników i powinien to zrozumieć. Po chwili usłyszała swój własny głos.

–Postanowiłam, że jeśli naprawdę sądzisz, iż sobie poradzę i uda ci się namówić wszystkich decydentów na wyrażenie zgody, obejmę stanowisko.

Dziewczyna nazywała się Robyn Smithers. Uczyła się w pierwszej klasie szkoły średniej i została skierowana przez szkołę zawodową Roxbury na cztery godziny pracy tygodniowo w szpitalu Metropolitan. Jej rola była dokładnie zdefiniowana: wykonywać wszystkie polecenia i zadawać pytania tylko wtedy, gdy będzie stuprocentowo pewna, że nikomu nie przerywa. Była jedną z dwunastu uczennic, które zdobył Norton Reese, a za pracę których płacił bostoński wydział oświaty. Reese nie przejmował się tym, że poza wykonywaniem prostych poleceń uczennice te praktycznie niczego się nie uczyły – zwłaszcza że z wpływów za ich pracę kupił już nowy komputer, który stał w jego gabinecie.

Zanim się zatrzymała i zapukała, Robyn kilka razy przeszła pod drzwiami Sheili Pierce.

–Tak, Robyn, w czym mogę ci pomóc?

–Panno Pierce, bardzo przepraszam, że przeszkadzam. Naprawdę.

–Nie ma sprawy, Robyn. Zaczęłam się tylko zastanawiać, w jakim celu krążysz po korytarzu.

–Hm... chodzi o krew. Doktor Bennett, wie pani, ta pani doktor...

–Wiem, o kogo chodzi. Co się stało?

–N...no... doktor Bennett dała mi krew, bym ją zaniósła do... – spojrzała na kartkę w dłoni – wydziału chemii specjalnej, tyle że nie wiem, gdzie to jest. Przepraszam, że przeszkadzam w pracy i w ogóle...

–Nonsens, moje dziecko. Daj to, pokaż, o co chodzi.

Sheila obojętnie popatrzyła na bladobłękitny formularz zlecenia badania. Nazwisko pacjenta – John Schultz – nic jej nie mówiło. Było to dość niezwykle. Za punkt honoru stawiała sobie znajomość wszystkich nazwisk osób zmarłych, poddawanych sekcji na „jej” oddziale, choć bywało, że czasami dokonywano autopsji, nie informując jej przedtem. Rubryka „Nr ks. gł.” zawierała liczbę „przypadków”, którymi zajmowano się na oddziale. Na formularzu widniało zlecenie zbadania krwi na

obecność narkotyków, na marginesie zaś dopisano ołówkiem: „CITO. Wyniki jak najszybciej przekazać telefonicznie dr K. Bennett”.

–Coraz to dziwniejsze... – mruknęła pod nosem Sheila.

–Słucham?

–Nic takiego, moja droga. Skręciłaś w złą stronę korytarza. Chodź, pokażę ci drogę.
– Oddała dziewczynie fiolki i zlecenie, po czym podprowadziła ją do drzwi swego gabinetu. – Musisz iść tędy – powiedziała słodziutko, wskazując kierunek. – Skręć tam i idź cały czas prosto, aż zobaczysz drzwi z mleczną szybą i napisem WYDZIAŁ CHEMII SPECJALNEJ. Jasne?

–Tak. Dziękuję pani. – Robyn Smithers popędziła korytarzem.

–Chętnie pomogłam... głupia idiotko.

Sheila poczekała, aż usłyszy odgłos otwieranych i zamykanych drzwi, po czym poszła

do siebie i zadzwoniła do Marvina Grimesa, sanitariusza odpowiedzialnego za przygotowywanie ciał do sekcji. Zajmował się tym od tak dawna, że nikt nie wyobrażał sobie oddziału bez niego.

–Marvin – zaczęła Sheila – możesz mi podać nazwiska zmarłych, którym robiono dziś

sekcję?

–Oczywiście, panno Pierce. Były dwa: stara pani Partridge i sportowiec.

–A komuś, kto nazywał się Schultz? – Oczyma wyobraźni dokładnie widziała stojącą w prawej dolnej szufladzie biurka Marvina butelkę irlandzkiej whiskey i zastanawiała się, czy pod koniec dnia starszy pan w ogóle będzie pamiętał, że z nią rozmawiał.

–Nie. Nie było dziś żadnego Schultza.

–Wczoraj?

–Zaraz, chwilę. Sprawdzam. Nie, tylko McDonald, Lacey, Briggs i Ca... Capez... Capezio. Nikogo o nazwisku... jak pani mówiła, że się nazywał?

–Nieważne, Marvin. Nie przejmuj się.

Kiedy odłożyła słuchawkę, zaczęła się zastanawiać, ile czasu technikom z wydziału

chemii specjalnej zajmie pilne przeprowadzenie badania krwi na obecność narkotyków.

–To wszystko wydaje się coraz dziwniejsze, coraz dziwniejsze... – szepnęła do siebie.

Kilkanaście budynków szpitala Metropolitan połączono ze sobą licznymi tunelami, tak krętymi i słabo oświetlonymi, że administracja szpitala wydała zalecenie, by nie chodzić nimi pojedynczo. Kilka napadów oraz zderzenie „pociągu” wiozącego pojemniki wypełnione brudnym praniem z przewożącym pacjenta wózkiem pogorszyło ponurą opinię o tunelach nie mniej niż klasyczne już przedstawienie studentów ostatniego roku Harvard Medical School pod tytułem „Szczury”. Kate, nie zwracając uwagi na legendy i ponure opisy, jeszcze od czasu studiów często korzystała z tuneli i poza natknięciem się raz na świeże zwłoki pijaka, oparte spokojnie plecami o ścianę niewielkiej betonowej wnęki, lekko pochylone nad opróżnioną do połowy butelką podłej wódki, nie miała doświadczeń wzbogacających rozliczne opowieści. Najgorsze, co mogło ją spotkać w trakcie wędrówek z budynku do budynku, było zgubienie się w labiryncie podziemnych korytarzy z powodu skręcenia gdzie nie trzeba albo niezauważenia pęknięcia na ścianie, kształtem przypominającego Włochy. To ostatnie informowało, że tędy prowadzi droga do budynku administracji. Kilka razy w roku zdarzało jej się, że zamiast do budynku stanowiącego oddział chirurgiczny trafiała do pomieszczeń z bojlerami albo idąc na konferencję, która miała się odbyć w auli amfiteatru, dochodziła do wielkich prasowalni parowych.

Koncentrując się, by nie minąć charakterystycznych punktów i pokrytych brudem znaków, Kate szła pomalowanym na beżowo labiryntem w kierunku pracowni komputerowych do Marca Sebastiana. Raz za razem mijały ją, idące dwójkami i trójkami, pielęgniarki, co oznaczało, że zbliża się zmiana przypadająca na godzinę trzecią. Zastanawiała się, ile tysięcy pielęgniarek przeszło tędy przez lata funkcjonowania szpitala,

śpiesząc na swój dyżur. Pielęgniarki, chirurdzy, dziekani wydziałów medycyny, lekarze wiejscy, nawet laureaci Nagrody Nobla – to wszystko było częścią tradycji szpitala Metro. Teraz – dzięki swym umiejętnościom – sama stawała się częścią tradycji. Jared musiał się dowiedzieć, jakie to dla niej ważne. Podzieliła się z nim paskudnymi sekretami pierwszego małżeństwa i duszącego, czasem wręcz bezsensownego dawnego życia. Na pewno wiedział, co to oznaczało.

W typowo nieefektywny dla Metropolitan sposób pracownie komputerowe znajdowały się na ostatnim piętrze budynku mieszczącego oddział pediatryczny – nie dałoby się urządzić ich jeszcze dalej od biur administracji, która najczęściej korzystała z komputerów. Kate stanęła przy windzie i pomyślała, czy zamiast jechać, nie powinna przebiec sześciu pięter schodami. Dzień – a sporo jeszcze brakowało

mu do końca -wycieńczył ją emocjonalnie i jednocześnie rozradował. Po sekcji Geary'ego musiała się zająć trzema skomplikowanymi przypadkami chirurgicznymi, ale kiedy kończyła pracę nad trzecim, technik z wydziału chemii specjalnej położył na jej biurku wynik badania krwi Geary'ego. Poziom amfetaminy był niebotyczny – wystarczający do spowodowania obrzęku płuc. Nim zdążyła zawiadomić Stana Willoughby'ego, wezwał ją do siebie. Spotkanie, w którym uczestniczył także detektyw Martin Finn, było krótkie. Dowody, znalezione po dokładnym przeszukaniu mieszkania Bobby'ego Geary'ego, świadczyły jednoznacznie, że spożywał on duże ilości amfetaminy. Wiedzieli o tym tylko oni troje. Finn był nieugięty -należało ukryć wszelkie informacje sugerujące, że śmierć Geary'ego była spowodowana przedawkowaniem, bo można było niewiele zyskać, a wiele stracić samym wspomnianiem o narkotykach. Wersja oficjalna miała brzmieć: „Zawał serca, wywołany anomalią tętnicy wieńcowej”.

Winda przyjechała w momencie, kiedy Kate zdecydowała się iść schodami. Zmieniła więc decyzję i zdążyła się wślizgnąć między zamykające się drzwi. Marco Sebastian - jowialny jak zawsze i jakby większy w białym kitlu – objął ją na powitanie niedźwiedzim uściskiem. Była jego ulubienicą od pierwszego spotkania, prawie siedem lat temu. Razem z żoną próbował kiedyś wyswatać Kate ze swoim przyrodnim bratem – restauratorem we wschodnim Bostonie. Po serii szybkich pytań, z pomocą których uaktualnił swą wiedzę na temat Jareda, jej pracy, Willoughby'ego i wyników ich wspólnych badań, inżynier zaprowadził Kate do gabinetu i posadził tuż obok siebie, przed ekranem monitora.

–No więc, doktor Bennett – stwierdził głębokim, miękkim tonem operowego barytona – jakie smaczne kąski mogę tym razem wydobyć dla ciebie z głębin naszej elektronicznej dżungli? Chcesz znać rozmiar kapelusza naszego pierwszego dyrektora do spraw

medycznych? Mamy go. Liczba strzykawek użytych w minionym roku? Nie ma problemu. Pryszczę na tyłku naszego szanownego administratora? Wystarczy, byś spytała.

–Tak naprawdę, Marco, nie interesują mnie sprawy tak wyszukane. Potrzebuję jedynie nazwiska.

–Pierwsze dziecko urodzone w naszym szpitalu nazywało się... – postukał w klawisze – Jessica Peerless. Przyszła na świat osiemnastego lutego tysiąc osiemset czterdziestego trzeciego roku.

–Marco, nie o to nazwisko mi chodziło.

–Co powiesz na dwusetne usunięcie wyrostka robaczkowego?

–Nie.

–Dwadzieścia osiem dotychczasowych naczelnych pielęgniarek?

–Nie. Przykro mi, Marco.

–Tyle danych, a nikt ich nie potrzebuje. – Inżynier był naprawdę strapiony. – Stale mówię naszemu ukochanemu administratorowi, że jesteśmy nieodpowiednio wykorzystywani, ale moim zdaniem on po prostu ma za małą wyobraźnię, by wiedzieć, jakie zadawać pytania. Od czasu do czasu wysyłam mu tabele, z których wynika, że kafejka wydaje za dużo makaronu albo że dziewięćdziesiąt procent leczonych u nas poważnych chorób dotyczy dziesięciu procent pacjentów... tylko po to, by wzbudzić zainteresowanie, przypomnieć mu, że jesteśmy.

–Co z moim nazwiskiem?

–No tak. Przepraszam. Panowała tu nieco leniwa atmosfera, chyba się już zorientowałaś.

–Nazywa się Rittenhouse, Ginger Rittenhouse. Tu masz adres, miejsce i datę urodzenia. To wszystko, czym dysponuję. Chcę się dowiedzieć, czy była kiedykolwiek pacjentką tego szpitala... stacjonarną albo ambulatoryjną.

–Patrz na ekran – dramatycznie stwierdził Sebastian. Trzydzieści sekund później pokręcił głową. – Nada. Shirley Rittenhouse w pięćdziesiątym szóstym, ale żadnych innych.

–Jesteś pewien?

Sebastian obdarzył ją spojrzeniem, które mógłby rzucić sędzia, słysząc pytanie:

„Naprawdę uważa pan, że ten wyrok jest sprawiedliwy?”.

–Przepraszam.

–Oczywiście mogła być pacjentką Omnicenter. Kate zeszywniała.

–Jak to?

–Omnicenter jest jednostką oddzieloną od pozostałej struktury Metropolitan. Ten system rejestruje historie choroby i sprawozdania z Ashburton Service, ale Omnicenter jest kompletnie samodzielny. Było tak od początku komputeryzacji... kiedy to wprowadzono? Dziewięć, dziesięć lat temu.

–Czy to nie dziwne?

–„Dziwne” to u nas norma – odparł Sebastian.

–Nie możesz wejść do ich systemu?

–Nie. Nie znam kodów dostępu. Carl Horner, który administruje tamtejszą sieć, lubi trzymać karty przy orderach. Znasz go?

–Nie, chyba nie. – Kate próbowała sobie przypomnieć, czy podczas którejś wizyty w Omnicenter jako pacjentka spotkała go. – Dlaczego są, twoim zdaniem, tak skryci?

–To nie skrytość, ale ostrożność. Ja bawię się liczbami, w wypadku Homera i ludzi z Omnicenter od liczb zależy życie i śmierć. Wszystko jest tam skomputeryzowane: historie choroby, listy umówionych wizyt, raporty z wykonanych zabiegów, nawet recepty.

–Wiem, jestem ich pacjentką.

–Więc możesz sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby do ich maści wpadła mała muszka. Homer to geniusz, uwierz mi, ale jest zbyt ekscentryczny. Kiedyśmy wszyscy poznawali IBM, on już pisał zaawansowane programy. Z tego, co słyszałem, całkowita niezależność od reszty systemu była warunkiem wstępnym, który wymógł, nim się zgodził przyjść do pracy w Omnicenter.

–Jak więc mam się dowiedzieć, czy Ginger Rittenhouse była u nas pacjentką? To ważne, Marco. Może nawet bardzo.

–Cóż, choć brzmi to archaicznie, zadzwonimy i spytamy.

–Przez telefon?

Marco Sebastian głupkowato się uśmiechnął i kiwnął głową.

ŚLEPA ULICZKA. Kate siedziała sama w swym gabinecie i pisała te słowa na żółtym bloku. Zaczęła od liter drukowanych, potem pisała normalnymi, na koniec różnymi rodzajami pisma kaligraficznego, którego się nauczyła na jednym z wielu „kursów wzbogacających osobowość”; chodziła na nie podczas dwóch lat małżeństwa z Artem. Według Carla Homera z Omnicenter, odpowiednika Marca Sebastiana, Ginger Rittenhouse nigdy nie była pacjentką tego ośrodka. Tomowi Engelsonowi udało się nawiązać kontakt ze współlokatorką Ginger, niestety mieszkały ze sobą od niedawna i niewiele wiedziała o zmarłej koleżance. Poza

poprzednim adresem Engelson nie zdobył żadnych nowych danych. Związki między nią a Beverly Vitale okazały się powierzchowne i nie mogły być źródłem informacji.

Na zewnątrz prószący od rana drobny śnieżny puch zamienił się w gęsto padające,

mokre płatki, które zaczynały pokrywać ziemię. Droga do domu zapowiadała się niewesoło. Kate próbowała nie zastanawiać się nad czekającą ją perspektywą. Postanowiła więc nie myśleć o domu, lecz skoncentrować uwagę na ustaleniu następnego kroku w procesie badania przyczyn mikrostrwardnienia. Może warto spróbować znaleźć członka rodziny albo znajomego Ginger Rittenhouse, kogoś, kto wiedziałby o niej więcej niż koleżanka z pokoju? Mogła przedstawić oba przypadki chorobowe na jakiejś regionalnej konferencji – i mieć nadzieję, że zgłosi się ktoś z trzecim przypadkiem. Popatrzyła na leżącą na biurku niedokończoną pracę. Dotarło do niej, że musi spojrzeć prawdzie w oczy – jeśli poświęci bawieniu się w epidemiologia jedynie swój skąpy wolny czas, sprawa zmian patologicznych w jajnikach będzie musiała pozostać tajemnicą.

Strach przed powrotem do domu walczył z potrzebą znalezienia się w nim, pójścia do sklepu i zrobienia dla siebie i męża jakiejś kolacji. Początkowo próbowała uniknąć tradycyjnego podziału ról w prowadzeniu domu, oboje szybko jednak doszli do wniosku, że ich tradycyjne wychowanie czyniło to podejściem niepraktycznym lub wręcz niemożliwym. Zakupy i przygotowywanie posiłków znalazło się ponownie w zakresie jej obowiązków, a utrzymywanie w ruchu „fabryki domowej” pozostało domeną Jareda. Zgodzili się co do tego, że oboje nie nadają się do samodzielnego dysponowania codziennymi finansami i muszą zajmować się nimi wspólnie. Znów wyjrzała przez okno. Po kolejnym wahaniu, kolejnej myśli, by zadzwonić do domu i nagrać wiadomość, że będzie pracować do późna, odepchnęła się od biurka.

Kiedy wstawała, podjęła decyzję – jeśli ma być kolacja, niech będzie szczególna. W trakcie studiów i szkoleń specjalizacyjnych zawsze udawało jej się znaleźć w razie potrzeby dodatkową rezerwę energii. Może dziś wieczór romantyczna kolacja bardziej przyda się jej małżeństwu niż stękanie, jaki miała ciężki dzień. Sałatka szpinakowa, curry z krewetkami, świece, Grgich Hills Chardonnay, może nawet suflet czekoladowy. Wkładając do aktówki kilka kserokopii artykułów, zaczęła notować w myśli listę zakupów. Owinęła się płaszczem przed śniegiem i wybiegła z gabinetu, z przyjemnością odczuwając przyływ energii. Jak dobrze, że jeszcze trochę jej miała.

W ciszy pozbawionego okien pomieszczenia Carl Homer wystukiwał palcami komunikaty wysyłane do znajdującego się w sąsiednim pokoju systemu zbierania i

wyszukiwania informacji. Miał pełne zaufanie do swoich maszyn, do ich perfekcji. Jeśli pojawiał się jakikolwiek problem – tak jak teraz – był pewien, że przyczyną jest człowiek: on sam albo ktoś w firmie. Palce biegały po klawiaturze, zadając kolejne pytania, odpowiedzi jednak były ciągle te same. W końcu odwrócił się od konsoly i podszedł do dwóch czarnych aparatów telefonicznych, stojących na jego biurku. Siedem cyfr połączyło go z aparatem telefonicznym w Buffalo w stanie Nowy Jork, kolejne cztery cyfry uaktywniły połączenie z „martwą skrzynką” w Atlancie, ostatnie trzy skompletowały niemożliwe do prześledzenia połączenie z aparatem w Darlington w stanie Kentucky.

Cyrus Redding podniósł słuchawkę po pierwszym dzwonku.

–Carl?

–Pomarańczowy, czerwony, Cyrus. – Gdyby wymienił kolory w odwrotnej kolejności, Redding zostałby ostrzeżony, że albo ktoś monitoruje rozmowę, albo istnieje możliwość podsłuchu.

–Mogę mówić.

–Cyrus, właśnie telefonowała do mnie kobieta o nazwisku Kate Bennett, lekarz patolog w Metropolitan, prosząc o informacje dotyczące dwóch kobiet, które zmarły z

powodu takiej samej tajemniczej choroby, wywołującej krwawienie.

–Nasze pacjentki?

–Tak, choć doktor Bennett wie tylko o jednej. Obie poddano sekcji, która wykazała, że poza zaburzeniami w obrazie krwi, obie miały rzadkie zmiany patologiczne jajników.

–Pytałeś o nie Małpy?

–Tak. Mówią, że nie ma związku.

–Czy to twoim zdaniem możliwe?

–Nie.

–Przyglądaj się sprawie. Chcę coś na piśmie o tej doktor Bennett.

–Dowiem się, co się da, i wyślę teleks jutro.

–Dziś wieczór.

–Dobrze, dziś wieczór.

–Powodzenia, przyjacielu.

–Tobie też tego życzę, Cyrus. Niedługo zgłoszę się ponownie.

Rozdział 4 Środa, 12 grudnia

ZAWAŁ POWAŁA BOBBY’EGO. Kate aż się skuliła na widok tytułu w leżącym na jej

biurku najnowszym wydaniu „Boston Herald”. Śmierć Geary’ego była jednym z wydarzeń, które trafiło na pierwszą stronę zarówno „Heralda”, jak i „Boston Globe”. Choć „Globe” zajął się tematem trochę dokładniej, artykuły wiodące i uzupełniające obu gazet przedstawiały mniej więcej te same informacje. Bobby Geary, ukochany syn Alberta i Maureen Gearych, syn miasta, odszedł na zawsze z powodu skrępu nie grubszego od szwu na piłce baseballowej. Większość artykułów – po części napisanych przez dziennikarzy sportowych – była utrzymana w rozrywającej serce konwencji, za jaką dostaje się nagrodę Pulitzera, problem polegał tylko na tym, że żaden nie odpowiadał prawdzie.

Śnieżycy, która zaczęła się poprzedniego popołudnia, przed przesunięciem się nad północny Atlantyk zdążyła pokryć miasto dwudziestocentymetrową warstwą śniegu. Na szczęście ani liczne kolumny dziennikarskich półprawd, ani niemiła jazda do miasta nie były w stanie stłumić ciepła wywołanego rozmową i czułościami, które nastąpiły po kolacji przy świecach, przygotowanej dla Jareda. Po raz pierwszy od wielu lat Jared zaczął mówić o swoim katastrofalnym pierwszym małżeństwie oraz córce, której najprawdopodobniej nigdy więcej nie ujrzy. ODESZŁAM, BY POSZUKAĆ CZEGOŚ LEPSZEGO – tak brzmiała zostawiona przez jego żonę notatka. Ślad po niej i córce topniał w Nowym Jorku i ostatecznie zniknął w grzęzawisku efemerycznych sekt religijnych, których jest pełno na południu i w centrum Kalifornii. ODESZŁAM, BY POSZUKAĆ CZEGOŚ LEPSZEGO.

Jared aż się popłakał, opowiadając o latach w Vermoncie, naznaczonych próbami wyzwolenia się spod oczekiwań ojca i stworzenia własnego, niezależnego życia. Kate osuszała jego łzy wargami i słuchała opowieści o chaotycznym, pełnym bólu małżeństwie, które było nie tyle efektem miłości, co aktem buntu.

Kate kończyła właśnie czytać ostatni artykuł w „Globe”, kiedy zapukano cicho do drzwi i do środka weszła wielka kobieta z papierową torbą w rękach. Miała rozpięty płaszcz, pod którym widać było kitel pielęgniarki z przyczepionym identyfikatorem. Zanim Kate zdążyła przeczytać nazwisko, kobieta się przedstawiła.

–Doktor Bennett, nazywam się Sandra Tucker. Mieszkałam z Ginger Rittenhouse.

–Oczywiście. Proszę usiąść. Kawy?

–Nie, dziękuję. Mam prywatny dyżur i powinnam być za pół godziny w domu

pacjenta w Weston. Doktor Engelson powiedział, że gdybym przypomniała sobie cokolwiek

albo coś znalazła, co mogłoby pomóc wyjaśnić przyczynę śmierci Ginger, mogę to przekazać

pani.

–Zgadza się. Przykro mi z powodu Ginger.

–Znała ją pani?

–Nie.

–Mieszkałyśmy razem dopiero od kilku miesięcy.

–Wiem.

–Tydzień po wprowadzeniu się Ginger upiekła mi na urodziny ciasto i zrobiła lazanię.

–To bardzo miłe. – Kate zaczęła żałować, że nakłoniła kobietę do pogaduszek.

Otaczała ją aura smutku, może samotności, i Kate podejrzewała, że Sandra Tucker mogłaby

gadać w nieskończoność, bez względu na to czy rozmawiała z pacjentem, czy kimś innym.

–Byłyśmy dwa razy w kinie i raz w filharmonii, dopiero się jednak

zaprzyjaźniałyśmy, jak...

–To miło, że fatygowała się pani przy tej pogodzie – przerwała Kate w najłagodniejszy możliwy sposób.

–Cóż, przynajmniej tyle mogę dla niej zrobić. Ginger była bardzo miłą osobą. Bardzo spokojną i bardzo miłą. Zamierzała startować na wiosnę w maratonie.

–Co ma pani w torbie? Jej rzeczy? – Jediną metodą zdawał się atak frontalny.

–W torbie? Ach tak, przepraszam! Doktor Engelson, cóż za miły człowiek,

poprosiłbym przejrzeć jej rzeczy i poszukała lekarstw, listów, terminów wizyt lekarskich

albo czegokolwiek, co mogłoby dać jakąś wskazówkę...

–Domyślam się, że nie było to dla pani łatwe, panno Tucker, i dziękuję bardzo za okazaną pomoc.

–Pani Tucker. Jestem rozwiedziona. Kate skinęła głową.

–Torba?

–Boże, przepraszam! – Podała Kate paczkę. – Obawiam się, że czasami za dużo gadam.

–Ja też czasami... – Kate zajrzała do torby i natychmiast umilkła.

–Znalazłam je w górnej szufladzie jej biurka. Jeszcze nigdy nie widziałam tak dziwnie pakowanych leków. W jednej płachcie jest prawie dwumiesięczny zapas, każda tabletki jest

osobno zapakowana i oznaczona datą, kiedy należy ją wziąć. Wygląda to tak, jakby plan przyjmowania leku był przygotowany przez komputer.

–Bo był – powiedziała Kate, czując dosłownie zawrót głowy od gwałtownego napływu myśli.

–Słucham?

–Powiedziałam, że plan przyjmowania leku faktycznie został przygotowany przez komputer. – Powoli podniosła głowę i zapatrzyła się w widok za oknem. Po drugiej stronie ulicy znajdowała się zbudowana ze stali i szkła, migocząca jak klejnot duma bostońskiego szpitala Metropolitan. – Przez komputer działu wydawania leków Omnicenter. Omnicenter, w którym Ginger Rittenhouse nigdy się nie leczyła...

–Nie rozumiem.

Kate wstała.

–Pani Tucker, bardzo nam pani pomogła. Zadzwoń, gdybym potrzebowała jeszcze jakichś informacji albo dowiedziała się czegoś, co mogłoby pomóc wyjaśnić śmierć pani

przyjaciółki. Jeśli mi pani teraz wybaczy, muszę pilnie odbyć kilka rozmów telefonicznych.

Sandra Tucker ujęła wyciągniętą dłoń Kate.

–Żaden problem – odparła. – Z początku czułam się nieswojo, grzebiąc w jej szufladach, ale potem powiedziałam sobie, że jeśli tego nie zrobię, to...

–Pani Tucker, jeszcze raz bardzo dziękuję. – Mając unieruchomioną w dłoni pielęgniarki prawą rękę, Kate ujęła ją lewą za łokieć i poprowadziła do wyjścia.

Tabletki były średniej mocy kombinacją estrogenu z progesteronem – klasyczną pigułką antykoncepcyjną, tyle że „własnej roboty”, bez nazwy handlowej. Kate zastanawiała się, czy Ginger Rittenhouse ze wstydu nie wspomniała koleżance z pokoju, że bierze pigułki. Na górnym marginesie plastikowej płachty z zaspawanymi w niej tabletkami komputer wypisał nazwisko pacjentki, datę sprzed sześciu tygodni, która oznaczała dzień wypisania recepty, oraz instrukcję, by przyjmować jedną tabletkę dziennie. Wydrukowano także radę, co robić w razie niewzięcia jednej lub dwóch tabletek. Wymieniono najczęściej występujące efekty uboczne, a obok tych, których wystąpienie należało natychmiast zgłosić lekarzowi prowadzącemu w Omnicenter, dodano wykrzykniki. Poziome i pionowe perforacje pozwalały oderwać pożądaną ilość tabletek na wypadek wyjazdu. Opakowanie – jak wszystko w Omnicenter – zrobiono bez zarzutu: zostało zaprojektowane w przemyślany sposób, uwzględniając potrzeby użytkownika; było po prostu praktyczne. Stanowiło kolejny dowód tłumaczący, dlaczego wiele kobiet ze wszystkich grup społecznych czekało w długiej kolejce, by zostać pacjentką tego ośrodka.

Kate starała się zrozumieć, czemu powiedziano jej, że Ginger Rittenhouse nie była pacjentką Omnicenter. W końcu stwierdziła, że istnieje tylko jeden sposób ostatecznego wyjaśnienia tej zagadki. Kiedy telefonistka Omnicenter poprosiła ją o nazwisko, odparła zdawkowo: „doktor Bennett”, akcentując nieco mocniej tytuł. Została natychmiast połączona z dyrektorem – doktorem Williamem Zimmermannem.

–Kate, cóż za zbieg okoliczności! Właśnie zamierzałem do ciebie dzwonić. Co słyhać? – Typowym zachowaniem Zimmermanna, bardzo energicznego mężczyzny,

zwanego czasami Billem Rakietą, było nieprzywiązywanie wagi do zbędnego tradycyjnego

powitania.

–Wszystko w porządku, Bill, dziękuję. Dlaczego „zbieg okoliczności”?

–Mam na biurku notatkę od naszego statystyka Carla Homera i historię choroby niejkiej Ginger Rittenhouse. Carl powiadomił mnie, że podał ci błędną informację, twierdząc, iż nie mieliśmy pacjentki o tym nazwisku.

–To prawda.

–Okazuje się, że mieliśmy. Albo popełniono błąd, wpisując przy wyszukiwaniu błędny numer, albo powstała literówka przy nazwisku.

–Poinformował, dlaczego interesowała mnie ta osoba?

–Powiedział tylko, że pacjentka zmarła.

–Zgadza się. Czy Carl Homer często się myli? – Proste pomyłki nie bardzo pasowały do opisu komputerowca przedstawionego przez Marca Sebastiana.

–O ile wiem, to bardzo rzadko. Pracuję tu od czterech lat i jest to pierwszy błąd w pracy jego sprzętu. Przesłać ci historię choroby?

–A mogłabym ją odebrać osobiście? Chętnie zamieniłabym przy okazji kilka słów z tobą.

–Odpowiada ci godzina pierwsza?

–Jak najbardziej. I, jeśli można, prosiłabym o wydruk historii leczenia Beverly Vitale.

–Tej pacjentki, która wykrwawiła się na oddziale?

–Tak jest.

–Już się tym zająłem. Wydruk leży na moim biurku.

–Znakomicie. I jeszcze jedno.

–Tak?

–Chętnie spotkałabym się z Carlem Homerem. Byłoby to możliwe?

–Stary Carl jest nieco marudny, ale sądzę, że można to załatwić.

–Więc o pierwszej?

–O pierwszej.

Ellen Sandler owinęła się ciasniej szlafrokiem, usiadła na skraju łóżka i patrzyła niewidzącym wzrokiem na kruka szukającego coś do zjedzenia w zamarznętym śniegu za oknem. Miała się zjawić w biurze za niecałą godzinę. W domu było niewiele do jedzenia. Nauczyciel matematyki Betsy wyznaczył na dwunastą spotkanie, by porozmawiać o przyczynach spadku zainteresowania dziewczyny przedmiotem i coraz gorszymi wynikami. Eve potrzebowała pomocy przy kupnie sukienki, w której miała wystąpić podczas recitalu fortepianowego. Darcy przyszła do domu godzinę po dozwolonej porze powrotu, a jej ubranie śmierdziało zatęchłym zapaszkiem – bez dwóch zdań – marihuany. Tyle było do zrobienia... Tyle się pozmieniało, a w sumie tak niewiele.

Cisza w domu przytłaczała. Ellen koncentrowała się na kolejnych odgłosach... buczeniu lodówki, poszumie dmuchawy urządzenia, które służyło zarówno do

ogrzewania, jak i klimatyzacji, urządzenia, które Sandy zainstalował w ostatnią rocznicę ich ślubu, przy wydobywających się z jej ust westchnieniach.

–Wstań! – rozkazała sobie. – Pieprz to wszystko, wstań i rób, co masz do roboty. – Nie

poruszyła się. Przenikliwy, opasujący, ściskający ból w klatce piersiowej zdawał się uniemożliwiać jakikolwiek ruch. Choć samotność była torturą, to przecież nie ona tak bolała.

Do przyczyn nie należało puste łóżko, milczący telefon ani pozbawione życia oczy wpatrujące się w nią z lustra. Nie była nią nawet ta druga kobieta – kimkolwiek by się

okazała. Chodziło o kłamstwa, o dziesiątki kłamstw wypowiedzianych przez osobę, której

najbardziej na świecie ufała. Chodziło o świadomość, że choć z czasem złość i poczucie

zranienia przez fiasko małżeństwa minie, niemożność zaufania komukolwiek pozostanie na

zawsze. – Wstawaj, do jasnej cholery! Wstań, ubierz się i zacznij działać.

Z wysiłkiem, który wydawał się gigantyczny, przełamała bezwład duszy i bolesną sztywność w kończynach. Wstała. Sypialnia, dom, praca, dziewczynki – tyle się zmieniło, a mimo wszystko tak niewiele. Podeszła do szafy, zadając sobie równocześnie pytanie, czy nastrój mogłoby jej poprawić coś bardziej jedwabistego i kobiecego niż to, w co zwykle ubierała się do pracy. Jej uwagę zwróciła burgundowa sukienka, którą kupiła na wyjazd do Londynu. Pierwszego dnia, kiedy włożyła tę sukienkę, podrywało ją dwóch facetów, a potem też wysłuchiwała sporo komplementów...

Kiedy przechodziła przez pokój, poczuła, że poranna ociążałość w kończynach zanika – z wyjątkiem pulsowania w lewym udzie, które zdawało się nasilać z każdym krokiem. Zdjęła szlafrok, odwiesiła go, po czym ściągnęła przez głowę flanelową koszulę nocną. Z

przodu uda ukazał się siniak wielkości, jakiej nie widziała jeszcze nigdy w życiu. Zaczęła go ostrożnie badać palcami. Był czuły na dotyk, ale nie bolesny. Nie miała pojęcia, skąd mógł się wziąć. Nie przypominała sobie żadnego uderzenia. Musiała go sobie zrobić przez sen.

Uznając, że sukienka mogłaby w niektórych sytuacjach nie zasłaniać siniaka, wybrała niebieski, cienki wełniany kombinezon. Gdy go włożyła, nie mogła oderwać wzroku od groteskowego przebarwienia na nodze. Nogi zawsze stanowiły jeden z jej najsilniejszych punktów i była dumna z tego, że po trzech porodach widać na nich jedynie nieliczne żyłki, tylko w zgięciach kolan. A teraz coś takiego. Przez chwilę zastanawiała się, czy zadzwonić do Kate po poradę i zapytać o sens pokazania siniaka lekarzowi, uznała jednak, że siniak to po prostu siniak. Poza tym miała i bez tego masę spraw na głowie.

Nieznacznym makijażem, kilka pociągnięć szczotką i była gotowa do zmierzenia się z codziennymi zadaniami. Jej twarz – wychudzona i napięta – prawdopodobnie przyciągnie kilka zdziwionych spojrzeń, w oczach jednak ciągle jeszcze było życie.

Wychodząc z sypialni, zauważyła przyklejoną do futryny notatkę. Było tak co dzień i co dzień miała wrażenie, że dostrzega kartkę po raz pierwszy, mimo że przyklepiła ją sama ponad rok temu.

WEŻ WITAMINY – brzmiał lakoniczny komunikat.

Ellen podeszła do szafki z lekami, wyjęła z półki listek multiwitaminy z żelazem, wycisnęła jedną tabletkę i połknęła ją bez popijania. Odruchowo zarejestrowała, że pozostał już tylko zapas na cztery tygodnie, i z tego powodu zapamiętała, iż wkrótce powinna się umówić na następną wizytę u lekarza w Omnicenter.

Wychodząc z domu, lekko kulą na lewą nogę, uznała jednak, że napięcie w udzie da się wytrzymać. Tak naprawdę – w porównaniu z innymi cierpieniami, jakie ostatnio na nią spadły – odczucie było niemal przyjemne.

Na plakietce, dyskretnej płytce z brązu, umieszczonej obok elektronicznie sterowanych szklanych drzwi, widniał napis: **BOSTOŃSKI SZPITAL METROPOLITALNY, OMNICENTER, ASHBURTON SER VICE 1975**. Kate była jedną z pierwszych pacjentek ośrodka i nigdy tego nie żałowała. Opieka ginekologiczna, niezbyt przyjemne doświadczenie, stała się tu dla niej do wytrzymania, podobnie jak dla kilku tysięcy innych kobiet, przyjętych przed wprowadzeniem listy oczekujących. Napis nad biurkiem recepcjonistki dokładnie określał politykę Omnicenter: **OPIEKA BEZ GRANIC, Z BEZGRANICZNĄ TROSKLIWOŚCIĄ**.

Kate zatrzymała się przy niewielkiej szatni, umieszczonej z boku jasno oświetlonego holu, i oddała kurtkę ubranej na niebiesko wolontariuszce. Mogła przejść z głównego budynku tunelem, wyciągnęła ją jednak na zewnątrz chęć spędzenia kilku minut na świeżym powietrzu i możliwość zjedzenia pulchnego sandwicza z omletem, *spécialité de la maison*, w Maury's Diner.

Recepcjonistka zgłosiła telefonicznie przybycie Kate i skierowała ją do gabinetu

doktora Zimmermanna na drugim piętrze. Wskazówki co do drogi nie były jej potrzebne. Zimmermann przez cztery lata był jej lekarzem prowadzącym w Omnicenter – po tym jak nieszczęśliwie utonął doktor Harold French, jego poprzednik i pierwszy dyrektor ośrodka. Choć widywała się z Zimmermannem nieczęsto – dla kobiet przyjmujących środki antykoncepcyjne obowiązkowe były trzy wizyty w roku – Kate miała z nim bardzo dobry kontakt jako pacjentka-lekarz, można by wręcz powiedzieć, że kiełkowała między nimi przyjaźń.

Kiedy wysiadła z windy, czekał na nią w drzwiach gabinetu. Mimo że minęło co nieco czasu od ostatniego spotkania, jego widok wyzwał w niej podobne wrażenia, jak podczas pierwszego kontaktu. Wyglądał... fantazyjnie. Określenie było banalne, ale Kate nie umiała wymyślić lepszego. Zbliżający się do czterdziestki (albo tuż po niej) lekarz był przystojny w klasyczny, „rzeźbiarski” sposób, równocześnie w jego ruchach można było dostrzec kulturę i swobodę, co – jak Kate początkowo sądziła – mogło być minusem dla lekarza jego specjalności. Czas i umiejętności Zimmermanna sprawiły jednak, że szybko zapomniała o swych obawach. Był grzeczny i niezwykle profesjonalny. W szpitalu, który zawsze jest wylęgarnią plotek, bardzo niewiele pogłosek dotyczyło jego osoby, a jeśli już się coś pojawiło, to zwykle spekulacje w związku z tym, dlaczego atrakcyjny mężczyzna w jego wieku nie jest żonaty. Dzięki aktywności w szpitalu, udzielaniu się w licznych komitetach obywatelskich, a także na skutek oddania pacjentom i dzielenia się wiedzą ze studentami William Zimmermann zasłużył sobie na miano wschodzącej gwiazdy.

–Kate... – ujął w obie ręce jej dłonie i serdecznie nimi potrząsał. – Wchodź, wchodź. Mam świeżą kawę i... jadłaś lunch? Mogę po coś posłać.

–Wpadłam po drodze do Maury’ego. Przepraszam, że nie pomyślałam, mogłam coś przynieść.

–Nonsens. Pytałem wyłącznie ze względu na ciebie. Ja nie jadam lunchu, to efekt pójścia o zakład dotyczący schudnięcia, a założyłem się z moją sekretarką.

Choć było jasne, że „zakład” został wymyślony na poczekaniu, a szczupły i wysportowany Zimmermann raczej nie potrzebował gwałtownej diety, jego słowa okazały się idealne do rozwiania skrupułów Kate.

Gabinet Zimmermanna był jaskinią uczonego. Trzy ściany zapełniały od podłogi po sufit wydruki artykułów naukowych i oprawione roczniki czasopism, prawie cały stół pod ścianą zajmowały otwarte albo pozaznaczane zakładkami książki. Na ścianie za biurkiem wisiały oprawione zdjęcia europejskich zamków, a między nimi elegancko rozmieszczone powiedzenia, cytaty i sentencje: WIARA MAGIKA WE WŁASNĄ MAGIĘ TO JEGO UPADEK; W ŻYCIU SĄ DWIE TRAGEDIE: NIE DOSTAĆ TEGO, CO SERCE POŻĄDA, ORAZ OTRZYMAĆ TO. Było także obowiązkowe OMNICENTER – OPIEKA BEZ GRANIC, Z BEZGRANICZNĄ TROSKLIWOŚCIĄ. Z większością napisów Kate

gdzie się już spotkała, lecz jeden był dla niej jednak całkowitą nowością. Wykonano go benedyktyńskim piśmem kaligraficznym i zaopatrzone w cudownie kunsztowny otok. Głosił: MAŁPIA ROBOTA DLA MAŁP. Zimmermann podążył za jej wzrokiem i wyjaśnił:

–Prezent od Carla. Uważa, że energia lekarzy i pielęgniarek powinna zostać skierowana w jak największym stopniu na sfery wykorzystujące ich pięć zmysłów i cechy zastrzeżone dla człowieka: empatię, opiekę i intuicję. Mechaniczną część naszej pracy... wypełnianie papierów, ustalanie wizyt, wypisywanie recept i tak dalej... określa mianem „małpiej roboty”. Jego maszyny mogą ją wykonać znacznie szybciej i dokładniej niż ludzie i wygląda na to, że Carl co dzień doskonali ich sprawność.

–Czyli nazwał swe komputery... małpami? – Ostatnie słowo Zimmermann wypowiedział razem z Kate. Poczuli, że jej napięcie wobec Carla Homera nieco osłabło, i zaczęła wręcz oczekiwać spotkania z nim.

–Czy mogłabyś mi pokrótce przekazać, co stwierdziłaś u interesujących cię pacjentek? – spytał Zimmermann. – Przejrzałem dane, jakie mamy na ich temat, i nie bardzo widzę, co mogłoby ci pomóc.

W skróty standardowy sposób, jakiego każdy kandydat na medyka uczy się od pierwszych dni studiów, Kate – poświęcając każdej zmarłej minutę – przedstawiła dane z wywiadu i badania przedmiotowego, wyniki badań laboratoryjnych oraz przebieg leczenia w szpitalu.

–Przyniosłam preparaty z wycinków jajników obu przypadków, bo zdawało mi się, że macie w laboratorium na dole porządny mikroskop.

Zimmermann cicho gwizdnął.

–Jedynym elementem łączącym obie zmarłe jest to, że były leczone w Omnicenter?

–

Kate skinęła głową. – Cóż, nie mogę wiele dodać. Panna Rittenhouse była pacjentką Omnicenter od siedemdziesiątego dziewiątego roku. Przechodziła jedynie rutynowe badania;

raz... kiedy nie przyszła na umówioną wizytę... poprosiliśmy, by poddała się badaniu u innego

lekarza. Umowa, którą podpisują nasze pacjentki, daje nam taką możliwość.

–Wiem. Sama ją podpisywałam. – Umowa między pacjentką a ośrodkiem była

kolejnym dowodem służącej pacjentowi filozofii Omnicenter. Opłatę za opiekę uiszczano raz

w roku, jej wysokość zaś ustalano w zależności od dochodów pacjentki. Lekarze Omnicenter

nalegali na dotrzymanie terminów wizyt, ale system był tak skonstruowany, że nie służyło

to zwiększaniu wpływów. – A co z Beverly Vitale?

Zimmermann wzruszył ramionami.

–Pacjentka od sześciu lat. Przerwanie ciąży pięć lat temu... przez odessanie. Miała krążek domaciczny. Nigdy nie przyjmowała środków antykoncepcyjnych ani jakichkolwiek hormonów. Zawsze nieco anemiczna... hematokryt w granicach od trzydziestu czterech do trzydziestu sześciu.

–Dostawała żelazo.

–Zgadza się. Doktor Bartholomew zlecił jej uzupełnianie od pierwszego badania.

–Kto prowadził Ginger Rittenhouse? – Kate próbowała znaleźć jakikolwiek, nawet najodleglejszy, związek.

–Zajmowali się nią kolejni rezydenci, którym miał doradzać etatowy pracownik. Tak się składa, że byłem nim ja, lecz w jej wypadku konsultacja okazała się zbędna. Została naszą pacjentką zaraz po moim pojawieniu się w ośrodku i widziałem ją raz. Od tego momentu nie miała najmniejszych problemów zdrowotnych. – Skrzywił się, zauważywszy, że uwaga była nie na miejscu. – Oczywiście poza tym, co wiemy.

ŚLEPA ULICZKA. Kate ujrzała okiem wyobraźni napisane przez siebie na kartce wyrazy. Spojrzała na zegarek. Za pół godziny miało się zacząć badanie zamrożonego skrawka; jej opinia miała zadecydować, czy pacjentka winna przejść ograniczone czy pełne leczenie. Mimo to nie chciała się pozbawić możliwości drążenia wokół wspólnego czynnika, który, jak się jej zdawało, znalazła.

–Muszę zaraz wracać i zająć się badaniami, Bill. Myślisz, że mógłbyś mnie wziąć do Carla Homera i jego tresowanych małp?

–Oczywiście – odparł Zimmermann. – Czeka na nas. Poza tym gratuluję ci.

–Z jakiego powodu?

–Cóż, wieść niesie, że masz zostać ordynatorem.

Kate roześmiała się smutno.

–Witamy na nowym przedstawieniu pod tytułem „Nie mam tajemnic”. O ile się orientuję, moje nazwisko nie zostało jeszcze oficjalnie przedstawione, możesz więc wstrzymać się z gratulacjami. Poza tym, biorąc pod uwagę katastrofalny stan finansów oddziału, nie jestem pewna, czy lepszą reakcją w takim wypadku nie byłyby kondolencje. Nie wiesz może, czy Fundacja Ashburtonów nie ma w zanadru kilkuset tysięcy?

–Nie mam pojęcia, Kate. Sprawami finansowymi zajmuje się Norton Reese. Ja jestem tylko jednym z wyrobników i tragarzy. Porozmawiaj z nim. Jeśli chodzi o nas, fundacja dobrze się nami opiekuje.

Kate wyszła na wyłożony dywanem, jasno oświetlony korytarz.

–Też bym tak powiedziała – stwierdziła. Szansa na zaangażowanie się Nortona Reese’a na rzecz pomocy jej oddziałowi była zerowa.

MAŁPIA ROBOTA DLA MAŁP. Hasło przebiegało przez całą długość zajmującej część parteru pracowni komputerowej Carla Homera, kilka razy większej od pomieszczeń Marca Sebastiana. Carl Horner, otoczony skomplikowaną elektroniką wartą wiele milionów dolarów, wyglądał nieco anachronicznie. Pod sięgającym kolan kitlem laboratoryjnym miał flanelową koszulę i ogrodniczki. Poobijane robociarskie buciorzy mogły spękać zarówno na stercie skał, jak i w klimatyzowanym apartamencie.

Kiedy Horner witał się energicznym potrząsaniem ręką, Kate natychmiast wyczuła reumatyczne zmiany w każdym jego stawie. Zgarbiony i siwy mężczyzna miał jednak w sobie coś ponadczasowego. Aura ta emanowała nie tylko z jego stroju – znacznie bardziej z oczu, które cechował niezwykle luminescencyjny błękit.

–Doktor Bennett, jestem pani winien przeprosiny. Błąd w sprawie historii choroby pacjentki Rittenhouse został spowodowany niczym więcej i niczym mniej niż moją pomyłką.

Kate się uśmiechnęła.

–Przeprosiny przyjęte. Incydent zapomniany.

–Znalazła pani wyjaśnienia, których szukała?

–Nie, nie znaleźliśmy ich. Panie Horner, mógłby mnie pan oprowadzić? Szczególnie interesuje mnie działanie maszyn zajmujących się farmacją.

–Carl... – odezwał się Zimmermann – gdybyś nie miał ani ty, ani pani doktor Bennett nic przeciwko temu, wróciłbym do pracy. Kate, przejrzę preparaty po południu i spróbuję coś na ich podstawie wywnioskować. Jestem przekonany, że razem dotrzemy do sedna problemu. Życzę miłego oglądania, jesteśmy naprawdę dumni z Carla i jego Małp.

Horner z cierpliwością zaczął przedstawiać procedurę wypełniania recepty.

–Każda pusta recepta jest zaopatrzona w nazwisko pacjentki oraz jej kod i w trakcie wizyty jest dołączana do teczki z historią choroby. Jeśli nie jest potrzebna, lekarz drze ją i wyrzuca. Jak pani widzi, wymienionych jest dwadzieścia pięć leków, każdy z kodem dotyczącym dawkowania przepisywanej ilości oraz zaleceniami. Maszyny wydają tylko te leki i jedynie w postaci przygotowanej przez naszą aptekę... są tak samo dobre jak leki markowe, ale kosztują ułamek tego, co płaci się normalnie. Maszyny automatycznie sprawdzają historię choroby pod kątem uczuleń na przepisany lek oraz ewentualnych interakcji, w jakie środek mógłby wejść z innymi preparatami przyjmowanymi przez pacjentkę. – Prezentacji Homera towarzyszyła дума, z jaką babcia opowiada na brydżyku o ukochanym wnusiu. – Jeśli pojawia się jakikolwiek problem, nie dochodzi do wypisania recepty i pacjentka jest kierowana do farmaceuty, który zajmuje się sprawą osobiście.

–A jeśli lekarz chce przepisać coś spoza dwudziestu pięciu leków na karcie?

–Nasza apteka jest wyposażona we wszystko. Dzięki Małpom potrzebny jest tylko jeden dyżurny farmaceuta, który ma znacznie więcej czasu na zajmowanie się takimi problemami jak interakcje czy efekty uboczne.

–Zadziwiające. Czy Małpy popełniły kiedyś błąd?

Uśmiech Homera był po raz pierwszy nieco protekcjonalny.

–Komputery nie mogą robić błędów. Gwarantują to programy zabezpieczające. Ludzie to oczywiście całkiem inna historia.

–Tak mi mówiono. – Złośliwość Kate była odruchowa. W bezgranicznym zaufaniu Homera do przewodów, procesorów, dyskietek i innych otaczających ich dupereli było coś niepokojącego. – Niech mi pan powie, skąd pochodzą preparaty, które pakują maszyny?

–Od jednego z producentów leków. Co roku przeprowadzamy zamknięty przetarg i kontrakt dostaje ten, kto oferuje najniższą cenę.

–Kto ma go teraz? – Odpowiedź Homera była jak na jej gust wymijająca, co niezbyt pasowało do jego charakteru. Obserwowała jego oczy. Czyżby dojrzała w nich błysk niepokoju? Trudno było zdecydowanie powiedzieć.

–Teraz? Redding. Redding Pharmaceuticals.

–Cóż, są w końcu najlepsi i najnowocześniejsi. – Nie było w tym najmniejszej ironii. W przemyśle o „różnej” przeszłości, mającym na sumieniu między innymi produkcję talidomidu* [Talidomid – lek (Distaval) reklamowany jako bezpieczny środek uspokajający. W 1961 roku odkryto, że stosowany przez kobiety ciężarne prowadzi do ciężkich wad rozwojowych płodu, z zahamowaniem rozwoju kończyn i często zastępowaniem ich przez tzw. odnóża płetwiaste.] i paru innych niszczycieli ludzkiego zdrowia, Redding wyróżniał się

opinią firmy wytwarzającej jedynie bezpieczne produkty oraz produkującej leki dla osieroconych dzieci, cierpiących na choroby tak rzadkie, że nikt nie produkuje odpowiednich specyfików z powodu braku rentowności.

–No cóż, panie Homer. Dziękuję. Pańskie Małpy są naprawdę niesamowite. – Kate odwróciła się, by odejść, coś sobie jednak jeszcze przypomniała. – Ma pan listę firm, które dostawały kontrakty w poprzednich latach?

–Od otwarcia Omnicenter?

–Tak. – Kate po raz drugi wydało się, że widzi zmianę w oczach Homera.

–Nie ma listy. Redding był jedynym dostawcą.

–Osiem przetargów i osiem razy Redding?

–Żadna oferta nawet się do nich nie umywała.

–Rozumiem. Dziękuję za pomoc.

–Żaden problem.

Uścisk ręki na pożegnanie i jego uśmiech wydawały się jeszcze bardziej wymuszone niż podczas powitania. Kate patrzyła, jak powoli odchodzi, i czuła związany z jego osobą nieokreślony niepokój. Spojrzała na zegarek. Badanie skrawka miało się zacząć za dziesięć minut i pacjentka będzie trzymana pod narkozą do momentu wydania opinii. Poza zaalarmowaniem Billa Zimmermanna o tym, co się dzieje, wizyta w Omnicenter nic nie przyniosła. Mimo wszystko ośrodek w dalszym ciągu wydawał się jedynym ogniwem łączącym obie kobiety. Idąc przez hol po kurtkę, Kate zastanawiała się nad możliwymi drogami przeniesienia się zmian patologicznych krwi

i jajników. Zatrzymała się przy recepcji i w pośpiechu napisała notatkę do Zimmermanna.

Drogi Billu

Dzięki za rozmowę i pokaz. Nie ma na razie odpowiedzi, ale może wspólnie ją znajdziemy. Jeśli się zgodzisz, przyślę kilku mikrobiologów, by zebrali próbki wirusowe i bakteryjne do hodowli. Sprawdź także wasze techniki sterylizacji narzędzi – może jakaś toksyna dostała się tą drogą.

Zawiadom mnie, jeśli cokolwiek odkryjesz. Zjrzyj także do kalendarza i poszukaj wolnego terminu, kiedy mógłbyś przyjechać na północ, na kolację ze mną i moim mężem. Chętnie skorzystam z okazji bliższego poznania się.

Kate

Zakleiała notkę i podała ją recepcjonistce.

–Mogłaby pani zadbać o to, by dotarła do doktora Zimmermanna? – Recepcjonistka skinęła głową. Kate była w połowie drogi do wejścia do tunelu, kiedy stanęła, chwilę się

zawahała i zawróciła. Wzięła notatkę od recepcjonistki, wyjęła ją z koperty i dodała:

PS.

Jeszcze jedno, Bill... mógłbyś przysłać mi po dziesięć tabletek z każdego leku, jaki wydają Małpy? Dziękuję.

K.

–No więc jak, Clyde? Mogę na ciebie liczyć, czy nie? Norton Reese odłożył spinacz do papieru, którym się bawił, i popatrzył przez biurko na ordynatora oddziału kardiologicznego. Clyde Breslow był czwartym ordynatorem, z którym dziś rozmawiał.

Mimo delikatnych sugestii o korzyściach, jakie ich oddziały mogłyby odnieść w sprawie

zaopatrzenia w ciągle potrzebny nowy sprzęt natychmiast po odrzuceniu nominacji Kate

Bennett, trzech poprzednich nie zadeklarowało pomocy w blokowaniu jej kandydatury.

Wręcz przeciwnie, Milner z interny i Hoyt z pediatrii stwierdzili *de facto*, że byliby zadowoleni z jej udziału w Komitecie Wykonawczym. Milner określił ją wręcz mianem:

„Bystra młoda krew”.

Breslow, napoleońskiego wzrostu i temperamentu, obserwował zdenerwowanie Reese’a z niejakim rozbawieniem.

–Cóż takiego jest w tej dziewczynie, co cię tak bardzo martwi, Norton? – spytał, posługując się dialektem, który jednak zniknął z jego mowy, kiedy darł się na pielęgniarki i rzucał narzędziami po sali operacyjnej albo wrzeszczał na studentów i ciskał przedmiotami po laboratorium z psami. – Nie chce przed tobą rozłożyć swych ślicznych nóżek?

–Dziwka zszargała mi opinię przed zarządem, Clyde. Powinieneś pamiętać. Cały problem spowodował twój jebany mikroskop do operacji. Prędzej mnie szlag trafi, niż dopuszczę ją do mojego komitetu wykonawczego.

–Hola, Norton! TWOJEGO komitetu wykonawczego? Nie za bardzo przejąłeś się rolą w kwestii organu, w którym nie masz nawet prawa głosu?

–Posłuchaj, Clyde. Miałem kiepski dzień. Pomożesz mi i pogadasz z chirurgami, czy nie?

–Cóż... to zależy...

–Chodzi ci o jeszcze jednego rezydenta? Clyde, nie mogę. Już ci mówiłem.

–W takim razie lepiej będzie, byś się przyzwyczaił do widoku na wtorkowych posiedzeniach ślicznej buźki Katey B.

Reese złamał na pół ołówek.

–Dobrze. Spróbuję. – W myśli sklął Kate Bennett za to, że musi się godzić na manipulowanie jego osobą przez takie typy jak Breslow.

–Nie próbuj, ale załatw to. Wiesz, co mi się wydaje, Norton? Moim zdaniem boisz się jej. Tak myślę. Lalunia z mózgiem to więcej niż możesz wytrzymać.

Reese wybuchnął bez ostrzeżenia.

–Posłuchaj no, Clyde! – Wstając, huknął krzesłem o ścianę. – Już bez bawienia się w

psychomatołka masz dość problemów z zapamiętaniem, że serce mieści się nad pępkiem,

więc weź dupę w troki i daj mi w tej sprawie nieco wsparcia. Ja w zamian zrobię, co się da,

byś dostał swojego cholernego rezydenta.

Z wymuszonym uśmiechem, Clyde Breslow wyszedł tyłem z gabinetu. Reese opadł ciężko na fotel. Bać się Kate Bennett? Akurat! Po prostu nie mógł znieść zadzierającej nosa, próbującej dać światu gwiazdkę z nieba gówniary biegającej po szpitalu i udającej dorosłą. Powinna siedzieć w domu, pilnować kuchni i rozkładać nogi dla tego adwokacyny.

–Panie Reese, telefon do pana na dwójce. – Głos sekretarki zaskoczył go i odchylając się w stronę interkomu, rozlał fusy z kawy na biurko.

–Cholera, Betty, mówiłem, byś mnie z nikim nie łączyła!

–Wiem, proszę pana. Przepraszam, ale dzwoni pan Horner z Omnicenter. Powiedział, że to bardzo ważne.

Reese westchnął.

–Dobrze. Przekaż mu, by zadzwonił do mnie pod trzy, siedem, cztery, cztery. – Oczyszczył biurko z fusów i czekał, aż zadzwoni aparat jego prywatnej linii. Było dość niezwykle, że Carl Horner zdecydował się zatelefonować. Sprawy Omnicenter załatwiał zwykle Arlen Paquette, dyrektor do spraw bezpieczeństwa produktów w Redding. Zanim rozległ się dźwięk dzwonka, wymyślił kilka ewentualności, które mogły być na tyle ważne, że Horner zdecydował się osobiście zadzwonić, prawda jednak kompletnie zwała go z nóg.

–Panie Reese – zaczął Horner – telefonuję w imieniu naszych wspólnych znajomych. – Horner nigdy nie wymieniłby przez telefon nazwiska Cyrusa Reddinga, ale Reese nie miał najmniejszej wątpliwości, o kim mowa.

–Co słyhać u naszego przyjaciela?

–Jest trochę zdenerwowany, panie Reese. Pewna osoba z pańskiego personelu lekarskiego weszła w sprawie Omnicenter; interesowało ją wydawanie leków i zażądała od

doktora Zimmermanna próbek naszych preparatów.

Użycie przez Homera rodzaju żeńskiego sprawiło, że Reese poczuł, jak zamarza mu szpik w kościach.

–O kogo chodzi? – spytał, choć znał już odpowiedź.

–To doktor Bennett, lekarz patolog. Bada sprawę śmierci dwóch kobiet, które były naszymi pacjentkami.

–Niech ją cholera – powiedział Reese, ale tak cicho, by go nie usłyszano. – Homer, jest pan... to znaczy, czy Omnicenter jest odpowiedzialny za ich śmierć?

–Nie wygląda na to.

–Jak to: „nie wygląda”? Wie pan, o jaką stawkę idzie gra? Paquette obiecał, że nic takiego się nie przydarzy. – Reese poczuł ucisk w klatce piersiowej i musiał włożyć pod język tabletkę nitrogliceryny. Przysiągł sobie, że jeśli to początek poważnego problemu z jego zdrowiem, ostatnią rzeczą, jaką zrobi na ziemi, będzie strzelenie Kate Bennett między oczy.

–Nasz przyjaciel uważa, że może pan być spokojny i się nie martwić. Cieszyłby się jednak, gdyby udało się panu znaleźć jakiś sposób na... odwrócenie uwagi doktor Bennett od Omnicenter do czasu, aż uda nam się załatwić kilka detali i dokładnie

przeanalizować przyczyny wspomnianych zgonów.

–Co mam zrobić?

–Tego, panie Reese, ja nie wiem. Nasz przyjaciel sugeruje pozbycie się tej kobiety.

–Nie mogę tego zrobić. Przecież ja, na Boga, ani nie zatrudniam, ani nie wyrzucam lekarzy.

–Nasz przyjaciel chce, by załatwić tę sprawę jak najszybciej. Prosił mnie o przypomnienie panu, że niektóre kontrakty mają być odnowione za niecały miesiąc.

–Niech się pieprzy.

–Słucham?

–Powiedziałem: „oczywiście”. Postaram się coś wymyślić. – Nagle się rozpromienił.

– A prawdę mówiąc... – sięgnął do szuflady biurka – to już coś mam.

–Świetnie – odparł Carl Homer. – Wszyscy uczestniczący w sprawie docenią pański wysiłek. Jestem pewien, że jeśli się panu uda, nasz przyjaciel okaże wielką wdzięczność.

Reese zauważył, że nie padło słowo „kiedy”, lecz „jeśli”, nie miało to jednak znaczenia.

–Będziemy w kontakcie – zakończył rozmowę i wyjął z szuflady teczkę z etykietą SCHULTZ/GEARY. W środku znajdowały się artykuły prasowe, oficjalny raport z sekcji, podpisany przez doktora Stanleya Willoughby’ego i doktor Kate Bennett oraz notatka wyjaśniająca, sporządzona przez Sheilę Pierce. W teczce były też wyniki badań laboratoryjnych osobnika o nazwisku John Schultz... pacjenta, który, zdaniem Sheili Pierce, nigdy nie był leczony w szpitalu Metropolitan. Choć szansa zamęcenia wody nie była stuprocentowa, stwarzała wszelako duże możliwości.

Sheilo, myślał, wkręcając kartkę papieru w maszynę do pisania, jeśli to wypali, zadbam o to, byś dostała co miesiąc jedną, może dwie noce więcej. *Do Charlesa C. Estepa, redaktora naczelnego „The Boston Globe”.* Pisząc, Reese mruczał słowa pod nosem. Przerwał i popatrzył na zegarek. Kiedy skończy pierwszy szkic, patologów nie będzie już na oddziale. Papier firmowy Kate Bennett oraz próbka jej podpisu wystarczą, by rozwiązało się kilka jego problemów. Baba zejdzie mu z karku – być może na zawsze – a Cyrus Redding – jak ujął to Homer? – „okaże wielką wdzięczność”.

Drogi Panie Estep...

Pisząc, Norton Reese zaczął nucić „Nie ma nic lepszego od prawdziwej damy”.

Rozdział 5

Czwartek, 13 grudnia

–Myślisz, że Bóg to mężczyzna czy kobieta, tato? Suzy Paquette siedziała ze

skrzyżowanymi nogami na fotelu pasażera nowego mercedesa 450 SL ojca, stojącego obok

dystrybutora na stacji Texaco w Bowen.

Siedzący za kierownicą Arlen Paquette obserwował przedpołudniowy ruch uliczny na Main Street, ale jego myśli były dalekie zarówno od pytania córki, jak i oglądanego miejskiego krajobrazu.

–No więc jak, tato?

–Co „no więc jak”, skarbie? – Pracownik stacji stuknął dwa razy w bagażnik, że skończył. – Na firmę, Harley! – krzyknął Paquette, wyjeżdżając.

–Jest kobietą czy mężczyzną?

–Kto jest kobietą czy mężczyzną, skarbie?

–Bóg! Tato, wcale nie słuchasz. – Dziewczynka miała siedem lat, jasnobrązowe

włosy, spięte w dwa kucyki. Buzię jak u porcelanowej lalki próbowała skrzywić w dąsie.

Paquette wjechał na wolne miejsce przed budynkiem dowództwa armii i marynarki Darlington i zaparkował. Zdawał sobie sprawę z tego, że nigdy nie jest całkiem spokojny, ale dziś rano był szczególnie napięty i rozkojarzony. W końcu jednak był drugi czwartek w miesiącu i mógł być w związku z tym nieuważny oraz zdenerwowany, podobnie jak rano wobec żony. Odwrócił się do córki. Dziewczynce udało się w końcu przybrać minę, o którą jej chodziło, przyciskała więc plecy do drzwi i prezentowała dąsy w całej krasie, ciasno oplatając ramionami klatkę piersiową. Paquette nie miał najmniejszej wątpliwości, że jego córka jest najpiękniejszym dzieckiem świata. Wyciągnął ręce i objął ją. Dziewczynka zeszywniała, zaraz jednak się rozluźniła i odwzajemniła uścisk.

–Przepraszam, kochanie, nie słuchałem. Przepraszam, Kocham cię i sądzę, że dla kobiet Bóg jest kobietą, dla mężczyzn mężczyzną, a dla małych piesków prawdopodobnie małym pieskiem.

–Ja też cię Kocham, tato. I w dalszym ciągu nie wiem, dlaczego mam się modlić

„Ojciec nasz”, kiedy Bóg może jest naszą Matką.

–Masz rację. Sądzę, że od teraz powinnaś mówić: „Kumplu nasz, któryś jest w niebie”.

–Tato...

Paquette popatrzył na zegarek.

–Posłuchaj, skarbie, mam za pół godziny spotkanie. Muszę jechać. Bądź grzeczna. Uśmiechnęła się w sposób, od którego miękło serce.

–Nie muszę być grzeczna, tato. To tylko czyszczenie.

–W takim razie bądź... czysta. Mama niedługo po ciebie przyjedzie. Jeśli skończycie,

a jej nie będzie, zaczekaj.

Patrzył, jak wbiega schodami do wejścia w części zajmowanej przez wojsko, a kiedy pomachała mu zza oszklonych drzwi z napisem DR RICHARD PHILLIPS, STOMATOLOG, ruszył spod krawężnika. Pojechał na południe miasta, na odbywające się w każdy drugi czwartek miesiąca, wyznaczone na jedenastą, spotkanie z Cyrusem Reddingiem, prezesem i przewodniczącym zarządu największej chyba na świecie firmy farmaceutycznej. Spotkanie zacznie się punkt jedenasta i zakończy dokładnie dziesięć minut po dwunastej. Od siedmiu lat – od początku pracy Paquette’a w firmie – było tak samo i na pewno tak pozostanie, dopóki Cyrus Redding będzie żył i rządził. Dziewiąta – laboratoria, dziesiąta – kontakty z mediami, jedenasta – bezpieczeństwo produktów, następnie godzina i dziesięć minut na lunch, po czym kolej na dział badawczo-rozwojowy, sprzedaż i produkcję, na koniec – od trzeciej do za dziesięć czwarta – prawnicy. W tym porządku w każdy Drugi Czwartek kierownicy działów spotykali się z Cyrusem Reddingiem. Godziny rozpoczęcia spotkań i kolejność były święte. Urlopy należało układać tak, by omijały Drugi Czwartek, choroby leczyć i wytrzymywać, dopóki nie wymagały leczenia szpitalnego. Pewnego razu Redding nawet przeniósł konferencję do sali szpitalnej. Drugi Czwartek. Podwyżki, nowe projekty, krytyka, decyzje o przerywaniu prowadzonych prac – wszystko, co tylko się dało, miało być załatwiane tego dnia.

Fabryka zajmowała prawie całą dwunastohektarową działkę, przylegającą od zachodu i południa do porośniętych sosnowym lasem wzgórz, a od wschodu do Pinkham’s Creek. Cały teren otaczał podwójny, niemal trzymetrowy płot, dodatkowo zabezpieczony na górze drutem kolczastym. Wewnętrzny zasiek był podłączony do prądu – w ciągu dnia napięcie było tak dobrane, by oszołomić, w nocy i w weekendy podwyższano je do śmiertelnego. Jedyne droga dojazdowa – biegnąca od północy, równoległe do nowych torów – była wysadzana drzewami i utrzymywano ją w

**nienagannym stanie. Dwieście metrów przed płotem droga się rozwidła -
pracownicy i dostawcy kierowali się na lewo, wszyscy inni na prawo. Nad
rozwidleniem rozciągał się pomalowany wszystkimi kolorami tęczy napis
oznajmiający:**

REDDING PHARMACEUTICALS

DARLINGTON, KENTUCKY

1899

NAJWIĘCEJ DOBRA DLA
NAJWIĘKSZEJ LICZBY LUDZI,
ZA NAJNIŻSZĄ CENĘ

Paquette skręcił pod znakiem w prawo i zatrzymał się przed pomalowaną na jasny kolor stróżówką, pierwszym ogniem serii środków bezpieczeństwa. Jak prawie w każdy Drugi Czwartek zastanawiał się, czy wiedząc to, co wiedział obecnie, zrezygnowałby z etatu pracownika naukowego w Connecticut i został dyrektorem działu bezpieczeństwa produktów. Pytanie było oczywiście jedynie hipotetycznej natury, podjął bowiem pracę. Zgodził się uczestniczyć w grze Cyrusa Reddinga według reguł Cyrusa Reddinga i teraz – czy mu się to podobało, czy nie – był człowiekiem Cyrusa Reddinga. Oczywiście, że roczna pensja, przekraczająca z premiami czterysta tysięcy dolarów, bardzo łagodziła wyrzuty sumienia. Suzy była najmłodsza z trójki dzieciaków, które pewnego dnia znajdują się równocześnie na studiach. Zatrzymał się przy ostatniej bramce, podał strażnikowi kluczyk do bagażnika i bębniąc nerwowo palcami w kierownicę, czekał, aż sprawdzian dobiegnie końca. Spóźnienie na konferencję w Drugi Czwartek mogło drogo kosztować.

W ciągu stu osiemdziesięciu lat od dnia, w którym Gault Darling doprowadził bandę renegatów, bimbrowników i innych wyrzutków społeczeństwa do pełnego zieleni zakątka u stóp gór Cumberland, po czym zabił dwóch ludzi, by móc nazwać nowe miasto swym nazwiskiem, Darlington w stanie Kentucky przeszło mnóstwo wzlotów i upadków. Miasto było rzucane na kolana przez choroby, przemarsze wojsk, Irokezów, powodzie, pożary, a nawet, raz czy dwa, przez tornado. Coś jednak zawsze pozostawało i Darlington się odradzał.

W 1858 roku linia kolejowa Lexington-Knoxville biegła wystarczająco blisko, by opłacało się zbudować odnogę, której zasadniczym celem był transport węgla z bogatych kopalni w Juniper. Pod koniec wieku ilość wydobywanego w Juniper węgla tak jednak spadła, że tor przestał być używany i spisano go na straty. Darlington kolejny raz miało zmienić się w miasto duchów. Zamykano sklepy, szkoła i kościół baptystów spłonęły i nie zostały odbudowane. Samorząd miejski zaczął się kurczyć, by w końcu całkiem się rozwiązać. I tak w miejscu, gdzie mieszkało dobrze ponad tysiąc osób, pozostała garstka ludzi. Na szczęście był wśród nich Elton Darling,

samozwańczy potomek Gaulta.

W 1897 roku Darling dopuścił się gigantycznego oszustwa, wykorzystując trzy sakwy rudy o niskiej zawartości złota, dwóch konfederatów oraz swą godną podziwu zdolność

udawania, że jest kompletnie pijany. Plotki o „darlingtońskiej żyle” błyskawicznie dotarły z Chicago do Atlanty i natychmiast zaczęła napływać ludność do Darlington. Spora część przybyszy zamieszkała tu na stałe – albo z odkrytej w sobie miłości do okolicy, albo z braku środków, by się dokądkolwiek udać.

Przywróciwszy odpowiedni poziom zaludnienia, Elton Darling zabrał się do uprzemysłowienia miasteczka, a wykorzystał do tego celu jedyne dostępne bez ograniczeń dobro, czyli bogatą w siarkę wodę Pinkham’s Creek, rzeczki stanowiącej dopływ rzeki Cumberland. W niecały rok – za pomocą pewnej ilości barwników spożywczych, butelek z matowego szkła, atrakcyjnej etykiety oraz agresywnej sprzedaży – podła woda ze strumienia, w którym nie była w stanie przeżyć nawet najbardziej wytrzymała ryba, stała się Zdziwiającym Eliksirem Odmładzającym i Oczyszczającym Darlinga – cudownym środkiem, „skutecznym” na wszystko, od puchliny do łysiny.

Do śmierci w 1939 roku Elton Darling dokonywał w swym produkcie zmian, zgodnych z wymogami klientów i czasów. Zgromadził także skromny majątek. Kiedy kierownictwo fabryki przejął jego syn Tyrone, „naturalny odmładzacz” zastąpiono witaminami i minerałami, a Darlington Pharmaceuticals weszła – choć nie za ostro – na giełdę.

Tyrone Darling nie był tak znakomitym wizjonerem i biznesmenem jak ojciec i większość czasu spędzał – wydając na nie gros swych pieniędzy – na zakupach koni wyścigowych, nieodnoszących jednak sukcesów, oraz zabawianiu kolejnych „dam z towarzystwa”, z których każda nie miała pojęcia, jak się robi pieniądze, ale doskonale umiała je wydawać. Aby poradzić sobie z odpływem rezerw, Darling wpadł na prosty pomysł: wydawać kolejne akcje i stopniowo sprzedawać udziały własne. Na jesieni 1947 roku, podczas corocznego zebrania akcjonariuszy, spadł topór. Przedstawiciele człowieka, znanego jedynie jako „pan Redding”, okazali dokumenty potwierdzające, że jest on w posiadaniu ponad pięćdziesięciu trzech procent Darlington Pharmaceuticals, i nie minął dzień, jak firma przeszła w ręce pana Cyrusa Reddinga z Nowego Jorku w stanie Nowy Jork. Pozbawiony wpływów oraz źródła dochodu, Darling próbował pertraktować, o ile jednak wiadomo, nawet nie udało mu się doprowadzić do spotkania z człowiekiem, który zajął jego miejsce. W sylwestra tego samego roku Tyrone został zastrzelony wraz z niejaką panią Densmore przez pana Densmore’a.

W ten sposób losy miasta Darlington w stanie Kentucky zaczęły wiązać się z

prowadzącym samotnicze życie geniuszem o nazwisku Cyrus Redding oraz firmą farmaceutyczną, która nosiła teraz jego nazwisko. W następnych latach zanotowano kilka pomniejszych sukcesów: wyprodukowano skoncentrowaną tetracyklinę Terranyd, środek

Rebac przeciwko nadkwasocie, sprzedawany bez recepty, oraz pewne preparaty przeciwko przeziębieniu. Firma Redding Pharmaceuticals podwoiła się, proporcjonalnie do tego wzrosła ludność Darlington. Na początku lat sześćdziesiątych Redding zakupił patenty z prawem wyłączności na teren USA kilku dobrze się sprzedających produktów europejskich, w tym środka uspokajającego, który po przypominającej *Blitzkrieg* kampanii promocyjnej, stał się jednym z najczęściej przepisywanych leków świata. Rok po wprowadzeniu go na rynek amerykański Darlington przyznano tytuł Typowego Amerykańskiego Miasta, wkrótce potem powstała grająca w drugiej lidze drużyna baseballowa Darlington Dukes.

Marilyn Wyman wypiła łyk kawy i zaryzykowała spojrzenie na swego złotego rolexa. Jeszcze dziesięć minut i dla rzecznika prasowego Redding Pharmaceuticals skończy się kolejny Drugi Czwartek. Siedzący za biurkiem Cyrus Redding uważnie jej się przyjrzał przez grube jak denka butelek coca-coli szkła okularów.

–Zostało jeszcze osiem minut i trzydzieści sekund, Marilyn. Zdążymy?

–Przepraszam, *sir*. Wyman miała pięćdziesiąt kilka lat i choć pracowała dla firmy dłużej od wszystkich

innych dyrektorów wydziałów, nikt nigdy nie słyszałby mówić o swym szefie inaczej jak „pan Redding”. Rozmawiając z nim, zwracała się do niego *per sir*. Miała krótko ostrzyżone brązowe, siwiejące włosy i cechowała ją wyrafinowana zmysłowość, którą z wielkim kunsztem wykorzystywała w kontaktach z przedstawicielami środków masowego przekazu, obojga płci.

–Mamy jeszcze jedną sprawę. Niemałą. Chodzi o synogard.

–Zdawało mi się, że został wycofany z rynku.

–W Anglii tak, ale u nas jeszcze nie. Minęło dopiero osiem tygodni od wprowadzenia go na rynek i już jest w pierwszej czterdziestce, jeśli chodzi o sprzedaż, i w dwudziestce piątce, jeśli chodzi o zwrot nakładów.

–Szkoda. Informacje, jakie dostawałem od lekarzy i pacjentów, były znakomite. Niestety Brytyjczycy musieli udowodnić, że jest odpowiedzialny za... ile zgonów? Sześćdziesiąt?

–Osiemdziesiąt pięć.

–Osiemdziesiąt pięć...

Wyman odruchowo się wzdrygnęła. Synogard wprowadzono na rynek amerykański

niemal równocześnie z zakupem przez Redding patentu. Choć nie wiedziała, jak zostało to zaaranżowane, wymagane przez FDA* [FDA (Food and Drug Administration) – Komisja do

spraw Żywności i Leków.] okresy testowania – laboratoryjnego i klinicznego – zostały pominięte. Nie do niej jednak należało pytać o takie sprawy. Testowanie było działką Arlena Paquette'a, a wymienianie się informacjami między dyrektorami wydziałów nie tylko było przez Reddinga niemile widziane, ale wręcz zakazane.

–Cóż, w dalszym ciągu mamy lapsol i carmalon – stwierdziła. – Z liczb, które

oglądałam wczoraj, wynika, że oba są w dziesiątce preparatów przeciwreumatycznych.

Napiszę informację dla prasy, zapowiadającą przerwanie produkcji synogardu, i zobaczę, co

da się zrobić, by przypomnieć ludziom oba pozostałe leki.

–Nic takiego nie zrobisz, Marilyn.

–Słucham?

Redding wyjął spośród leżących na jego biurku papierów wydruk komputerowy.

–Masz pojęcie, ile milionów kosztowało kupienie patentu na synogard, przetestowanie go, przygotowanie produkcji, reklama, rozdanie próbek lekarzom i rozprowadzenie leku po aptekach i szpitalach? Poprawka, panno Wyman: nie „ile milionów”, a „ile dziesiątek milionów”. – Marilyn Wyman pokręciła głową. – Z danych, które tu mam, wynika, że produkt musi pozostać na rynku przynajmniej jeszcze dziesięć tygodni, by zwróciły się nakłady. Na tym masz skoncentrować swe wysiłki.

–Ale... – Spojrzenie Reddinga informowało jednoznacznie, że nie ma dyskusji. Wbiła wzrok w czubki mokasynów od Ferragamo, za dwieście dolarów. – Tak jest, sir.

–Otrzymałem trochę wstępnych danych z firmy audytowej, którą zatrudniłaś, i wynika z nich, że niecałe czterdzieści procent lekarzy i mniej niż dziesięć procent konsumentów zdaje sobie sprawę z tego, co się dzieje w Anglii. Chcę, by pozostało tak przez najbliższe dziesięć tygodni.

–Ale...

–Cholera jasna, nie potrzebuję żadnych „ale”. Potrzeba mi dziesięć tygodni sprzedaży, byśmy mogli wyciągnąć dupsko z produkcji tego preparatu, nie dopłacając do interesu. Nasz dział prawny załatwi swoje z FDA. Jeśli zamierzasz serwować jakieś „ale”, znajdę sobie rzecznika prasowego, który będzie umiał wykonywać robotę jak należy. Czy mam ci przypominać, że pierwszą rzeczą, jaką zrobi twój następca, będzie kreatywne zajęcie się teczką z etykietą M. WYMAN, którą trzymam w biurku?

Zagryzła dolną wargę i kiwnęła głową. Minęło już kilka lat od chwili, kiedy Redding wspomniał o posiadanej przez siebie kolekcji zdjęć, nagrań rozmów telefonicznych i tego, co się działo w apartamencie hotelu, w którym spędzała urlop w Acapulco. Pod fachowo nałożonym makijażem jej twarz stała się szara jak popiół.

Widząc kapitulację w jej oczach, Redding złagodniał.

–Posłuchaj, Marilyn. Zrób swoje. Obiecuję ci, że jeśli po naszej stronie Atlantyku przydarzy się coś złego z synogardem, natychmiast go wycofamy. Zgoda? To świetnie. Powiedz mi teraz, jak się sprawuje twój samochodek.

–Alfa? Dziękuję, dobrze. Potrzebuje tylko podrasowania, ale to wszystko.

–Nie przejmuj się tym. Zawieź auto do Buddy’ego Michaela w Darlington Sport. Dostał właśnie nowego lotusa i aż się pali, by pokazać ci piękno wiejskich dróg Kentucky. – Popatrzył na wbudowany w biurko elektroniczny zegarek. – Za osiem jedenasta. To było wartościowe spotkanie, Marilyn. Jak zwykle znakomicie się spisujesz. Może wpadniesz do mnie za tydzień i złożysz mi sprawozdanie ze swych postępów, dobrze? Dowiedziałbym się także, jak twój nowy lotus radzi sobie ze zjazdem z Czarnej Góry. – Z uśmiechem, skinieniem głowy i minimalnym ruchem ręki, Marilyn Wyman została odprawiona.

Kiedy pojawiła się Wyman, Arlen Paquette pił kawę w okazałej poczekalni przed gabinetem Reddinga. Choć oboje od lat pracowali w tej samej firmie, rzadko się widywali poza Drugim Czwartkiem. Mimo wszystko pozdrowili się serdecznie; obydwójce czuli, że w innym miejscu i czasie mogliby się zaprzyjaźnić.

Punkt jedenasta Marilyn Wyman wyszła z recepcji, a Paquette stanął przy drzwiach gabinetu Reddinga, zapukał i wszedł. Rozpoczęła się trzecia godzina Drugiego Czwartku.

Redding przywitał się, wyciągając rękę przez biurko. Czasami, kiedy mieli niewiele spraw do omówienia, Redding podjeżdżał swym elektrycznym wózkiem inwalidzkim do stolika do kawy, stojącego pod ścianą olbrzymiego gabinetu, i dawał Paquette’owi znak, by usiadł naprzeciw niego na bordowej chesterfieldzkiej sofie. Dziś jednak to nie nastąpiło.

–Posłałem po lunch, Arlen. Możemy potrzebować więcej czasu.

Paquette lekko zeszywniał. Przez siedem lat spotkanie z szefem nigdy nie zostało przeciągnięte.

–Jestem do dyspozycji – odparł, doskonale zdając sobie sprawę z tego, że stary człowiek przed nim dobrze wie, iż to jedynie słowny ozdobnik.

–Masz jakieś problematyczne kwestie, które chciałbyś na początek omówić?

Paquette pokręcił głową. Wiedział, że Cyrus Redding nienawidzi „niespodzianek”.

Jeśli występowały jakiegokolwiek problemy, należało bezzwłocznie dzwonić i je omawiać.

–To świetnie. – Redding poprawił krawat i przeczesał palcami krótko ostrzyżone siwe

włosy. – Mam dwie sprawy, które musimy przedyskutować. Pierwsza dotyczy synogardu.

Masz pod ręką dane?

–Mam dane dotyczące wszystkich aktualnych spraw – oznajmił Paquette i zaczął grzebać w dużej teczce, noszącej oznaki długiego użytkowania.

–Czy wyniki naszych testów synogardu są „aktualne”? – Ton głosu Reddinga sugerował, że odpowiedź przeczącą uważać będzie za „niespodziankę”.

–Tak i nie, sir. Formalne testy zostały zakończone kilka miesięcy temu. Ma pan moje sprawozdanie.

–Tak, pamiętam treść.

–Kiedy przeczytałem o problemach w Wielkiej Brytanii, postanowiłem kontynuować podawanie leku kilku obiektom testowym w Ośrodku Zdrowia Kobiety w Denver.

–Znakomite myślenie, Arlen. Wyśmienite. Wystąpiły jakieś efekty uboczne?

–Jedynie nieistotne. Obrzęki i bóle piersi, podrażnienie żołądka, biegunka, u kilku osób wypadanie włosów, osłabienie popędu płciowego, wysypka i przyśpieszenie tętna. Nic poważnego albo groźnego dla życia.

NIC POWAŻNEGO ALBO GROŹNEGO DLA ŻYCIA. Nawet po siedmiu latach to, co

Paquette czuł, miało się nijak do bezduszności jego słów. Pozostawał jednak człowiekiem Reddinga, a Reddinga interesowały wyłącznie te efekty uboczne, które były na tyle poważne i powtarzające się, by ściągnąć firmie na kark kłopoty. Tylko „poważne” efekty uboczne mogły stanowić powód opóźnienia w wprowadzaniu nowego produktu na rynek. W biznesie, w którym tydzień oznaczał często miliony dolarów, a przewaga nad konkurencją dziesiątki milionów, Redding miał jednoznacznie ustalone priorytety.

–Ile obiektów uczestniczyło w testowaniu synogardu?

–Wliczając te w Denver i w bostońskim Omnicenter, prawie tysiąc. – Sprawdził notatki. – Dziewięćset siedemdziesiąt.

–I nikt z Omnicenter nie dostaje w tej chwili synogardu?

–Testy zostały wstrzymane miesiące temu. Było zbyt wiele innych produktów, które musieliśmy wprowadzić do systemu.

Paquette zdawał sobie sprawę z tego, że wycofanie synogardu z rynku brytyjskiego będzie oznaczać dla Redding Pharmaceuticals porażkę, jeśli wręcz nie katastrofę, nigdy bowiem od momentu przejęcia firmy przez mężczyznę na wózku inwalidzkim nie wycofano żadnego z jej produktów, ba – żaden nie został poddany badaniu przez FDA. Badanie leków w Europie rzadko sięga standardów wyznaczonych przez FDA, Wielka Brytania jest jednak znana z norm, które raczej gwarantują bezpieczeństwo, poza tym wszystkie farmaceutyki -zarówno te sprowadzone z Europy, jak i stworzone w laboratoriach Redding Pharmaceuticals – były dodatkowo badane w ośrodkach testowych w Denver i Bostonie. Dzięki temu problemy

związane z pewnymi produktami – przynajmniej te, które pasowały do definicji „problemu” Cyrusa Reddinga – były zawsze rozpoznawane, zanim firma się zaangażowała w produkcję... zawsze... do teraz.

–Powiedz mi, Arlen – rzekł Redding, nalewając sobie z wbudowanego w burko kraniku filiżankę kawy i dodając do niej odrobinę mleka z maleńkiej karafki – co się, twoim

zdaniem, stało? Jak mogło to ująć naszej uwagi?

Paquette próbował dostrzec w słowach szefa jakieś napięcie, ślad potępienia, ale nie było niczego takiego.

–Cóż, zasadniczo wszystko sprowadza się do rachunku prawdopodobieństwa. – Przerwał, myśląc, na ile naukowo przedstawić swe opinie. Nie miał pojęcia, jakie Cyrus Redding ma wykształcenie, z dotychczasowych rozmów wynikało jednak, że

musiał miewać do czynienia z nauką. Postanowił przedstawić swój pogląd wprost, unikając protekcjonalności. – Efekty uboczne synogardu... toksyczność kardiologiczna, którą czyni się odpowiedzialną za zgony w Anglii, wydaje się być po części alergią, po części zjawiskiem zależnym od dawki.

–Innymi słowy – przerwał Redding – pacjent musi być uczulony na lek oraz dostać go w dużej dawce.

–Dokładnie. Statystycznie biorąc, sytuacja taka nie zdarza się często. Ponieważ jednak synogard okazał się bardzo skuteczny i miał dobry marketing, przez sześć lat od wprowadzenia go na rynek brytyjski wypisano dosłownie miliony recept. Śmierć tu, śmierć tam, między zgonami upływały miesiące i dzieliły je dziesiątki kilometrów. Nie ma jak powiązać ich z lekiem. W końcu jednak, mniej więcej w tym samym czasie i miejscu, pojawiły się problemy w zmasowany sposób i pewien specjalista ze szpitala na krańcu Sussex zebrał wszystko do kupy. Wystarczyło nieco rozgłosu i nagle ze wszystkich stron brytyjskiego świata zaczęły sphywać dane.

–Masz jakiś pomysł... ilu setkom tysięcy pacjentów z zapaleniem stawów synogard pomógł?

–Mogę się tego domyślić i wiem, o co panu chodzi. Stosunek ryzyka do zysku. Mają z tym do czynienia wszyscy ludzie w pańskim fachu oraz każdy, kto zajmuje się leczeniem.

–Postanowiłem zatrzymać synogard na rynku amerykańskim jeszcze na dziesięć tygodni. – Redding wystrzelił bombę cicho i bez ogródek, po czym opadł na oparcie i obserwował reakcja Paquette'a. Nie dało się niczego zauważyć.

–Świetnie – odparł Paquette. – Chce pan, bym kontynuował testy w Denver? Mamy nad konkurencją ponad osiemnaście miesięcy przewagi.

–Jak najbardziej, Arlen.

Paquette skinął głową, dopisał coś m jednej z kartek dotyczących synogardu i

próbując pozostać opanowanym, wsunął ją z powrotem do teczki. Okazaniem swych prawdziwych emocji wobec tego, co Redding wyprawiał niewiele by zyskał – a jak wiele mógłby stracić! Samo ujawnienie jego udziału w „testach” w obu ośrodkach – na co Redding miał dokładną dokumentację – posłałoby go do więzienia. Tak naprawdę to podejrzewał, że gdyby doszło do jakiegoś skandalu, Redding zaczęłby twierdzić, że o niczym nie wiedział i w ten sposób uniknąłby jakichkolwiek zarzutów. Gdyby nawet nie doszło do konfrontacji, to on, Arlen, zostałby zdegradowany, wyrzucony z pracy... niewykluczone, że mogłoby dojść do jeszcze gorszych konsekwencji. Kilka lat temu dyrektor jednego z wydziałów zaczął otwarcie krytykować Reddinga i jego metody i posunął się do przedstawienia swych uczuć

naczelnemu darlingtońskiego „Clarion Journal”. Nie minął tydzień, jak mężczyzna – wyśmienity jeździec -skręcił sobie kark w wypadku podczas jazdy konnej i zmarł w kilka godzin po przewiezieniu do szpitala rejonowego w Darlington.

–Masz sprawozdania dotyczące testowanych produktów na ten miesiąc?

–Tak jest, *sir*. Wypisałem je z komputera wczoraj. Paquette grzebał w aktówce, by znaleźć sprawozdania dotyczące czternastu badanych

aktualnie produktów, kiedy do jego uszu doleciał szum sunących po dywanie kółek wózka inwalidzkiego Reddinga.

–Zostaw je na moim biurku, Arlen. – Redding podjechał na sam środek gabinetu. –

Obejrzę je potem. Mógłbyś przynieść mi kawę? Chciałbym opowiedzieć ci o pewnym problemie w Omnicenter i chętnie na chwilę opuszczę miejsce przy biurku.

Paquette zrobił, o co go poproszono, starał się przy tym odwracać wzrok od szefa, by -jako specjalista od czytania cudzych myśli – nie odkrył, jak niesmaczna była dla niego decyzja dotycząca synogardu. Od dnia ich pierwszej rozmowy, do której doszło ponad osiem lat temu, wyczuwał u starzejącego się inwalidy tę przerażającą zdolność. Wręcz mogło się wydawać, że energia, którą normalnie spożytkowałyby poruszanie się, zasilila inne umiejętności.

–Arlen, kiedy do nas przyszedłeś, Omnicenter już był wykorzystywany?

–Tak jakby, *sir*. – Paquette usiadł na sofie i wziął duży łyk kawy, którą, w momencie kiedy Redding krążył po pokoju na swym wózku, doprawił szcrodre koniakiem. – Komputery działały, nasi ludzie byli na miejscu, ustalone były sprawy finansowe, ale jeszcze nie prowadzono formalnych programów testowych.

–No tak, oczywiście. Przypominam sobie. Powinieneś uważać o tak wczesnej porze z

koniakiem, przyjacielu. Czy w trakcie wykonywania swoich zadań w Bostonie miałeś okazję

zetrąknąć się z patologiem o nazwisku Bennett? Kathryn albo Kate.

Paquette pokręcił głową. Odstawił filiżankę – ciepłe aksamitne łyki przestały dawać oparcie.

–Reese robi, co może, bym miał kontakt z jak najmniejszą liczbą ludzi. – Uśmiechnął się i cicho dodał: – Chyba się mnie wstydzi.

Reddingowi spodobał się ten dowcip.

–To byłoby dla niego typowe. Brak mu uczuć wyższych, w tym umiejętności akceptacji i szacunku. Uważa, że nad ludźmi należy panować albo się ich bać, nie zna stanów pośrednich.

–Rzeczywiście. – Tak trafna opinia zrobiła na Paquette wrażenie, choć wcale go nie zaskakiwała. O ile się orientował, Redding tylko raz kontaktował się bezpośrednio z administratorem szpitala Metropolitan, ale Staremu Wojakowi zazwyczaj wystarczało jedno spotkanie. – Co z tą doktor Bennett?

–Zaczęła węszyć w Omnicenter w związku z dwoma niezwykle zgonami. W obu wypadkach robiła sekcję. Kobiety, o które chodzi, miały podobne zmiany krwi i narządów rodnych i obie były pacjentkami Omnicenter.

–Leczy się tam spory procent bostońskich kobiet – odparł Paquette. – Rozmawiał pan z naszymi ludźmi?

–Zadzwoił do mnie Carl. Obie kobiety uczestniczyły w różnych okresach w naszych badaniach, ale nigdy nie chodziło o ten sam produkt. Związek z Omnicenter wydaje się fałszywym tropem.

–Niestety mamy tam parę innych rzeczy, za których tropem nikt nie powinien chodzić.

–Dokładnie tym się martwię – odparł Redding – a ty się tym zajmiesz. Kazałem przekazać Reese’owi, by znalazł jakiś sposób na odwrócenie uwagi doktor Bennett od naszego ośrodka. Odniosłem wrażenie, iż stać go na to. Kazałem moim informatorom sprawdzić panią Bennett i powiem ci, że Norton Reese to przy niej zero, zarówno intelektualnie, jak i pod względem siły charakteru.

–Będzie ostatnią osobą, która się do tego przyzna.

–Też tak uważam. – Redding otworzył teczkę z szarego kartonu, którą musiał położyć na stoliku tuż przed przybyciem Paquette’a. – Tu masz kopie wszystkich informacji, jakie udało nam się na razie zebrać na temat tej kobiety. Chciałbym, byś pojechał do Bostonu i

przyjrzał się temu, co się tam dzieje. Nie pokazuj się bez porozumienia ze mną, spotykaj się z naszymi ludźmi z Omnicenter jedynie w wypadku absolutnej konieczności.

–Tak jest, *sir*.

–W tym sprawozdaniu znajduje się pewna informacja, która może się okazać dla nas

pomocna. Teść doktor Bennett jest współwłaścicielem kancelarii prawniczej, która pilotuje sprawy prawne szpitala Metropolitan oraz opiekuje się częścią interesów związanych ze sprzedażą płatków śniadaniowych Tiny Tummies na północnym wschodzie. Choć nie jest to ogólnie znane, Tiny Foods jest naszą filią. Człowiek nazywa się Winfield Samuels i, z tego co wiem, jest biznesmenem.

Paquette skinął głową. W ustach Cyrusa Reddinga opinia „biznesmen” była najwyższym komplementem i oznaczała, że człowiek był, tak jak sam Redding, pragmatykiem, który nie pozwala, by emocje utrudniały wykonywanie zadań, których się podjął.

–Wie pan coś o tym, w jaki sposób Reese zamierza poradzić sobie z panią doktor?

–Nie, ale Carl Horner twierdzi, że jest bardzo pewny siebie.

–Jeśli to prawda, powinienem być za kilka dni z powrotem, m Redding dobrotliwie się uśmiechnął.

–Powiedziałem, jak oceniam panią Bennett w porównaniu i z Reese'em, Arlen.

Zarezerwowałem ci pokój w Ritzu. Nie określiłem długości pobytu.

LEKARKA Z METROPOLITAN

TWIERDZI, ŻE BOBBY TO ĆPUN

Redaktor techniczny „Heralda” użył czcionki, której nie stosowano chyba od dnia inwazji na Normandię. Gazeta leżała na podłodze salonu, razem z „Globe” i Roscoe’em, który położył się tak, by znaleźć się w takiej samej odległości od swego pana i swej pani. Ciągle jeszcze było popołudnie, ale atmosfera w pokoju i gęste chmury za oknami sprawiały, że wydawało się, iż jest znacznie później.

Telefony zaczęły się o drugiej w nocy i trwały nieprzerwanie do chwili, aż Jared wyłączył aparat o wpół do piątej. W nocy, nie wiadomo dokładnie kiedy, pod drzwi redakcji obu bostońskich dzienników oraz trzech głównych stacji telewizyjnych podrzucono napisane na papierze firmowym Kathryn i podpisane przez nią listy. Ich generalny duch był taki, że dręczona wyrzutami sumienia oraz w poczuciu obowiązku wobec mieszkańców Bostonu postanowiła ujawnić prawdę o Bobbym Gearym. Wymieniani w listach Stan Willoughby oraz administrator Metropolitan Norton Reese zostali natychmiast zaatakowani telefonicznie przez

dziennikarzy. Ordynator oddziału patologii, nie tak bystro, jak mógłby zareagować, gdyby nie wyrwano go ze spokojnego snu, potwierdził wersję przedstawioną w listach, dodając, że Kate jest uczciwym i bardzo kompetentnym specjalistą i z pewnością miała uzasadnione powody, decydując się na to, co zrobiła. Minęła godzina po rozmowie z pierwszym dziennikarzem, nim do niej zadzwonił, ale telefon Kate był tak okupowany, że niemal następną godzinę zajęło mu dodzwonienie się do niej. W tym czasie Norton Reese, z pomocą Marca Sebastiana i szpitalnych komputerów, ustalił, że w Metropolitan nigdy nie leczono ani nie badano nikogo o nazwisku John Schultz. Reese zadbał o to, by dodać, iż nic nie wie o wysuniętych przez doktor Bennett zarzutach i uważa ją za błyskotliwą lekarkę, która jednak czasami ma skłonność do buntowania się przeciwko tradycyjnym zachowaniom. Zapytany o szczegóły, odmówił komentarza.

Dom zamienił się w grobowiec. Zarówno Kate, jak i Jared próbowali iść jak co dzień do pracy, ale oboje zostali zmuszeni do powrotu do domu przez atakujący tłum dziennikarzy. Od rana siedzieli z zasuniętymi zasłonami i ignorowali powtarzający się od czasu do czasu dzwonek do frontowych drzwi. Telefony w mieszkaniu były wyłączone, a małżonków dzieliła bariera milczenia tak lodowata, że nie czuć było śladu ciepła płynącego z kominka.

–Jared, chcesz filiżankę kawy?

–Dziękuję, nie. Trzy w półtorej godziny to ponad moją wytrzymałość. – Pochylił się do przodu i wyjął spod nosa Roscoe’a „Heralda”. Pod nagłówkiem na pierwszej

stronie umieszczono zdjęcia rodziców Bobby'ego Geary'ego oraz ich opinie o Kate, oczywiście nienależące do miłych. – Te cholerne brukowce wiedzą, jak opluwać – stwierdził, nie kryjąc irytacji w głosie.

–Skarbie, chyba wierzysz mi, że nie mam pojęcia o tych listach?

–Naturalnie, że ci wierzę. Dlaczego miałyby być inaczej?

–Nie widzę powodu. – Złość, którą czuła rano, zastąpiło poczucie rozczarowania i narastające przekonanie, że poza zaprzeczeniem wszystkiemu i zażądaniem analizy grafologicznej jej podpisu, nie miała argumentów. Nawet analiza podpisu mogła się okazać słabym argumentem, gdyż jeszcze nikt nie wystąpił z oryginałem listu, a na fotokopiach, które pokazywano, wyglądał bardzo podobnie.

–Dlaczego ktoś miałby coś takiego zrobić? Po co? – Jared zdawał się rozmawiać nie tyle z nią, co ze sobą, ewidentnie dowodząc, że jest zdezorientowany i ma wątpliwości. – Powiedziałaś, że Yoda i ten detektyw Finn byli jedynymi, którzy wiedzieli o amfetaminie, oczywiście poza tobą.

–Powiedziałaś: „o ile się orientuję”. Reese zagiął na mnie parol, a wtyka nos w niemal każdą sprawę w szpitalu. Mógł się czegoś dowiedzieć i... – Wzruszyła ramionami i pokręciła głową. – Nie mam o nim dobrej opinii, ale nie wyobrażam sobie, by mógł zrobić coś takiego.

–Kate, mogłaś mi powiedzieć, że zamierzasz sfalszować raport z sekcji Geary'ego. Jestem w końcu twoim mężem.

Kate wbiła w niego wzrok.

–Jared, postanowiliśmy we troje, że nikt nie ma się o niczym dowiedzieć. Zadzwoń do pań Willoughby i Finn i spytaj, czy mężowie im coś powiedzieli. Dzielisz się ze mną wszystkimi tajemnicami swej pracy?

–Nigdy o nic nie pytasz.

–Odpuść mi trochę, dobrze? Wiem, że jesteś zdenerwowany. Należysz do osób publicznych i... pośrednio albo bezpośrednio... prasa będzie cię atakować, ale nie obarczaj

mnie winą. Nic złego nie zrobiłam.

Jared wstał, poczłapał do kominka i zaczął poruszać polanami, które już i tak wystarczająco dobrze się paliły.

–Rozmawiałem rano z ojcem – rzucił przez ramię.

–Jezu! Winfield musi być strasznie wściekły z tego powodu. Myślisz, że coś by pomogło, gdybym do niego zadzwoniła?

–Uważa, że powinnaś zwołać konferencję prasową i przyznać się, że napisałaś te listy.

–Że co?!

–Uważa, że obecnie wygląda na to, że zrobiłaś, co kazało ci sumienie, po czym cię namówiłem, byś próbowała się wykręcić.

–Czyli mój teść chce, bym publicznie kłamała po to, aby jego podopieczny nie stracił głosów.

Jared gwałtownie roztrzącił polana.

–Cholera, już i tak nakłamałaś! Stąd przecież cały problem. Kate miała wrażenie, że zaraz się rozpłacze.

–Zrobiłam, co uważałam za najprzystojniejsze i najlepsze dla chłopaka i jego rodziny.

–Cóż, teraz musisz się zastanowić, co dobrego i przystoitego możesz zrobić dla chłopaka, który siedzi z tobą w pokoju, i jego rodziny.

–Więc też uważasz, że powinnam iść i nakłamać? Zanim Jared odpowiedział, rozległ się głośny łomot do frontowych drzwi.

–Policja! Proszę otworzyć.

Kate uchyliła drzwi i wyrzała na zewnątrz, spodziewając się kolejnego szczególnie sprytnego dziennikarza, przed wejściem czekał jednak detektyw porucznik Martin Finn. Resztki nadziei, że to może on jest odpowiedzialny za przekazane prasie i telewizji listy, zniknęły po pierwszych słowach policjanta.

–Nieźle mnie pani wydymała, doktor Bennett. Zdaje pani sobie z tego sprawę?

–Przykro mi, ale to nie ja wysłałam te listy – odparła niezwykle spokojnie. – Może zechce pan usiąść? Może kawy?

Finn zignorował jej pytania, pozostał na środku pokoju i zaczął chodzić w maleńkim kręgu.

–Zgodziłem się na to, bo jestem Irlandczykiem i kibicem i niech pani popatrzy, co mi to dało. Miałem dostać awans, może nawet na kapitana, a teraz przez panią i pani

pieprzone przedstawienie będę szczęśliwy, jeśli nie zostanę hyclem.

–Zgodził się pan? – Kate była bardzo zdziwiona. – Poruczniku Finn, to pan jako pierwszy zasugerował przyjęte rozwiązanie. Nie pamięta pan? – Głos jej się załamał. I bez tego, co powiedział policjant, dzień był wystarczająco morderczy.

Nagle zza jej pleców wyszedł Jared i stanął przed porucznikiem. Choć był wyższy od policjanta, Finn był masywniejszy.

–Panie Finn, jeśli powiedział pan wszystko, co zamierzał, chciałbym, by się pan wynosił razem ze swą paskudną gębą. Jeśli nie, to proszę dokończyć i wynocha!

–Wyjdę, kiedy skończę.

–Wynocha!

Jared zrobił jeszcze jeden krok do przodu, z zaciśniętymi i uniesionymi pięściami.

Dopiero wtedy Kate wyczuła, jak bardzo Finn jest pijany. Ruszyła między obu mężczyzn, ale zbyt wolno. Bez ostrzeżenia policjant huknął Jareda od dołu prosto w splot słoneczny. Jared „wypluł” powietrze z dźwiękiem przypominającym bulgot w studzience kanalizacyjnej, zgiął się w pół i padł na kolana na dywan. Kate uklękła obok męża.

–Ty cholerny bydlaku! – wrzasnęła na porucznika.

–Szkoda, że to nie byłaś ty, damulko – wybełkotał Finn, odwrócił się na pięcie i lekko się zataczając, wyszedł na zewnątrz. Antyczna waza, którą Kate za nim rzuciła, rozprysła się na drzwiach.

Jared klęczał skurczony, ale oddychał coraz równomierniej.

–Nic ci się nie stało? – spytała łagodnie Kate.

–Nawet nie poczułem – odparł ze sporym wysiłkiem. – Mogłabyś przynieść wiadro?

Tak na wszelki wypadek.

–Biedactwo... Mogę coś jeszcze dla ciebie zrobić? Chcesz czegoś? Jared powoli się wyprostował i usiadł. Oczy miał szkliste.

–Przypomnij mi, co obiecywałem w obecności pastora.

–„Na dobre i na złe”. Jared, nie chciałabym, by moje słowa zabrzmiały banalnie, ale to, jak wystąpiłeś przeciwko tej bestii, było wspaniałe.

–„Na dobre i złe”? Jesteś pewna, że tak to brzmiało?

–Hm...

–Katey, nie wiem, jak ci to powiedzieć, ale w jakiś przewrotny sposób ten cios dobrze mi zrobił.

–Nie rozumiem.

–Tuż przed przyjściem Finna zamierzałem ci powiedzieć, że zgadzam się z ojcem, że byłoby prościej i lepiej dla nas, gdybyś potwierdziła napisanie listów. Wtedy wpadł ten palant i nagle zrozumiałem, jak bardzo się mylę... i przepraszam. Nie mogłem wytrzymać, widząc, jak z tobą rozmawia. Katey, spróbuj nie zapominać, jak wiele z tego wszystkiego nie rozumiem. Niekiedy życie z tobą to jak jazda na cyklonie. Czuję się nieraz jak plasterek mielonki między kromką Kate i kromką Winfielda. Czasami...
– Odwrócił się do wiadra i z wymiotował.

Sheila Pierce spojrzała nad spoconą łysiną Nortona Reese'a na stiukowy sufit pokoju, który wynajęli w motelu Mid City, i przypomniała sobie, że ma pojękiwać, co tak bardzo go podniecało.

Starając się nie zakłócić rytmu, sięgnęła do uszu, by sprawdzić, czy nie odpięły jej się nowe diamentowe kolczyki.

–Och, kochany... – wymruczała. – Kochany, jesteś taki dobry... taki dobry...

Żałowała, że nie mogła ujrzeć miny Kate Bennett, kiedy zaczęli dzwonić

dziennikarze. Reese nie należał do mężczyzn typu Valentino, ale uważała, że jeśli ktoś zasłużył na nagrodę, trzeba mu ją dać, a Reese zasłużył na to, co mu dawała, bo zrobił co trzeba w sprawie Bennett.

–Och mały... chodź do mnie... chodź... – pojękiwała.

Samo oglądanie tego, co się działo, było jak najlepsze przedstawienie: doktor nauk

medycznych Kate Bennett, Panna Wspaniała, zakłopotana i zirytowana, nagle niepanująca

nad żadnym drobiazgiem. Jak przyjemnie czuć się nareszcie osobą, która pociąga za sznurki... Szkoda, że Bennett nigdy się nie dowie, komu zawdzięcza swój los. – Nie przestawaj, Norty... o tak, skarbie, o tak! Nie przestawaj!

Rozdział 6

Piątek, 14 grudnia

W porównaniu z innymi salami konferencyjnymi Bostońskiego Szpitala Metropolitarnego pomieszczenie oddziału patologii było urządzone po spartańsku. Na nagich beżowych ścianach wisiały oprawione w proste ramy reprodukcje obrazów francuskich impresjonistów. Pod nimi stały pochodzące z nadwyżek rządowych metalowe regały, wypełnione wielokrotnie czytаныmi, pełnymi oślich rogów czasopismami i książkami. Skromny wystrój, wielki dębowy stół o artystycznie żłobkowanej powierzchni i dwa tuziny różnych krzeseł nie bardzo ukrywały fakt, że przed skromną renowacją oddziału w 1965 roku pomieszczenie służyło jako szpitalna kostnica. Niektórzy z dwudziestu dziewięciu zebranych w pośpiechu ludzi czuli aurę pozostawioną przez tysiące przechowywanych tu czasowo zwłok.

Kate stała u szczytu stołu i rozglądała się po pokoju. Po jej prawej stronie siedział Stan Willoughby. Poza nimi obecnych było jeszcze sześciu patologów, kilku rezydentów i laborantów. Kate ogromnie ciążyła myśl, że ktoś z obecnych – może nawet więcej niż jedna osoba – mógł być zdolny do czegoś tak wstrętnego jak napisanie listów w sprawie Bobby'ego Geary'ego. W pewnym stopniu oni wszyscy byli jej rodziną – spędzała z nimi tyle samo czasu co z mężem i zawsze starała się rozwiązywać wszelkie problemy wprost, z szacunkiem i bez podtekstów. Istniały tylko dwie rzeczy, których nie tolerowała, i wszyscy doskonale o tym wiedzieli: lenistwo i nieuczciwość.

O ile się jednak orientowała, nikogo z obecnych nie dało się oskarżyć o żadną z tych cech.

Jedyną sprawą kojarzącą się z nieuczciwością była sytuacja Sheili Pierce, która twierdziła, że nie może znaleźć biletów i rachunków potwierdzających jej pobyt na kursie w Miami. Kate nie znalazła dowodów uzasadniających jakiegokolwiek podejrzenia i wszystko zostało załatwione między nią a Sheilą, bez wywoływania niepotrzebnego nieporozumienia.

John Gilson – operator mikroskopu elektronowego, Liu Huang – skrupulatny patolog, któremu Kate pomagała uczyć się angielskiego, Marvin Grimes – zawsze lekko podpity sanitariusz, Sheila – tak niezwykle inteligentna, oddana oddziałowi osoba... Kate każdemu spoglądała przez chwilę w oczy.

–Chciałabym wszystkim podziękować za wygospodarowanie czasu, by mnie wysłuchać – zaczęła. – Wiem, że przez ostatnie półtora dnia było tu... jak to określić... trochę

zamieszania. – Tak łagodne przedstawienie sytuacji spowodowało pomruki i

śmiechy. – Chcę powiedzieć, że w porównaniu z tym, co działo się tutaj, moje życie zostało dosłownie zbombardowane. O trzeciej rano złapaliśmy z mężem dziennikarza, który próbował wymknąć się z naszej sypialni, by zdążyć napisać artykuł do porannego wydania. Zamaskował się jako mosiężny wieszak na płaszcze. – Tym razem reakcja była głośniejsza i bardziej spontaniczna. Kate lekko się uśmiechnęła. – Mniej więcej za godzinę ma się odbyć konferencja prasowa, którą zwołał Norton Reese i w której mam wziąć udział. Chce, bym raz na zawsze wyjaśniła, jaką rolę odegrałam w sprawie listów dotyczących Bobby'ego Geary'ego. Uznałam, że zanim dowiedzą się o tym sępy z prasy, przedstawię wszystko wam. Informacje opublikowane w gazetach o Bobbym Gearym są prawdą. Na podstawie sekcji udało nam się ustalić, że od dłuższego czasu przyjmował dożylnie duże ilości amfetaminy. Jak mógł robić sobie coś takiego i grać, pozostaje dla mnie tajemnicą, lecz blizny, które znaleźliśmy w jego żyłach, ujawniły prawdę w sposób jednoznaczny. To bardzo smutna sprawa dla rodziny Bobby'ego, dla kibiców baseballu, dzieciaków oraz – nie wątpię – koszmar dla samego Bobby'ego. Decyzja, by ukryć prawdę przed prasą, należała tak samo do mnie, jak i do doktora Willoughby'ego oraz detektywa Finna. – Na wspomnienie tego nazwiska poczuła w gardle gorzki posmak. – Choć jestem przeciwna wszelkiemu oszustwu, moje poczucie przyzwoitości mówi mi jednak, że nasza decyzja była prawidłowa. Teraz komuś zależy na tym, bym zapłaciła za tę decyzję. Nie napisałam listu i nie wiem, kto go napisał, dlaczego to zrobił, w jaki sposób uzyskał informację o wynikach sekcji Bobby'ego Geary'ego ani jak zdobył mój papier listowy. Istnieje prawdopodobieństwo, że autorem listu jest ktoś z naszego oddziału, ale mam wielką nadzieję, że tak nie jest. Stanowimy zespół i to poczucie bardzo mi pomaga zjawiać się co dzień w pracy i wykonywać przyzwoicie swą robotę w tym szpitalu przypominającym dinozaura. No cóż, co się stało, to się nie odstanie. Zadręczałam się już dość całą tą sprawą i zamierzam po przesłuchaniu w gabinecie Reese'a zacząć upychać ją do pojemnika, do którego wyrzucam wszystkie życiowe śmieci. Jeśli ktoś z was chce o coś zapytać, z przyjemnością odpowiem, najlepiej jak będę umiała.

Wstał Stan Willoughby i objął Kate ramieniem.

–Ja nie mam pytań, Kate, jedynie oświadczenie skierowane do wszystkich obecnych. Przedstawiłem nazwisko Kate komitetowi i osobiście ją zarekomendowałem jako moją następczynię. Możliwe, że całe to zamieszanie jest po prostu próbą sabotażu w związku z propozycją objęcia przez nią funkcji ordynatora. Chcę oświadczyć, że bardziej niż dotychczas zależy mi na tym, by objęła to stanowisko.

Przez chwilę panowała cisza, w końcu wstał maleńki Liu Huang i zaczął klaskać. Stopniowo dołączali do niego kolejni współpracownicy. Wkrótce wszyscy – z jednym wyjątkiem – demonstrowali poparcie.

–Jesteśmy z panią! – zawołał jeden z laborantów.

Reakcja była entuzjastyczna i długa, spontaniczna. Stojący pod ścianą jedyny

„odmieniec” uśmiechnął się w końcu przez zaciśnięte zęby i sztywno dołączył do aplauzu.

–To było niesamowite – powiedział Willoughby do Kate, kiedy uczestnicy spotkania

powoli opuszczali salę. – Mały Looie Huang w znany tylko sobie sposób potrafi zagrzewać do

oklasków. Kocham g o! Nic ci nie jest Kate?

–Jeśli pytasz, czy zaraz się rozsypię i zacznę ryczeć jak dzieciak, to muszę potwierdzić.

–No to rycz – stwierdził Willoughby, ujął Kate pod ramię i wyszli z pustej już sali.

–Wiesz co, Stan? Nie rozumiem tego. Chyba nigdy tej sprawy nie zrozumiem.

–O co ci chodzi? – Willoughby pochylił się nad fontanną, którą od lat próbował wymienić...

–Myślę o ludziach. – Wzruszyła ramionami – Wiesz, człowiek budzi się rano, ubiera, wychodzi z domu, by podjąć kolejną próbę w bitwie, jaką jest życie. Zależy mu tylko na tym, by się rozwijać i złapać po drodze odrobinę spokoju i zadowolenia. Żaden problem, zgodzisz się ze mną? Robimy to co dzień i co dzień uważamy, że wszyscy inni postępują dokładnie tak samo... próbują złapać odrobinę szczęścia. Wydaje się to jak najbardziej logiczne.

–Cóż, moje dziecko, z tym cały kłopot. To, co wydaje się sensowne, rzadko się pokrywa z rzeczywistością. Danie, które opisałaś, byłoby bardzo smaczne, brak mu jednak sosu realności... chciwości, zawiści, dwulicowości, niepewności... nie wspominając o odwiecznym, dobrym, zawsze gotowym do akcji szaleństwie. Nieważne, kim jesteś, nieważne, jak bardzo się starasz o swój ogródek, nieważne, jak bardzo próbujesz być grzeczna wobec bliźnich... zawsze pojawi się ktoś, kto będzie próbował podstawić ci nogę.

–Wspaniale!

–Wszystko sprowadza się do priorytetów.

–Co masz na myśli?

–Ja na przykład mam opinię człowieka zbyt pasywnego. Moje drzwi są zawsze otwarte. Każdy, w każdej chwili, może przyjść ze swoimi kłopotami i problemami...

pod warunkiem że równocześnie przyniesie ich rozwiązania. Nie zawsze taki byłem, Kate. W przeszłości potrafiłem zmierzyć się z każdą sprawą. I tak robiłem. Wiele razy, zanim jeszcze się spotkaliśmy. Potem zacząłem miewać bóle za mostkiem i zaczęły się wizyty u kolejnych

napalonych młodych kardiologów. Powoli przestawało być dla mnie priorytetem bawienie się z agresywnymi fanatykami. Wróciłem do podstaw – żony, dzieci, wnuków, zdrowia, zarówno fizycznego, jak i psychicznego. Nie wyobrażam sobie, jak może się z którąś z tych sfer równać nowy mikroskop, nowo przyjęty laborant albo przemeblowany pokój.

–Ależ Stan, twoja praca jest ważna. Musisz walczyć o dobro oddziału. Nie zgadzasz się z tym?

–Zgadzam się.

–W takim razie jak pogodzić to z poprzednim stwierdzeniem?

Stanley Willoughby pochylił się i delikatnie pocałował Kate w czoło.

–Nie wiem. Nie zauważyłaś tego, Kate? Dlatego odchodzę. Do zobaczenia na konferencji prasowej. – Odwrócił się z uśmiechem, w którym było znacznie więcej tęsknoty i

smutku niż wesołości, i wszedł do gabinetu, który – jeśli wszystko poszłoby po jego myśli –

miał za kilka miesięcy należeć do Kate.

Jej gabinet – dwa razy mniejszy niż szefa – mieścił się w bocznym korytarzu, tuż obok sali sekcyjnej. Było w nim miejsce jedynie na biurko i fotel, szafę na akta, niewielki stolik z mikroskopem i dwa wysokie stołki. Na jednym z nich siedział Jared.

–Hej – przywitała go i podeszła, by pocałować.

–Cześć. – Odpowiedź była chłodna, niedbała.

–Jak twój brzuch?

–Póki nie próbuję siadać, wstawać albo chodzić, tylko boli jak diabli. Nie aż tak jak to. – Przesunął w jej kierunku plik ulotek. – Krążą po całym południowym Bostonie i zaczynają docierać do centrum.

–Cholera... – szepnęła, patrząc z niedowierzaniem na pierwszą kartkę. – Jared, tak mi przykro. Naprawdę. – Ulotka, wydrukowana na pomarańczowym papierze,

wystarczająco jaskrawym, by obrazić nawet najmniej upolitycznionego irlandzkiego katolika, nosiła tytuł **MISTRZOWIE WSPÓŁCZUCIA!** Zdjęcie – nie miała pojęcia, gdzie je zrobiono – ukazywało ją i Jareda, trzymających się pod rękę. Podpis informował: **MEC. J. SAMUELS I DR K. BENNETT.** Na dole kartki – umieszczono zdjęcie Bobby'ego Geary'ego w trakcie idealnego zamachu, z podpisem: **ŚP. BOBBY.**

–Finn? – zapytała.

–Może tak, może nie. Nie jest jedynym irlandzkim katolikiem, który miałby ochotę zetrzeć nas na proch. Wygląda na to, że hasło „Bobby Geary” dołączy, obok Chappaquiddick i Watergate, do listy wykańczaczy polityków. Moim zdaniem Mattingly, albo jego obsłizgły

menedżer, postanowił zadbać o to, abym na pewno nie stanowił zagrożenia w następnych wyborach.

–Przykro mi.

–Już to mówiłaś. Kate westchnęła i opadła na fotel za biurkiem.

–Jared, sprawy niedobrze mi się w tej chwili układają. Chcesz wszystko pogorszyć?

–Sprawy niedobrze się układają? Tylko o tym umiesz myśleć?

–Proszę cię, kochanie. Mam za pół godziny cholerną konferencję prasową, przedtem muszę zbadać wycinek pobrany na sali operacyjnej. Zapomniałeś już o wczorajszej rozmowie, w której powiedziałeś, że spróbujesz być bardziej wyrozumiały? – Zacisnęła zęby, by nie wybuchnąć.

–Pamiętam, że zgiął mnie wpół policjant, którego widziałem po raz pierwszy w życiu. Bardzo dokładnie to pamiętam. Ojciec poinformował mnie, że Martin Finn jest w pewnych kręgach bostońskiego wydziału policji *numero uno*, jeśli chodzi o władzę i wpływy. Mając go za wroga, dość prawdopodobne, że ściągną mi samochód, kiedy stanę na czerwonym świetle.

Oczy Kate się zwężyły. Nagle obecność Jareda w jej biurze zyskała sens. Win Samuels. Jeden z niezliczonych „czujników” – rozrzuconych po całym mieście, także w prasie – doniósł mu, że jego synowa ma mieć spotkanie z dziennikarzami.

–Jared, czy to twój ojciec cię prosił o przyjście tutaj i zadbanie o to, bym nikogo nie zhańbiła na konferencji prasowej?

–Próbujemy jedynie zapobiec rozpowszechnianiu się tych wiadomości – uniósł do góry pomarańczową ulotkę.

Kate przez chwilę wpatrywała się w męża, po jakimś czasie jej mina złagodniała.

–Wiesz, kiedy jesteś sobą, wydajesz się najweselszym, najmilszym, najłagodniejszym i najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego spotkałam w życiu. Gdybym dostała zestaw do samodzielnego składania mężów, niczego bym nie zmieniła. Kiedy jednak zaczniesz współpracować z człowiekiem z budynku Braxtona, przysięgam, że...

–Zostaw w spokoju mojego ojca, dobrze? To moja kariera polityczna zostanie lada chwila splukana w kiblu, nie jego.

–Nie jestem tego pewna.

–Słucham?

–Nic, Jared. Muszę dokończyć kilka ważnych rzeczy, za chwilę będę musiała zdiagnozować wycinek pobrany od kobiety, z którą ma problem jeden z kolegów. Nie mogę

teraz dłużej z tobą rozmawiać.

–A gdybyś po prostu...

W tym momencie do gabinetu weszła laborantka, niosąca tacę z nierdzewnej stali.

Stało na niej kartonowe pudełko na szkiełka z preparatami. Postawiła wszystko na stoliku obok mikroskopu.

–Proszę przekazać doktorowi Huangowi, że zadzwonię za kilka minut.

Jared patrzył na młodą kobietę, aż wyszła, po czym spojrzał na zegarek.

–Dobrze – stwierdził chłodno. – Muszę teraz iść. Mam za dwie minuty spotkanie z Nortonem Reese'em.

–W sprawie?

–Wygląda na to, że skontaktował się z nim adwokat Gearych. Chyba zamierzają oskarżyć szpital o złamanie ustawy o prawie do prywatności.

–Jezu... – Kate musiała przycisnąć palce do oczu, by opanować ich zmęczenie.

Jared wstał.

–Nie zapomnij o koktajlu u Carlisle'ów dziś wieczór – rzucił na pożegnanie. Kiedy

Kate jęknęła, dodała: – Już zapomniałaś, prawda?

–Przepraszam. O której?

–Wpół do ósmej.

–Dobrze, Jared. Chciałam...

–Tak?

Pokręciła głową.

–Nieważne. – Nie była to dobra chwila, by wyznać mu, iż ma wrażenie, że traci rozum. Chciała powiedzieć: „Jared, przytrzymaj mnie, proszę. Podejdź do mnie, obejmij i powiedz, że wszystko będzie dobrze”. Zamiast tego machnęła ręką i odwróciła się w stronę mikroskopu i preparatów.

Zanim Jared wyszedł, rozległ się dzwonek telefonu. Zatrzymał się odruchowo.

–Halo...? Cześć! – odezwała się Kate. – Jak się masz? Od kiedy...? Próbowiałaś ucisku...? Lodu? Posłuchaj, Ellen, spokojnie, spróbuj wziąć się w garść. Miałaś już kiedyś coś podobnego...? Jakieś siniaki? Całe udo...? Dlaczego nie dzwoniłaś? Ellen, kilka lat temu pomogłam ci w przyjęciu do Omnicenter. Chodzisz tam jeszcze? Dobrze. Posłuchaj teraz uważnie. Chcę, byś pojechała do tamtejszej izby przyjęć, ale nie prowadź sama samochodu.

Może cię ktoś przywieźć? Świetnie. Spakuj torbę z rzeczami na jedną noc i poproś siostrę,

albo kogokolwiek, czy nie mogłaby się zająć dziewczynkami... na wszelki wypadek... Ellen,

rozluźnij się. To ważne. Jeśli się rozkleisz, to tylko pogorszy sytuację. Poza tym zniszczysz

sobie makijaż. Tak, tak już lepiej. Spróbuj utrzymać ucisk, na ile się da, i przyjeżdżaj.

Zadbam o to, by czekali na ciebie najlepsi ludzie. Prawdopodobnie będziesz za kilka godzin w domu. Świetnie. Ellen... i weź ze sobą swoje lekarstwa...Wiem, że to jedynie witaminy. Mimo to zabierz je ze sobą.

–Ellen Sandler? – spytał Jared, kiedy odłożyła słuchawkę. Kate skinęła głową. Twarz miała szarą jak popiół.

–Ma od dwóch godzin krwawienie z nosa. Wiesz może, gdzie jest Sandy?

–Chyba w Europie. Kate popatrzyła na tacę z preparatem i jej myśli skupiły się na kobiecie leżącej na

stole operacyjnym; czekała na werdykt. Czy zgrubienie na jej szyi to rak, czy nie? Możliwe, że zrobiono biopsję pod znieczuleniem miejscowym... Być może leży teraz w pełni przytomna i czeka z przerażeniem na wynik badania.

–Jared, przekaż coś ode mnie Nortonowi Reese’owi. Powiedz, że nie będę mogła przyjść na konferencję prasową. Powiedz mu, że niczego nie zrobiłam i niczego nie pisałam, więc nie mam nic do powiedzenia.

–Ale...

–Wyjaśnij mu, że jako mój mąż od prawie pięciu lat wiesz, że to, co mówię, jest prawdą, i jeśli ktoś chce się do mnie dobrać, musi najpierw pokonać ciebie. Tak jak wczoraj po południu. Zgoda? – Wsunęła preparat pod mikroskop i przygotowała wszystko na spotkanie z żółtobiałym światłem.

Jared zamierzał odpowiedzieć, ale powstrzymał się i ruszył w stronę drzwi. A jednak zanim wyszedł, zawrócił.

–Mam nadzieję, że Ellen nic nie jest – powiedział łagodnie.

Kate uniosła głowę. Na myśl o tym, co może wykazać badanie przyjaciółki, napinał jej się każdy mięsień.

–Ja też, Jared. Ja też.

Odpręż się. Skoncentruj. Wejdz w światło. Skup myśli. Skup się. Zajęło to minutę lub

dwie dłużej niż zwykle, ale w końcu się udało. Jak zawsze. Związane ze światem zewnętrznym myśli i zmartwienia uniosły się niczym mgła i wkrótce jedyną rzeczą,

jaka pozostała, były komórki.

Arlen Paquette siedział przy oknie apartamentu w Ritzu i obserwował przechodniów na zaśnieżonych chodnikach Public Gardens. Studiował na Harvardzie i w MIT i niezależnie od tego, jak długo mieszkał w Kentucky, przyjazd do Bostonu zawsze był dla niego niczym powrót do domu. Obserwując studentów i zakochanych, włóczęgów i dyrektorów, odczuwał

tęsknotę za spokojniejszą – choć znacznie gorzej płatną – pracą na uniwersytecie. W ciągu siedmiu lat u Reddinga nieźle się dorobił: miał działkę, dom, kort tenisowy i basen, nie wspominając o zabezpieczeniu dzieci, siebie i żony do końca życia. Od niedawna zaczynał jednak w pełni dostrzegać cenę, jaką za to zapłacił. Coraz bardziej – zwłaszcza od afery z synogardem – unikał patrzenia na siebie w lustrach. Coraz bardziej – proporcjonalnie do stopnia utraty szacunku do samego siebie – spadała jego sprawność jako kochanka. Myślał o tym, że dwa tysiące kilometrów od jego doskonale utrzymanego trawnika i klubu wiejskiego, którego prezesem miał lada chwila zostać, wykrwawiły się na śmierć dwie kobiety. Patrząc przez okno na szare popołudnie Nowej Anglii, Paquette modlił się, by okazało się, iż związek obu kobiet z Omnicenter to wyłącznie zbieg okoliczności.

Punkt trzecia przyszedł goniec z dużą szarą kopertą, na którą Paquette czekał. Dał mu napiwek, po czym rozłożył zawartość koperty na stoliku do kawy obok akt, które przywiózł z Darlington. Staranność, z jaką Cyrus Redding zajął się ewentualnym przeciwnikiem, wcale go nie zaskakiwała. Stary Wojak wykorzystywał swe możliwości, wykorzystywał niezwykłą intuicję i analizował fakty – niezliczone fragmenciki, pojedynczo pozornie nieznaczące, układał jak puzzle – by odkryć prawdę; w tym wypadku o doktorze nauk medycznych Kate Bennett-Samuels.

Informacje, jakie udało się zebrać szefowi w ciągu jedynie kilku dni, zaskoczyły Paquette'a, a jednocześnie przeraziły. Były tu dane biograficzne, lista publikacji, spis przebytych chorób, ujawnionych na formularzu wniosku o ubezpieczenie na życie, nawet stopnie z Mount Holyoke i zdjęcie z rocznika absolwentów uczelni medycznej. Poza fotokopiami i wydrukami komputerowymi dołączono także kilkanaście czarno-białych fotografii – powiększeń dwanaście na piętnaście centymetrów robionych najwyraźniej teleobiektywem. Dusza chemika kazała Paquette'owi odruchowo wyjrzeć przez okno mieszczącego się na siódmym piętrze apartamentu i sprawdzić, czy jest takie miejsce, skąd ktoś mógłby fotografować jego.

Paquette obejrzał starannie opisane zdjęcia. K.B. I MAŻ, JARED SAMUELS; K.B. I PATOLOG STANLEY WILLOUGHBY (p. str. 4B); REZYDENCJA SAMUELSA I BENNETT, SALT MARSH ROAD, ESSEX; K.B. W TRAKCIE JOGGINGU PRZED DOMEM. Kobieta miała interesującą twarz, żywą i pełną ekspresji, oraz wyraziste rysy; była bardzo fotogeniczna. Jej uroda sprawiła, że oglądając zdjęcia, Arlen Paquette poczuł tęsknotę za żoną.

–Zwróć szczególną uwagę na raport doktora Steina – poinstruował go przed wyjazdem Redding. – Robił już dla mnie podobne rzeczy, nawet w znacznie krótszym czasie i na

podstawie mniejszej liczby danych niż w tym wypadku. Jeśli będziesz miał pytania, przekaż mi je, to poproszę Steina, by się z tobą skontaktował.

Raport napisano na papierze firmowym z nagłówkiem DR STEPHEN STEIN, PSYCHOLOG KLINICZNY. Nie było ani adresu, ani numeru telefonu. Paquette dołał do niewielkiej ilości whisky Dewar sporo wody i usiadł na obitej brokatem kanapie, z trzema zapisanymi gęsto kartkami papieru.

Doniesienie zawierało syntezę zgromadzonych informacji. Paquette przeczytał tę część, podkreślając kilka faktów, na które przedtem się nie natknął. Już kiedyś przeglądał raport Steina – prawie siedem lat wcześniej czytał podobny dokument, dotyczący Nortona Reese’a, i zastanawiał się wtedy – tak samo jak dziś – czy w którejś z szarych kopert, zamkniętych w zbiorach Cyrusa Reddinga, mieści się raport doktora i Steina na jego temat.

Dwóch starszych braci... w szkole średniej w dziewczęcym zespole dopingującym sportowców... nagrody hippiczne... nagroda wydziału sztuki Mount Holyoke College za rzeźbę... jedna z nich – Poszukiwanie 3 – w dalszym ciągu stoi na terenie kampusu... dwutygodniowa hospitalizacja z rozpoznaniem depresji na pierwszym roku studiów...

O tym do tej pory nie wiedział.

Wnioskując – pisał Stein – uważam, że doktor Bennett to kobieta o niezachwianej dyscyplinie i nieprzeciętnym uporze; w każdych warunkach może się okazać cennym sprzymierzeńcem albo niebezpiecznym wrogiem. Jej zasady wydają się solidnie ugruntowane i wątpię, by dało się ją przekupić w sprawach, w które wierzy. Jeśli chodzi o intelekt, nie ma powodu przypuszczać, by jej zdolności w tym zakresie osłabły od czasu, kiedy osiągnęła bardzo wysokie wyniki w Teście Kwalifikacyjnym do Akademii Medycznych (p. str. 1C) oraz Teście Narodowych Rad Medycyny (także 1C). Jej przyjaciele – o ile udało się ustalić – są wobec niej lojalni i wierzą w jej lojalność wobec nich. (Streszczenie oświadczeń str. 2C i 3C).

Można się jednak domyślać istnienia kilku sfer problematycznych, które powinniśmy dalej eksplorować i które mogą ujawnić sposoby na kontrolowanie jej zachowań. Bardzo prawdopodobne, że rozwija się w niej głęboka niepewność oraz zagubienie na tle konieczności wiązania roli żony i fachowca w pracy. Groźba wobec męża może się okazać skuteczniejsza w zakresie sterowania jej działaniem niż groźba wobec niej samej. W obliczu wyzwania prawdopodobnie się nie wycofa ani nie poszuka wsparcia, lecz zacznie walczyć.

Szantaż (sprawdzono możliwe zakresy) albo wymuszenie wydaje się w obecnej chwili mało prawdopodobną metodą wpływania na jej postępowanie.

Uzupełnienie raportu zostanie przesłane za tydzień albo natychmiast po uzyskaniu istotnych nowych informacji.

Możliwość zapanowania nad nią (w skali Reddinga): dwa lub trzy. Paquette odłożył raport i spróbował sobie przypomnieć, jak według skali Reddinga oceniony został Norton Reese. Osiem? Ciekawe, jak sam został oceniony.

–Na dziesięć... – mruknął. – Wyżej niż Bo Derek. Oto nadchodzi Arlen Paquette...

absolutne dziesięć! – Nalał sobie drugiego drinka, tym razem z samej whisky, i wypił jednym

haustem.

Po kilku minutach bursztynowy płyn uspokoił go na tyle, że mógł zacząć oceniać zaistniałą sytuację. Doktor Bennett posłała do Omnicenter specjalistów, by pobrali próbki do kultur bakteryjnych. Jeśli wyniki okażą się negatywne – a podejrzewał, że tak się stanie -klinika będzie miała zrobione za darmo kompleksowe badanie mikrobiologiczne. Jeśli wyniki okażą się pozytywne, odsunie to śledztwo od wątku farmakologicznego. Poprosiła o próbki leków, wydawanych przez Mały Homera, i otrzymała je. Żaden problem. Próbki na pewno okażą się „czyste”... już Horner się o to postarał.

Czy Kate Bennett będzie prowadzić swoje prywatne śledztwo? Sugestie Steina i wiadomości na jej temat pozwalały przypuszczać, że tak będzie. Ale taką hipotezę przyjęto, zanim wpadła w bagno w związku z baseballistą. Im dłużej Paquette myślał o sytuacji, tym bardziej był przekonany, że nie ma takiej możliwości, by Kate Bennett mogła dotrzeć do sekretu Omnicenter – zwłaszcza że zawieszono testowanie produktów. Uparta czy nie, ta kobieta nie była w stanie zatrzymać go poza domem dłużej niż kilka dni.

Robiąc kolejnego drinka, Paquette uzmysłowił sobie, że jednak pewna możliwość istnieje. Była to droga zawiła i trudna, ale możliwa do pokonania. Po chwili wahania wybrał numer kierunkowy 202.

–Dobry wieczór, Fundacja Ashburtonów.

–Estelle?

–Tak.

–Mówi doktor Thompson.

–O! Witam, doktorze. Dawno nie rozmawialiśmy.

–Tylko tydzień, Estelle. Wszystko w porządku?

–Jak najbardziej.

–Były jakieś telefony?

–Tylko jeden. Omal nie wyskoczyłam ze skóry, kiedy aparat zadzwonił. Spędzam całe dni, nie robiąc nic poza malowaniem sobie paznokci i...

–Poczta?

–Tylko dwa listy z Denver, które panu przekazałam jakiś czas temu.

–Dostałem je. Posłuchaj, jeśli ktokolwiek będzie telefonował, nie czekaj, aż się odezwę, tylko zawiadom mnie, dzwoniąc pod numery, które są na kartce w biurku.

Wiadomość dotrze do mnie i zaraz się skontaktuję.

–Dobrze, ale...

–Dziękuję, Estelle. Życzę miłego dnia.

–Do usłyszenia, doktorze Thompson.

Scena w sali numer 6 oddziału nagłych przypadków szpitala Metropolitan była dla Kate Bennett nad wyraz surrealistyczna. Z boku dwaj hematolodzy robili rozmazy krwi i nieodpowiednio głośno paplali. Po drugiej stronie pomieszczenia stał oparty i o ścianę, ponuro milczący Tom Engelson, w towarzystwie pielęgniarki i początkującego rezydenta. Kate zatrzymała się w otwartych drzwiach i spoglądała to na wiszącą na ścianie, popryskaną od wewnątrz na karmazynowo butelkę odsysacza, to na wydarzenia rozgrywające się pośrodku pokoju.

Pete Colangelo, ordynator otorynolaryngologii, kucał przed Ellen Sandler i wpatrywał się przez otwór w lusterku czołowym w jaskrawo oświetlony punkt w głębi jej lewego nozdrza.

–Wysoko. O tak, bardzo wysoko... – mruzczał sam do siebie, starając się przyżegać

krwawiące naczynie krwionośne tak umiejscowione, że krew spływała po tylnej ścianie

gardła.

Kate patrzyła na przykryte prześcieradłem nogi przyjaciółki i myślała o siniaku - ogromnym siniaku, zwiastującym nadejście kolejnych problemów. Oby nie było to nic poważnego. Proszę, Boże, jeśli jesteś, spraw, by wyniki badań mieściły się w normie.

Ellen siedziała nieruchomo jak marmurowa rzeźba na specjalnym krześle operacyjnym, ale jej dłonie zbieleły od ściskania poręczy.

Proszę...

**–Możesz zmierzyć jej ciśnienie? – spytał Colangelo. Był chudy i drobny, ale miał zadziwiające ręce, niezastąpione podczas delikatnych zabiegów plastycznych...
Kate**

dziękowała Bogu, że był akurat wolny. Wiedziała jednak, że prawdziwe zagrożenie tkwi w

czymś innym... Po głowie krążyły jej ponure myśli o Beverly Vitale i Ginger Rittenhouse. W

laboratorium hematologicznym sprawdzano właśnie poziom czynników krzepnięcia krwi

Ellen. Dla techników była ona jedynie nazwiskiem i numerem w księdze głównej szpitala.

Proszę...

Asystentka Colangela zmierzyła ciśnienie: sto czterdzieści na sześćdziesiąt. Nie było w tym nic niebezpiecznego. Napływ krwi do urządzenia odsysającego zdawał się słabnąć i po raz pierwszy Kate poczuła, że napięcie w sali opadło.

–Chodź do tatusia... – przemawiał Colangelo do krwawiącej tętniczki. – O, jest malec...

chodź do tatusia...

–Co sądzisz?

Kate gwałtownie odwróciła się w lewo. Tuż przy niej stał Tom Engelson.

–Przepraszam, nie chciałem cię przestraszyć. – W minie Toma wyraźnie widać było ten sam niepokój, który czuła Kate. Jego brązowe oczy, nieco przymatowiałe od życia w ciągłym stresie, były mimo to cudownie pełne wyrazu.

–Myślę, że Pete wygrywa. Jeśli o to pytałeś.

–Nie o to.

–W takim razie nie mam odpowiedzi. Przynajmniej na razie. Do otrzymania wyników badań hematologicznych. – Mówiąc, odwróciła wzrok z powrotem na środek sali. – Jeśli będą w normie i masz chwilę czasu, będziemy mogli to opić. Stawiam kawę. Jeśli okażą się za niskie, też chciałabym z tobą porozmawiać. Poza Stanem Willoughbym jesteś jedyną osobą która wie tyle samo co ja, a sądzę, że przez ostatnie dwa dni Stan już sporo dostał za to, że kojarzono go ze mną.

–Mam wolny cały dzień – odparł Tom. – Jeśli masz ochotę, może moglibyśmy zjeść razem kolację. – Natychmiast po tym jak wypowiedział te słowa, zreflektował się. Były porywcze, niestosowne, nietaktowne, głupie.

Kate zareagowała krótkim spojrzeniem – zbyt krótkim, by mógł zajrzeć jej w oczy.

–Chyba Pete’owi się udało – stwierdziła.

Kilka sekund później Colangelo potwierdził jej przypuszczenie.

–Udało się, pani Sandler. Musi pani jedynie pozostać tak rozluźniona, jak dotychczas,

to wszystko będzie dobrze. Proszę uwierzyć, jest pani wspaniałą pacjentką. Uwielbiam

zajmować się pacjentami, którzy pomagają mi robić wszystko jak najlepiej. – Cofnął się o

krok i czekał, oświetlając lusterkiem zasmarowaną krwią dolną lewą część twarzy Ellen.

Potem odwrócił się do Kate i uśmiechnął w sposób mający wyrażać i nadzieję.

–Dobra robota, Pete – szepnęła. – Znakomita.

Colangelo skinął głową i spojrzał na swoją pacjentkę.

–Pani Sandler, chyba najlepiej będzie, jeśli zostanie pani u nas na noc. Nie mamy

jeszcze wszystkich badań laboratoryjnych, chciałbym także uzyskać pewność, że naczynie

pozostaje zamknięte.

–Nie! – odparła Ellen. – To znaczy, nie mogę. Nie protestowałabym, gdybym nie

musiała. Kate, powiedz doktorowi Colangelo, ile mam zajęć i że jestem odpowiedzialna i

wykonam w domu wszystko, co każe. Proszę, Kate... Bez obrazy, ale nienawidzę szpitali.

Nie-na-wi-dzę. Niemal urodziłam Betsy w parku, bo czekałam do ostatniej chwili.

Kate podeszła do przyjaciółki i starła wilgotną gazą krew z jej policzka.

–Przyjrzyjmy się temu – powiedziała w końcu. – Jeśli dobrze rozumiem, chcesz, bym

rozstrzygała spór między chirurgiem, specjalistą w zakresie chorób uszu, nosa i gardła, który

jest także profesorem na Harvardzie, a właścicielką firmy Ellen\Sandler...
Urządzenie

Wnętrz...

–Kate, proszę...

Uścisk dłoni Ellen i drżenie w jej głosie wyrażały znacznie pierwotniejszy lęk, niż

Kate mogła sądzić. Zwróciła się do chirurga.

–Pete?

Colangelo wzruszył ramionami.

–Płaci mi się za zabiegi i porady. Jeśli pytasz, czy moim i zdaniem zatrzymanie pani

w szpitalu jest absolutnie niezbędne, odpowiem: nie. Jak jednak powiedziałem, płaci mi się za

dawanie rad, a doradzam obserwację szpitalną.

Nim Kate zdążyła odpowiedzieć, wszedł ubrany na biało technik z hematologii i podał jej trzy wydruki – dwa różowe i jeden jasnozielony. Spojrzała na cyferki i poczuła natychmiast, jak strach i złość chwyta ją za gardło.

–Kochana – powiedziała, starając się ukryć napięcie w głosie – przechodzę na stronę

doktora Colangelo. Uważam, że powinnaś zostać.

Uścisk Ellen na jej nadgarstku wzmocnił się.

–Kate, co wynika z badań? Jest ze mną źle?

–Nie, El. Kilka cyferek odbiega nieco od normy i należy sprawdzić te parametry ponownie, ale w tej chwili nie widzę nic złego ani groźnego. – Zaczęła się modlić w duchu, by ocena psychicznej wytrzymałości Ellen okazała się trafna; nie chciała zaszkodzić przyjaciółce, mówiąc prawdę. Ellen badała jej oczy.

–Nic złego ani groźnego W TEJ CHWILI, lecz to może się zmienić. To chcesz powiedzieć? – Kate westchnęła, po czym skinęła głową. – W takim razie chyba zostanę -dodała Ellen.

–Nie powinno to długo potrwać i zajmą się tobą najlepsi ludzie. Pomogę załatwić co trzeba dziewczynkom, przekażę im też, co się dzieje.

–Dziękuję.

–Wiem, że radzenie ci, byś się nie martwiła, może nie brzmi mądrze, ale staraj się zachować spokój. Będziemy mieć twój nos na oku, rano przeprowadzimy następne badanie

krwi. Bardzo prawdopodobne, że wrócisz do domu na sam koniec weekendu. – Kate

próbowała utrzymywać neutralny kontakt wzrokowy, wiedziała jednak, że przyjaciółka nie

wierzy w to optymistyczne stwierdzenie, podobnie jak ona sama.

–Chodzi o Omnicenter. Wiedziałam.

Kate skrzywiła się, pijąc kawę, którą dopiero co zaparzyła, i rozjaśniła ją śmietanką wydobytą spomiędzy różnych chemikaliów w jej lodówce.

–Omnicenter to jedynie stojąca po drugiej stronie ulicy sterta szkła i kamienia. Wszystkie raporty są negatywne: bakteriologiczny, chemiczny, epidemiologiczny. Wszystkie. Gdzie związek? – Tom Engelson przeglądał plik sprawozdań z badań, które Kate zleciła. Nie było w nich nic obciążającego ośrodek leczenia ambulatoryjnego.

–Nie wiem – odparła Kate, usadowiając się wygodniej po drugiej stronie stołu. Tom miał na sobie džinsy i nieforemny, marynarski sweter w kolorze kości słoniowej. Po raz pierwszy widziała go w czymś innym niż biały kitel rezydenta. Zmiana była dla niego korzystna. Wspaniały irlandzki ścieg swetra dodawał astenicznemu wyglądowi

Toma nieco szorstkości. – Moim zdaniem to wirus albo jakaś toksyna... albo zanieczyszczenie w aptece. Cokolwiek by to było, jest tam! – Dźgnęła palcem powietrze w kierunku Omnicenter.

–W aptece? Ze sprawozdań wynika, że analiza leków, które przyjmowała Ginger Rittenhouse, oraz tych, które przysłał ci Zimmermann, wypadła bez zarzutu. Nie ma ani jednego zgniłego jabłka.

–Wiem.

–Więc?

–Więc nie wiem. Posłuchaj... moja przyjaciółka ma to samo, co zabiło już dwie kobiety. Płytki siedemdziesiąt tysięcy, fibrynogen... siedemdziesiąt pięć procent normy. Nie jest tak źle jak u tamtych kobiet, przynajmniej na razie, ale trend jest niekorzystny. – Mówiła coraz szybciej, a jej słowa wypadały coraz ostrzej. – Naprawdę nie potrzebuję cię tutaj po to, byś podkreślał sprawy oczywiste, w tym celu mogę posłać Gusa po gazetę. Potrzebuję pomysłu na ewentualne wyjaśnienie, a nie gadania o tym, co jest niemożliwe. – Nagle urwała. – Boże, przepraszam, Tom. Naprawdę. Przy tym politycznym absurdzie, który wtargnął do szpitala, po katastrofie z Bobbym Gearym i jego cholernym uzależnieniu od amfetaminy, śmierci dwóch młodych kobiet, codziennym napięciu, by jako tako wykonywać swą pracę, a teraz jeszcze Ellen, czuję się, jakby ktoś wrzucił mnie do miksera i właśnie go włączył. Nie zasługujesz na takie traktowanie.

–Nic się nie stało. Przepraszam, że nie próbowałem być bardziej pomocny. – Nie do końca umiał ukryć w tonie głosu urazę i Kate uzmysłowiła sobie, że choć pięć czy ileś tam lat różnicy wieku może niewiele znaczy w większości życiowych spraw, to na pewno jest inaczej, jeśli chodzi o nadwrażliwość. – Jeżeli uważasz, że to apteka, może zawiadom FDA.

–Jeden najmniejszy ślad dowodu i natychmiast bym to zrobiła. To ja namówiłam Ellen, by poszła do Omnicenter. – Mimochodem wsunęła dłonie w kieszenie kitla i kiedy je wyjęła, miała w prawej listek z resztką witamin z żelazem, wydanych Ellen właśnie w Omnicenter. Położyła go na stole. – Nie udało się znaleźć witamin Beverly Vitale?

–Nie.

Kate podeszła do biurka, wróciła po chwili z jeszcze jednym listkiem witamin – niemal takim samym jak ten Ellen – i położyła go obok.

–Sądzę, że powinniśmy jeszcze raz skorzystać z pomocy naszych przyjaciół

toksykologów i ich magicznego spektrofotometru. Zbadać witaminy Ellen i te. Jeśli wyniki

będą negatywne, wsadzę me podejrzenia do teczki z napisem POLOWANIE NA CZAROWNICE i zajmę się czymś innym – na przykład odzyskaniem szacunku, jaki utraciłam w związku z aferą z Bobbym Gearym.

–Nie przesadzaj, w dalszym ciągu jesteś szanowana, podziwiana i ceniona w wielu miejscach... zwłaszcza tutaj. – Stuknął się palcem w mostek.

–Dziękuję, że to mówisz.

–Czyje są te drugie tabletki?

–Hę?

–Ten drugi listek z lekami. Do kogo należy?

–O! Do mnie.

Rozdział 7

Piątek, 14 grudnia

W gabinecie statecznego doktora Vernona Drexlera panowała atmosfera podniecenia i oczekiwania. Przypominająca matronę recepcjonistka kręciła się po pustej poczekalni i poprawiała czasopisma, starając się tak je ułożyć, by egzemplarz „Practical Medical Science” ze zdjęciem Drexlera na okładce został natychmiast zauważony przez Cyrusa Reddinga – choć prominentnego pacjenta zawsze natychmiast kierowano do pana doktora.

Młody technik w małym laboratorium wymienił rolkę papieru w elektrokardiografie na nową i poprawił przewody, i mankiet zaciskowy. Przygotował także strzykawkę, by pobrać krew z żyły mężczyzny, o którym Drexler mówił, że jest jednym z najbardziej wpływowych ludzi w kraju... jeśli nie najbogatszym.

Lurleen Fiske, poważna i surowa kierowniczka działu administracyjnego, telefonowała do pacjentów, przenosząc ich wizyty na następny dzień. Pracowała dla Drexlera już w 1967 roku, kiedy Cyrus Redding w raz pierwszy przyjechał z Kentucky. TYSIĄC DZIEWIĘCSET SZEŚCZDZIESIĄT SIEDEM. Fiske tęsknie się uśmiechnęła. Ich gabinet w bostońskiej dzielnicy Back Bay był nie większy niż dwie szafy – jedna dla doktora, druga dla niej, a teraz Drexler był właścicielem całego budynku.

Dochodziło w pół do pierwszej. Prywatny boeing 727 Reddinga prawdopodobnie właśnie wylądował w Logan. Dokładnie za godzinę – jak zawsze – jego limuzyna zatrzyma się przed fasadą z brązowego kamienia. Ktoś pomoże Reddingowi – jeśli to będzie konieczne – wjechać na wózek na schodki od frontu, po czym przed wejściem do holu Redding się zatrzyma, spojrzy w górę na okna ich gabinetów, uśmiechnie się i pomacha. Jego asystent od pięciu czy sześciu lat, milczący, wyglądający na twardziela mężczyzna zwany Nunes, będzie nioś skórzaną torbę z lekarstwami Reddinga i – jak zawsze – specjalnymi, osobistymi prezentami dla każdego pracownika. W czasie ostatniej wizyty Reddinga, prawie rok temu, podarował jej wisiołek z diamentem – niemal karatowym – który spoczywał teraz dumnie na jej piersi. Oczywiście, dzisiejszy dzień mógł się okazać wyjątkowy, Redding bowiem został zmuszony do przylotu do Bostonu z powodu jakiejś nieoczekiwanej sprawy. Zadzwoił do nich późnym wieczorem poprzedniego dnia i spytał, czy dałoby się podczas jego pobytu w mieście przeprowadzić doroczne badanie stanu zdrowia.

–Pani Fiske! – zawołał Drexler z gabinetu. – Nie pamiętam, czy mówiła pani, że z panem Reddingiem przyjedzie doktor Ferguson, czy że nie przyjedzie?

–Powiedziałam „może przyjechać”, panie doktorze. Pan Redding nie był pewien. –

Kierowniczka uśmiechnęła się czarująco i pokręciła głową. Vernon Drexler może i

był

znakomitym endokrynologiem i wiodącym specjalistą w zakresie miastenu, ale jeśli chodziło

o sprawy spoza medycyny, miał pamięć jak sito. Fiske spędziła niejedno wesole popołudnie z

żoną doktora, zastanawiając się, jaka mogłaby powstać keystonowska komedia* [Keystone –

powstała w 1912 roku wytwórnia filmowa, specjalizująca się w komediach. Keystonowskie

burleski cechowały się nagromadzeniem nieracjonalnych gagów, wykraczających poza

wszelkie granice rozsądku; wszystko działo się w gorączkowym tempie i nieustannym ruchu.

Reżyserem Keystone był Mack Sennett.], gdyby nie udawało im się organizować życia

Drexlera od spotkania do spotkania, od wykładu do wykładu.

Na wspomnienie o doktorze Fergusonie pośpieszyła do niewielkiego, ognioodpornego pomieszczenia, w którym mieściły się akta pacjentów, i wróciła do biurka z jego teczką. John Ferguson, doktor medycyny, cierpiący, tak jak Cyrus Redding, na miastenu, był bliskim przyjacielem magnata. Obaj panowie zazwyczaj tak ustalali swe wizyty, by badano ich tego samego dnia i mogli przynajmniej przez godzinę rozmawiać z doktorem Drexlerem. Lurleen Fiske podejrzewała, choć Drexler nigdy nic na ten temat nie wspomniał, że obaj pacjenci w jakiś sposób wspierali jego laboratorium badań nad miastenu w Akademii Medycznej.

–Pani Fiske! Niech pani na wszelki wypadek wyjmie kartę doktora Ferguson!a!

–Tak jest, panie doktorze, już ją mam – odparła, przeglądając dość grubą teczkę, by się upewnić, czy wyniki badań laboratoryjnych oraz notatki doktora z poprzedniej wizyty są na miejscu. Drexler był zdenerwowany, poznawała to po jego głosie. Zachowywał się bardzo przyzwoicie i z profesjonalnym chłodem, mimo to czuła, że coś się święci. Kiedyś – przed wielu laty – miano go zawieźć helikopterem na jacht Onassisa, na konsultację w sprawie już przegranej bitwy armatora z miastenu. Gdy pojawił się tamtego poranka w pracy, spokojnie przywitał się z personelem, po czym wyszedł – bez torby lekarskiej, czasopism medycznych, nawet bez płaszcza.

Limuzyna Reddinga, jadąca wolniej z powodu śniegu na ulicach, przybyła z pięciominutowym opóźnieniem. Lurleen Fiske dołączyła do dwójki pracowników przy oknie. Drexler, wysoki, chudy mężczyzna po pięćdziesiątce, stał po drugiej stronie pomieszczenia i z dumą obserwował swój zespół.

–Patrzcie... patrzcie... – zaświergotała recepcjonistka.

–Idzie? – Drexler najchętniej sam by popatrzył, nie chciał jednak przerwać rytuału, który wytworzył się z biegiem lat.

Lurleen Fiske wyciągnęła szyję.

–Wózek stoi na zewnątrz, ale... tak... tak! Robi kilka samodzielnych kroków. Jeszcze

jeden rok, doktorze. Znow się panu udało. – Szacunek w jej głosie był bardzo dobrze

podkreślony.

Drexler – choć chciałby zachować obojętność – też był pod wrażeniem. W sześćdziesiątym siódmym roku dawał Reddingowi trzy, góra cztery lata, a teraz – po ponad piętnastu latach – pacjent był tak samo silny jak wtedy, może nawet silniejszy. „Znow się panu udało”. Pochwała pani Fiske odbijała się bolesnym echem w jego głowie. *Myasthenia gravis* - zaburzenie przewodnictwa w obrębie zespolenia nerwowo-mięśniowego. Przyczyna nieznana. Prognoza: postępujące osłabienie mięśni, szczególnie przy wysiłku – zmęczenie, trudności z żuciem, trudności z oddychaniem i w końcu śmierć z powodu infekcji albo niewydolności oddechowej. Leczenie, nawet najbardziej skomplikowane, jest środkiem zastępczym, tymczasowym. A jednak miał do czynienia z dwoma mężczyznami, Reddingiem i Johnem Fergusonem, u których doszło do powstrzymania, a przynajmniej znaczącego spowolnienia postępu choroby. Na dodatek dokonali tego cudu samodzielnie, bo choć jego personel sądził inaczej, zapewnił im jedynie leczenie objawów ubocznych, terapię wspierającą. Oczywiście obaj byli triumfem – tyle że takim, który nieustannie podkreślał daremność pracy jego życia.

Z korytarza dobiegł szcęk otwieranych drzwi windy. Od wielu lat obaj cenni pacjenci leczyli się preparatami – czasem nawet kilkunastoma naraz – z których większość nie była testowana. Drexler od lat starał się ustalić, który z nich (albo która kombinacja) był odpowiedzialny za tak znaczący sukces. Znalezienie odpowiedzi oznaczałoby postęp o znaczeniu historycznym. Może dojdzie do niego w tym roku.

Redding siedział na wózku inwalidzkim. Dał znak asystentowi, by szedł przodem, po czym podjechał do drzwi. Chwycił go za ramię, by się wesprzeć, wstał i zrobił kilka

drżących kroków, by wejść do gabinetu o własnych siłach.

–Dziękuję za tak szybkie przyjęcie mnie, Vernon – powiedział, wyciągając rękę, by przywitać się z Drexlerem jednym energicznym potrząśnięciem. – Panie Nunes? – Asystent,

ponury, smagły mężczyzna o budowie olimpijskiego wioślarza, podsunął wózek tak, by

Redding mógł bezpiecznie usiąść. Lurleen Fiske i jej dwie koleżanki promieniały jak dumne

babcie.

–Wyglądasz wspaniale, Cyrus – stwierdził Drexler. – Absolutnie wspaniale.

Zapraszam do gabinetu.

–Za sekundę. Najpierw chciałbym złożyć twojemu zespołowi życzenia Wesółych Świąt. Panie Nunes?

Człowiek z kamienną twarzą wyjął z przerzuconej przez ramię skórzanej torby trzy różnej wielkości prezenty i Redding po kolei podawał je kobietom, które ze skrępowaniem ścisnęły mu w podzięce dłoń. Lurleen Fiske objęła go wokół ramion i cmoknęła w policzek.

–Moja limuzyna pojedzie po doktora Fergusona – oznajmił Redding, kiedy wwieziono go do gabinetu Drexlera – Przyjedzie nie na badanie, lecz w celu porównania ze mną notatek. Jeśli me ma pan nic przeciwko temu, chciałby przyjść za miesiąc, w ustalonym terminie.

–Oczywiście, nie ma problemu – odparł Drexler Ferguson i Redding spotkali się po raz pierwszy kilka lat temu w jego poczekalni i natychmiast nawiązała się między nimi nić porozumienia. Przy następnym spotkaniu Redding poprosił, by Drexler poświęcił pół dnia tylko im. Prośba – której towarzyszyła obietnica znaczącej dotacji na prace badawcze – została oczywiście spełniona.

Ochroniarz Reddinga wprowadził wózek do gabinetu postawił na stole torbę z lekami i wyszedłby pojechać limuzyną do domu doktora Fergusona. Redding starannie poustawiał fiołki i plastikowe pojemniki na suszce przed Drexlerem. W sumie przyniósł ze sobą trzynaście preparatów.

–Cóż, doktorze, oto i one – zaczął. Większość z nich znasz i wiesz, że je bierzemy,

kilku nie znasz

–Doktor Ferguson w dalszym ciągu przyjmuje wszystko dokładnie tak samo jak ty?

–O ile wiem, tak.

Endokrynolog zaczął robić notatki dotyczące każdego leku. Były wśród nich dwie

bardzo eksperymentalne kombinacje, dalekie jeszcze od fazy testowania na ludziach, o istnieniu, których dowiedział się pół roku, a może siedem miesięcy temu. Kolejny raz przełknął chęć ostrzeżenia Reddinga przed ryzykiem związanym z przyjmowaniem niesprawdzonych dostatecznie leków i jedynie zapisywał nazwy chemiczne oraz przyjmowane przez obu chorych dawki. Wiedział, że obaj mężczyźni byli zainteresowani efektami ubocznymi, które wywoływały przyjmowane preparaty, powiedzieli mu kiedyś, że je obserwują ale więcej nie wyjaśnili. Doktor nauk medycznych Vernon Drexler doskonale wiedział, że nie warto drążyć tematu, zwłaszcza że od pozytywnego nastawienia obu dżentelmenów zależała całkiem spora część jego pracy badawczej.

–A to? – Drexler uniósł opróżnioną do połowy buteleczkę przezroczystych żelatynowych kapsułek, wypełnionych białym proszkiem.

–Od Podgórnego, z Instytutu Badań Metabolicznych w Leningradzie – odparł zdawkowo Redding. – Uważa, że teoria, na podstawie której stworzył lek, jest sensowna.

–Niesamowite... – mruknął Drexler. – Niezwykłe... – Kudi Podgórnny był gigantem endokrynologii, ale tak niedostępnym, że potrzebował dwóch lat, by spotkać się z nim

bezpośrednio. Możliwości Reddinga, potęga jego pieniędzy, były niewiarygodne. – No, tak... –

stwierdził, kiedy skończył zapiski. – Te dwa preparaty zostały wreszcie zbadane klinicznie.

Oba nie mają żadnego działania. Możemy sprawę przedyskutować, kiedy przyjedzie doktor

Ferguson, ale moim zdaniem wyniki upoważniają mnie do tego, bym zaproponował wam

odstawienie tych specyfików.

Redding pomacał buteleczki.

–Jeden z nich był twoim dzieckiem, prawda?

Lekarz bezradnie wzruszył ramionami i skinął głową.

–Tak. Obawiam się, że znalazłem się na stopniu pociągu jadącego w kierunku spadającej gwiazdy. – Nie udało mu się utrzymać w głosie optymistycznego tonu. Ogólnie mówiąc, cztery lata pracy poszły na marne.

–Będziesz więc chyba musiał ruszyć w innym kierunku? Powiedz mi, pomyślał Drexler, powiedz mi po prostu, skąd, do diabła, wiesz, że to, co łykasz, nie zabije cię na miejscu?

–Tak wygląda – odparł przez zaciśnięte usta. – Chyba będę musiał.

Smukła długa limuzyna sunęła niczym wąż między nielicznymi o tej porze na Southeast Expressway samochodami. Korpulentny kierowca paplał do małomównego Nunesa, którego wkład w konwersację ograniczał się do rzadkiego kiwnięcia głową i monosylab. Z tyłu, naprzeciwko siebie, otoczeni przydymionym szkłem, siedzieli Redding i John Ferguson; popijali brandy i wymieniali się uwagami na temat spotkania z Vernonem Drexlerem, które niedawno się zakończyło.

–Przykro mi, że nie najlepiej ci się wiedzie, John – powiedział Redding. – Może powinieneś być zostać i dać się zbadać Drexlerowi?

–Bzdura. Mam wyznaczoną wizytę w przyszłym miesiącu, to powinno wystarczyć.

–Myślę, że tak. – Reddingowi chodziło po głowie, że osiem lat starszy od niego Ferguson po prostu się kończy. Nigdy nie był silny i wyraźnie stracił na wadze i sile. Mógł przejść maksimum dziesięć, dwanaście kroków. Twarz miał wychudłą i ziemistą, a nieskazitelne zęby każdemu wyrazowi twarzy nadawały trupi wygląd. Jedynie oczy -migoczące z głębokich oczodołów niczym kawałki akwamarynu – odzwierciedlały niesamowitą werwę i moc intelektualną.

Ich współpraca rozpoczęła się praktycznie natychmiast po pierwszym spotkaniu w gabinecie Drexlera. Choroba Fergusonona – choć był w stanie poruszać się o lasce – była bardziej zaawansowana. Pracował wtedy jako dyrektor do spraw leczenia w szpitalu stanowym poza miastem i już przyjmował dwa eksperymentalne leki, które przez jakiś czas testował na pacjentach swego ośrodka.

W ciągu roku Redding zaczął wytwarzać nowe preparaty, Ferguson zaś rozszerzył „program testowy” do ich badania. Szybko się jednak zorientowali, że potrzebują znacznie większej liczby obiektów badawczych – większej niż mógł zapewnić szpital Fergusonona. Wynikiem tej potrzeby było uruchomienie Ośrodka Zdrowia Kobiety Total

Care w Denver, a wkrótce potem Omnicenter w Bostonie. Ich lekarzem w dalszym ciągu pozostał Vernon Drexler – obserwował postępy leczenia oraz ogólny stan zdrowia.

Kierowca Reddinga, nieustannie radośnie paplający do Nunesa, skręcił w Dziewięćdziesiątą Piątą Północną. Choć w końcu mieli dojechać do domu Johna Fergusona, Redding życzył sobie, by jechał spokojnie przez godzinę.

–John – powiedział Redding, odstawiając napelnioną do połowy koniakówkę do stojaka – kiedy byłeś ostatni raz w Omnicenter?

Ferguson zaśmiał się ze smutkiem.

–Raczej zapytaj, kiedy byłem po raz ostatni gdziekolwiek. Może dwa lata temu. Może jeszcze dłużej. Łaźnienie po mieście przychodzi mi z niejaką trudnością.

–Rozumiem.

–Wywnioskowałem na podstawie naszej wczorajszej rozmowy, że pojawił się jakiś problem. Zimmermann?

Tym razem Redding się roześmiał.

–Nie, nie. Moim zdaniem Zimmermann był idealnym wyborem do tej roboty.

Rekomendując go, trafiłeś w dziesiątkę. To nieszkodliwy goguś o intelekcie wystarczającym

do wprowadzenia w życie i monitorowania naszego programu testowego, bez wchodzenia

nam w paradę. Nie, nie chodzi o Zimmermanna.

–A o kogo?

–Tak naprawdę to może problem już się rozwiązał. Czy pracując z doktorem

Frenchem przy tworzeniu Omnicenter, natknąłeś się kiedyś na niejaką doktor Kathryn

Bennett? – Ferguson chwilę się zastanawiał, po czym pokręcił głową. – Tak sądziłem –

stwierdził Redding.

Wystarczyło kilka minut, by przedstawić wydarzenia, które doprowadziły do wizyty Kate Bennett w Omnicenter. Ferguson słuchał w milczeniu, od czasu do czasu gestem dając do zrozumienia, że śledzi opowieść.

–Carl Horner zapewnił mnie – zakończył Redding – że żaden z leków, które badaliśmy, nie może być odpowiedzialny za problemy, których badaniem zajęła się młoda doktor Bennett.

–Ale nie jesteś całkiem pewien.

–John, pracowałeś z Carlem. Wiesz, że rzadko się myli. Jego umysł niewiele się różni od maszyn, którymi zarządza.

–Mimo to uważasz, że dwa tak charakterystyczne przypadki... a teraz może trzeci... to zbyt wiele, by można je wyjaśnić zbiegiem okoliczności.

Redding patrzył przez okno, zdjął okulary i zaczął je przecierać ręcznikiem z barku.

–Jeśli mam być uczciwy, John, nie wiem, co o tym sądzić. Fakty mówią jedno, mój instynkt co innego. Znam Omnicenter lepiej od ciebie. Czy to możliwe, by ktoś wygłupiał się z jakimś lekiem albo innym czynnikiem za naszymi plecami?

–Mam nadzieję, że nie.

–John, przemyśl to. Sprawdź, czy da się znaleźć jakieś wyjaśnienie, dlaczego wszystkie trzy kobiety z krwawieniem, w tym dwie z identycznymi zmianami patologicznymi jajników, były pacjentkami Omnicenter. – Wcisnął klawisz interkomu. – Panie Crosscup, mógłby nas pan zawieźć do domu pana Fergusona?

–Zastanowię się – odparł Ferguson – ale sądzę, że przynajmniej tym razem twój instynkt powinien ustąpić przed wymową faktów.

–Tydzień.

–Słucham?

–Tydzień, John. Powinienem usłyszeć od ciebie coś w tej sprawie za tydzień. Ferguson popatrzył młodszemu mężczyźnie w oczy.

–Czyżbyś sugerował, że coś ukrywam?

–Nic takiego nie sugeruję. – Redding uśmiechnął się enigmatycznie. – Jedynie proszę o

pomoc.

Limuzyna wjechała na pokryty śniegiem podjazd domu Fergusona. Był to starannie utrzymany budynek w stylu kolonialnym, stojący na mniej więcej półhektarowej działce. Redding znów włączył interkom.

–Panie Nunes – powiedział – załatwiliśmy wszystko. Proszę odprowadzić naszego gościa do domu.

Mężczyźni podali sobie ręce i Redding obserwował, jak Nunes towarzyszy najwyraźniej zmęczonemu Johnowi Fergusonowi w spacerze do frontowych drzwi. Redding musiał przyznać, że starszy pan jest człowiekiem wszechstronnym – był znakomitym lekarzem i administratorem, wybitnym znawcą natury ludzkiej i umiał przewidywać ludzkie zachowania, a ponadto Bóg obdarzył go także zdolnościami filozoficznymi – ale od początku znajomości Redding wiedział, że nie jest Johnem Fergusonem. Jego detektywi byli w stanie się tego dowiedzieć – niczego jednak więcej. Niejaki John Ferguson istniał faktycznie, miał takie samo wykształcenie jak „wspólnik” Reddinga, ale zginął podczas bombardowania szpitala polowego w Bataan. Od początku intuicja Reddinga odradzała mu uciekanie się do konfrontacji w celu ujawnienia, co jego nowy współpracownik ukrywa. Decyzja ta okazała się roztropna – przynajmniej na razie.

Ferguson pomachał słabo na pożegnanie i wszedł do domu.

Cyrus Redding, ukryty za przyciemnianymi szybami limuzyny, zamawiał rozmowę telefoniczną.

–Poproszę z doktorem Steinem – mówił. – Dzień dobry, doktorze, tu przyjaciel z Darlington. Chodzi o człowieka, o którym rozmawialiśmy wczoraj, Johna Fergusona. Chętnie przeprowadziłbym ponowne dochodzenie i poprosił o ścisły nadzór. Proszę informować osobiście o postępach. Wygląda na to, że zmaterializował się tuż po drugiej wojnie światowej, może więc należałoby zacząć od ponownego zbadania tego okresu. Dziękuję.

No dobrze, przyjacielu, myślał. Przez piętnaście lat pozwalałem ci oszukiwać. Miejmy nadzieję, że ta uprzejmość nie była próżnym trudem.

Kate Bennett odłożyła mikrofon dyktafonu na widełki i zapatrzyła się w ciemny budynek Omnicenter, po przeciwnej stronie ulicy. Od okien dwumetrowej wysokości odbijały się światła reflektorów przejeżdżających samochodów, przez co budynek – wyglądający przy „sąsiadach” z ciemnej cegły niczym statek kosmiczny – robił upiorne wrażenie. Kate wiedziała, że to z powodu jej nigdy niemęczącej się wyobraźni i telefonu, na który czekała, mimo to nie umiała pozbyć się uczucia, że w tym gmachu kryje się coś groźnego, jakaś zjadliwość.

Kiedy wróciła z cotygodniowego posiedzenia szpitalnego Komitetu Walki z Zakażeniami, któremu od prawie roku przewodniczyła, wiadomość leżała na jej biurku.

„Dzwonił Ian Toole ze Stanowego Laboratorium Toksykologicznego – napisała sekretarka oddziałowa. – Jedna próbka, którą pani posłała, jest w normie, druga okazała się skażona. Proszę czekać na telefon ze szczegółami między szóstą a siódmą wieczór”.

SKAŻONA.

To ty. Wiem to – kierowała swe myśli do migoczących okien. – Coś w tobie, coś w twoich cennych Małpach sfiksowało. Coś w tobie zabija ludzi i nie masz o tym pojęcia. Dzwonek telefonu przestraszył ją.

–Kate Bennett! – rzuciła nerwowo.

–Tu mąż Kate Bennett – odparł beznamiętnie Jared.

–O! Cześć! Zaskoczyłeś mnie. Czekałam na telefon od Iana Toole’a z laboratorium toksykologicznego i... nieważne. Gdzie jesteś? Wszystko w porządku?

–W domu, gdzie i ty powinnaś i jednocześnie nie powinnaś być. Kate popatrzyła na zegarek na biurku i jęknęła.

–Cholera! Jared, zapomniałam o Carlisle’ach. Przepraszam.

–Przeprosiny nieprzyjęte – odpowiedział bez śladu wesołości.

Kate opadła w fotelu, przygotowana z rezygnacją na wybuch, który miał nastąpić, choć zdawała sobie sprawę, że był uzasadniony.

–Mimo to przykro mi.

–Zawsze jest ci przykro, prawda? Tak jesteś zaabsorbowana sprawami Kate, otoczona światem Kate i problemami Kate, że zdajesz się zapominać, iż wokół istnieją jeszcze inne sprawy, inny świat i inne problemy. Na tym przyjęciu ma być mój ojciec i kilku ludzi z dużymi pieniędzmi. Jakie zrobię na nich wrażenie, jeśli zjawię się bez żony?

–Jared, nie rozumiesz, co się dzieje. Ludzie umierają.

–Tacy jak Bobby Geary?

Kate popatrzyła na zegarek. Była za pięć siódma.

–Posłuchaj – czekam na telefon, który może pomóc rozwikłać tę zagadkę. Mogę do ciebie oddzwonić albo jak najszybciej pojechać do domu, przebrać się i zdążę do Carlisle’ów na wpół do dziewiątej albo dziewiątą.

–Nie trudź się.

–Co chcesz, bym zrobiła?

Westchnienie Jareda było wyraźnie słyszalne.

–Chcę, byś robiła to, co uważasz za konieczne. Jadę do Carlisle'ów i tyle.

Porozmawiamy wieczorem albo jutro. Zgoda?

–Zgoda – odparła, nieco zaskoczona jego rozsądkiem.

–Jak Ellen?

–Przepraszam? – Była za minutę siódma.

–Ellen. Pamiętasz? Nasza przyjaciółka Ellen. Jak się czuje?

–Jest w szpitalu, Jared. Naprawdę przepraszam i naprawdę jestem w środku... a przynajmniej na skraju czegoś bardzo dziwnego. Od tego, co robię, może zależeć życie Ellen.

–Brzmi to dość melodramatycznie, ale cóż, jestem tylko biednym, starym, wiejskim adwokatem. Porozmawiamy potem.

–Dziękuję, Jared. Kocham cię.

–Do zobaczenia, Kate.

Ian Toole zatelefonował piętnaście po siódmej.

–Chodzi o tabletki, które mi pani przysłała, doktor Bennett. Badaliśmy je z moją asystentką Millicent prawie całe popołudnie, niestety nie mamy ostatecznych wyników.

–Ale przekazał pan, że leki Ellen Sandler były skażone.

–Ellen Sandler? Pani sekretarka chyba przekręciła wiadomość. Prawdopodobnie chodziła do tej samej szkoły co ja.

–Co chce pan przez to powiedzieć?

–Witaminy Ellen Sandler to dość przeciętne, niskoprocentowe mieszanki. Witamina B kompleks, trochę C, łyżeczka żelaza, kropelka cynku. Dziwaczne są pani leki.

–Moje? – Kate nagle wyszło w gardle.

–Mhm. Nie tylko brała pani te same witaminy co Ellen Sandler, ale łykała co dzień dość sporą dawkę czegoś w rodzaju kwasu antranilowego.

–Kwasu antranilowego?

–Próbujemy ustalić z Millicent boczne łańcuchy, ale podstawowa molekula to kwas antranilowy.

Kate zrobiło się niedobrze.

–Doktorze Toole, co to jest?

–Nie jestem lekarzem, ale chemikiem. Udało nam się jednak ustalić, że bierze pani jakiś rodzaj środka przeciwbólowego. To nienarkotyczny, niesteroidowy lek przeciwzapalny. Podstawowa molekula jest wymieniana w naszym podręczniku, ale moim zdaniem nie uda nam się w nim znaleźć dokładnie takich samych łańcuchów pobocznych. W każdym razie na pewno to nie preparat, który można kupić w tym kraju. Gdyby tak było, mielibyśmy go w książce. Kiedy poznamy pełną strukturę, zaczniemy sprawdzać w lekospisach europejskich.

–Zawiadomi mnie pan? – Kate właśnie skończyła pisać ANTRANILOWY i zaczynała wersję kaligraficzną.

–Oczywiście, choć prawdopodobnie potrwa to do przyszłego tygodnia. Musiałem obiecać Millicent butelkę wina, by dała się tak długo przetrzymać w pracy, mimo że była umówiona na randkę.

–Panie Toole, czy to jest niebezpieczne?

–Co?

–Kwas antranilowy.

–Jak powiedziałem, nie jestem lekarzem. To nie trucizna, jeśli o to pani pyta, ale witaminy też nie są trujące. Każdy lek może zrobić krzywdę, jeśli człowiek jest szczególnie wrażliwy albo uczulony.

–Dziękuję – powiedziała drętwo Kate. – Dziękuję także Millicent.

–Niema sprawy.

W Fenway Park było gorąco i duszno, kiedy Kate, siedząca w łoży z Jaredem, zaczęła się wykrwawiać na śmierć. Cicho, bezboleśnie, kapaly jej z nosa wielkie ciemnoczerwone krople, uderzały jak bomby w powierzchnię piwa, zmieniając złoto w bładny róż.

Zacisnęła nos palcami i chusteczką, ale niemal natychmiast poczuła, jak lepka słodycz splywa do gardła. Jared, nieświadomy tego, co się działo, popijał piwo i

wpatrywał się w boisko. Pomóż mi. Proszę, Jared, pomóż mi. Umieram. Słowa krążyły po jej głowie, ale nie mogły wydobyć się na zewnątrz. Nagle poczuła ciepłą wilgoć w dżinsach i natychmiast zrozumiała, że krwawi także tam. Pomóż mi.

W łoży po prawej stronie siedział Winfield Samuels – odwrócił się ku niej i uśmiechnął, jakby wcale jej nie było, po czym skierował wzrok na boisko i dystyngowanie zaczął bić brawo za szczególnie udane zagranie.

Gracze i trawa, widzowie oraz wielka zielona ściana po lewej stronie boiska - wszystko było czerwone. Kate przeciągnęła dłonią po oczach i zauważyła, że krwawi także z nich.

Oszołomiona strachem, wstała i zaczęła biec. W rzędzie za ich łożą, uprzejmie konwersując i uśmiechając się tak samo pusto jak ojciec Jareda, siedzieli Norton Reese oraz mężczyzna ubrany jak Carl Horner, o włosach jak Carl Horner, ale o groteskowej twarzy małpy.

–Widzę, że wykrwawia się pani na śmierć – z zadowoleniem powiedział Reese. – Tak mi przykro. Carl, też jest ci przykro?

Jared, proszę, pomóż mi. Pomóż mi. Pomóż mi.

Słowa znikaly jak odpływające w wieczność echo. Kate poczuła na ramieniu delikatny dotyk.

–Doktor Bennett, wszystko w porządku?

Uniosła głowę i jak przez mgłę ujrzała twarz nocnego strażnika, Waltera MacFarlane'a. Siedziała przy stole, sama w szpitalnej bibliotece, otoczona dziesiątkami książek i czasopism dotyczących patologicznych krwawień, chorób jajników i farmakologii.

–Tak, tak, Walterze. Nic mi nie jest, dziękuje. Naprawdę. – Bluzkę miała przepoconą i wilgotną, smak w ustach bardzo nieprzyjemny.

–Tylko sprawdziłem. Zrobiło się dość późno. – Postukał w tarczę swego wielkiego złotego kieszonkowego zegarka i podsunął go Kate pod nos.

Dwadzieścia po drugiej.

Kate słabo się uśmiechnęła i zaczęła zbierać notatki.

–Jeśli pani chce, odprowadzę panią do samochodu, pani doktor.

–Dziękuję, Walterze. Będę czekać przy głównym wejściu za pięć minut. Patrzyła za

nim, jak wychodzi z biblioteki. Odrzuciła myśl o telefonie do Jareda, by

nie pogarszać sprawy budzeniem go, i spakowała teczkę. Kiedy podchodziła do wyjścia, wyrzała przez okno. Po drugiej stronie ulicy, obscenicznie odbijając w swych ciemnych szybach zimową noc, stał Omnicenter.

Rozdział 8

Niedziela, 16 grudnia

Noc była ciężka i przenikliwie zimna. Miażdżąc rozmokły śnieg, który zaczął zamarzać, i zasłaniając twarz przed podobnymi do śrucin igiełkami lodu, Kate przecięła Commercial Street i parła Hanover w głąb North Endu. Korki i pogoda spowodowały, że była dwadzieścia minut spóźniona, ale Bill Zimmermann nie należał do nerwowych, niecierpliwych ludzi i oczekiwała szybkiego rozgrzeszenia. Demarsco's, gdzie się umówili, był małym, rodzinnym lokalem, w okolicy którego znalezienie miejsca do parkowania było tak samo trudne, jak pospolitego dania w karcie.

Z początku, kiedy zadzwoniła i poprosiła o spotkanie, Zimmermann zaproponował swój gabinet w Omnicenter, ale miejsce należało do ostatnich na świecie, gdzie byłaby gotowa wejść dziś wieczór. Niestety gdyby taka lista miejsc rzeczywiście istniała, Demarsco's – jego kolejna propozycja – też mógłby się tam znaleźć. Był to jeden z ulubionych lokali jej i Jareda.

Tyle że Jared odszedł.

Coś w rodzaju separacji, ale nie separacja - nazwał to w liście, który znalazła, kiedy przyjechała o trzeciej nad ranem do domu. Zabrał kilka rzeczy i pojechał do ojca, gdzie zamierzał zostać do poniedziałku, czyli do dnia, w którym miał jechać w sprawach służbowych do San Diego.

COŚ W RODZAJU SEPERACJI, ALE NIE SEPARACJA.

*Żadnych długich wyjaśnień. Żadnych przeprosin. Nawet złości. W każdym jednak słowie dało się wyczuć urazę i zmieszanie. Tak jakby odkrył, że jego żona ma romans – pełen upadków i wzlotów, intensywny, wycieńczający emocjonalnie romans – ale nie z innym mężczyzną, lecz z pracą, z karierą. **Byśmy oboje mogli znaleźć przestrzeń na likwidację napięć i nacisków, jakie niesie każdemu z nas życie, bez dodawania nowych** - napisał. – **Abyśmy oboje uzyskali przestrzeń na dobre przyjrzenie się naszym priorytetom.***

Kate zastanawiała się, czy stojąc na środku eleganckiego, pokrytego boazerią gabinetu – niczym elegancka metresa, czekająca na czarnych satynowych prześcieradłach – Winfield Samuels Junior wzniosł kielich w toaście z okazji zwycięstwa nad Kate Bennett i powrotu syna do domu oraz zaczął snuć plany, jak doprowadzić do tego, by chwilowa sytuacja zmieniła się w stałą. Wizja była niezbyt przyjemna, choć prawdopodobnie nie odbiegała od rzeczywistości.

Nie mniej nieprzyjemne od wizji triumfującego Wina Samuela było dla Kate

uświadomienie sobie, że główną jej emocją – przynajmniej zaraz po powrocie do domu i przez godzinę, nim zawładnął nią sen, było poczucie ulgi. Ulgi, że zaoszczędzona jej została konfrontacja. Ulgi, że była sama i mogła myśleć.

Ktoś próbował szargać jej reputację, być może zniszczyć karierę. Bliska przyjaciółka leżała w szpitalnym łóżku i krwawiła z powodu choroby, która zabiła przynajmniej dwie inne kobiety – choroby bez określonej przyczyny, nie mówiąc o metodzie leczenia. Udowodnione zostało, że jej samej podawano skażone witaminy, przez co ciało mogło być bombą zegarową, czekającą na wybuchnięcie – prawdopodobnie wykrwawienie się, prawdopodobnie śmierć.

Priorytety. Dlaczego Jared nie mógł potraktować ich małżeństwa jak koca, na którym mogliby wyłożyć swe życiowe priorytety i wspólnie próbować je urzeczywistnić? Dlaczego nie był w stanie dostrzec, że ich związek nie musi być ciągłym pasmem decyzji „albo-albo”? Dlaczego pozostał ślepy na fakt, że żona może go kochać, nie rezygnując z własnego życia?

Restauracja Demarsco's znajdowała się na parterze wąskiego budynku z brązowego kamienia. W środku stało może dwanaście stolików, pokrytych obrusami w czerwono-białą kratę i przystrojonych obkapanymi stearyną butelkami po chianti z powtykanymi w szyjki świecami. Może gdzie indziej wystrój taki byłby tandetny, ale nie tu. Bill Zimmermann, który zajął niewielki stolik w głębi, wstał na jej widok i zamachał. Miał na sobie ciemną sportową marynarkę i szary golf, a wyglądał jak połączenie Gary'ego Coopera i Montgomery'ego Clifta. Gruba jak matrona kelnerka, być może matriarchini klanu Demarsco, wzięła od Kate płaszcz i zaprowadziła ją do Zimmermanna, ze spojrzeniem świadczącym o tym, iż akceptuje kobietę, na którą czekał wysoki mężczyzna z fantazją.

–Mają wspaniałe soave – powiedziała na powitanie Kate – ale będziesz musiał większość wypić sam. Nie spałam ostatnio zbyt wiele, a kiedy jestem zmęczona, wystarczy trochę więcej niż kieliszek wina i zamykają mi się oczy.

–Niestety ja nie mam takiego problemu – odparł i skinął na obfitych kształtów kelnerkę. – Czasami odnoszę wrażenie, że wątroba mi zastrajkuje, zanim mózg się dowie, że piję. To jedno z przekleństw bycia Europejczykiem. Wpadłem rano do szpitala, by rzucić okiem na twoją przyjaciółkę panią Sandler.

–Wiem. Widziałam się z nią tuż przed wyjazdem tutaj. Była bardzo wdzięczna, że ją odwiedziłeś. Nie wiem, co powiedziałaś, ale dodało to jej otuchy. – Kate uśmiechnęła się pod nosem na wspomnienie dziewczynskiej wymiany zdań z Ellen na temat niezwykle miłego dla damskiego oka wyglądu dyrektora Omnicenter i jego stanu cywilnego.

„Może mogłabym wynająć go na noc – powiedziała Ellen – by raz czy dwa

przespacerować się z nim przed Sandym”.

Zimmermann złożył dłonie, tak że stykały się opuszkami palców.

–Wyniki badań laboratoryjnych nie pokazują wielkich zmian.

–Zgadza się. A jeśli, to pogorszenie. Jeżeli nie będzie kilku dni poprawy, a przynajmniej stabilizacji, wątpię, by hematolog pozwolił jej iść do domu. – W pamięci Kate odegrał się ponury film z Ashburton Service, ukazujący ostatnie minuty życia Beverly Vitale, i poczuła w piersi wielki ciężar. Jak na razie wyniki Ellen nie spadły do strefy krytycznej, ale było tak wiele niewiadomych... Nagłe załamanie mogło się wydarzyć w każdej chwili. Strumień myśli zaczął się układać wokół problemu, czy w świetle tego, co odkrył Ian Toole, nie powinna przebadać sobie poziomu czynników krzepnięcia krwi. Natychmiast jednak postarała się o tym zapomnieć.

–Mam taką samą nadzieję jak i ty, że nastąpi poprawa – stwierdził Zimmermann. Przerwałby przejrzeć menu. – Co dla ciebie?

–Nie jestem bardzo głodna. Może jakąś przekąskę, chleb czosnkowy i... na dodatek nieco spokoju ducha?

Szarobłękitne oczy Zimmermanna, skierowane na oprawiony w skórę jadłospis, nieco się zwężyły.

–Aż tak źle?

Kate zagryzła dolną wargę i skinęła głową, nagle szczęśliwa, że zdecydowała się do niego zadzwonić. Jeśli – na co się zapowiadało – szykowałą się konfrontacja z Redding Pharmaceuticals, dobrze będzie mieć sojusznika o opanowaniu i stabilności Billa Zimmermanna. Zwłaszcza że jej pewność siebie była bardzo krucha.

–W takim razie może i ja zjem coś lekkiego. – Zimmermann przywołał nieznacznym skinieniem głowy kelnerkę i zamówił dwa identyczne dania.

–Chciałabym ci bardzo podziękować za to, że zdecydowałeś się przyjść w tak okropny wieczór – powiedziała Kate. – Pojawiło się kilka nowych szczegółów w związku z próbą zrozumienia przeze mnie przyczyn trzech przypadków krwawienia i chciałabym się nimi podzielić.

–O! – Zimmermann zrobił się jeszcze bardziej uważny.

–Na pewno wiesz, że zleciłam Stanowemu Laboratorium Toksykologicznemu zbadanie próbek leków z Omnicenter.

–Oczywiście. Wydawało mi się jednak, że wyniki były w normie.

–Były... do piątkowego wieczoru. Jedna z próbek witamin została skażona mającym działanie przeciwbólowe kwasem antranilowym. Zasadniczy związek jest zawarty w licznych znajdujących się w obrocie preparatach. Wymienię dwa... w bymidzie produkcji Sampson Pharmaceuticals oraz w levonide Freeman-Gannetta, tyle że związek, który dodano do witamin, to postać zmodyfikowana i całkiem nowa... przynajmniej w tym kraju, Ian Toole z laboratorium stanowego zamierza posprawdzać europejskie lekospisy i zawiadomić mnie jutro, czego się dowiedział.

–Jest pewny uzyskanych wyników?

–Takie sprawiał wrażenie. Nie znam go osobiście, ale ma reputację osoby bardzo rzetelnej.

–Co się, twoim zdaniem, stało?

–Doszło do skażenia. – Kate wzruszyła ramionami. Według niej nie było bowiem żadnego innego wyjaśnienia. – Albo w Redding Pharmaceuticals albo u któregoś z dostawców witamin, choć raczej bym podejrzewała, że tak wielka firma jak Redding może wszystko robić sama.

–Zgadzam się z tobą. Sądzisz, że krwawienie zostało u tych trzech kobiet wywołane przez kwas antranilowy?

–Krwawienie u trzech plus zwyrodnienie jajników u przynajmniej dwóch. Nie wiemy, jak jest u Ellen. Odpowiedź na twoje pytanie brzmi: Nie wiem i mam nadzieję, że nie.

–Dlaczego?

–Ponieważ witaminy, które okazały się skażone, należały do mnie. Zostały mi przepisane przez ciebie.

Zimmermann zbladł. Kelnerka podeszła z przekąskami, lecz nawet na nią nie spojrział.

–Boże drogi... – powiedział cicho. – Jesteś pewna, że ten Toole się nie pomylił? Mówiłaś, że wszystkie poprzednie próbki były negatywne.

–Wszystko jest możliwe. Podejrzewam, że Ian Toole i jego spektrofotometr mogą się tak samo pomylić jak... Redding Pharmaceuticals.

–Masz jeszcze inne próbki? Moglibyśmy zrobić kontranalizę w innym laboratorium? Kate pokręciła głową.

–To były dość stare leki. Zostało mi tylko kilka tabletek i chyba wszystkie zużył. Zimmermann próbował skubać jedzenie, szybko jednak zrezygnował.

–Nie chcę podawać w wątpliwość tego, co mówisz, Kate, ale chyba zdajesz sobie sprawę, co implikuje taka lub inna decyzja?

–Oczywiście. Doskonale rozumiem twój sceptycyzm. Gdybym była na twoim miejscu, a Omnicenter był moim dzieckiem, też chciałabym mieć stuprocentową pewność.

Tyle że sytuacja jest rozpaczliwa. Dwie kobiety zmarły, moja przyjaciółka leży na oddziale i

krwawi, a ja nieświadomie brałam środki, które nigdy mi nie zostały przepisane. Ktoś w

dziale leków Redding Pharmaceuticals albo blisko z nim związany popełnił błąd i moim

zdaniem powinniśmy jak najszybciej złożyć w tej sprawie zawiadomienie do FDA.

Rozmawiałam już z kierowniczką apteki w szpitalu o tym, jak należy formalnie przeprowadzić zgłoszenie problemu z lekiem.

–Wspomniałaś, że chodzi o Omnicenter?

–Bill, ta sprawa mnie denerwuje i przeraża, ale nie jestem ani głupia, ani nie straciłam wyczucia. Nie wspomniałam. Rozmowa dotyczyła czysto hipotetycznego przypadku.

–Dziękuję.

–Nonsens. Występy przed otwartą kurtyną nie są w moim stylu. – Uśmiechnęła się. – Wbrew temu, co piszą w prasie i co myślą wściekli kibice drużyny Red Sox. Wszystkie decyzje dotyczące Omnicenter podejmiemy wspólnie. – Kate odgryzła skrawek czosnkowego chleba i stwierdziła, że po raz pierwszy od znalezienia listu od Jareda ma apetyt. Może był to wynik poczucia, że nareszcie działa. Podsunęła koszyk Zimmermannowi. – Proszę, weź kawałek, zanim wystygnie.

Zimmermann wziął kromkę, ale twarz w dalszym ciągu spowijało mu głębokie zmartwienie.

–Co powiedziała farmaceutka?

–Istnieje agencja o nazwie US Pharmacopia, niezależna zarówno od FDA, jak i przemysłu farmaceutycznego, choć będąca z nimi w ścisłym kontakcie. Są odpowiedzialni za funkcjonowanie systemu zgłaszania problemów z lekami. Wypełnia się formularz i wysyła im, oni przekazują kopie FDA i firmie farmaceutycznej, której sprawa dotyczy.

–Wiesz, co się dzieje dalej?

–Nie bardzo. Podejrzewam, że FDA wyznacza inspektora do bliższego przyjrzenia się problemowi.

–I wielki biurokratyczny smok zaczyna wściekle ryczeć.

–Słucham?

–Miałaś często do czynienia z FDA? Tempo i skuteczność działania nie należą do ich głównych cech. Cóż, to w końcu niczyja wina. FDA ma paru naprawdę bystrych ludzi, tyle że jest ich za mało.

–Cóż nam pozostało innego? – Nie myśląc o tym, co robi, Kate stoczyła czarną oliwkę z gorki sałaty i zjadła ją z kilkoma cienkimi paskami *prosciutto*. – Potrzebuję pomocy. Jak na razie spędzam każdą wolną chwilę w bibliotece. Złożyłam nawet zapotrzebowanie w bibliotece Narodowych Instytutów Zdrowia na komputerowe wyszukanie wszystkich wzmianek o wspólnym występowaniu zaburzeń obrazu krwi i degeneracji jajników. Powinni przysłać mi jutro bibliografię. Posłałam twoje preparaty do czterech innych patologów w nadziei, że może ktoś odkryje jakiś związek. FDA wydaje mi się jedynym wyjściem, jakie pozostało.

–Zwrócenie się do FDA może się okazać niezbędne, ale nie powiedziałbym, że to jedyne wyjście. Na początek porozmawiam z Carlem Homerem i naszym naczelnym farmaceutą, proponując, by do momentu wyjaśnienia zagadki zawieszono stosowanie wszelkich preparatów Redding Pharmaceuticals w naszym ośrodku.

–Znakomicie! Będziesz musiał sprowadzić dodatkowych farmaceutów?

–Tak, ale mamy plan awaryjny, ustalony na wypadek problemów z dystrybucją leków przez komputer od... cóż, jeszcze zanim zostałem dyrektorem. Poradzimy sobie.

–Miejmy nadzieję, że ten stan wyjątkowy nie potrwa zbyt długo – stwierdziła Kate, która znów przypomniawszy sobie pozbawioną życia, zakrwawioną twarz Beverly Vitale.

–Jeśli zwrócimy się do FDA, potrwa bardzo długo.

–Słucham?

–Kate, moim zdaniem naszym pierwszym posunięciem powinien być bezpośredni kontakt z Redding Pharmaceuticals. Uważam, że firma na to zasługuje, choćby za lekarstwa dla osieroconych dzieci i pomoc kierowaną do środowiska medycznego oraz innych grup społecznych. Poza tym, jeśli dochodzi do jakiegokolwiek starcia między biurokratycznym smokiem a przemysłem prywatnym, zawsze staję po stronie przemysłu. Uważam, że zarówno Omnicenter, jak i nasze pacjentki zasługują na to, by jak najszybciej dotrzeć do sedna problemu.

Kate, zamyślona, popijała wino.

–Rozumiem, co masz na myśli... tak jakby. Nie możemy zrobić obu rzeczy naraz?

Skontaktować się z Reddingiem i zawiadomić FDA.

–Możemy, tylko że wtedy stracimy inicjatywę czy... jak wolisz... możliwość

wywierania presji. Ludzie z Redding usuną się w cień, by nie padło na nich złe spojrzenie

inspektorów FDA. Wiem, że tak będzie. Doświadczyłem tego z innymi firmami

farmaceutycznymi, mimo że nie były tak wrażliwe i odpowiedzialne jak Redding. Każdy

producent leków jest gotów zrobić wszystko, by ustalić i naprawić własne błędy bez udziału kogokolwiek z zewnątrz.

–Myślę, że brzmi to logicznie.

–Ale mówisz to bez przekonania, Kate. Posłuchaj, cokolwiek zrobimy, musimy to robić razem. Sama tak powiedziałaś. Uzasadniłem ci mój punkt widzenia, ale nie zamierzam być nieelastyczny. – Zimmermann dopił wino i dolał sobie.

Kate wahała się, w końcu jednak stwierdziła:

–Mam coś do przemysłu farmaceutycznego. Chyba problem z zaufaniem. Rozdają miliony dolarów studentom i lekarzom, wspierają reklamami dziesiątki nic niewartych gazet i czasopism. Co miesiąc dostają pięćdziesiąt niezamawianych publikacji... a nawet nie wypisują recept. Wyobrażam sobie, ile tobie ich przysyłają. – Zimmermann skinął głową, że rozumie. – Poza tym mam poważne wątpliwości co do ich priorytetów, no wiesz, co jest ważniejsze w razie konfliktu między zyskiem a człowiekiem.

–To znaczy?

–Spójrz na valium. Roche wprowadza lek, odpowiednio go reklamuje i ludzie

zaczynają go masowo przyjmować. Choć to lek uspokajający, dołujący, błyskawicznie staje

się najczęściej przepisywanym i przyjmowanym preparatem w kraju. Niestety okazuje się, że

znacznie bardziej uzależnia, niż sądziła początkowo większość lekarzy, i zdarza się, iż rujnuje

ludziom życie. Kilkanaście firm farmaceutycznych zdążyło przez ten czas wprowadzić na

rynek różne wersje valium; każda ma własną nazwę oraz zakres działania. Wolniej działające.

Szybciej działające. Działające przez całą noc. Wydalane szybciej przez organizm. Wielu

zapracowanych lekarzy tak się gubi w gąszczu reklam i obietnic, że zaczyna przepisywać

pacjentom dwie postacie naraz, inni dochodzą do wniosku, że robią pacjentom wielką

przysługę, zmieniając co jakiś czas preparat. Niezła mi przysługa.

–Przepraszam, że to mówię, Kate, ale to sąd mało obiektywny.

–Obawiam się, że taka jestem. Miałam na uczelni trochę problemów emocjonalnych i stary dobry wiejski pan doktor, który obsługiwał studentów, zaczął mi dawać valium. W efekcie potrzebny był sztab specjalistów, by zrozumieć, jak bardzo moje życie wkrótce kręciło się wokół małych żółtych tabletek. Skończyło się to tym, że trzeba mnie było hospitalizować i detoksykować. Stąd mam dziwne wrażenie, że lepiej nie ufać firmom farmaceutycznym. To wszystko.

Zimmermann opadł na oparcie, potarł podbródek i westchnął.

–Nie wiem, co na to odpowiedzieć. Jeżeli o rozwiązaniu tej zagadki może decydować

szybkość działania, a chyba oboje jesteśmy zgodni co do tego, że tak jest, należy iść do firmy.

Nie mam najmniejszej wątpliwości. – Przerwał na chwilę. – Coś ci powiem. Dajmy im tydzień na poprawę, która nas zadowoli. Jeśli nie spełnią naszych oczekiwań do

piątku, zawiadomimy FDA. Zgoda?

Kate wahała się, skinęła jednak głową.

**–Dobrze – odparła. – Brzmi to uczciwie i zasadnie. Ty do nich zadzwonisz?
Zimmermann wzruszył ramionami.**

–Jasne. Jutro z samego rana. Prawdopodobnie skontaktują się z tobą pod koniec dnia.

–Im prędzej, tym lepiej. Czy mógłbyś porozmawiać z kilkoma swoimi pacjentkami z Omnicenter i dać mi listę tych, które wyrażą zgodę na spotkanie ze mną i analizę przyjmowanych przez nie leków?

–Na pewno mogę spróbować.

–To świetnie. Najwyższy czas, by sprawy zaczęły się posuwać we właściwym kierunku. Niewiele dobrego mogę powiedzieć o tym, co się dzieje, ale jestem szczęśliwa, że

nasz kontakt zmienił się z układu pacjentka-lekarz i doktor-doktor na człowiek-człowiek.

Akurat teraz to ja potrzebuję pomocy, jeśli jednak kiedykolwiek ty miałbyś jej potrzebować,

możesz na mnie liczyć.

Zimmermann błysnął uśmiechem w stylu Cary’ego Granta.

–Takich przyjaciół jak ty niełatwo zdobyć. Dziękuję.

–To ja dziękuję. Pomijając Toma Engelsona, czuję się w tym wirze dość samotna. Teraz jesteśmy my dwoje. – Machnęła na kelnerkę.

–Kawy? – spytała Włoszka.

–Dla mnie nie. Bill? – Zimmermann pokręcił głową. – Poproszę o rachunek.

–Mowy nie ma – zaproponował Zimmermann. – Nie... – pełne wyrzutu spojrzenie Kate powstrzymało go – nie mogę pozwolić na to, bez rewanżu.

Kate się rozpromieniła.

–Umowa stoi! – powiedziała z szerokim uśmiechem.

–Umowa stoi – powtórzył Zimmermann. Ciepło uścisnęli sobie ręce, a kiedy Kate uregulowała rachunek, wyszli razem w

zimową noc.

Odrętwiały ze zmęczenia John Ferguson wpatrywał się w litery na ekranie monitora. Plecy bolały go od schylania się praktycznie przez dwa dni nad klawiaturą. Dłonie, odczuwające skutki choroby znacznie ostrzej niż kiedykolwiek w ciągu miesiąca, wpisywały słowa powoli, litera po literze. Zadanie, którego się podjął – skrótowne ujęcie czterdziestu lat

badan na trzydziestu stronach naukowej rozprawy – było wycieńczające, ale zdanie po zdaniu, wyraz po wyrazie... robił postępy.

Z boku biurka leżało kilkanaście najbardziej renomowanych czasopism naukowych. Ferguson początkowo zamierzał przekazać manuskrypt do każdego z nich, zmienił jednak zdanie. Zaszczyt opublikowania jego pracy otrzyma jedynie „The New England Journal of Medicine” – periodyk najbardziej prestiżowy, czytany przez największą liczbę naukowców.

„The New England Journal of Medicine”.

Ferguson wpisał kod wywołania i po kilku sekundach na ekranie pojawiła się pierwsza strona jego dzieła.

BADANIA ESTRONATU 250

Syntetyczny estrogen i hormon

przeciwciażowy

Dr n. med. John N. Ferguson

Był prawie pewien, że pierwszy raz w długiej i szacownej historii czasopisma cały numer zostanie poświęcony jednemu artykułowi. Jeśli jednak redakcja się nie zgodzi, będzie musiała przełknąć pojawienie się historycznego materiału wraz z komentarzami w „Lancecie” albo „The American Journal of Medicine”. Ferguson się uśmiechnął. Wątpiłby po obejrzeniu jego danych i zdjęć redaktorzy „The New England Journal of Medicine” bardzo się bronili przed wyrażeniem zgody na jego prośbę. Popatrzył na stronę, po czym skasował nazwisko autora. To, co zamierzał, mogło ściągnąć mu na głowę kłopoty, choć nie był o tym tak bardzo przekonany. Był za stary i zbyt chory nawet dla fanatycznego Szymona Wiesenthala.

Ze starannością, która pozwoliła maksymalnie rozkoszować się tym, co robił, wpisał: „Dr n. med., dr fil. Wilhelm W. Becker”. Być może, pomyślał z uśmiechem, Fergusonowi należał się krótki pogrzeb. W końcu zmarł dwa razy – raz w Bataan, czterdzieści lat temu, drugi raz dziś wieczór.

Z dyscypliną, która cechowała całe jego życie, Willi Becker zakończył przyjemne interludium i przeszedł do końca tekstu. Z powodu tej doktor Bennett Cyrus Redding zwąchał, że prowadzi badania w Omnicenter, a znając go tak dobrze, jak znał, Becker zdawał sobie sprawę, że magnat zacznie teraz bezlitośnie badać zagadnienie. Na pewno miał jeszcze czas na przeniesienie wyników swej pracy na papier i wysłanie jej, ale ocena, ile mu tego czasu pozostało, nie była możliwa. Musiał się śpieszyć. Musiał zwalczyć zmęczenie i ból mięśni i zmusić się do wysiłku – przynajmniej jeszcze przez godzinę albo dwie. Miał w zasięgu ręki naukową nieśmiertelność.

Spojrzał ukradkiem na stojącą na stole buteleczkę z amfetaminą. Ostatnią pastylkę brał jedynie trzy godziny temu. Było zbyt wcześnie na następną – zwłaszcza że pojawiła się arytmia. Mimo to musiał się śpieszyć. Zostało już tylko kilka dni, może mniej. Z trudem otworzył maleńkie zamknięcie, położył sobie na języku kolejną czarną, pokrywaną tabletkę i połknął ją bez popijania. Za kilka minut pojawi się ciepła fala i kolejna porcja napędu – choć sztucznego i krótkotrwałego – by pokonać bezwład miastenu.

–Naprawdę nie powinieneś tego brać, ojczy. Z uwagi na twoje serce.

Becker gwałtownie się odwrócił i popatrzył na syna, klnąc swój słuch, który

pozwalają

na takie niespodzianki.

–Biorę, bo muszę – odparł ostro. – Dlaczego się skradasz? Do czego, twoim zdaniem,

służą dzwonki?

–Ładne przywitanie. A jechałem taki kawał, by sprawdzić, czy wszystko w porządku. Trzy przecznice, pomyślał Becker. Wielki wysiłek.

–Przestraszyłeś mnie. To wszystko. Przepraszam, że tak ostro zareagowałem.

–To ja powinienem przeprosić, ojcze. Czyżby słyszał w głosie syna sarkazm? Beckera zawsze dręczyło, że nigdy nie umiał

go rozgryźć. Łączący ich związek opierał się na właściwym między ojcem a synem zobowiązaniu i szacunku, ale nie było w nim miłości. Przez większą część życia syna mieszkali osobno: Becker w niewielkim wiejskim domu na terenie szpitala, w którym pracował, jego żona z synem – trzydzieści pięć kilometrów od niego. Układ był bolesny, ale niezbędny i zarówno sam Becker, jak i jego żona przez lata próbowali to uświadomić synowi. Starali się mu przekazać, że istnieją ludzie, którzy chcą aresztować ojca z powodu licznych niezасłużonych oskarżeń, wsadzić go do więzienia, może nawet skazać na śmierć. W latach powojennej hysterii był na pręgiu za to tylko, że jest Niemcem... i dla bezpieczeństwa matka i syn muszą mieć inny adres. Choć Becker ich utrzymywał i często odwiedzał, nikt nie wiedział o jego prawdziwym związku z Anną Zimmermann i jej synem Williamem.

–No dobrze – rzekł Becker. – Teraz, kiedy się odpowiednio przeprosiliśmy, wejdź, siadaj i nalej sobie drinka.

William Zimmermann kiwnął w podziękę głową, wlał do szklanki z grubym dnem dwa centymetry whisky i usiadł na krześle naprzeciwko ojca.

–Widzę, że zacząłeś zbierać dane – zaczął. – Dlaczego teraz?

–Cóż... ponieważ... bez żadnego konkretnego powodu. Mam wrażenie, że wprowadzone przeze mnie poprawki w znacznym stopniu, choć może nie całkowicie,

wyeliminowały problemy z krwawieniem, które mieliśmy przy użyciu estronatu. Na co więc jeszcze czekać?

–Do którego pisma chcesz się zwrócić?

–Chyba do „The New England Journal of Medicine”. Zamierzam przekazać im dane oraz ich omówienie, zachować jednak dla siebie wiedzę o kilku etapach syntezy środka, do czasu aż odpowiednia, wybrana przez redakcję, komisja sprawdzi wzory i uzna, jak społeczeństwo może najlepiej skorzystać z mojego dzieła.

–Dla mnie brzmi to świetnie – odparł Zimmermann. – Po tym co działo się w zeszłym tygodniu, im szybciej zobaczę ostatnią porcję estronatu dwieście pięćdziesiąt, tym lepiej.

–Pojawiły się jeszcze jakieś krwawienia?

Zimmermann pokręcił głową.

–Tylko ta Sandler, o której mówiłem. Przyjaciółka doktor Bennett. Była obiektem półtora roku temu, w grupie lipcowo-sierpniowej, ostatniej, która dostała niemodyfikowany estronat.

–Jak się czuje?

–Moim zdaniem skończy jak obie poprzednie.

–Nie mógłbyś w jakiś sposób zaproponować leczenia dużymi dawkami kwasu delta-aminokapronowego i nikotynowego?

–Nie widzę takiej możliwości bez narażenia się na niewygodne pytania, na które nie umiałbym dać odpowiedzi. Nie jestem hematologiem, lecz ginekologiem. Poza tym sam mówiłeś, że w tak zaawansowanych stadiach tego typu terapia ma jedynie sześćdziesiąt procent szansy powodzenia.

Becker wzruszył ramionami.

–Sześćdziesiąt procent to zawsze sześćdziesiąt procent.

–A moja kariera to moja kariera. Nie, ojcie, mam znacznie więcej do stracenia. Obawiam się, że pani Sandler będzie musiała poradzić sobie sama.

–Może masz rację.

Uścisnęli sobie formalnie ręce i William Zimmermann wyszedł. Dwadzieścia

kilometrów dalej, na trzecim piętrze Budynku Berensona Bostońskiego Szpitala Metropolitalnego w sali 421 Ellen Sandler znów zaczęła krwawić z nosa.

Rozdział 9

Poniedziałek, 17 grudnia

–Suzy, obiecaj tatusiowi, że zapamiętasz, co mówi mama i nigdy, przenigdy więcej

nie zrobisz tego kotu...Dobrze...Muszę iść, skarbie. Lepiej przygotuj się do lekcji gry...Wiem,

co powiedziałem, ale jeszcze nie skończyłem tu pracować i muszę zostać, aż wszystko

pozałatwiam...Nie wiem. Jeszcze dwa, może trzy dni...Suzy, przestań. Nie jesteś już

dzidziusiem. Bardzo cię kocham i wkrótce się zobaczymy. Teraz powiedz tatusiowi, że też go

kochasz i idź poćwiczyć...Suzy?...Cholera! – Arlen Paquette huknął słuchawką o widełki.

Mówił Reddingowi, jaki to bezsens tkwić w Bostonie przez weekend, ale stary kazał być

blisko tego, co się działo w Omnicenter. Jak zwykle fakty potwierdziły, że dobrze ocenił

sytuację. Paquette wsunął do aktówki trochę notatek i włożył płaszcz. Oczywiście dobrze dla

Redding Pharmaceuticals, nie dla Suzy Paquette, która miała rację, narzekając na nieobecność

ojca na szkolnych zawodach lekkoatletycznych. Jak miał wyjaśnić siedmiolatce, że jedynie

dzięki temu, co go trzyma z dala od domu, może chodzić do tak eleganckiej szkoły jak

Hightower Academy? Poprawił krawat i przeczesał palcami rzednące włosy. Jak miał jej

wyjaśnić, że ma poważne problemy, by uzasadnić wobec samego siebie prawidłowość tego,

co robi? Mimo wszystko, biorąc pod uwagę korzyści, jakie on i jego rodzina czerpali

ze

związku z Reddingiem, obowiązki nie były przesadne. Popatrzył na leżące na stole fotografie

Kate Bennett. Przynajmniej jak na razie obowiązki nie były przesadne.

Jazda taksówką z Ritza do szpitala Metropolitan zajęła piętnaście minut. Paquette wszedł do głównego holu świeżo zainstalowanymi, elektronicznie sterowanymi drzwiami i poszedł prosto w kierunku gabinetu Nortona Reese'a. Niemal miał nadzieję, że kobieta, której twarz i życie przestudiował z wszelkimi szczegółami, wyjdzie zaraz z bocznego korytarza i się z nim zderzy.

–Arlen, miło cię widzieć. Dobrze wyglądasz. – Norton Reese wstał zza biurka i

spotkali się w połowie drogi. Uścisnął mu niepewnie dłoń. Ich wzajemny stosunek dałby się

określić mianem permanentnego zawieszenia broni i trudno było sobie wyobrazić, by nawet

najdłuższy czas mógł zlikwidować brak zaufania i szacunku, jakim się obustronnie darzyli.

Paquette był jednak wysłannikiem Cyrusa Reddinga i przyniósł kilka milionów dolarów,

które utorowały Reese'owi drogę do zajęcia znaczącej pozycji. Choć znajdowali się na korcie

Reese'a, Paquette serwował.

–Ty też nieźle wyglądasz, Norton – odparł Paquette. – Nasz wspólny przyjaciel przesyła wyrazy szacunku i pozdrowienia.

–Mówiłeś mu o naszym sportowcu, miłośniku amfy, i listach do prasy i telewizji?

–Tak. Posłałem mu nawet przez gońca zestaw artykułów i felietonów. Pochwala twą pomysłowość. Tak się akurat składa, że ja też. – Choć próbował, nie był w stanie zawrzeć w tym zdaniu żadnych emocji.

Księżycowe oblicze Reese'a w dalszym jednak ciągu wykrzywił uśmiech.

–To było wspaniale, Arlen – nie wytrzymał. – Po prostu cudowne. Od chwili wybuchu sprawy pani doktor Kate Bennett lata, jak wściekła, i próbuje łątać

zniszczonej reputację. Moim zdaniem w tej chwili nie za bardzo wie, co się z nią dzieje.

–Dobra robota, Norton. Znakomita. Tylko że na nasze potrzeby niewystarczająca.

–Słucham? – Reese niespokojnie się poruszył. – Odwrócenie uwagi. O to Horner prosił i, na Boga, załatwiłem to. Lawinę spraw odwracających uwagę.

–Już mówiłem, Norton, to była naprawdę dobra robota.

–Dostała tyle jobów od prasy, aż dziw, że nie złożyła rezygnacji ani nie wywalono jej z akademii. – Reese paplał, jakby nie usłyszał, co mówi Paquette. – Prawda jest taka, że Komisja Etyki Akademii Medycznej planuje nałożyć na nią jakąś karę.

Paquette uciszył go uniesieniem rąk.

–Spokojnie, Norton. Proszę cię... Powtórzę jeszcze raz. To, co zrobiłeś, ten list i tak dalej, było dokładnie tym, o co cię proszono. Nasz wspólny przyjaciel jest zadowolony. Prosiłbym ci przekazać, że Fundacja Ashburtonów zamierza sfinansować stanowisko dla rezydenta na kardiochirurgii.

–Więc co zrobiłem nie tak? – Reese wreszcie zauważył, że chcąc się z całej siły bronić, zapomniał dostrzec szczodrość Reddinga. Zanim zdążył naprawić błąd, odezwał się Paquette.

–Przekażę twoje podziękowania po powrocie do Darlington – powiedział z lekką irytacją w głosie. – Norton, czy zdajesz sobie w ogóle sprawę z tego, co tu się działo?

–Nie... nie bardzo...

Paquette z pobłażliwością skinął głową.

–Doktor Bennett, szukając przyczyny niecodziennych krwawień u trzech kobiet, skoncentrowała swą uwagę na Omnicenter. Choć kobiety te były pacjentkami Omnicenter, nie

widzimy między nimi związku.

–Ta... te prace, które prowadzicie... chyba żadna z kobiet nie dostała... – Po latach skrupulatnego unikania myślenia o Omnicenter oraz ludziach związanych z prowadzoną tam

działalnością, Reese nie bardzo wiedział, jak omawiać zagadnienie.

Paquette oszczędził mu dalszego jąkania się.

–Od czasu do czasu każda z pacjentek uczestniczyła w badaniu jednego albo kilku produktów. Carl Horner zapewnia jednak, że żadnego nie przyjmowałyby wszystkie trzy. Wynika z tego prosty wniosek, że bez względu na to, co spowodowało ich problemy, nie łączą się one z Omnicenter.

–To wielka ulga.

–Nie do końca. – Mina Paquette’a wyraźnie świadczyła o jego zniecierpliwieniu. – Bez względu na konsekwencje wywołane twoim listem, doktor Bennett okazała się niezwykle uparta.

–Jest rekordowym cierniem w dupie. Uwierz mi.

–Przetestowała kilka produktów Omnicenter w Stanowym Laboratorium

Toksykologicznym, każąc – żeby było śmieszniej – wystawić rachunek twojemu szpitalowi.

–Niech ją szlag trafi. Oczywiście nic nie znalazła, prawda? Horner zapewnił mnie, że nie ma się czego bać.

Cierpliwość Paquette’a się kończyła.

–Oczywiście, że znalazła, Norton. Dlatego tu jestem. Kazała nawet doktorowi Zimmermannowi zadzwonić i poinformować o tym naszą firmę.

–Oj! Paskudne.

–Nasz przyjaciel w Kentucky poprosił o nasilenie działań dyskredytujących doktor Bennett oraz zastosowania... jak to nazwał...? metod dywersyjnych... nie... lawiny środków odwracających uwagę. Poczyniliśmy kroki mające zamazać wyrazistość jej odkryć, jeśli nie uda się ich zneutralizować, niestety i dowody tego, co robiliśmy, znajdują się w zbyt wielu gabinetach lekarskich. Jeśli doktor Bennett okaże się bardzo uparta, znajdzie je. Dała nam tydzień na ustalenie, w jaki sposób pewien eksperymentalny środek przeciwbólowy dostał się do wydanego przez Omnicenter zestawu witamin. Jeśli nie nakarmimy jej do tego czasu zadowalającym wyjaśnieniem, zamierza zawiadomić US Pharmacopeia i FDA.

–Niech ją cholera! Co zrobimy?

–Nie my, ale ty. Należy zredukować wiarygodność doktor Bennett do takiego stopnia, by żadna liczba dowodów nie mogła sprawić, że władze uwierzą nie nam,

lecz jej. List, który napisałeś, był początkiem, ale, jak powiedziałem, to za mało.

Reese znów poczuł lekkie mdłości. Paquette nie prosił – on rozkazywał. Przekazywał polecenie od człowieka, który mógł go zgnieść nawet gumką na ołówku. Rozpiął kamizelkę, by pozbyć się nieprzyjemnej wilgoci zbierającej się w załamkach skóry.

–Posłuchaj... – wyjąkał – nie bardzo wiem, co mógłbym zrobić. Spróbuję oczywiście, ale nie mogę niczego zagwarantować. Musisz mnie zrozumieć, Arlen, musisz coś zrobić, by i

on zrozumiał. Bennett pracuje w moim szpitalu, ale nie pracuje dla mnie. – W minie

Paquette'a kryło się zrozumienie, nie było w niej jednak współczucia. Reese coraz bardziej

się wiercił. – Poza tym ona ma tu wszędzie przyjaciół. Nie wiem, jakim sposobem, ale ciągle

ich ma. Popierają ją nawet po tym liście. Cholera, gotów byłbym zamordować, by tak nie

było... – Zamilkł, mrużąc oczy.

Paquette podążył za jego ciągiem myśli.

–Nie, Norton. W żadnym wypadku. Chcemy ją zdyskredytować, nie wyeliminować.

Chcemy, by ludzie przestali się nią interesować i kanonizować ją. Wciągnęła już w sprawę

doktora Zimmermanna, chemika ze stanowego laboratorium i tutejszego rezydenta o

nazwisku Engelson. Mogą być także inni, choć z tego, co wiemy, sytuacja jeszcze nie

wymknęła się spod kontroli. Robimy, co możemy, by tak zostało. Teść doktor Bennett robi

dla naszej firmy różne rzeczy i sądzę, że nasz przyjaciel już do niego dzwonił i poprosił o

pomoc. Sięgnęliśmy też do innych środków. – Wstał i wyciągnął rękę do Reese'a. – Wiem, że

możemy na ciebie liczyć. Gdybyś potrzebował rady albo pogadania o swoich pomysłach,

jestem w Ritzu.

–Dziękuję – tępo odpowiedział Reese.

Paquette podszedł powoli do drzwi, tuż przed wyjściem się odwrócił.

–Nasz przyjaciel zasugerował, że najlepiej będzie, gdyby coś się wydarzyło do czwartku.

–Do czwartku?

Paquette skinął głową, uśmiechnął się i wyszedł.

Pół godziny później, po zmianie koszuli i odzyskaniu równowagi ducha, Reese siedział naprzeciwko Sheili Pierce, prostował spinacz za spinaczem i myślał znacznie intensywniej, niż w tej chwili należało, o biuście szefowej techników.

–Co słyhać na waszym oddziale? – spytał, zastanawiając się, czy zechciałaby zdjąć kitel, zaraz jednak przywołał się do porządku. Jeśli miało mu się udać namówić ją na nadstawienie karku, by uratowała mu tyłek, będzie musiał zabrać się do niej bardzo delikatnie.

–Chodzi ci o doktor Bennett? – Sheila wzruszyła ramionami. – Dostaje co dzień kilka listów i telefonów od wariatów, ale poza tym wszystko jakby wróciło do normy. To było... zabawne.

–Hm... wiem, że sprawa Bobby'ego Geary'ego jeszcze nie jest skończona.

–Naprawdę?

–Podobno ma się nią zająć Komisja Etyki Akademii Medycznej.

–To dobrze. Przyda jej się utrzyć nosa za napuszczenie prasy na tego biednego chłopaka. – Roześmiali się oboje. – Myślisz, że to wystarczy, by nie została ordynatorem?

Reese uśmiechnął się w duchu. Pytanie było otwarciem, jakiego potrzebował.

–Wątpliwe. Bardzo wątpliwe.

–Wielka szkoda.

–Ale jeszcze nie znasz najgorszego.

–To znaczy?

–Cóż... – Reese zaczął stukać ołówkiem w blat biurka. Zamknął oczy i pomasaował sobie nasadę nosa. Zagryzł dolną wargę. – Dzwonił do mnie dziś rano doktor Willoughby. Zwołał spotkanie z komitetem finansowo-budżetowym zarządu, w trakcie którego zamierza razem z Kate Bennett przedstawić wyniki badania komputerowego, które właśnie skończyła. Zamierzają poprosić o nadzwyczajne dofinansowanie na przeprowadzenie daleko idącej reorganizacji oddziału.

Sheila Pierce zbladła.

–Daleko idącej reorganizacji?

–Tak to nazwał.

–Czy wspomniał o... no wiesz? Reese westchnął.

–Niestety tak, mała. Powiedział, że do spotkania, które ma się odbyć w przyszłym tygodniu, Bennett winna mu przedstawić kompletną listę zmarnowanych pieniędzy, zawierającą także sprzeniewierzenia funduszy, dokonane przez niektórych pracowników oddziału.

–Ale obiecała...

–Z tego wynika, że kilka plusów u szefa i zarządu więcej dla niej znaczy niż obietnica złożona zwykłemu staremu technikowi.

–Kierownicze zespołu techników! Niech ją cholera weźmie. To znaczy, że coś już chlapanęła o mnie Willoughby'emu?

Ponieważ połknęła przynętę, postanowił ciągnąć haczyk.

–Na pewno nie. Przepytywałem go, ile tylko się dało, na twój temat, bez wywołania podejrzeń, i uważam, że nie przekazała mu żadnych szczegółów... jeszcze.

–Norty, musimy ją powstrzymać. Nie mogę sobie pozwolić na stratę pracy. Cholera, jestem tu dłużej od niej! Znacznie dłużej. – Zaciskała dłonie, aż zbieleły jej kostki.

–Cóż, mamy dwa dni, góra trzy. Masz jakieś pomysły?

–Pomysły?

–Nie chcę pracować z tą babą, ty też nie. Nigdy nic nie spieprzyła? Nic nie zepsuła? Jezu, reszta tutejszych lekarzy stale robi błędy!

–Jest patologiem, Norty. Wszystkie jej „obiekty” są od początku martwe. Nie ma co popsuć, może poza... – Wyciągnęła z kieszeni kitla zapisaną maszynowym pismem kartkę.

–Co to?

–Jutrzejszy plan badań na chirurgii. Bennett i doktor Huang robią w tym miesiącu skrawki zamrożone.

–No i? Sheila zawahała się, a niepewność sprawiła, że pociemniały jej oczy.

–Jesteś pewien, że zamierza mnie zakablować Willoughby’emu?

–Mała, mogę ci jedynie powiedzieć, że doktor Willoughby poprosił mnie o kopię umowy ze związkiem, szczególnie interesuje go fragment dotyczący uzasadnionych okoliczności zerwania umowy o pracę.

–Po tym jak mi obiecała, nie ma prawa tego robić...

–Wiesz, jak jest z ludźmi z doktorskimi tytułami, Sheila. Uważają, że są lepsi i cwańsi od pozostałych. Wydaje im się, że mogą, ot tak, łązić ludziom po głowach.

Oczy Sheili zdradziły mu, że bitwa – przynajmniej pierwsza część – została wygrana.

–Zobaczmy, kto jest cwańszy – mruknęła, w zamyśleniu stukając palcem w plan badań. – Może tym razem Bennett uzna, że jest wokół niej parę mądrych osób, które nie miały możliwości podjęcia studiów.

–Załatw to jak należy, mała, bo jeśli jej się uda, będzie po tobie.

–Wykluczone – odparła Sheila. – Mowy nie ma, bym na to pozwoliła. Popatrz tylko.

–Na co?

–Widzisz? Jedno badanie za drugim. Biopsja płuc, biopsja tarczycy, jelito grube, dwie biopsje piersi. Bennett będzie niemal cały dzień pracowała w tym małym laboratorium kriostatycznym obok sali operacyjnej. Zazwyczaj odbywa się to tak, że idzie do sali operacyjnej, bierze próbkę, zamraża ją w kriostacie, tnie na kawałki, barwi i ogląda. Wszystko to robi bez wychodzenia z sali operacyjnej.

–I?

–Sporo tu różnych możliwości – powiedziała Sheila monotonnym głosem. – Gdyby

udało się unieruchomić kriostat przy sali operacyjnej i zmusić ją do korzystania z zastępczego w laboratorium histologicznym, może udałoby mi się zamienić próbki. Potrzebowałabym trzy, może cztery minuty.

–Co by to dało?

Sheila uśmiechnęła się jak dziecko.

–Przy odrobinie szczęścia mogłoby się okazać, że wspaniała doktor Bennett uznała dobrotliwy guz za złośliwego raka. Po pobraniu kompletnej próbki i zbadaniu jej następnego

dnia pomyłka wy szła na jaw.

–Czy patolog mógłby popełnić tego typu błąd? Sheila znów się uśmiechnęła.

–Tylko raz – odparła z powagą. – Tylko raz.

Plac Louisburg, kilkanaście wysokich, ceglanych budynków otaczających marny kawałek otoczonej płotem z kutego żelaza zieleni na zachód od wzgórza Beacon, był przez pokolenia jednym z najlepszych adresów w mieście. Mieszkał tu Levi Morton, po czterech latach bycia wiceprezydentem za rządów Benjamina Harrisona, a w 1852 roku brała tu ślub Jennie Lind. Cabotowie i Saltonstallowie, Lodge'owie i Alcottowie – wszyscy korzystali z mistycyzmu placu Louisburg i jednocześnie dodawali mu go.

Kate poprosiła taksówkarza, by wysadził ją u wylotu ulicy Mount Vernon. Chciała wykorzystać spacer między trzema przecznicami do rozprostowania nóg i rozjaśnienia sobie w głowie po długim i męczącym szpitalnym dniu. Uczestniczyła w posiedzeniach dwóch komitetów, zbadła wiele preparatów na chirurgii, miała wykład w akademii, do tego doszło kilka wrogich telefonów i listów, spowodowanych bezdusznym potraktowaniem przez nią Bobby'ego Geary'ego i jego rodziny.

Ellen znów zaczęła krwawić z nosa i choć był to niewielki upływ krwi z jednej dziurki, sprawa była na tyle poważna, by znów wezwać Pete'a Colangela. Z każdym dniem znacząco spadał u niej poziom czynników krzepnięcia krwi, a mało optymistyczne wieści powoli zaczynały osłabiać jej ducha walki. Późnym popołudniem przysłano wyniki poszukiwań komputerowych w bibliotece Narodowych Instytutów Zdrowia. Lista zawierała sporą liczbę artykułów dotyczących chorób wywołujących stwardnienie jajników a także zaburzeń krzepliwości krwi, podobnych do przypadków bostońskich. Nie było jednak ani jednego artykułu, w którym opisano by występowanie obu zaburzeń u jednej osoby. Kate bez

większych oczekiwań zaczęła nużący proces wyszukiwania odpowiednich materiałów. Było jasne, że przeczytanie wszystkiego zajmie przynajmniej kilka dni,

ale w końcu była to szansa pojawienia się czegoś, co mogłoby pomóc Ellen.

Zaraz po wyjściu z taksówki, przy samej Mount Vernon, Kate oparła się o słup latarni gazowej i patrzyła przez mgiełkę oddechu na plac Louisburg, wyglądający niczym przepiękna pocztówka bożonarodzeniowa. Niemal w każdym oknie świeciły się lampki w kształcie świec. Na każdych drzwiach wisiały gustowne wieńce. Choinki porozstawiano tak, by powiększały plac, a nie tłoczyły się na nim.

Obserwując rok po roku beznamiętną elegancję tego miejsca, Kate bez trudności mogła zrozumieć, dlaczego po śmierci kochającej wieś żony Winfield Samuels sprzedał farmę i stajnie w Sudbury i kupił dom tutaj. Zarówno dom, jak i właściciel byli dla siebie stworzeni. Z pewnym wahaniem weszła po granitowych schodach, prowadzących do frontowych drzwi domu teścia, popatrzyła na ogromną mosiężną kołatkę i wcisnęła przycisk dzwonka.

Minęło kilka sekund i otworzyła jej wysportowana, bardzo atrakcyjna brunetka, starsza od Kate nie więcej niż dwa, może trzy lata. W złotej bluzce i prostej ciemnej spódnicy wyglądała w każdym calu na sekretarkę dyrektora, którą w rzeczywistości kiedyś była.

– Witaj Kate – powiedziała ciepło. – Wchodź. Pozwól, że wezmę twój płaszcz.

– Nie trzeba, dziękuję. Wyglądasz wspaniale, Jocelyn. Nowa fryzura?

– Ma kilka miesięcy. Dzięki, że zauważyłaś. Ty też świetnie wyglądasz. Kate zastanawiała się, czy mogłyby z Jocelyn Trent napisać wspólnie rozdział do

książek Amy Vanderbilt albo Emily Post*: [Amy Vanderbilt i Emily Post – amerykańskie autorytety w sprawach etykiety towarzyskiej, autorki książek z tej dziedziny.] „Odpowiednia konwersacja między synową a kochanką teścia, gdy teść uznaje kobietę jedynie za gospodynię”.

– Pan Samuels będzie na dole za kilka minut – powiedziała Jocelyn. – W gabinecie już

się pali ogień. Tam się z tobą spotka. Kolacja będzie za pół godziny. Zrobić ci drinka?

Pan Samuels. Niestosowna formalność wywoływała u Kate mdłości. Punkt siódma Jocelyn poda panu Samuelsowi i jego gościowi wspaniałą kolację, którą sama przygotowała, po czym pójdzie jeść do kuchni. O jedenastej albo dwunastej, kiedy dom ucichnie i pogasną światła, wślizgnie się do jego pokoju i pozostanie tak długo, jak długo będzie potrzebna, pamiętając, by wrócić do swego pokoju, zanim obudzi się ktokolwiek z gości. Pan Samuels... w rzeczy samej.

–Bardzo proszę – odparła Kate, idąc za Jocelyn do gabinetu. – Jeśli można, poproszę

nieco mocniejszego. Jak się orientujesz po gościu, którego macie od kilku dni, sprawy mego

świata nie najlepiej się układają.

Jocelyn uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

–Jeśli interesuje cię moja opinia, to nie sądzę, by Jared był bardzo zadowolony z sytuacji.

–Miło słyszeć, Jocelyn. Dziękuję. Uwierz mi, małżeństwo to trudniejsza rzecz od dowolnego meczu na dowolnym stadionie. – Kiedy Kate udawało się nie myśleć o Jocelyn w kategoriach „gospodyni” ojca Jareda, bardzo ją lubiła i wielką przyjemność sprawiały jej rzadkie rozmowy sam na sam, które udawało im się prowadzić.

–Wiem – odparła Jocelyn. – Raz próbowałam. Była w tym dla mnie jedynie odpowiedzialność, żadnej przyjemności.

Powiedziała to lekko, ale Kate zdawało się, że słyszy coś w rodzaju wyjaśnienia, prośbę o zrozumienie i akceptację. Lepiej być czyjąś własnością, niż być wykorzystywanym.

Kate wzięła bourbona z wodą i patrzyła za odchodzącą do kuchni Jocelyn Trent. Wiedziała, że ma ona garderobę kilka razy większą od jej własnej, wspaniałe futro ze srebrnych lisów i elegancką alfę romeo coupe. Jeśli tak ma wyglądać niewolnictwo, pomyślała z uśmiechem, proszę zrobić ze mnie niewolnicę.

Zgodnie z zapowiedzią, zanim pojawił się Winfield Samuels, minęło kilka minut. Kate czekała przy wielkim, często używanym kominku, czubkiem buta przesuwając frędzle perskiego dywanu i próbowała nie wpatrywać się w zdjęcia sławnych ludzi na ścianie. Samuels wysłał Jareda w sprawach służbowych najprawdopodobniej całkiem świadomie w takim momencie, by móc porozmawiać z nią w cztery oczy o „interesujących oboje sprawach”. Przed ślubem z Jaredem spotykali się kilka razy z tego powodu, po ślubie ustalali terminy tak, by w spotkaniach mógł uczestniczyć Jared. Samuels nie zdradził się przez telefon, o co może tym razem chodzić, prawdopodobnym tematem była jednak ich separacja -przyczyny i środki zaradcze. Kate właśnie czytała słowa pochwały i wdzięczności od gubernatora, kiedy wkroczył ich adresat.

–Witaj, Kate. Tak się cieszę, że mogłaś przyjść. – Objęli się, kładąc sobie dłonie na

barkach i wymieniając pocałunki w powietrze. – Siadaj, proszę. Mamy... – popatrzył na

zegarek – dwadzieścia trzy minuty do kolacji.

Dwadzieścia trzy minuty. Musiała mu mimo wszystko wyrazić uznanie. Kolacja o siódmej nie oznaczała kolacji trzy po siódmej. Oczekiwano, że wspaniała kucharko-gosposio-kochanka będzie gotowa na czas.

–Dziękuję – odparła Kate. – Miło znów cię widzieć. Wyglądasz wspaniale. – Komplement nie był przesadzony. W białej smokingowej marynarce z diagonalu, z białą jedwabną apaszką, Samuels wyglądał tak, jak zbliżający się do siedemdziesiątki mężczyźni mogą sobie jedynie pomarzyć.

–Odmłodzić tego drinka? – spytał Winfield, wskazując, by usiedli na skórzanych fotelach w centrum pomieszczenia.

–Tylko jeśli jesteś gotów mnie reanimować.

Samuels roześmiał się i nalał sobie także bourbona z wodą sodową.

–Ale z ciebie kobieta, Kate... – stwierdził i usiadł naprzeciw. – Jared ma szczęście, że cię złapał.

–Prawdę mówiąc, głównie ja łapałam.

–To... to drobne nieporozumienie między wami... Skończy się, nim się zorientujesz. Prawdopodobnie już po nim.

–Pusta połowa mojego łóżka mówi co innego.

Samuels wyjął cygaro ze stojącej przy jego fotelu kasety, chwilę pomyślał, po czym odłożył je z powrotem.

–Niedobre dla kubków smakowych bezpośrednio przed kolacją, zwłaszcza że w menu

jest kaczka w pomarańczach, specjalność Jocelyn – stwierdził.

–To bardzo miła kobieta.

Samuels skinął głową.

–Robi tu świetną robotę – powiedział tonem pracodawcy. – Cholernie dobrą. – Zrobił

chwilę przerwy. – Jestem bezpośrednim człowiekiem, Kate. Niektórzy uważają, że zbyt

bezpośrednim, ale mam ich gdzieś. Pozwól, że przejdę od razu do sedna.

–Nie było to zaproszenie towarzyskie?

Samuels zamierzał wymigać się jakąś dwuznacznością, kiedy ujrzał śmiech w jej oczach i uniesione kąciki ust.

–Jareda też tak załatwiasz? – spytał.

Kate dumnie się uśmiechnęła i kiwnęła głową. Roześmieli się oboje, Kate nie wyczuła

jednak osłabienia napięcia.

–Kate... – kontynuował Samuels – osiągnąłem, co osiągnąłem, i zdobyłem, co zdobyłem, bo wychowano mnie w wierze, że zawsze, kiedy pojawia się w nas jakieś życzenie, marzenie, dostajemy równocześnie możliwość uczynienia z tego rzeczywistości.

Podzielasz ten pogląd?

Kate wzruszyła ramionami.

–Uważam, że są czasy, kiedy dobrze jest czegoś sobie życzyć, spróbować i ponieść porażkę.

–Może – powiedział z namysłem. – Może takie czasy bywają. W każdym razie w aktualnym okresie mojego życia mam dwa przesłaniające wszystko marzenia. Oba dotyczą mojego syna, a więc i ciebie.

–Mów.

–Kate, chcę mieć wnuka, najlepiej więcej niż jednego, i chcę, by mój syn służył w Kongresie Stanów Zjednoczonych. Jestem gotów zrobić wszystko, co w mojej mocy, by się urzeczywistniły.

–Dlaczego?

–Dlaczego?

–Tak. Rozumiem oczekiwanie na wnuka. Kontynuacja rodziny, stabilność życia rodzinnego Jareda, nowa krew i nowa energia... tego typu rzeczy... ale dlaczego to drugie?

–Ponieważ uważam, że Jared byłby chlubą rodziny, stanu i kraju.

–Też tak uważam.

–I, moim zdaniem, byłoby to dla niego doświadczenie, które pozwoliłoby mu się spełnić.

–Może.

Samuels chwilę zwlekał z kolejnym argumentem.

–Poza tym sam zawsze się o to starałem i nigdy mi się nie udało. Uważasz, że jestem obrzydliwy, chcąc, by mój syn wspiął się tam, gdzie ja nie byłem w stanie wejść?

–Nie. Pod warunkiem że Jared też tego chce, i z innych powodów niż ty.

–Moment, w którym ojciec przestaje wiedzieć, co może być najlepsze dla jego syna, jest oczywiście sporny, prawda?

–Win, to, czego chcesz dla Jareda... i dla mnie... zawsze będzie się liczyć, ale najtrudniejszą rzeczą w miłości to pozwalać kochanej osobie na to, by mogła sama decydować o tym, co jest dla niej najlepsze. Zwłaszcza że samemu już się to wie... albo

człowiekowi się wydaje, że już wie.

–Uważasz, że narzucam Jaredowi moją wolę?

–Masz na niego ogromny wpływ. Nie sądzę, bym, mówiąc to, zdradzała wielki sekret. Samuels z namysłem kiwnął głową.

–Kate – powiedział w końcu – spełnij zachciankę starego człowieka i pozwól mi trochę

zmienić temat.

STARY CZŁOWIEK. Miała ochotę odparować: Daj pan spokój, mecenasie. Zamiast tego pochyliła się do przodu, uśmiechnęła i odparła:

–Oczywiście.

–Dlaczego chcesz zostać ordynatorem oddziału patologii w szpitalu Metropolitan? Kate nieruchomo odwzajemniała spojrzenie i dziękowała w myśli za liczne godziny, które spędziła, odpowiadając sama sobie na to pytanie.

–Ponieważ byłoby to fascynujące doświadczenie. Ponieważ uważam, że mogłabym zrobić kawał dobrej roboty. Ponieważ moja praca... i mój oddział... wiele dla mnie znaczą. Ponieważ uważam, że należę do ludzi, którzy nie rozwijając się, umierają.

–Jared powiedział mi, że według ciebie przyjęcie tego stanowiska opóźni twoją zdolność do założenia rodziny przynajmniej o dwa lata.

–Tak naprawdę powiedziałam „rok do dwóch”, ale dwa lata wydają się sensownym szacunkiem.

Samuels powoli wstał, podszedł do okna, po chwili wrócił i do kominka. Musiała przyznać, że jeżeli zamierzał powiedzieć coś dramatycznego, to robi godne uwagi przygotowania.

–Kate – powiedział w końcu, nie odwracając wzroku od kominka. – Kiedy dzwoniłem, prosiłem, byś... jeśli możesz... została na noc. Czy to możliwe?

–Zamierzałam to uczynić. – W końcu zaproszenie tak sformułowano, że odmowa raczej nie wchodziła w rachubę.

–To świetnie. Chciałbym zabrać cię po kolacji na przejażdżkę. Na przejażdżkę i w odwiedzin. Wiem... wiem, że brzmi to tajemniczo, ale chciałbym prosić, byś na razie nie zadawała pytań. Nigdy nie sądziłem, że kiedykolwiek się na to zdecyduję.

W jego głosie było coś chropawego, emocje, jakich Kate jeszcze nigdy nie dostrzegła. Czyżby był bliski płaczu? Przez długą chwilę panowała cisza, zakłócana jedynie cichym sykiem ognia. Kiedy teść odwrócił się do niej, odzyskał już panowanie nad sobą.

–Kate – odezwał się, jakby w ogóle nie wypowiedział poprzednich słów – uważasz, że

jesteś przygotowana do wzięcia na siebie odpowiedzialności za sprawy całego oddziału?

Chwilę się zastanowiła.

–Może brzmi to dziwnie, ale w pewnym stopniu nieistotne jest, co uważam. Doktor

Willoughby, jedyna osoba, która zna wymogi tej pracy i zna również mnie, twierdzi, że sobie

poradzę. To tak jak ze stawaniem się lekarzem... czy prawnikiem. Człowiek jedynie podejmuje decyzję, że chce nim zostać, ale o tym, czy może i powinien, decydują inni...

adwokatura albo lekarskie komisje egzaminacyjne. Od momentu podjęcia decyzji jedynym

obowiązkiem chętnego jest starać się jak najlepiej. – Przerwała, a po chwili zapytała: – Brzmi to pyszałkowato?

–Raczej nie.

–Też mam taką nadzieję, Win, ponieważ już sztywnieję ze strachu z wielu powodów. Boję się wziąć tę robotę i boję się jej nie wziąć. Boję się mieć dzieci i boję się ich nie mieć. A najbardziej boję się dylematu: czy utracić męża, czy siebie.

–Istnieją jeszcze inne możliwości.

–Wiem, ale nie jestem pewna, czy Jared też o tym wie i... aby być całkiem uczciwą... aż do tej chwili wcale nie byłam pewna, czy ty o tym wiesz.

–Zawsze są inne możliwości – odparł tonem sugerującym, że już kiedyś wypowiadał ten slogan. – Kate, doskonale wiesz, że polityka szpitalna nie różni się niczym od każdej innej polityki. Wchodzą w grę pieniądze, wchodzi w grę władza, to zaś oznacza, że wchodzą w grę także takie rzeczy, jak tego typu ulotki. – Wyjął z szuflady biurka jaskrawo-pomarańczową ulotkę i uniósł ją do góry. Kate wzdrygnęła się na jej widok.

–Sądziś, że celem tego błyskotliwego pomysłu byłam ja czy Jared?

–Prawdę mówiąc, to bez różnicy. Polityka to polityka. Już w chwili gdy włączasz się do gry, masz wrogów. Jeśli tak się składa, że grają lepiej od ciebie, idziesz do piachu. Proste. – Znów uniósł ulotkę. – Moim zdaniem, oczywiście zakładając, że to nie ty wysłałaś do gazet raport z sekcji Bobby’ego Geary’ego, ktoś jest mocno zdecydowany nie dopuścić do objęcia przez ciebie stanowiska ordynatora. Jeżeli mają władzę albo dostęp do władzy, twój oddział może zdrowo ucierpieć.

–Mój oddział?

–Oczywiście. Twoi ludzie zaczną zapracowywać się z powodu cięć etatowych i starzenia się sprzętu. Wzrośnie fluktuacja i spadnie morale. Pogorszy się jakość

pracy. Prędej lub później dojdzie do jakiegoś błędu. Możesz być najlepszym patologiem na świecie, Kate, i najlepszym kandydatem na administratora, ale jeśli nie będziesz grać w polityczną grę i nie wyprzedzisz konkurencji w wyścigu do ludzi stanowiących Fundację Ashburtonów, twoja działalność skończy się nieszczęśliwym fiaskiem, pełnym udręki i niespełnienia. Popatrz na mnie... wygrana w tej grze oznacza mnóstwo poświęceń. Oznacza, że jeśli konkurencja wstaje o szóstej, najlepiej będzie, jeżeli samemu wstaniesz o wpół do szóstej.

–Doceniam twoją argumentację. Mogę na to jedynie odpowiedzieć, że nie została podjęta jeszcze żadna ostateczna decyzja i miałam nadzieję ustalić wszystko z Jaredem.

–Ale zgodziłaś się na przedstawienie swojego nazwiska.

–Tak – potaknęła Kate, po raz pierwszy odwracając wzrok. – Zgodziłam się. –
Samuels

znów podszedł do okna. Przez chwilę istniał dla Kate jedynie ogień. Postanowiła poprowadzić rozmowę w innym kierunku. – Win, powiedz mi, co wiesz o Fundacji Ashburtonów.

Odwrócił się do niej.

–Tak naprawdę nic. W początkowym okresie ich kontaktów z twoim szpitalem moja kancelaria była odpowiedzialna za część ich korespondencji z wami. Nie miałem jednak z nimi do czynienia od lat. Dlaczego pytasz?

–Chodzi o pewne dochodzenie, które prowadzę w pracy. Nic ważnego. Masz może ich adres?

–Nie wiem – odparł Samuels nieco rozkojarzony. – Może w wykazie na biurku. Naprawdę nie wiem. Kate, zdajesz sobie sprawę, że nie mam zwyczaju prosić lub przemawiać do rozsądku, ale zarówno przez wzgląd na ciebie, jak i na mojego syna i na mnie błagam cię, byś odłożyła na kilka lat chęć zostania ordynatorem, poświęciła się przez pewien czas rodzinie i pomogła Jaredowi zakotwiczyć się na stałe w polityce.

W tym momencie z kuchni dobiegł dźwięk dzwonka. Kate odruchowo spojrzała na zegarek, wiedziała jednak i bez tego, że jest punkt siódma. Wstała.

–Kiedy Jared ma wrócić?

–Podejrzewam, że w środę albo czwartek.

–Win, nie mam odpowiedzi na twoją prośbę wypowiedzianą przed chwilą. Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?

–Może od znacznie dłuższego czasu niż ty. Chodźmy jeść. Po kolacji musimy wyjechać.

Lekko się uśmiechając, Samuels skinął głową, dając Kate do zrozumienia, że właśnie zaprasza, po czym ujął ją za łokieć i poprowadził ze sobą.

Pielęgniarka, kobieta o kwadratowych barach i przynajmniej piętnastu kilogramach nadwagi, potarła alkoholem grzbiet lewej dłoni Ellen Sandler, kilka razy klepnęła w posmarowane miejsce, po czym znów przetarła je alkoholem.

–A teraz, Ellen – powiedziała protekcjonalnym tonem, który Ellen określała mianem „szpitalomowy” – musisz się rozluźnić. Masz obkurczone żyły. Jak się nie rozluźnisz,

przesiedzę tu całą noc, żeby wbić igłę.

Rozluźnić się? Ellen wpatrywała się w babsko pochylone nad jej dłonią. Nie widzisz, że się boję? Nie dostrzegasz, że trzęsę się ze strachu? Poświęć minutę – jedną jedyną minutę –

i porozmawiaj ze mną. Zapytaj, a ja spróbuję wyjaśnić. Opowiem ci, jak to jest, kiedy masz siedem lat i dowiadujesz się, że ojciec, który poszedł do szpitala na „drobny zabieg”, został właśnie zawieszony do domu pogrzebowego w długiej drewnianej skrzyni. Rozluźnić się? Dlaczego nie każesz mi unieść się nad łóżko? Albo jeszcze lepiej – nie zażadasz, bym kazała krwi w moich żyłach krzepnąć, byś mogła sobie oszczędzić niewygody wbijania igły w grzbiet mojej dłoni. Rozluźnić się?

–Próbuję... – powiedziała potulnie.

–Świetnie. Teraz poczujesz małe ukłucie. Kiedy spowodowany „małym ukłuciem”, przypominający uderzenie prądem

elektrycznym ból przeszył jej ramię, Ellen wolną ręką chwyciła poręcz łóżka.

–Załatwione – z podnieceniem oznajmiła pielęgniarka. – Teraz się nie ruszaj. Nie ruszaj się, aż przykleję wenflon, dobrze? Wiesz – mówiła, przymocowując do dłoni

urządzenie służące do robienia wlewów dożylnych – masz najtwardsze żyły, jakie od dawna

widziałam.

Ellen nie odpowiedziała. Wpatrywała się w sufit, czuła słony smak spływających po policzkach do kącików ust łez i zastanawiała się, czym to wszystko się skończy. Domyślała się, że zaczęła krwawić z jelit. Zdaniem lekarza, który powiadomił ją o decyzji zastosowania wlewu dożylnego, był to jedynie środek zapobiegawczy, tyle że nie chciał powiedzieć, czemu miał zapobiec.

–Świetnie, Ellen, załatwione – oznajmiła pielęgniarka i cofnęła się o krok, by móc podziwiać swe dzieło. – Nie posługuj się tą ręką. Dobrze?

Ellen starła łzy z policzków grzbietem prawej dłoni.

–Jasne.

Pielęgniarka ułożyła usta w pełen zmieszania uśmiech i wyszła z sali. To nie *fair*. Ellen ze sporym wstrętem obserwowała rurkę, przez którą skapywał jej do

żył roztwór soli. Zgasiła górne światło i leżała w półmroku, wsłuchując się we własny oddech i ciągle jeszcze obce nocne odgłosy szpitala. To nie *fair*. Jej umysł raz za razem uciekał się do bezradnego protestu, aż wbrew woli się rozeźmiała.

Betsy, Eve, Darcy, Sandy, firma, jej zdrowie. Dlaczego nigdy nie dostrzegала, jaka to krucha konstrukcja? Czyżby zbyt wiele spraw uważała za oczywiste? Zadawała za mało pytań? Cholera, przecież i tak nie było odpowiedzi! Co innego mogła zrobić? Co innego ktokolwiek mógł zrobić? Skończyło się na tym, że mając prawie czterdzieści lat, leży w szpitalnym łóżku, prawdopodobnie wykrwawia się na śmierć i nie wie, dlaczego żyła – nie

wspominając o tym, że nikt nie ma pojęcia, dlaczego została wyznaczona do zejścia z tego świata. To po prostu było nie *fair*.

Bolesne dumania przerwało ciche pukanie do drzwi. W padającym z korytarza świetle stał Sandy. W jednym ręku trzymał czapkę mundurową, w drugim wielki bukiet kwiatów.

–Proszę o zgodę na wejście na pokład – powiedział. Ellen bardziej czuła, niż dostrzegала zażenowanie.

–Wchodź.

–Zapalić światło?

–Raczej nie. Choć... chętnie zobaczę kwiaty. Sandy zapalił światło i podszedł z

bukietem. Pochylił się nad łóżkiem i pocałował

Ellen w czoło. Na chwilę zeszywniała, zaraz się jednak rozluźniła, gdy ją delikatnie objął.

–Co słyhać? – spytał.

–W jakim zakresie?

–W każdym.

–Kwiaty są piękne. Dziękuję. Jeśli wstawisz je do umywalki, poproszę potem pielęgniarkę, by znalazła jakiś wazon.

–Nic wielkiego. – Zrobił z kwiatami to, o co prosiła, przysunął do łóżka zielone plastikowe krzeselko i usiadł.

Ellen zgasiła górne światło.

–Ładnie wyglądasz w mundurze. Byłeś w domu?

–Aby zostawić rzeczy i rzucić okiem na dziewczynki.

–Co u nich?

–Są zmartwione, dezorientowane, może trochę przestraszone, ale nic złego im się nie dzieje. Chyba dobrze dla nich, że twoja siostra przyprowadziła je wczoraj. Zamieszkać z nimi do czasu, aż twój stan się poprawi.

–To może się przedłużać.

–Aż tak źle?

–Kate twierdzi, że nie, ale jej oczy mówią co innego. Teraz jeszcze to... – uniosła lewą dłoń – też mówi swoje.

–Ale tak naprawdę nic nie wiedzą?

–Nie. Chyba nie.

–W takim razie nie pozostaje ci nic innego, jak wytrzymać jeszcze dzień, a może godzinę, a może minutę, i wierzyć, że wszystko będzie dobrze. Wziąłem urlop, by być z

dziewczynkami, nie musisz się więc o nic martwić. Zadbam o to, by wpadały do ciebie co dzień.

–Dziękuję. Jestem... wdzięczna, że przyszedłeś.

–Nonsens. Przez dziewiętnaście lat sporo przeszliśmy. Przejdziemy i przez to. Ellen zaczęła cicho płakać.

–Sandy, czuję się jak... kłoda, jak niezdara. Wiem, że to głupie, ale tak jest. Nie czuję

się zła, nawet chora, jedynie bezradna i niezdarna.

–Nie jesteś taka i sama najlepiej o tym wiesz. Hej, ziewasz drugi raz, odkąd wszedłem. Jesteś zmęczona czy znudzona?

Uśmiechnęła się słabo.

–Nie jestem znudzona. Chyba nieco zmęczona. Okazuje się, że leżenie cały dzień w łóżku kompletnie wycieńcza.

–Więc może nie zwracaj na mnie uwagi i śpij. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, jeszcze chwilę posiedzę.

–Dziękuję, Sandy.

–Wszystko będzie dobrze.

–Wiem. Ujął ją za rękę.

–Kate dobrze cię pilnuje, prawda?

–Przychodzi dwa razy na dzień i robi, co tylko możliwe, by się dowiedzieć, dlaczego krwawię. – Zamknęła oczy i powiedziała ciszej: – Nie martw się.

–Nie martwię się. Wcale się nie martwię... wszystko na pewno będzie w porządku.

Jazda szarym seville'em Wina Samuelsa wiejskimi drogami, prowadzącymi na południe i wschód od miasta, zajęła niemal godzinę. Jechali, prawie się nie odzywając. Samuels zdawał się potrzebować pełnej koncentracji z powodu mnóstwa wąskich zakrętów, a Kate wyglądała przez okno na ciemne pastwiska i czarne lasy. Chwilami zastanawiała się nad celem wyprawy, chwilami pozwalała krążyć po głowie niezbornym myślom. O Jaredzie... o Stanie Willoughbym... o Bobbym Gearym... o swoim psie... o Ellen... o Tomie... myślała nawet o Rosie Beekes, dyrektorce szkoły podstawowej, do której chodziła. Kolejne osoby pojawiały się na chwilę, po czym znikaly, ustępując miejsca następnej.

–Dojechaliśmy do celu – oznajmił wreszcie Win Samuels, skręcając w zwirową

ścieżkę.

–Szkoła Stonefield – przeczytała Kate na dyskretnie umieszczonej tablicy, oświetlonej jedynie ich reflektorami. – Co to za miasto?

–Właściwie żadne. W zależności od punktu widzenia jesteśmy albo na południowym skraju Massachusetts, albo na północno-zachodnim krańcu Rhode Island. Szkoła ma prawie pięćdziesiąt lat, mniej więcej dwadzieścia pięć lat temu została jednak przebudowana, głównie za pieniądze funduszu, który utworzyła moja kancelaria.

Szkoła mieściła się w niskim, prostym ceglany budynku. Po jednej stronie znajdował się mały, dobrze utrzymany trawnik i otoczony płotem teren zabaw, po drugiej odchodziło od niego w kierunku lasu skrzydło z niezdobionych niczym cegieł. Kiedy weszli do skąpo umeblowanego holu, natychmiast wyszła im na spotkanie krępa matrona w marynarskiej spódnicy i byle jakim swetrze; jej ręce zdobiły zbyt liczne złote bransoletki i pierścionki.

–Panie Samuels... – powiedziała na przywitanie – miło znów pana widzieć. Dziękuję, że zapowiedział się pan telefonicznie. – Odwróciła się do Kate. – Doktor Bennett, jestem Sally Bicknell, kierowniczka wieczornej zmiany. Witamy w Stonefield.

–Dziękuję... – niepewnie powiedziała Kate. – Nie bardzo wiem, gdzie jestem ani w jakim celu tu przybyliśmy, ale mimo to dziękuję.

Sally Bicknell porozumiewawczo się uśmiechnęła, ujęła Kate pod ramię i zaprowadziła ją korytarzem do dużej kurtyny z niebieskiego aksamitu.

–Oto nasz pokój zabaw – powiedziała, odsuwając eleganckim ruchem kurtynę, za którą znajdowało się przydymione szkło weneckiego lustra. Pomieszczenie za szybą było duże, dobrze oświetlone i wyłożone wykładziną dywanową. Na podłodze ułożono dwa materace gimnastyczne, kilka dużych dmuchanych plastikowych lalek i stertę ponadwymiarowych klocków. W rogu, odwrócona plecami do nich, przysadzista dziewczyna z krótko obciętych włosami kuciała nad szeregiem dużych szmacianych lalek.

–Nigdy nie idzie do łóżka przed drugą albo trzecią w nocy – wyjaśniła Sally Bicknell.

–Kate – powiedział Samuels – przywiozłem cię tutaj, ponieważ uważam, że to, co zobaczysz, może ci pomóc zrozumieć mój pośpiech w sprawie założenia przez was rodziny. Pani Bicknell...

Kierowniczka wieczornej zmiany głośno zastukała trzy razy w szybę, zrobiła przerwę, znów zastukała trzy razy. Dziewczyna w sali zabaw pochyliła głowę na bok, po czym powoli się odwróciła.

–Kate, poznaj Lindsey.

Fizycznie dziewczyna była potworem. Oczy miała osadzone nisko i blisko siebie, rysy twarzy grube i toporne, wargi mięsiste, żółte powykrzywiane zęby. Króciutka szyja zmuszała głowę do wykrzywiania się pod nienaturalnym kątem w prawo, potężna klatka piersiowa przechodziła w beczułkowaty tułów, a nogi były paskudnie wykrzywione.

–To niemożliwe – szepnęła Kate, skamieniała od groteskowego widoku. – Siostra Jareda... Lindsey...

–...Zmarła, kiedy był dzieckiem – dokończył Samuels. – Cóż, postanowiliśmy wraz z jego matką ukryć przed nim prawdę. Wydawało nam się wtedy, że to najlepsze wyjście, tym bardziej że zapewniano nas, iż Lindsey przeżyje jedynie kilka lat. Ma zespół Huntera. Wiesz, co to jest, prawda? – Kate potwierdziła skinieniem głową. – Poważny niedorozwój umysłowy i masa innych defektów. Jej matka – moja żona – miała w chwili porodu prawie czterdzieści lat.

Kate wpatrywała się w przypominającą gargulec dziewczynę – nie kobietę, choć musiała mieć trzydzieści parę lat – krążącą bez celu po pomieszczeniu. W szybie Kate widziała odbicia twarzy Sally Bicknell i swego teścia, którzy przyglądali się jej reakcji. To ty jesteś potworem, Winie Samuelsie, nie ta biedna dziewczyna, krzyczały jej myśli. Wydaje ci się, że kim ja jestem – robolem z fabryki? Ze ten... pokaz mnie przestraszy? Uważasz, że nie wiem o punkcji owodni i diagnostyce oraz poradnictwie prenatalnym? Wydaje ci się, że możesz, ot tak, sprawić, by gigantyczne kłamstwo, którym karmiłeś przez trzydzieści lat mojego męża, przestało istnieć? Dlaczego? Dlaczego mnie tu przywozłeś? Dlaczego wykluczyłeś z tego Jareda?

–Zawieź mnie do domu – powiedziała cicho i spokojnie. – Zawieź mnie teraz do domu.

Antyczny zegar na ogromnym biurku Wina Samuela wskazywał za dziesięć trzecia. Mijały prawie dwie godziny, odkąd Kate zrezygnowała z prób zaśnięcia i poszła do gabinetu po coś do czytania, aby przestać myśleć o wydarzeniach wieczoru. Coś jej w tym wszystkim nie pasowało. Coś się wyłamywało z kompozycji dziwnego scenariusza, jaki przygotował dla niej teść. Co to było?

W drodze powrotnej ze Stonefield Samuels zaatakował ją cicho statystykami dotyczącymi związku między wiekiem kobiety a niepłodnością, martwicą płodu, aberracjami genów, mutacjami genetycznymi, samoistnym poronieniem i upośledzeniem rozwoju intelektualnego. Wyglądało na to, że od lat starannie wykonuje zadania domowe. Nieliczne argumenty, które wysunęła, dotyczące dokładności diagnozy wewnątrz-maciczej, kontrował kolejnymi faktami i statystykami. Tak się jednak składało, że to, co mówił, nie było w stanie rozwiązać jej

intuicyjnego poczucia, że coś jest nie w porządku. W którymś momencie

prezentacji – bo tak chyba należało nazwać jego wywód – była bliska wykrzyczenia, że cała ta rozmowa to czcza gadanina, gdyż popełniony przez Redding Pharmaceuticals błąd prawdopodobnie sprawi, że w ogóle nie dożyje czterdziestki, nie mówiąc o zajściu w ciążę.

Z części mieszkania, w której znajdowała się sypialnia Samuela, usłyszała otwieranie drzwi, które zaraz cicho zamknięto. Kilka sekund później odgłos się powtórzył nieco dalej w głębi korytarza. Jocelyn Trent wróciła do siebie.

Przy wygaszonym kominku gabinet zrobił się chłodny i wilgotny. Kate wzdrygnęła się i szczerzej owinęła szlafrokiem, który pożyczyła jej Jocelyn. W San Diego musiała być mniej więcej północ. Jared nie miałby na pewno nic przeciwko temu, gdyby zadzwoniła, przypomniawszy sobie jednak, że niestety zapomniała spytać Wina, w którym hotelu zamieszkał. Kiedy sięgnęła po kartkę i długopis, by zrobić notatkę na ten temat, przypomniawszy sobie o rejestrze typu Rolodex, stojącym na biurku Wina. Przekręciła kartki na „A”. Nie myliła się - miał kartkę z hasłem FUNDACJA ASHBURTONOW. Adres i numer telefonu na górze skreślono, zastępując je najwyraźniej nowszym adresem i nowszym numerem telefonu.

Kate przepisała aktualne dane i zrobiła sobie notatkę, by z rana zadzwonić do hotelu Jareda. Spojrzała na zegarek. Piętnaście po trzeciej. Ile wyznaczono jej na dzisiejszy dzień badań próbek z chirurgii? Pięć? Sześć? Tak czy owak, było to zbyt wiele. Pragnąc rozpaczliwie snu, wzięła swą notatkę i antologię poezji Emily Dickinson i poczłapała dwa piętra wyżej do swego pokoju.

Już po trzech kwadransach doszła do wniosku, że ma wystarczająco ciężkie powieki i trudności z koncentracją i może zgasić światło. Zauważywszy, że senność się pogłębia, uśmiechnęła się z ulgą i zadowoleniem, ale w ostatnim świadomym przeblysku pojawiła się jakaś niepokojąca myśl. Błysnęła, zanikła, znów błysnęła jak słaby neon... Nie chodziło o „wycieczkę” do szkoły ani nawet o dziewczynę. Chodziło o adres Fundacji Ashburtonów -nie ten nowszy, waszyngtoński, ale ten skreślony. Z każdym błyskiem neon świecił się coraz słabiej, myśl stawała się mniej wyraźna. W momencie zapadania w sen dotarło do niej, że chodziło o coś związanego z Darlington w stanie Kentucky. Coś ważnego...

Rozdział 10

Wtorek, 18 grudnia

Kate bezgłośnie otworzyła ciężkie dębowe drzwi i wyslizgnęła się z domu teścia w szary blask poranka. Puste ulice, chodniki i kamienne schody były pokryte warstwą nieskazitelnie białego puchu. Przez ostatnie trzy dni na Środkowym Zachodzie szalała burza śnieżna i, nie słabnąc, przenosiła się na wschód. Schodząc ostrożnie Beacon Hill ku Charles Street, Kate zadawała sobie pytanie, czy ten delikatny śnieżek jest jej zwiastunem.

Spała za krótko. Miała wysuszone i podrażnione oczy, a zmęczenie sprawiało, że bolała ją głowa, pulsując tak, jakby jej skronie ścisnęło imadło. Takiego bólu nie czuła od studiów i stażu podyplomowego. Myślała o zaczynających się o dziesiątej badaniach dla chirurgów, potem przeanalizowała plan dnia. Ponieważ wszystkie wydarzenia spadały na nią niczym oszczepy rzucone podczas jakiejś dzikiej średniowiecznej tortury, pomyślała nawet o tym, by poprosić kogoś o zastępstwo, szybko jednak odrzuciła ten pomysł. W panującej na oddziale sytuacji personalnej wszyscy byli przepracowani. Powtarzane regularnie od dłuższego czasu prośby Stana Willoughby'ego o dodatkowy etat dla patologa były stale wyśmiewane. Nie, zrobi swoje i jakoś na pewno uda jej się odnaleźć rezerwy koncentracji, które pozwolą należycie pracować.

Idąc na postój taksówek niedaleko pomnika White'a, Kate zaczęła swój poranny rytuał, polegający na wyszczególnianiu wydarzeń i zadań czekającego dnia. Zakończyła myślową wyliczankę – taksówka była wtedy w połowie drogi do szpitala – stałym elementem, czyli przegrzebaniem torebki w poszukiwaniu kalendarza, przekonana, że zapomniała o czymś bardzo ważnym. Zapisany plan dnia zawierał niewiele punktów, co wynikało głównie z wielogodzinnego cyklu, zaznaczonego krótko: CHIRURGIA. Na dole kartki był jeden wpis, o którym zapomniała: DRINK Z TOMEM. Słowa te wyzwoliły w niej zaskakującą falę uczuć i myśli – zaczynając od nagłej chęci, by zadzwonić i odwołać spotkanie, po mało przyjemną wizję powrotu do pustego domu. Przed oczami zaczęły jej się przewijać różne obrazy związane z poważnym, patykowatym rezydentem, który okazał się najwierniejszym sojusznikiem w trudnych dniach po biopsji Beverly Vitale. Tom Engelson był młodym mężczyzną, czasami do przesady entuzjastycznym, ale miał doskonałe wyczucie i był wrażliwy na ludzkie sprawy. Perspektywa spędzenia z nim godziny albo dwóch w ciemnej, wyłożonej drewnem i obitej skórą łoży mogła się okazać marchewką, która pomoże przeżyć dzień.

–Cholera, Jared... – mruknęła, kiedy taksówka zahamowała pod szpitalem. –

Potrzebuję cię.

Zaczęła swą pracę od wizyty w pokoju 421 w Budynku Berensona.

Ellen leżała na plecach i wpatrywała się w ścianę. Na stoliku przy łóżku stało nietknięte śniadanie – tak jak je przyniesiono na plastikowej tacy. Z plastikowego pojemnika zawieszzonego na haku pod sufitem spływał do jej żyły w przedramieniu roztwór soli.

–Cześć! – przywitała się Kate.

–Cześć. – Oczy Ellen były matowe, a skórze zdawało się brakować koloru... Oba ramiona pokrywały różnej wielkości siniaki. W jednej dziurce nosa tkwił tampon.

Kate położyła obok tacy ze śniadaniem „Cosmopolitan” i „Globe”, które kupiła po drodze.

–Dodano coś nowego? – Skinęła głową w kierunku kroplówki.

–Wczoraj wieczór. Chwilę po tym jak wyszłaś. Kate uniosła Ellen do pozycji siedzącej, po czym, usiadła na łóżku.

–Powiedzieli dlaczego?

–To działanie zapobiegawcze.

–Miałaś nowe krwawienie?

–Z jelit, jest też chyba krew w moczu. – Wzięła z tacy szklanekę z sokiem pomarańczowym i zaczęła mechanicznie popijać.

–Stąd pewnie kroplówka. Na wypadek gdyby trzeba było wstrzyknąć środek kontrastowy do rentgena albo podać krew.

Ile chcesz usłyszeć, EI? Daj jakiś znak! Chcesz się dowiedzieć, co oznacza nagły duży krwotok? O nagłej zapaści sercowej – na tyle poważnej, że bardzo trudno jest wprowadzić cewnik dożylny? Chcesz się dowiedzieć o Beverly Vitale?

–Posłuchaj, Kate. Dopóki trzymasz rękę na pulsie, to bez względu na to, co się dzieje,

będę zadowolona.

–To świetnie.

Dziękuję, moja droga. Dziękuję, że nieco mi ułatwiasz.

–Sandy wrócił. Przyleciał wczoraj wieczór i wprowadził się do domu, by zająć się

dziewczynkami.

Kate wskazała na stojące przy oknie kwiaty.

–Od niego?

–Mhm.

–I? Ellen wzruszyła ramionami.

–Są bez znaczenia. Chyba w dalszym ciągu jest na wylocie.

–Mam nadzieję, że nie.

–A ja?

–Co?

–Też jestem na wylocie? – Boże, oczywiście, że nie. Ellen ujęła dłoń Kate.

–Nie pozwól mi umrzeć, Kate, dobrze?

–Możesz na mnie liczyć – odparła Kate, mocno się starając, by nie załamać się na oczach przyjaciółki. Przysięgła sobie w duchu, że zrobi wszystko, by pomóc Ellen, że uczyni z tego najpilniejszą sprawę... Gdzieś kryła się odpowiedź i na pewno ją znajdzie.

–Posłuchaj, muszę teraz iść i przygotować się do kilku biopsji. Rzucę okiem na wyniki twoich badań laboratoryjnych i wpadnę porozmawiać w ciągu dnia. Zgoda?

–Jasne. – Zostało to jednak powiedziane bez najmniejszego entuzjazmu.

–Coś ci przynieść?

–Leczenie? Kate słabo się uśmiechnęła.

–Już się robi.

Kiedy wróciła z Budynku Berensona, na jej biurku stały kwiaty – w stalowoszarym pudełku z czerwoną wstążką. Najpierw wielki bukiet dla Ellen od Sandy’ego, a teraz kwiaty od Jareda... byli koledzy z jednego pokoju w Dartmouth naprawdę trzymali jedną linię.

–Wiedziałam, że musieliście się czegoś nauczyć w tej szkole poza osuszaniem beczki

z piwem – powiedziała do siebie, z podnieceniem otwierając pudełko.

W środku było dwanaście długich róż – jedenaście czerwonych i jedna żółta. Ktoś jej kiedyś powiedział, że czerwone symbolizują miłość, żółta przyjaźń. Zaczęła się krzątać po gabinecie, otwierać i zamykać drzwiczki oraz szuflady, aż znalazła masywny wazon z zielonego szkła. Dopiero kiedy ułożyła kwiaty w zadowalający sposób, przypomniała sobie o przyczepionej do pudełka kartce. Wiedziała, że będzie na niej napisane coś równocześnie dowcipnego i czułego. Jared miał taki styl... taki był.

DLA NIE TAK CAŁKIEM ZWYCZAJNEJ PANI DOKTOR OD NIE TAK CICHEGO WIELBICIELA. TOM.

Kate jęknęła i opadła na fotel przed biurkiem, czując nagłą złość i lekkie zażenowanie. Choć próbowała, nie mogła się pozbyć irracjonalnego poczucia, że Jared zostawił ją na lodzie.

ZADZWONIĆ DO TOMA. Zapisała zdanie na kawałku papieru i przykleiła go na dobrze widocznym miejscu na kloszu biurkowej lampy. Ponieważ z doświadczenia wiedziała, że umieszczenie karteczki z ważną informacją nawet centymetry od oczu daje w najlepszym wypadku pięćdziesięcioprocentowa gwarancję, że będzie zwracać jej uwagę, pomyślała, że może najlepiej byłoby zatelefonować teraz. Dochodziła dziewiąta i jeśli Toma nie było na sali operacyjnej, dotrze do niego wiadomość przez pager. Sprawy zaczynały jej się wymykać z rąk i wybranie się z Tomem na drinka nie wydawało się najlepszym wyjściem. Właśnie sięgała po słuchawkę, kiedy zadzwonił telefon.

–Słucham? Kate Bennett.

–Dzień dobry, doktor Bennett. Nazywam się Arlen Paquette, doktor Arlen Paquette, jeśli liczy się dla pani doktorat z chemii. Jestem dyrektorem działu bezpieczeństwa produktów w Redding Pharmaceuticals. Proszę mi powiedzieć, jeśli dzwonę w niewygodnej dla pani chwili, ale jeśli moglibyśmy porozmawiać, chciałbym kilka minut podyskutować z panią o raporcie, który przekazał nam wczoraj telefonicznie doktor William Zimmermann.

–Mam kilka minut – odparła Kate, przyklejając notkę dotyczącą Toma do abażura.

–Świetnie. Dziękuję. Doktor Bennett, spędziłem sporo czasu na zebranie informacji od doktora Zimmermanna. Ponieważ wygląda na to, że to pani wykonała gros pracy, miałem nadzieję, że mogłaby mi pani w szczegółach przedstawić fakty, które doprowadziły panią do wniosku, że coś jest nie tak z którymś z leków firmy Redding.

–Zrobię to z przyjemnością, doktorze Paquette.

Na podstawie pytań, które Paquette zadał w trakcie trzyminutowego streszczenia, było

jasne, że Zimmermann przekazał mu wyczerpujące sprawozdanie, a dyrektor działu bezpieczeństwa produktów dobrze je przeanalizował.

–Czyli... jeśli dobrze rozumiem – stwierdził Paquette, kiedy skończyła – pani podejrzewa, że źródłem problemów był Omnicenter, opierały się na przypadkowym wystąpieniu tych samych objawów u trzech spośród tysięcy leczonych tam pacjentek. Zgadza

się?

–Nie do końca – odparła Kate, nagle zaniepokojona tonem głosu swego rozmówcy.

–Proszę posłuchać mnie jeszcze przez chwilę. Postanowiła pani wtedy skoncentrować swe śledztwo na lekach dostarczanych do Omnicenter przez moją firmę i...

–Doktorze Paquette, nie uważam, by uczciwe było sugerowanie, że pochopnie wyciągnęłam wniosek o wadach leków. Nawet w tej chwili nie jestem pewna, że tak jest. Ze wszystkich czynników, które wzięłam pod uwagę... techniki sterylizacji, czynniki mikrobiologiczne i inne, wspólne dla moich pacjentek... od normy odbiegały jedynie skażone witaminy.

–No tak – odparł Paquette. – Witaminy. Przeanalizowanych zostało kilkadziesiąt próbek, a tylko jedna zawierała środek przeciwbólowy. Zgadza się?

–Doktorze Paquette – odparła Kate, nieco zezłoszczona. – Mam dziś mnóstwo zajęć i przekazałam panu wszystko, co mam do powiedzenia. Zaczyna pan mówić jak prawnik, a nie jak człowiek, któremu zależy na usunięciu wady wykrytej w produkcji firmy, którą reprezentuje. Nie wiem, czy doktor Zimmermann przekazał panu czy nie, ale mój pogląd jest taki, że dotarcie do sedna zaistniałego problemu jest zarówno naglące, jak i niezwykle ważne. W tej właśnie chwili przebywa w szpitalu kobieta, moja dobra przyjaciółka, której życie jest zagrożone, a mam podstawy, by podejrzewać, że w niebezpieczeństwie mogą być także inne kobiety. Dam panu jeszcze dwa dni na przedstawienie zadowalającego wyjaśnienia i jeśli nie będzie go pan miał, wezwę chemika ze Stanowego Laboratorium Toksykologicznego i pójdziemy we dwoje prosto do FDA.

–Mówiąc o chemiku, ma pani na myśli pana Iana Toole'a?

–Dokładnie jego mam na myśli.

–Cóż, pani doktor, nie wiem, co na to powiedzieć. Mam przed sobą poświadczony notarialnie list, którego kopie przed chwilą wysłałem do pani i doktora Zimmermanna. Jego autorem jest pan Ian Toole i zdecydowanie oświadcza, że w żadnej z prowadzonych dla pani analiz nie stwierdził jakichkolwiek skażeń w ani jednej próbce produktów wydawanych w Omnicenter.

–Słucham? – Niedowierzenie Kate niemal natychmiast zostało zastąpione odrętwiającym strachem. – To nieprawda... – powiedziała cicho.

–Przeczytać pani list?

–Kupiliście go.

–Przepraszam?

–Poszłam wam na rękę, nie idąc od razu do FDA, lecz przedstawiając sprawę pańskiej firmie, i przekupiliście mojego chemika.

–Doktor Bennett, chciałbym panią ostrzec przed rzucaniem nieuzasadnionych oskarżeń – stwierdził Paquette. – Jak powiedziałem, oświadczenie, które przede mną leży, jest potwierdzone notarialnie.

–Jeszcze zobaczymy – odparła z niejakim wysiłkiem. Posłała Toole’owi wszystkie witaminy. Ciekawe, czy Arlen Paquette o tym wiedział.

–Chciałbym zapewnić panią, że moja firma z chęcią koryguje wszelkie niedoskonałości naszych produktów, i podziękować pani za umożliwienie nam ustalenia

faktycznej sytuacji w pani szpitalu. – Paquette wypowiedział to tak, jakby czytał uświadczanie z kartki.

–Może wydaje się panu, że to koniec, doktorze Paquette, ale nie zna mnie pan. Proszę się przygotować na wezwanie z FDA.

–Każdy z nas musi robić swoje, pani doktor.

W Kate zaczęła kipieć złość.

–Poza tym życzę panu, by okazało się, że zapłaciliście wystarczająco Toole’owi, gdyż

wkrótce złoży wizytę przy pewnym łóżku szpitalnym, by spojrzeć w oczy kobiecie, którą być

może pomaga zabijać. – Huknęła słuchawką o widełki.

Siedzący w apartamencie w Ritzu Arlen Paquette odłożył słuchawkę delikatnie. Trząśnięcie.

„Nie zna mnie pan”.

Parsknął z powodu kryjącej się w tych słowach ironii, nalał nieco szkockiej na dwie kostki lodu, wypił, zanim zdążyła się ochłodzić, i odstawił szklankę na fotografię kobiety, którą właśnie pomagał przybić do krzyża niekompetencji, niezrównoważenia psychicznego oraz nierzetelności. Cyrus Redding kazał ją zdyskredytować, więc zostanie zdyskredytowana. Kate Bennett miała jedynie siebie oraz kilku chwiejnych sojuszników. Cyrus Redding miał nieograniczony zapas Nortonów Reese’ów, Winfieldów Samuelsów, Ianów Toole’ów i -oczywiście – Arlenów Paquette’ów.

Popatrzył na blok, na którym przygotował sobie tekst, który odczytał w trakcie rozmowy, i zadał sobie pytanie, czy byłby w stanie zachowywać się z taką pewnością siebie, gdyby doszło do konfrontacji twarz w twarz. Wątpliwe. Bardzo wątpliwe. Wymiana zdań trwała kilka krótkich minut i był do niej przygotowany, a jednak siedział przepecony i roztrzęsiony. Od rozmowy, którą właśnie skończył, wolałby dziesięć osobistych spotkań z Nortonem Reese’em. Woda. Tak – potrzebował trochę wody. Dość tej cholerniej szkockiej.

Gwałtownym ruchem wziął pustą szklankę ze stolika i ukazało się jedno ze zdjęć Kate Bennett – odbitka formatu dziesięć na piętnaście przedstawiała ją w dresie, szaliku i czapce, w trakcie biegu z psem drogą o zaśnieżonych poboczach. Paquette wstał i niepewnie poczłapał do łazienki.

–Ty draniu – powiedział do wychudzonej, ściągniętej twarzy, która wpatrywała się w niego z lusterka. – Ty słaby, mały, jebany draniu.

Z całą siłą rzucił szklanką w lustro i wokół rozprysnęły się fragmenty rozbitych przedmiotów. Potem opadł na kolana między kawałkami szkła i unosząc deskę klozetową ozdobnego sedesu, wymiotował... miał wrażenie, że wnętrzności rozerwą mu się na części.

–Nie rozumiesz, Bill? Ktoś z Redding Pharmaceuticals, może ten... ten Paquette, przekupił Iana Toole’a. Cholera, wiedziałam, że nie wolno im ufać. Wiedziałam!

Wiedziałam... – Kate, jeszcze zdyszana po przebiegnięciu przez zaśnieżoną ulicę oraz

wbiegnięciu na drugie piętro, zmuszała się, jak na razie bezskutecznie, do odzyskania

spokoju.

William Zimmermann, tak zrelaksowany jak Kate zdenerwowana, wstał zza biurka i podszedł do stojącej na niskim stoliku przy drzwiach maszynki do kawy. Sięgający kolan kotel miał idealnie wyprasowany i nieskazitelnie biały. Jego zachowanie było nienaganne, podobnie jak strój.

–Co powiesz na kilka głębokich oddechów i filiżankę kawy?

–Kawa to ostatnia rzecz, jakiej potrzebuję w moim stanie, ale głębokie oddechy dobrze mi robią. Urlop. Jesteś w stanie w to uwierzyć? Jednego dnia człowiek przeprowadza analizy przy spektrofotometrze, a następnego jest na urlopie i nikt nie wie, kiedy wróci. Jeśli to nie przekupstwo, nie wiem, jak to nazwać. Być może wkrótce się dowiemy, że na drzwiach któregoś laboratorium w Redding Pharmaceuticals pojawi się nazwisko IAN TOOLE.

–Głębokie oddechy? – spytał Zimmermann, wracając za biurko.

–No tak. Przepraszam, Bill. Chyba nie uważasz, że to moja wina, co?

–Nie, nie uważam, że to twoja wina. – Zrobił przerwę, wyraźnie szukając słów. – Kate... – powiedział w końcu – zadając pytanie, które mam zamiar ci zadać, chciałbym być taktowny, jeśli jednak mi się nie uda, wybaczone, ale...

–Mów dalej.

–Cóż, ponieważ poruszyłaś ten temat w czasie kolacji, którą razem jedliśmy, uważam, że muszę zapytać. Jak bardzo masz na pieńku z przemysłem farmaceutycznym?

Pytanie zaskoczyło ją, ale szybko je zrozumiała.

Chcesz powiedzieć, że bez Iana Toole’a wszystko staje się sprawą mojego słowa przeciwko ich. O to chodzi?

–Kate, przepraszam, jeśli nie mam racji, ale pamiętaj, że w grę wchodzi spora

stawka... ja ryzykuję, klinika ryzykuje, a o ile się orientuję, wszystko odbywało się jedynie

między tobą i panem Toole'em. Kazałem sporządzić raport, ponieważ chodziło o nasz ośrodek, ale dokładnie biorąc, dane...

–Chwileczkę! – z podnieceniem zawołała Kate. – Jest jeszcze ktoś. Właśnie sobie przypominałam.

–Kto?

–Nazywa się Millicent. Jest asystentką Toole'a i pamiętam, jak mówił, że się złościła, bo musiała pracować do późna nad przysłanym przeze mnie materiałem.

–Znasz jej nazwisko?

–Nie, lecz ile asystentek o imieniu Millicent może być w Stanowym Laboratorium Toksykologicznym? – Już sięgała po telefon i notes. – Nie znasz mnie, doktorze Paquette... -mruczała, wybierając numer. – O nie... zupełnie mnie nie znasz...

Rozmowa nie potrwała nawet minuty.

–Millicent Hall nie jest już zatrudniona w laboratorium stanowym – oświadczyła Kate,

odkładając słuchawkę. Jej mina i ton głosu zdradzały mieszankę zażenowania, przygnębienia

i złości. – To wszystko, co mają do powiedzenia.

Tym razem Zimmermann wziął głęboki wdech.

–Najpierw baseballista, a teraz to. Bez dwóch zdań nie masz łatwego okresu. Oczy Kate się zwężyły. Zaczęło narastać poczucie pustki.

–Nie wiesz, czy możesz mi wierzyć? Zimmermann popatrzył Kate w oczy i wytrzymał jej spojrzenie.

–Kate, jedyne, co mogę w tej chwili powiedzieć z całą uczciwością, to: „Wierzę, że ty wierzysz”. – Widząc, że Kate chce zaprotestować, uniósł dłonie, by ją powstrzymać. – Jak na obecną chwilę, wystarczy. Ryzykuję zbyt dużo, by robić jakiegokolwiek nerwowe ruchy. Będę czekał na formalną odpowiedź z Redding, do tego czasu wykorzystując naszą własną aptekę. Do chwili otrzymania pisma nie będziemy korzystać z leków Redding. Jeśli jednak nie pojawi się żaden nowy przypadek przez powiedzmy... tydzień... wtedy ponownie uruchomię system automatyczny.

–Z produktami tej firmy?

–Mamy umowę.

–Ale...

–Fakty, Kate. Potrzebujemy rzetelnych faktów.

Kate westchnęła i opadła na fotel, jakby spuszczone z niej powietrze. Zbliżała się dziesiąta i jeszcze nic nie zrobiła, by przygotować się do zaplanowanych badań wycinków.

–Zająłeś się listą pacjentek, które mogłyby zechcieć dać do zbadania swe leki?

Zimmermann uśmiechnął się łaskawie.

**–Chyba sama rozumiesz, że wyjaśnianie celu takiego zabiegu jest nieco trudne... -
Podał jej krótką listę i pięć płacht z lekami z Omnicenter. – Należą do moich
długoterminowych pacjentek, które zgodziły się na wymianę w ramach „rutynowej
kontroli jakości”.**

**–W końcu o to chodzi. Dziękuję, Bill. Wiem, że to dla ciebie niełatwe, i jestem
wdzięczna.**

–Spróbuję załatwić ci coś jeszcze w ciągu dnia.

**–Dziękuję. Jesteś uczciwy. Wiem, że mam rację i prędzej czy później to udowodnię.
– Wstała.**

**–Ale chyba zdajesz sobie sprawę, że jeśli nawet stwierdzisz, iż doszło do błędu w
trakcie produkcji w Redding, nijak nie da ci się tego połączyć z tymi trzema
kobietami?**

**Przed oczami Kate mignęły trzy kobiece twarze – dwóch nieżyjących pacjentek i jej
przyjaciółki.**

–Rozumiem – odparła ponuro. – Ale to wszystko, co mam... co mamy. Aha, jeszcze

**jedno, nim zapomnę. Zdobyłeś faktury zakupu leków Redding Pharmaceuticals, o
które**

prosiłam?

Zimmermann otworzył swą szafkę z aktami.

–Zamówienia robi Carl Homer. Dał mi je i prosił o przekazanie, że jest gotów jak najściślej z tobą współpracować. Poprosił także o jak najszybszy zwrot faktur.

–Oczywiście... – odparła Kate, wpatrując się w stosik żółtych kopii faktur. Redding Pharmaceuticals, Darlington, Kentucky. Słowa błyskały i podrygiwały...

–Kate, nic ci nie jest?

–Hę? Nie, wszystko w porządku. Bill, dzieje się tu coś bardzo dziwnego. Naprawdę bar-dzo dziw-ne-go. – Zimmermann przyglądał jej się zaciekawiony. – Nie wiem, kiedy się przenieśli, ale Fundacja Ashburtonów mieściła się w Darlington w stanie Kentucky.

–Skąd wiesz?

–Znalazłam ich stary adres w rejestrze mojego teścia.

–I? Kate podniosła fakturę.

–Darlington. Tam ma swą siedzibę Redding Pharmaceulirals. Po raz pierwszy William Zimmermann sprawiał wrażenie zmieszanego.

–Ciągle nie rozumiem, do czego dążysz.

Kate wyraźnie usłyszała irytację w jego głosie i pamiętając wzmiankę o liście w sprawie Bobby’ego Geary’ego, zmusiła się do bardzo łagodnej odpowiedzi. Jej stronnicy -nawet krytycznie nastawieni – stawali się coraz bardziej ginącym gatunkiem.

–Chyba... nieco przesadnie zareagowałam – odpowiedziała ze zmieszaniem, którego wcale nie czuła. – Chyba łapię się brzytwy dlatego, że w centrum tego kociokwiku tkwi Ellen. – Popatrzyła na zegarek. – Oj, muszę iść do sali operacyjnej. Jeśli odkryję jakieś fakty -uniosła palec – rzetelne fakty, zadzwonię.

–Świetnie. Daj znać, gdybym mógł coś jeszcze dla ciebie zrobić.

Kate wybiegła na zewnątrz i popędziła przez ulicę, nie zwracając uwagi na wiatr i śnieg. Ashburton i Redding – kiedyś wspólnie w Darlington, teraz wspólnie w Omnicenter. Przypadek? Mało prawdopodobne. Nie... całkiem nieprawdopodobne. Kiedy biegła na chirurgię, do laboratorium skrawków zamrożonych, zegar w holu wskazywał za dwie dziesiąta. Pomieszczenie było ciemne. Na drzwiach starannie przyklejono kartkę.

KRIOSTAT SALI OPERACYJNEJ

NIECZYNNY.

PRÓBKBI BIOPSYJNE DO ZBADANIA

PRZYNOŚIĆ DO KRIOSTATU

ODDZIAŁU PATOLOGII.

–Dziesięć sekund do startu. Dziewięć. Osiem. Siedem. Sześć. Pięć. Cztery. Trzy. Dwa. Jeden. Start. – Tom Engelson zapalił zapałkę o krawędź żeliwnej patery i przytknął płomyk do polanych brandy francuskich lodów waniliowych.

–Voilà! – zawołał.

–Brawo! – radośnie zawtórowała Kate.

Tom napełnił lodami dwie płaskie miseczki i zamaszystym ruchem postawił jedną przed Kate.

Wieczór okazał się pasmem przyjemności pozbawionych jakichkolwiek napięć; wypili kilka drinków w pubie, zjedli kolację w Moon Villa w Chinatown, deser mieli zjeść w mieszkaniu Toma, dziewiętnaście pięter nad portem. Zapomniała odwołać spotkanie i okazało się, że kiepska pamięć może być atutem. Po dwudziestu minutach rozmowy w pubie Kate zrezygnowała z rozważań, czego oczekuje od wieczoru i mężczyzny, z którym była, i zaczęła się równocześnie odprężyć oraz dobrze bawić. Mimo to myśli o Jaredzie ciągle wracały – tak samo jak myśli o Redding Pharmaceuticals i Fundacji Ashburtonów.

–No dobrze – stwierdził Tom, nalawszy dwie filiżanki kawy. – Mój mózg przestał domagać się jedzenia i picia, jest więc w stanie spróbować zacząć rozumować. Nie ma Fundacji Ashburtonów?

–Jest coś co nazywa się Fundacja Ashburtonów, ale nie byłabym tak bardzo zdziwiona, gdyby się okazało, że to jedynie pralnia pieniędzy.

–Pieniądzy firmy farmaceutycznej.

–Zgadza się. Zadzwoiłam pod numer, który znalazłam w notatniku teścia, i odebrał ktoś w rodzaju recepcjonistki. Nie odpowiedziała na żadne pytanie... nawet przy jakiej ulicy mieści się ich siedziba... twierdząc, że odpowie mi na nie niejaki doktor

Thompson, najwyraźniej dyrektor tej tak zwanej fundacji.

–Ale doktora Thompsona nie było w biurze i przez cały dzień nie oddzwonił.

–Tak właśnie było. Zatelefonowałam jeszcze raz, na co recepcjonistka odparła, że doktor Thompson wyszedł i nie wróci do końca dnia, ale na pewno skontaktuje się ze mną jutro. To było dziwne, mówię ci... dzi-wacz-ne. Kobieta, która ponoć pracuje dla wielkiej fundacji, nie miała zielonego pojęcia, jak ze mną rozmawiać.

–Rozmawiałaś o tym z Reese'em?

–Kiedy do niego zadzwoniłam, już wyszedł, ale jutro, po odwiedzeniu rano Ellen, rozbiję obóz na progu jego gabinetu.

–Czemu to ma służyć? Co ma Redding Pharmaceuticals z pakowania pieniędzy w nasz szpital?

Kate wzruszyła ramionami.

–Oto pytanie za sześćdziesiąt cztery dolary. Jak na razie każdy atom mojej kobiecej intuicji aż krzyczy, że to powiązanie ma coś wspólnego ze skażonymi witaminami, których istnienie lak bardzo chce ukryć nasz przyjaciel doktor Paquette.

–Niesamowite.

–Niesamowite może tak, ale czy niemożliwe? – Wyjęła z torebki złożoną wpół

kserokopię artykułu i podała ją Tomowi. – Natknęłam się na to wczoraj podczas kolejnej

nasiadówki w bibliotece. To o środku o nazwie MER dwadzieścia dziewięć, stworzonym i

sprzedawanym przez Merrell Pharmaceuticals.

–Wielka firma – odparł Tom, kartkując artykuł.

–Nie tak duża jak Redding, ale wystarczająco duża. Ten MER dwadzieścia dziewięć miał obniżyć poziom cholesterolu, czyli zapobiegać zawałom serca. Jedynym problemem było to, że inne firmy biegły tuż-tuż z tyłu w wyścigu o dokończenie prac nad środkami mającymi pozwolić osiągnąć ten sam cel. Dobrzy fachowcy w Merrell oszacowali, że jeśli

wszyscy ludzie powyżej trzydziestego piątego roku życia braliby dziennie jedną kapsułkę za dwadzieścia centów, roczny zysk przyniósłby miliardy dolarów, równocześnie jednak wiadomo było, że lwią część zysków trafiłaby do tej firmy, która

jako pierwsza dostałaby zielone światło od FDA i wprowadziła preparat na rynek.

–Chyba nie chcę słyszeć reszty.

–Nie powinieneś, jeśli ufasz firmom farmaceutycznym. Pamiętaj, że FDA nie ocenia produktów – robią to firmy farmaceutyczne. FDA jedynie ocenia dokonane oceny. Starając się jak najszybciej wprowadzić MER dwadzieścia dziewięć do organizmów przyjmującej leki części populacji, Merrell maksymalnie ograniczyło badania laboratoryjne i kliniczne, a ponieważ w masie sprawozdań, jakie dostarczyli do FDA, nie dało się zauważyć dokonanych skrótów, w sześćdziesiątym pierwszym roku FDA zaaprobowala preparat i wszedł na rynek. Dwa lata później, niemal przez przypadek, w FDA odkryto prawdę i nakazano wycofanie go z rynku. Do tego czasu wiele osób w wyniku używania leku oślepiło, dorobiło się straszliwych, nieodwracalnych zmian skórnych albo straciło włosy.

Tom zagwizdał.

–Mamy dzieci bez rąk z powodu talidomidu, który brały ciężarne kobiety jako środek nasenny. Mamy dzieci z nieodwracalnie żółtymi zębami, ponieważ wprowadzono na rynek tetracyklinę przed zbadaniem wszystkich efektów ubocznych. Lista ciągle się wydłuża.

–Wydajesz się zdenerwowana – powiedział Tom, ujął Kate za rękę i poprowadził ją do kanapy.

–Przekupili mojego chemika. Sprawili, że wyszłam na głupka albo i gorzej... na kłamcę. Masz rację... jestem cholernie wściekła. – Westchnęła i opadła na oparcie. Nie puściła jego dłoni. – Wybacz mi, że tak wystrześliłam, ale chyba było mi to potrzebne.

Tom objął ją wolną ręką wokół ramion i przyciągnął bliżej. Siedzieli tak, obserwując wielkie, targane wiatrem płatki śniegu, wirujące na tle portu i rozpuszczające się na wielkim, panoramicznym oknie.

–Dziękuję ci... – szepnęła Kate. – Dziękuję, że mnie zrozumiałeś.

Zaczęli się całować. Najpierw na podłodze wylądowała jej bluzka, potem biustonosz,

wreszcie koszula Toma. Delikatnie położył Kate na kanapie. Dotyk warg, muskających wygięcie jej szyi i szczyt piersi, był wspaniały. Dłoń pieszcząca wewnętrzną część jej uda była ciepła, doświadczona i cierpliwa. Kate czuła takie samo podniecenie i strach jak podczas pierwszych doświadczeń erotycznych z okresu pokwitania. Choć jej ciało reagowało na jego pożądanie, a sutki stwardniały pod dotknięciami języka, umysł zaczął się wycofywać.

–Kate... o Kate... – szeptał, a powietrze wydobywające się z jego ust przy każdej zgłosce łaskotało skórę jej piersi.

–Tom? – Była to cicha prośba, niemal kwilenie.

–Trzymaj mnie, Kate. Nie przerywaj, proszę... Ujęła jego twarz w dłonie.

–Tom... – powiedziała nieco chrapliwie. – Nie... nie mogę.

Przepełniona emocjami wirującymi w niej nie mniej gwałtownie niż śnieg na między stanowej, jechała z Bostonu do Essex prawie półtorej godziny. Tom był urażony i sfrustrowany jej nagłą zmianą, zrobił jednak, co było w jego mocy, by zrozumieć i zaakceptować jej prośbę.

–Mam nadzieję, że Jared zdaje sobie sprawę z tego, jakie ma cholerne szczęście – niemal warknął, kiedy się ubierała. Uparł się, że zawiezie ją do szpitala, gdzie zostawiła

samochód. Przed rozstaniem pocałowali się – niby-platonicznie – na pożegnanie.

Kiedy otwierała drzwi prowadzące z garażu do domu, zaczął dzwonić telefon. Roscoe, który większość minionych dwóch dni spędził „na przechowaniu” u sąsiadów, właścicieli golden retrievera, przybiegł, podskakując, korytarzem, przyjął krótkie powitanie, po czym podążył za Kate do gabinetu.

Telefonował Jared.

–Cześć – zaczął. – Dzwoniłem o trzeciej rano i nikogo nie było. Wszystko w porządku?

–Nic mi nie jest, Jared. Spędziłam noc u twojego ojca. Nie powiedział ci, że mnie zaprosił?

–Nie. – W głosie Jareda słyhać było wyraźne zdziwienie. – Dostałaś mój list?

Kate przejrzała pliczek rachunków i wartych jedynie wyrzucenia czasopism, które wniosła ze sobą. List Jareda tkwił między nimi.

–Właśnie go przyniosłam – odparła. – Jeśli zaczekasz, zaraz przeczytam.

–Nie ma potrzeby, Kate. Pamiętam treść. – Otworzyła kopertę i czytała, kiedy mówił. – Napisałem w nim: „Kocham cię, tęsknię za tobą i już nigdy nie chcę być bez ciebie. Jared”.

Kate tak waliło serce, że ledwie była w stanie odpowiedzieć.

–Ja też cię kocham, Jared. Bardzo, bardzo. Kiedy wracasz do domu?

–Pojutrze, chyba że chcesz, bym wyruszył natychmiast.

–Czwartek będzie świetny, skarbie. Znakomity. Przyjadę po ciebie na lotnisko.

–O siódmej wieczór. Terminal United.

–Doskonale. Mam ci dużo do opowiedzenia. Może pojedziemy na wieś. Powinieneś kogoś odwiedzić.

–Kogo?

–Zobaczysz sam. Pozwól, że nie powiem nic do czwartku, dobrze?

–Dobrze, ale...

–Kocham cię.

–Ja też cię kocham, Dzieciaku. Czasami nie wiem, kim, do pioruna, jesteś i czy Jared Samuels znajduje się na liście twoich priorytetów, ale kocham cię i dopóki wytrzymam, chcę jechać z tobą na jednym wózku.

–Poradzimy sobie, skarbie. Wszystko będzie dobrze. Kiedy Kate odwiesiła

słuchawkę, uświadomiła sobie, że po raz pierwszy od tygodni powiedziała to z przekonaniem.

Rozdział 11 Środa, 19 grudnia

Arlen Paquette, sztywny i obolały z braku snu, jechał obsadzoną drzewami drogą prowadzącą do Redding Pharmaceuticals. Na poboczach leżały resztki pierwszego od jedenastu lat grudniowego śniegu w Darlington. Powrót do domu poprzedniego wieczora okazał się kompletną klapą; kłótnie z dziećmi, wypicie zbyt dużej ilości alkoholu przed kolacją oraz w jej trakcie i po niej, co spowodowało brak sprawności seksualnej i nieporozumienia w łóżku – problemy dotychczas nieznanne zarówno jemu, jak i jego żonie.

Przekręcił wsteczne lusterko, by popatrzeć na swą twarz i zerwać kilka plasterków, które przykleił do miejsc, gdzie zaciął się przy goleniu z powodu drżenia rąk. Nawet bez nich wyglądał marnie. Wykańczała go ta praca... praca, której nie mógł rzucić. Przekupstwo, łapówki, oszustwa, groźby, zrujnowane kariery. Nie był już chemikiem ani administratorem. Nagle stał się porucznikiem – dowódcą plutonu w armii Cyrusa Reddinga. Była to armia specjalistów, zespolona przymusem, szantażem i

niezamowitą masą pieniędzy, gotowa do zaatakowania każdego, kto zagrażał Cyrusowi Reddingowi albo stworzonej przez niego firmie.

Wartownik serdecznie się z nim przywitał i przeprowadził pobieżną rewizję mercedesa. Paquette spytał kiedyś, czego właściwie szuka, na co otrzymał grzeczną, ale dość niepokojącą odpowiedź: „Wszystkiego, czego pan Redding nie chce tu mieć”.

Gdyby sześć długich, niskich budynków, w których prowadzono produkcję i pakowano wyroby, było wagonami pociągu, to biura dyrekcji, w tym Cyrusa Reddinga, mieściłyby się w miejscu, gdzie są piasty kół. Dział badawczy i laboratoria umieszczono pod ziemią i łączyły się z częściami nadziemnymi tunelami, schodami ruchomymi oraz ruchomymi chodnikami. Paquette zaparkował na miejscu oznaczonym jego nazwiskiem, wszedł na chwilę do swego gabinetu, by zostawić płaszcz, po czym ruszył prosto do Reddinga. Wpuszczono go natychmiast.

–Arlen, Arlen... – serdecznie przywitał go Redding. – Witaj w domu. – Szef siedział na wózku inwalidzkim za biurkiem, ubrany w jedyny strój, w jakim Paquette widywał go w pracy: lekki szarobłękitny garnitur, białą koszulę i krawat ze sznurka, przytrzymywany mocowaniem ozdobionym turkusowym „ptakiem grzmotów”* [Thunderbird – w mitologii wielu szczepów Indian wielki ptak, będący duchem burzy, błyskawic i deszczu.]. – No, no... -powiedział, kiedy znaleźli się przy centralnie ustawionych kanapach, gdzie na stoliku czekała

kawa i ciastka. – Wyglądasz na wymizerowanego. Ta robota w Bostonie okazała się trochę trudniejsza, niż przypuszczałeś?

–Ostrzegał pan, że tak się może wydarzyć. Pamięta pan, kiedy postanowiliśmy przenieść adres do korespondencji Fundacji Ashburtonów?

–Oczywiście. Kilka miesięcy po tym, jak zacząłeś tu pracować. Sześć, nie... siedem lat temu? – Paquette skinął głową. – To była znakomita sugestia i wtedy po raz pierwszy w pełni doceniłem, jak korzystną decyzją było zatrudnienie ciebie.

Paquette słabo się uśmiechnął w podzięcie.

–Cóż, uznałem, że jeśli zarejestruje się fundację jako nieochodową, niemuszącą płacić podatków organizację dobroczynną z siedzibą w Dystrykcie Kolumbii, nie będzie żadnej możliwości skojarzenia jej z Redding Pharmaceuticals.

–A jednak nasza uparta doktor Bennett domyśliła się prawdy.

–Tak, choć zgodnie z tym, co mówiłem wczoraj wieczór, wątpię, by poskładała fakty do kupy.

–Ale poskłada – rzekł z całkowitym przekonaniem Stary Wojak.

–Dzwoniła wczoraj dwa razy, by ze mną rozmawiać... to znaczy z doktorem

Thompsonem, dyrektorem fundacji. Z obawy, że rozpozna mój głos, nie mogłem nawet

oddzwonić.

–To była mądra decyzja.

–Będzie musiała któregoś dnia coś od kogoś usłyszeć.

–Usłyszysz – odparł Redding. Popatrzył na zegarek. – W tej właśnie chwili nasz przekonujący prawniczy kontakt Charlie Wilson jest w drodze do biura fundacji, by stać się doktorem Jamesem Thompsonem.

–Biura?

–Oczywiście. Chyba nie chcemy, by doktor Bennett po zlokalizowaniu Fundacji Ashburtonów ujrzała jedynie biurko, sekretarkę i telefon, prawda? – Paquette pokręcił głową. Redding był niesamowity, skuteczny w sposób, który mógł przerazić. – Dziś rano o jedenastej wszystko będzie na miejscu... biuro, personel, ilustrujące znakomitą pracę fundacji fotoreportaże na ścianach, listy referencyjne oraz mniej więcej dziesięcioletnie dokumenty z prowadzonych działań, no i do tego Charlie Wilson, który... chyba się ze mną zgodzisz... jest gładki i przekonujący w odpowiednim stopniu.

–Niesamowite... – stwierdził Paquette.

–Jesteś teraz spokojniejszy?

–Tak, panie Redding. Jestem.

–To dobrze. Będziesz też na pewno zadowolony, że firma zajmie się lustrem w Ritzu.

Paquette zamarł. Zapłacił za lustro z własnej kieszeni i zrobił wszystko, by Redding

nie dowiedział się o tym, co się stało... Pęknięcie w ogniu walki na pewno nie było cechą, której szef oczekiwał od dowódców plutonu.

–Chciałem... przepraszam za ten incydent, sir. Naprawdę mi przykro.

Redding wskazał na stolik przed nimi. W grubym szkle wtopiony był emblemat

Redding Pharmaceuticals: na błękitnym jak wiosenne niebo tle znajdowały się dwie dłonie, wypuszczające niewinnego, białego gołębia. Pod spodem umieszczono nazwę firmy, na górze – w łuku tęczy – motto: NAJWIĘCEJ DOBRA DLA NAJWIĘKSZEJ LICZBY LUDZI, ZA NAJNIŻSZĄ CENĘ.

–Arlen, od dnia kiedy przejąłem tę firmę, próbowałem płynąć kursem, który doprowadziłby mnie wprost do tego, co głosi to motto. W tym biznesie... w każdym biznesie... trzeba stałe dokonywać wyborów, podejmować decyzje, których podjęcia nie da

się uniknąć. W ciągu trzydziestu pięciu lat od mojego przybycia do Darlington podjąłem

więcej ściskających trzewia decyzji i rozbiłem więcej szklanek i luster, niż jesteś w stanie

zliczyć. Zawsze jednak, kiedy potrzebowałem ukierunkowania, zależało mi na jakiejś radzie

lub musiałem wpaść na jakiś pomysł, miałem je przed sobą. – Stuknął palcem w motto. –

Prawodawca, zarówno stanowy, jak i federalny, konkurencja, a szczególnie cholerne FDA

robią, co mogą, by zamącić sprawy, ale koniec końców nasza praca sprowadza się zawsze do

tego. – Ponownie stuknął palcem w szkło.

Jeśli to zmierzające do podniesienia na duchu przemówienie miało poprawić słabnące morale Paquette'a, stało się akurat odwrotnie. Był w stanie myśleć jedynie o największej ilości dobra dla największej liczby ludzi, z największym zyskiem. „Skracanie dróg” podczas testowania produktów i prowadzenia badań na ludziach, „eksperymentalne” kliniki w Denver i Bostonie, przekupstwa i wymuszenia, w które zamieszani byli także urzędnicy FDA -wszystko to było dla niego do zniesienia, gdyż stanowiło abstrakcję. Kate Bennett była tworem z krwi i kości – głosem, twarzą, rzeczywistością, a co gorsza rzeczywistością, którą coraz bardziej podziwiał. Paquette wyrwał się z zadumy, ciekaw, ile mogła trwać. Sekundę? Minutę? Zauważył, że Redding wpatruje się w niego.

–Rozumiem, sir – stwierdził, odchrząkując – i zapewniam, że nie musi się pan niczym martwić. – Skąd on wiedział o tym przeklętym lustrze? Miał w Bostonie

szpiegów? Założył w pokoju podsłuch? A niech cię cholera, myślał Paquette, Niech cię piekło pochłonie.

–Świetnie, Arlen. Lecisz po południu z powrotem do Bostonu?

–O drugiej.

–Miejmy nadzieję, że nasza wścibska pani doktor będzie wkrótce na linach. Co prawda jej teść uważa, że jeszcze mocno stoi na nogach, i niestety odkrycie dotyczące Fundacji Ashburtonów sugeruje, że ma rację.

–O ile się orientuję, Norton Reese organizuje dla niej niespodziankę, która może nieco odwrócić sytuację – stwierdził Paquette, przypominając sobie radość w głosie Reese’a, kiedy oznajmiał, że lada chwila coś ciężkiego spadnie na głowę Kate Bennett.

–To świetnie. Jej teść też obiecał pomóc, na ile będzie w stanie. Jeszcze jedno.

–Tak?

–Czy znalazło się cokolwiek, co mogłoby wyjaśniać pojawienie się patologicznych zmian w jajnikach i krwi tych trzech kobiet? – Paquette pokręcił głową. – Dziwne – mruknął Kedding, bardziej do siebie niż do niego. – Bardzo dziwne... – Zamyślił się na kilka sekund i siedział z zamkniętymi oczami, lekko poruszając głową na boki, jakby czytał szybko jakiś tekst. – Cóż, Arlen – powiedział nieoczekiwanie i otworzył oczy – dziękuję za znakomitą robotę. Wiem, że czasami twoje obowiązki nie są dla ciebie łatwe, ale wykonuj je w dalszym ciągu tak jak dotychczas, to nagroda będzie wielka.

–Tak jest, *sir*. – Siedział jeszcze przez przynajmniej pół minuty, zanim się zorientował, że Stary Wojak powiedział już wszystko, co zamierzał. Trochę zażenowany

wstał i wyszedł pośpiesznie z gabinetu.

Cyrus Redding obserwował wychodzącego Paquette’a. Wyglądało na to, że bostońskie zadanie miało na niego niedobry wpływ, przede wszystkim ze względu na ilości spożywanego alkoholu. Zbliżając się na wózku do swego biurka, Redding uznał, że zaraz po zakończeniu sprawy w Bostonie trzeba będzie zorganizować coś na kształt wakacji dla Paquette’a i jego żony. Podjąwszy tę decyzję, odsunął na bok myślenie o Bostonie i dyrektorze do spraw bezpieczeństwa produktów. Miał ważniejsze problemy do rozwiązania.

Stephen Stein, enigmatyczny, ale niezwykle sprawny detektyw, dokonał odkrycia,

które jego zdaniem mogło stać się kluczem do rozwiązania tajemnicy Johna Fergusona.

–Panie Nunes – powiedział Redding do mikrofonu interkomu na biurku – proszę przynieść mi przesyłkę.

Na ścianie w głębi gabinetu odsunęły się znakomicie zakamuflowane drzwi, zaopatrzone w weneckie lustro. Z niedużego, dźwiękoszczelnego pomieszczenia wyszedł Nunes, który czuwał tam zawsze – z gotowym do strzału rewolwerem w ręku – kiedy Redding nie był sam w gabinecie. Paczkę, zawierającą książkę, parę zapisanych na maszynie kartek oraz list od Steina przyniósł posłaniec kilka minut przed przybyciem Arlena Paquette’a.

–Jeśli ma pan do załatwienia jakieś sprawy, panie Nunes, czas jest jak najbardziej odpowiedni. Kiedy wróci pan za... powiedzmy... godzinę, być może będziemy mieli nowe

spojrzenie na naszego przyjaciela doktora Fergusona. – Uśmiechnął się, niemal wychodząc ze

skóry na myśl o tej perspektywie. – Sądzę, że okazja może być godna dużej paczki lodów z

wiórkami miętowymi, które zabroniłem ci kupować, nawet gdybym próbował namówić cię do

tego.

Małomówny ochroniarz skinął głową.

–Nie wolno mi kupować ich dla pana, ale może kupię paczkę dla siebie.

Redding zaczekał, aż drzwi się zatrzasnęły za wychodzącym, zablokował je elektronicznie, po czym rozłożył zawartość koperty na stole.

Proszę mi wybaczyć - pisał Stein – że nie zauważyłem tego tomu w trakcie dotychczasowych prób połączenia życiorysu tajemniczego doktora Fergusona z wojną. Pożyczyłem manuskrypt z tutejszej uniwersyteckiej Biblioteki Holocaustu, obiecując bezwarunkowy zwrot oraz okazanie wyrazów wdzięczności. Według niemieckiego profesora, który przetłumaczył dla nas załączony tekst, tytuł pracy brzmi „Lekarze Rzeszy – opowieść o największych potworach Hitlera”. Jest ona wynikiem nadzwyczaj skrupulatnych badań i niezliczonych wywiadów,

przeprowadzonych przez żydowskiego dziennikarza o nazwisku Sachs, który sam przeżył obóz śmierci, a które – zdaniem mojego źródła – są wiarygodne, oczywiście w ramach uprzedzeń autora. Przetłumaczone zostały jedynie rozdziały dotyczące eksperymentów medycznych w obozie dla kobiet w Ravensbrück. Sądzę, że szczególnie zainteresują Pana zdjęcia na stronach 367 i 368.

Przez prawie godzinę Cyrus Redding siedział zafascynowany i poruszał się tylko po to, by przewrócić kartkę tłumaczenia albo popatrzeć na kolejną fotografię w noszącym ślady częstego czytania pożółkłym manuskrypcie. John Ferguson był lekarzem i naukowcem, a nazywał się doktor Wilhelm Becker. Zdjęcia, choć lekko zamazane i zrobione ponad czterdzieści lat temu, nie – pozostawiały najmniejszej wątpliwości.

–Zadziwiająca... – mruzczał Redding, czytając po kilka razy te same fragmenty życiorysu swego współnika. – Absolutnie zadziwiająca...

W pracy zamieszczono dwa zdjęcia Wilhelma Beckera – jedno musiało zostać zrobione do jakiegoś dokumentu i ukazywało twarz od przodu, drugie było ujęciem grupowym, ukazywało go razem z innymi lekarzami w Ravensbrück. Było także zdjęcie laboratorium, w którym Becker miał jakoby zginąć – na podłodze widać było zwinięte wśród spalonych szczątków zwłoki Beckera i jego asystenta... sierżanta. Redding wyjął z szuflady wielkie, oprawione w kość słoniową szkło powiększające i przez kilka minut studiował

szczegóły sceny na fotografii. Ciało, zidentyfikowane jako zwłoki Williego Beckera, było nieforemną, zwęgloną kupką.

–Dobra robota, przyjacielu – łagodnie stwierdził Redding. – Elegancka.

Zapoznawszy się ze szczegółami dotyczącymi Beckera i jego sfingowanej śmierci, Redding zajął się zajmującymi półtorej strony badaniami Beckera, zwłaszcza eksperymentami z preparatem zwanym estronat 250. Duża część informacji pochodziła ze stenogramów norymberskiego procesu lekarzy hitlerowskich przed Amerykańskim Trybunałem Wojskowym, w którym oskarżonymi byli lekarze Müller i Rendl. Otrzymali oni długoletnie wyroki za współpracę właśnie z Wilhelmem Beckerem. Redding odnalazł ich na zbiorowym zdjęciu z Ravensbrück. Müller po pięciu latach ciężkich robót został ułaskawiony dzięki zeznaniom wielu byłych więźniarek Ravensbrück. Kobiety te były w stanie udokumentować liczne akty bohaterstwa, którą niósł im Müller. Ujawnienie humanitarnych aktów dokonanych przez Rendla nastąpiło zbyt późno – trzy lata po uwięzieniu powiesił się w celi.

Redding czytał materiał o estronacie słowo po słowie i robił staranne notatki. Kiedy

skończył, był stuprocentowo przekonany, że ani Wilhelm Becker, ani jego notatki nie zostały strawione przez pożar, który wybuchł w Ravensbrück.

Substancja nieszkodliwa pod wszelkimi innymi względami, mogąca bez wiedzy kobiety uczynić ją nieplodną. Redding był wstrząśnięty możliwościami, jakie stwarzał taki środek. Chiny, Indie, kraje afrykańskie, świat arabski. Ciekawe, ile byłyby gotowe zapłacić rządy za możliwość wybiórczego przerzedzenia populacji i rozwiązania w ten sposób tak wielu problemów gospodarczych i politycznych? W jakim stopniu pewne rządy byłyby gotowe zapłacić za broń, która – odpowiednio rozprzestrzeniona – mogłaby zdziesiątkować wroga w trakcie jednego pokolenia, bez konieczności gwałtownego zabijania istnień ludzkich?

Myśli Reddinga pławiły się w możliwościach, jakie dawał estronat 250, kiedy po cichym puknięciu wszedł Nunes, postawił na biurku paczkę i zniknął w swym punkcie obserwacyjnym. Przez następną godzinę Redding siedział sam, rozkoszował się lodami z wiórkami miętowymi i zastanawiał, jak najlepiej przekazać doktorowi Johnowi Fergusonowi wiadomość, że ich piętnastoletnia współpraca nabrała całkiem nowych cech.

KOCHAM CIĘ, TĘSKNIĘ ZA TOBĄ I JUŻ NIGDY NIE, CHCĘ BYĆ BEZ CIEBIE.

Kate czytała i czytała list od Jareda i za każdym razem dawał jej kolejną porcję siły i pewności siebie. Wróciła do swego gabinetu po dwóch przykrych i przerażających wizytach. Najpierw odwiedziła Ellen, która po raz pierwszy dostawała transfuzję koncentratu krwinek

czerwonych. Następnie udała się do Nortona Reese'a. Jeśli związki między Bostońskim Szpitalem Metropolitalnym, Fundacją Ashburtonów i Redding Pharmaceuticals były tak bliskie, jak sądziła po nieporadnych wykrętach Reese'a, usiłującego temu zaprzeczyć, będzie potrzebowała każdej odrobiny siły i pewności siebie, jakie uda jej się wykrzesać. Dziękuję, Jared. Dziękuję ci, że zdjąłeś ze mnie największy ciężar.

Spotkanie z Reese'em zaczęło się kordialnie, ale zawsze – odkąd go znała – wydawał się przesadnie jowialny i zachowywał się sztucznie, by sprawiać wrażenie, że jest „na luzie”. Nawet po ostrej wymianie zdań, w obecności rady nadzorczej, w związku z przekazaniem przez niego funduszy przeznaczonych dla oddziału patologii do programu kardiochirurgicznego Reese obchodził się z nią z delikatnością ucznia mającego do czynienia z materiałami wybuchowymi. Teraz też się uśmiechał. Jego przyjemny sposób bycia utrzymywał się przez kilka minut rozmowy o jej oddziale i o rekomendacji Stana Willoughby'ego, który zabiegał, by została jego następczynią, lecz gwałtownie się skończył w momencie napomknięcia o Fundacji Ashburtonów. Kate uznała, że bez względu na to, jakie Reese miał mocne strony, nie należała do nich umiejętność zachowania twarzy pokerzysty. Choć oczy zwężyły mu się pozornie

niewiele, wystarczyło to do pogłębienia mięsistych kurzych łapek w ich kącikach. Zbierały mu wargi, a także stykające się ze sobą opuszki palców.

–Obawiam się, że nie mogę otworzyć przed panią akt Fundacji Ashburtonów - stwierdził, próbując bezskutecznie utrzymać z Kate kontakt wzrokowy. – Z przyjemnością odpowiem jednak na te pytania, na które będę mógł.

–Niech będzie. – Kate wzruszyła ramionami. – Oto pierwsze moje pytanie: Dlaczego nie może pan otworzyć przede inną akt Fundacji Ashburtonów?

–To część... element porozumienia, które podpisaliśmy, otrzymując od nich dotację. – To, co się działo z Reese'em, było bardzo dziwne... Dosłownie wylądował na fotelu.

–Załóżmy, że chciałabym wystąpić do nich o dotację dla mojego oddziału. Jak mam się z nimi skontaktować?

–Poproszę Ginę, by dała adres, kiedy będzie pani wychodzić. Może pani do nich napisać.

–Mam już numer skrytki pocztowej w Waszyngtonie. O to chodzi?

–Tak. Chyba tak.

–Załóżmy, że chciałabym osobiście rzucić okiem na ich biuro. Mógłby pan poprosić Ginę, by dała mi i ten adres?

Reese dalej się wiercił.

–Proszę posłuchać. Dam pani ich adres do korespondencji i numer telefonu. Przykro mi, ale więcej nie jestem w stanie w tej sprawie zrobić. A poza tym skąd to nagle zainteresowanie Fundacją Ashburtonów?

–Panie Reese – spokojnie odparła Kate – otworzy pan przede mną akta fundacji, jeśli odpowiem na to pytanie?

–Nie mogę bez pisemnego zezwolenia.

–W takim razie wygląda na to, że mamy sytuację patową. Powiem panu tyle – jej głos zrobił się lodowaty – że zmarły dwie kobiety, a trzecia jest prawdopodobnie w trakcie umierania. Jeśli stwierdzę, że Fundacja Ashburtonów jest w jakikolwiek sposób związana z tym, co się stało ich pacjentkom, a pan zataił przede mną istotne informacje, obiecuję, że nie spocznę, dopóki każdy, kto się liczy, nie zostanie o tej sprawie poinformowany. Wyrażam się jasno? – Kate zdawała sobie sprawę z tego, że nietypowa dla niej złość jest wywołana widokiem Ellen Sandler, obserwującej w milczeniu plastikowe opakowanie, z którego do żyły w jej ramieniu skapuje krew, i

doskonale się orientującej, że to najprawdopodobniej pierwsza z wielu transfuzji, które nastąpią.

Reese popatrzył na zegarek w sposób, który był zarówno nieodpowiedni, jak i niesubtelny. Mogło się wydawać, że czeka na telefon, który miał zadzwonić dokładnie dwanaście po dziewiątej, i dziwi się, dlaczego telefon milczy.

–Panie Reese?

Skierował spojrzenie na Kate. Twarz miał ściągniętą i szarą ze złości. Nie, doszła do wniosku Kate, to było coś głębszego od złości. Nienawiść? Czyżby biedak czuł do niej nienawiść?

–Naprawdę pani sądzi, że coś znaczy? – wydusił z siebie chrapliwym, niewyraźnym głosem.

–Przepraszam?

–Kto zrobił z pani krzyżowca? Naprawdę wydaje się pani, że tytuł doktora i pieniądze rodziny dają pani prawo skakać ludziom po głowach?

–Słucham? Panie Reese...

–Coś pani powiem. Nie zastraszy mnie pani tak, jak i zastraszyła paru ludzi tutaj. Nie, droga pani, ani trochę. Proszę więc zająć się swoim wysokim mniemaniem o sobie i pozwolić mi oraz ordynatorom... oficjalnym ordynatorom... martwić się o dotacje i fundusze.

Kate obserwowała, jak Reese dyszy z wysiłku włożonego w ten wybuch. Przez pięć, dziesięć sekund jej zielone oczy wpatrywały się w niego, a potem wstała i wyszła, nie zamierzając uszlachetniać wybuchu dyrektora do spraw administracyjnych swoją odpowiedzią.

Teraz siedziała sama w swoim gabinecie i próbowała rozjaśnić myśli, gryzmołąc różne układy słów „Reese” i „dupek”. Po skończeniu czwartej wersji zaczęła urozmaicać swoje gryzmoły, dodając do nich: „Ashburton” i „Paquette”. Początkiem było przekupienie lana Toole’a, co można by porównać do strzelania do susła ze strzelby na słoniu. Zadowoliliby ją, gdyby mocodawcy Redding Pharmaceuticals przyznali, że jakimś sposobem pewna część witamin została skażona i wyrazili wolę natychmiastowego ich wycofania i wyjaśnienia sprawy. Nielogicznie potężna reakcja z ich strony wynikała albo z arogancji, albo ze strachu. Czego mogli się bać? Pierwsze hasło, jakie przyszło jej do głowy, brzmiało „Omnicenter”.

Fundacja Ashburtonów wspomagała finansowo oddział położniczo-ginekologiczny i subsydiowała wielkie, nowoczesne centrum zdrowia kobiety. Czy był to akt filantropii? Być może, tylko dlatego dwa telefony do doktora Thompsona, dyrektora fundacji, pozostały bez odpowiedzi, a próby – co prawda skromne – uzyskania ich adresu zakończyły się fiaskiem? Teraz Reese odmówił rozmowy o instytucji, której szpital – przynajmniej częściowo -zawdzięczał odrodzenie się w ostatnich latach. Niemal podświadomie zaczęła dodawać do kaligraficznych wprawek kolejne nazwisko. Napisała go kilka razy – najpierw pismem, którego nauczyła się na kursach, potem liternictwem własnego pomysłu. HORNER. Milczący, ekscentryczny komputerowiec musiał być w jakiś sposób zamieszany w to, co się działo. Ale jak? Istniała tylko jedna osoba, która mogła pomóc to wyjaśnić. Nie minęła kolejna minuta spekulacji, jak zatelefonowała do Williama Zimmermanna.

Kwadrans później szła tunelem do Omnicenter. Z odnogi prowadzącej do budynku chirurgii wyszedł Tom Engelson.

–Cześć! – przywitała się, lustrując jednocześnie jego twarz w poszukiwaniu wskazówek, jak poradził sobie z gwałtownym zakończeniem ich wspólnego wieczoru.

–Witam – odpowiedział pozbawionym wyrazu głosem. Zwolniła.

–Idziesz do Omnicenter? Tom skinął głową.

–Mam za dwadzieścia minut konsultacje.

–Wszystko w porządku?

–Jasne. Super.

–Tom, chciałabym...

–Kate, to mój problem, nie twój.

–Doktorze Engelson, nie był pan wczoraj wieczór na kanapie sam – szepnęła, sprawdzając ukradkowym spojrzeniem, czy nikt z idących przed i za nimi nie jest na tyle

blisko, by ich podsłuchać. – Czuję się okropnie, że daję ci tak różne komunikaty, ale jesteś

niesamowicie wyrozumiałym mężczyzną i czuję się w twojej obecności niezwykle swobodnie. Chyba pozwoliłam sobie z powodu tych wszystkich problemów w

szpitalu

schować się w twoich ramionach. To było złe i nieuczciwe... głównie dlatego, że nie jesteś mi

obojętny. Przepraszam, Tom.

Doszli do schodów prowadzących do Omnicenter.

–Zaczekaj – powiedział Tom. – Proszę. – Zaprowadził ją do małej wnęki naprzeciwko schodów.

–Wiesz, biorąc pod uwagę tutejsze zwyczaje, prawdopodobnie lada chwila staniemy się obiektem... – Przebiegły obok nich dwie roztrajkotane pielęgniarki i popędziły schodami w górę. – Cholera... – dodała, patrząc za nimi – chyba już jesteśmy obiektem plotek.

–Mówiłaś prawdę, że nie jestem ci obojętny?

–Tom, bardzo kocham męża. Od wyborów mieliśmy trochę problemów z ponownym skoordynowaniem naszego życia, ale moje uczucia do niego się nie zmieniły. Mimo to ciągle jesteś dla mnie kimś szczególnym. Uwierz mi, gdyby moja sytuacja domowa, małżeńska, była inna, zostalibyśmy wczoraj wieczór kochankami.

–Tak? – Mięśnie jego twarzy trochę się rozluźniły, głos znamionował energię.

–Tak. – Tom Engelson był może dziewięć lat młodszy od Jareda, ale mieli wiele podobnych cech. Jak się teraz okazywało... silną potrzebę potwierdzenia swej męskości.

–Powiedziałem to wczoraj i powtórzę dziś: Jared jest szczęściarzem. – Napięcie w głosie Toma zastąpiło pogodzenie się z sytuacją.

–Wiem. Tom, dziękuję za neutrudnianie mi sytuacji. Mając na głowie zwariowaną historię z Bobbym Gearym, zniknięcie chemika i niesamowite bzdury, jakie „produkuje” Norton Reese, potrzebuję wszystkich przyjaciół i wszelkiej możliwej pomocy. – Popatrzyła na zegarek. – Masz kilka minut czasu?

–Jasne. A co?

–Idę zobaczyć się z Billem Zimmermannem, by porozmawiać o Fundacji

Ashburtonów. Jeśli mógłbyś, chętnie wzięłabym cię ze sobą.

–Do Billa Rakiety? Jeśli uważasz, że nie będzie miał nic przeciwko temu, chętnie

pójdę.

–Trudno, by miał coś przeciwko temu. Wie, jak bardzo mi pomagasz w przejściu przez ten młyn. Idziemy?

W trakcie wspinaczki schodami Tom opowiedział o obowiązujących w Omnicenter protokołach opieki nad pacjentkami. Zgłaszając się na wizytę albo podczas przyjmowania na oddział, każda pacjentka, zarówno nowa, jak i zarejestrowana, spotykała się ze specjalnie przeszkoloną pracownicą, która zakreślała odpowiednie rubryki w przygotowanym do odczytu przez komputer szczegółowym formularzu. Zapisywano przyjmowane leki, historię miesiączki, nowe dolegliwości oraz zaobserwowane efekty uboczne wszelkich przyjmowanych środków. Pracownica wsuwała formularz do umieszczonego na jej biurku komputera i w ciągu najdalej pół minuty na ekranie pojawiały się instrukcje, gdzie należy pacjentkę skierować. W razie konieczności komputer ustalał listę niezbędnych badań laboratoryjnych.

–Nie uważasz, że to dość bezosobowy system? – spytała Kate.

–Ty jesteś pacjentką Omnicenter. Takie jest twoje zdanie?

–Nie, chyba nie. Pamiętam jeszcze czasy, kiedy wizyta u ginekologa wymagała godzinnego siedzenia w poczekalni o powierzchni metra kwadratowego, razem z dziesięcioma innymi kobietami, po czym było się wywoływaniem po nazwisku, rozbierało się w klitce wielkości budki telefonicznej, doktor wpadał, przerzucał nerwowo kartę, by przypomnieć sobie, jak pacjentka się nazywa, i w dziewięciu przypadkach na dziesięć, zanim zapytał, po co przyszła, kazał zająć miejsce na fotelu ginekologicznym.

–No widzisz – stwierdził Tom ze śmiechem – żaden system nie jest idealny. Ale, poważnie mówiąc, ten jest cholernie dobry. Eliminuje niepotrzebną robotę, pozwalając się skoncentrować na porządnym badaniu i odpowiedzieć na wszystkie pytania, jakie ma pacjentka.

Kate przeszło przez myśl, że może i system jest wspaniały, lecz coś w nim działało nie tak. Jakiś trybik sprawiał, że ginęły kobiety.

Każdy poziom był oznakowany numerami w innym kolorze. Cyfra „3”, zajmująca pół ściany u szczytu schodów prowadzących na drugie piętro* [W USA parter określany jest mianem „pierwszego piętra”], była jaskrawo-pomarańczowa. Kate sięgnęła ręką do klamki, zatrzymała się jednak, odwróciła do Toma i pocałowała go delikatnie w policzek.

–Dziękuję za wczorajszy wieczór, przyjacielu – powiedziała.

Tom przyjął pocałunek, po czym uściśnął dłoń Kate i się uśmiechnął.

–Gdybyś czegokolwiek potrzebowała, a byłbym w stanie to zdobyć albo zrobić, masz

to u mnie jak w banku.

William Zimmermann przywitał się z Kate serdecznie, z Tomem nieco zaskoczony. Z jego miny i zachowania było wyraźnie widać, że martwi się wszystkim, co mogłoby wpłynąć negatywnie na reputację Omnicenter, a dotarcie pewnych informacji do najstarszego rezydenta Ashburton Service najwyraźniej było w jego opinii zagrożeniem.

Kate natychmiast spróbowała go uspokoić.

–Bill, jak wiesz, doktor Engelson bardzo mi pomógł w tej sprawie. Podobnie jak ja, ma świadomość wagi całkowitej dyskrecji przy rozmawianiu z osobami trzecimi.

–Nie rozmawiał pan z nikim o tej sprawie? – spytał Zimmermann Toma.

–Nie, proszę pana. Tylko z Ka... z doktor Bennett.

–To dobrze. Proszę siadać. Siadajcie oboje.

–Spróbuję nie zająć ci zbyt wiele czasu – zaczęła Kate – ale chcę przedstawić, co się działo od naszej wczorajszej rozmowy.

–Byłaś zaniepokojona Fundacją Ashburtonów.

–Właśnie. Wiesz, jak się zdenerwowałam, kiedy firma Redding Pharmaceuticals przekupiła mojego chemika. Cóż...

Zimmermann przerwał jej uniesieniem ręki.

–Kate, proszę – powiedział z cieniem irytacji, jakiej jeszcze nigdy u niego nie słyszała.

–Mówiłem ci, co sędzę o sprawie chemika. Wierzę, że ty wierzysz, nic więcej. – Zwrócił się

do Toma. – Wie pan coś bezpośrednio o tym chemiku, Tom?

Tom chwilę się zastanawiał, po czym pokręcił głową.

–Nie. W zasadzie nie.

–No dobrze – stwierdził Zimmermann. – Rzetelne fakty. Kate zrobiła głęboki wdech, kiwnęła głową i uspokoiła się, wygładzając plisę na

spódnicy.

–Przepraszam, Bill. Oto rzetelny fakt. – Podała mu zapisany na kawałku papieru numer telefonu. – To numer Fundacji Ashburtonów w Waszyngtonie. Kiedyś, siedem albo osiem lat temu, fundacja miała siedzibę w Darlington w stanie Kentucky, w tym samym mieście co Redding Pharmaceuticals. Próbowałam wczoraj do nich dzwonić kilka razy, pozwolono mi jednak porozmawiać jedynie z jękającą się recepcjonistką, która obiecała, że skontaktuje się ze mną doktor James Thompson, dyrektor. Zaraz po tym jak wróci do biura. Nie doszło do tego. Dziś rano wybrałam się do Nortona Reese’a i poprosiłam o wgląd w akta Fundacji Ashburtonów. Można by pomyśleć, że poprosiłam go o możliwość przeczytania jego prywatnego dziennika. Odmówił, po czym rzucił się na mnie z pazurami.

–Podał powód odmowy? – spytał Tom.

Kate pokręciła głową.

–W zasadzie nie. Wyglądał na przestraszonego. Sprawiał wrażenie trzęsącego się ze strachu.

–Kate – odezwał się Zimmermann, obracając w palcach podaną kartkę – do czego właściwie dążysz? – Ostry ton nie zniknął z jego głosu.

Jeszcze zanim odpowiedziała, wyczuła, że jej teoria nie spodoba się dyrektorowi Omnicenter. Nie było jednak odwrotu.

–Cóż, uważam, że Redding Pharmaceuticals inwestuje pieniądze w szpitale... przynajmniej w ten szpital... i używa Fundacji Ashburtonów jako swego rodzaju fasady,

czegoś w rodzaju pośrednika.

Blade oczy Zimmermanna szeroko się otwały.

–To absurd, kompletny absurd – odparł. – Co miałyby im to dać?

–Nie jestem pewna. Mam pomysł, ale nie jestem pewna. Poza tym uważam, że Norton Reese zna prawdę.

–No i?

Rzetelne fakty. Nagle Kate zaczęła żałować, że tak bardzo się pośpieszyła, że nie

przygotowała się lepiej. Zaraz jednak przypomniała jej się Ellen. Była pewna, że przyjaciółka ma coraz mniej czasu. W tej sytuacji nic innego się nie liczyło. Pomyślała, że nieważne, jaka będzie reakcja Zimmermanna, i brnęła dalej.

–Uważam, że kwas antranilowy nie dostał się do moich witamin przypadkiem – powiedziała, zmuszając się do zrównoważonego tonu, choć w środku cała się trzęsła. –

Uważam, że testowano go na mnie i prawdopodobnie na innych pacjentkach. Nie testowano

jego działania, gdyż nie miałam żadnych objawów, raczej reakcje niekorzystne czy... jeśli

wolisz... efekty uboczne.

Zimmermann zrobił wielkie oczy.

–Nie sądzisz, że gdyby coś takiego działo się w Omnicenter, w MOIM ośrodku, wiedziałbym o tym?

–Niekoniecznie. Wszystko dopiero zaczynało mi się układać, ale opis procedury przyjęcia, który przedstawił Tom, wszystko wyjaśnił. To robota Carla Homera. Homer i jego Małpy załatwiają formalności. Ty i inni lekarze przepisujecie leki i zgłaszacie mu je. Komputery mogą wiedzieć coś, o czym nie macie pojęcia.

–I sądzisz, że Fundacja Ashburtonów płaci mu za to? – Kate skinęła głową. – To zaczyna się całkiem kłócić z logiczną interpretacją. – Odwrócił się do Toma. – Nadażę pan za tym, co Kate mówi? – Tom z wahaniem skinął głową. – I wierzy jej pan?

–Nie... nie wiem, co o tym sądzić.

–Cóż, chyba najwyższy czas, bym sam sprawdził kilka rzeczy. – Podniósł słuchawkę i położył na stole kartkę z numerem Fundacji Ashburtonów. – Mówi doktor William Zimmermann, wewnętrzny trzy-zero-osiem-trzy – powiedział telefonistce. – Poproszę międzymiastową.

Jeszcze kilka minut, myślała Kate. Jedna, dwie minuty, kilka słów płaczącej się, jękającej recepcjonistki i Zimmermann wreszcie pojmie, że coś jest nie tak z Fundacją Ashburtonów. Na razie wystarczy. Po katastrofach z Bobbym Gearym i Ianem Toole'em zasianie nawet ziarna wątpliwości w jego umyśle będzie wielkim zwycięstwem.

–Dzień dobry – usłyszała głos Zimmermanna. – Nazywam się doktor William

Zimmermann i dzwonię z Bostonu. Chciałbym rozmawiać z dyrektorem... tak jest, doktorem

Thompsonem.

Kate odwróciła się do Toma i konspiracyjnie uśmiechnęła. Nagle zauważyła, że Zimmermann macha do niej, wskazując na dodatkowy telefon na stole konferencyjnym. Przyłożyła słuchawkę do ucha i w tym samym momencie dotarło do jej uszu:

–Doktor Thompson, słucham.

–Przepraszam, że przeszkadzam, doktorze Thompson. Nazywam się Zimmermann i jestem dyrektorem Omnicenter w Bostonie.

–Dzień dobry, doktorze Zimmermann! Znam pana ze słyszenia. Przejął pan stanowisko po doktorze Frenchu... kiedy to było? Cztery lata temu?

–Pięć.

–Jeśli dobrze pamiętam, był to tragiczny wypadek, straszny.

–Doktor French się utopił. – Zimmermann patrzył prosto na Kate, która zaczęła czuć mdłości.

–Czym mogę służyć, doktorze Zimmermann? – Thompson miał głęboki, dystyngowany głos.

–Jest u mnie doktor Kate Bennett, jedna z naszych lekarek.

–Ach tak. Mam jej nazwisko tuż przed sobą na biurku. Właściwie dwie informacje. Dzwoniła wczoraj do nas i powiedziano jej, że się z nią skontaktuję. Niestety sekretarka nie mogła wiedzieć, że mój syn Craig upadł w szkole i złamał sobie nadgarstek, a ja będę godzinami tkwił na urazówce.

–Mam nadzieję, że wszystko w porządku?

Thompson się roześmiał.

–Nigdy nie był w lepszej formie. Dzięki gipsowi jest ośrodkiem zainteresowania. Czym mogę służyć panu i doktor Bennett?

–Mnie w zasadzie niczym, ale doktor Bennett ma do pana jedno lub dwa pytania. Proszę sekundę zaczekać.

–Oczywiście.

Z miną mającą wyrażać: „sama chciałaś, więc masz”, dał znak, by przejęła rozmowę. Kate czuła się, jakby obito ją pałką. Była pewna, taka pewna, a teraz...

–Doktorze Thompson... przepraszam za... brak... cierpliwości – wydukała. Popatrzyła na Toma, który bezradnie wzruszył ramionami. – Dzwoniłam... chciałam się dowiedzieć, czy istnieje jakiś związek między Fundacją Ashburtonów a Redding Pharmaceuticals. – Inne podejście niż wprost nie miało najmniejszego sensu. Została pobita, kolejny raz upokorzona i doskonale o tym wiedziała.

–Związek?

–Tak, proszę pana. Czy to prawda, że siedziba fundacji mieściła się kiedyś w Darlington w stanie Kentucky, w mieście będącym siedzibą Redding Pharmaceuticals?

–Muszę przyznać, że tak było. John i Sylvia Ashburtonowie, których majątek dał początek fundacji, pochodzili z Lexington. Ich syn, John Junior, prowadził jedną z hodowli koni, Darlington Stables. Przez dwa lata po śmierci rodziców pozostawał na farmie, likwidując interesy i uruchamiając fundację. Ja zostałem zatrudniony w... sekundę... siedemdziesiątym dziewiątym roku, wtedy centralę przeniesiono już do Waszyngtonu. Obawiam się, że jeśli chodzi o Redding Pharmaceuticals, związek geograficzny jest jedynie przypadkowy.

–Dziękuję – powiedziała potulnie Kate. – To wyjaśnia moje wątpliwości. – Kolejne spojrzenie na Toma i sięgnęła po ostatnie żdźbło. – Doktorze Thompson, próbowałam się dowiedzieć adresu pańskiego biura. W książce adresowej Dystryktu Kolumbii nie ma jednak Fundacji Ashburtonów.

–Świadomie, doktor Bennett, świadomie. Musi pani zrozumieć, że jeśli chodzi o pieniądze przeznaczane na darowizny i dotacje, muszą być pewne granice... jak to ująć... dostępu aplikantów. Wolimy sami prowadzić wstępny dobór tych, którym chcemy dać pieniądze, i zachęcać do składania wniosków odpowiednie instytucje i ośrodki. Nasze biura mieszczą się przy Północnozachodniej K dwieście trzydzieści osiem, na szóstym piętrze. Proszę odwiedzić nas w Waszyngtonie, kiedy będzie pani miała ochotę. Może oddział patologii byłby zainteresowany złożeniem wniosku o sfinansowanie kompletnego nowego wyposażenia?

–Może – odrzekła zaskoczona Kate.

William Zimmermann dość już usłyszał.

–Doktorze Thompson, chciałbym podziękować za pomoc w wyjaśnieniu

nieporozumienia, jakie u nas powstało, a także za wspaniałe wsparcie, jakim pana organizacja

obdarza Omnicenter – oświadczył.

–Cała przyjemność po naszej stronie, proszę pana – odparł doktor James Thompson.

–No i? – spytał Zimmermann po odłożeniu słuchawki.

–Coś jest nie tak – stwierdziła Kate.

–Co?

–Wspomniał o oddziale patologii. Skąd wiedział, że jestem patologiem?

–Powiedziałem mu o tym na początku rozmowy.

–Bill, naprawdę nie próbuję być męcząca, ale określiłeś mnie mianem lekarki, nie patologa. Pamiętasz, Tom, prawda? – Jedno spojrzenie w pełne wątpliwości oczy Toma wystarczyłoby sama zwątpiła. – Jak było?

–Nie... nie jestem pewien – wydusił rezydent.

Kate wstała.

–Bill, może robię na tobie wrażenie tępej albo lekko zaburzonej, ale muszę ci

powiedzieć, że coś mi się w tym wszystkim w dalszym ciągu nie podoba. Mam wrażenie, że

doktor Thompson doskonale wiedział, kim jestem i czego chcę, zanim do niego zatelefonowałeś.

–Musisz jednak przyznać, Kate – stwierdził Zimmermann, niczym badający przypadek klinicysta – że jeśli ktoś się przyjrzy sprawie baseballisty, potem konfliktowi, czy chemik robił analizy, czy ich nie robił, choć przysięga, że ich nie robił, a na koniec bezzasadnym niepokojom z twojej strony, dotyczącym Fundacji Ashburtonów oraz pracującego u mnie od lat inżyniera-komputerowca, dość trudno zachować entuzjazm wobec twych przeczuć, wrażeń i teorii. Jeśli nie masz nic więcej, pozwolisz, że wrócę do pracy.

–Nie mam – odparła Kate, smagnięta odpowiedzią. – Nie mam nic poza obietnicą, że

bez względu na to, jak długo to potrwa, dowiem się, kto albo co odpowiada za krwawienie Ellen. Dziękuję za towarzystwo, Tom. Przepraszam, że tak to wypadło. – Skinęła głową obu mężczyznom i wyszła, czując jak „paluchy” powątpiewania zaciskają się na jej wnętrznościach.

Otuliła się kitem, by jak najlepiej osłonić się przed wiatrem i śniegiem i z opuszczoną głową wybiegła z Omnicenter na ulicę. A jeśli kompletnie się myliła co do firmy Redding i Homera, Omnicenter i krwawienia Ellen, co do Reese'a? Może mimo krytycznej sytuacji w

pokoju 421 Budynku Berensona, mimo kąsających lęków o własne ciało, powinna dać sobie spokój i pozwolić, by sprawy potoczyły się naturalnym tokiem? Może powinna posłuchać rady teścia i zrewidować dotychczasowe priorytety, umieszczając na szczycie listy te, które nie mają związku z pracą w szpitalu?

Czekali na nią w jej gabinecie. Stan Willoughby, Liu Huang i Rod Green, ekstrawagancki czarny lekarz naczelny szpitala; według plotek kandydujący na stanowisko profesorskie na Harvardzie.

–Kate... – zaczął Willoughby – właśnie pisałem wiadomość dla ciebie. – Uniósł do góry kartkę.

Kate przywitała się z pozostałymi gośćmi i odwróciła do Willoughby'ego. Był zdenerwowany – świadczyła o tym zarówno jego postawa, jak i napięcie uśmiechniętych ust.

–No i? – spytała.

–Słucham?

–Wiadomość, Stan. Co zamierzałeś napisać?

–Usiądź, proszę. Kate poczuła nagły ucisk strachu wokół serca.

–Jakiś problem? Willoughby był niezwykle skrępowany.

–Chodzi... ee... Kate, robiłaś wczoraj analizę skrawka zamrożonego biopsji igłowej, dokonanej u jednej z pacjentek doktora Greena.

–Tak, próbka była z sutka. Stwierdziłam gruczolakoraka wewnątrzprzewodowego. Przekazałam wynik bezpośrednio doktorowi Greenowi. – Jej tętno przyspieszyło jeszcze odrobinę.

–Czy miałaś... hm... jakieś wątpliwości co do...

–Doktor Willoughby próbuje powiedzieć – wtrącił Rod Green – że zrobiłem mastektomię kobiecie, która, jak się okazało, ma guza dobrotliwego. – Ciemne oczy Greena rzucały błyskawice.

–To niemożliwe! – Kate popatrzyła w poszukiwaniu pomocy najpierw na Willoughby’ego, potem na Liu Huangą, dostrzegła jednak w ich oczach jedynie potwierdzenie oskarżenia chirurga. – Liu?

–Sprawdziłem próbkę... bardzo... dokładnie – powiedział jej kolega po fachu. – Ślad igły biopsyjnej wchodzi w gruczolaka dobrotliwego. Nie ma raka ani tutaj ani w innej części sutka.

–Jesteś... jesteś pewien? – Z trudnością wypowiadała słowa.

–Kate – wtrącił się Willoughby – sam przejrzałem preparaty. Nie ma śladu raka.

–Ale był. Przysięgam, że był.

–Moja pacjentka nie ma raka – oświadczył Green. – Ani śladu. – Widać było, że ledwie panuje nad sobą. – Popęlniła pani błąd. Straszliwy, potworny błąd.

Kate patrzyła rozszerzonymi oczami na trójkę mężczyzn. To był sen, przerażający senny koszmar, z którego zaraz się obudzi. Kamiennie twarze rozmazywały się i znów robiły ostre, z najwyższym wysiłkiem próbowała przypomnieć sobie wygląd komórek. Badała trzy wycinki sutka, nie – dwa. Tak, dwa. Pacjentka Greena była pierwsza. Analiza patologiczna wydawała się nieco skomplikowana, nie na tyle jednak, by istniała możliwość większa niż jeden do tysiąca, że coś przeoczyła, chyba... przypomniała sobie wczorajsze zmęczenie i napięcie, stres spowodowany nieobecnością Jareda, telefony od wariatów i zniknięcie Iana Toole’a. Nie! – krzychały jej myśli, nie mogła popełnić takiego błędu. Nie mówili jej jednak, że coś przeoczyła, choć nawet tego typu pomyłka byłaby trudna do uwierzenia. Twierdzili, że dostrzegła stan, który nie istniał. To było... niemożliwe. Nie istniało inne określenie.

–Sprawdziliście wczorajsze preparaty? – wydusiła z siebie. – Skrawki zamrożone? Willoughby ponuro skinął głową.

–Gruczolak łagodny. Ta sama diagnoza, co w próbce głównej. Podał jej plastikowe pudełko z preparatami. Green wstał. Miał zaciśnięte pięści.

–Dość usłyszałem. Doktor Bennett, dzięki pani kobieta, która przyszła do mnie w dobrej wierze, ma niepotrzebnie usuniętą pierś. Jeśli zaskarży nas do sądu, to będę jej

najlepszym świadkiem. – Zrobił dwa kroki do wyjścia, tuż przed drzwiami odwrócił się

jeszcze. – I wie pani co? Wysłanie do prasy listu w sprawie Bobby'ego Geary'ego było

naprawdę świństwem. – Trzasnął drzwiami z taką siłą, że stojący na biurku wazon z różami aż

się zatrząsł.

Kładąc szkiełko z preparatem na mikroskopie, Kate ledwie była w stanie utrzymać je w palcach. Tym razem żółtobiałe światło nie kryło w sobie niczego podniecającego, wtargnięcie weń nie było przygodą. Nim skończyła ustawiać ostrość, wiedziała, że preparat pochodzi z gruczolaka łagodnego. Ewidentnie. Pomylenie wyglądu komórek z rakowatymi było tak prawdopodobne jak to, że startujący na olimpiadzie zawodnik skoczy do wody, odbijając się po niewłaściwej stronie deski.

–Coś jest nie tak – powiedziała, wpatrując się w komórki. COŚ JEST NIE TAK. Niecałe pół godziny temu powiedziała to samo Billowi Zimmermannowi.

–Kate... – odezwał się łagodnie Willoughby. – Przykro mi.

Dopiero po podniesieniu głowy znad okulara mikroskopu dotarło do niej, że płacze.

–Stan, przysięgam, to nie jest wycinek, który oglądałam wczoraj. To niemożliwe. – Niestety zdawała sobie jednak sprawę z tego, że, podobnie jak w wypadku Bobby'ego Geary'ego, jej jedyną obroną jest upieranie się przy niewinności.

–Miałaś ostatnio masę stresów, Kate. Czy możliwe, byś...

–Nie! – Zmusiła się do ściszenia głosu. – Pamiętam wczorajszy preparat. To był rak. Nie popełniłam błędu.

–Posłuchaj – stwierdził Willoughby. – Chciałbym, byś wzięła kilka wolnych dni, odpoczęła. Porozmawiamy po weekendzie.

–Ale...

–Kate, zdejmuję cię na kilka dni z grafiku. Nie chcę, byś wracała do pracy, dopóki nie porozmawiamy w przyszłym tygodniu. Jasne? – W jego głosie pojawiła się nietypowa dla niego stanowczość.

Potulnie skinęła głową.

–Dobrze, ale...

–Żadne ale, Kate. To dla twojego dobra. Zadzwoń do ciebie do domu i sprawdzę, co słyhać. Teraz się zwijaj.

Kate patrzyła na odchodzących kolegów. Stan Willoughby szedł z opuszczoną głową, człapał dwa kroki przed Liu Huangiem, który na chwilę się odwrócił i dał jej znak otuchy uniesieniem kciuka. Jeszcze chwila i zniknęli.

Siedziała przez kilka minut, nie wiedząc, co robić. Poczucie wyizolowania i niepewności napinało każdy mięsień w jej ciele, niemal uniemożliwiając poruszenie się, nawet oddychanie. W końcu z wielkim wysiłkiem przysunęła do siebie aparat telefoniczny i podniosła słuchawkę.

–Chciałabym zamówić międzymiastową – usłyszała własny głos. – To sprawa prywatna, proszę obciążyć mnie osobiście. Chcę połączyć się z San Diego...

Rozdział 12

Czwartek, 20 grudnia

Becker musiał dodać do zwykłych leków narkotyczne środki przeciwbólowe i amfetaminę, ale wytrzymał. Teraz jego ciało żądało snu. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz jadł. Od czterech – pięciu? – dni jedynie drzemał za biurkiem, co sześć, siedem godzin brał zimny prysznic, jadł batony i pił mocną kawę. Jedynie w ten sposób sobie pomagał.

A jednak okazał się silniejszy. Rano posłaniec dostarczył manuskrypt i pudełko slajdów redaktorowi naczelnemu „The New England Journal of Medicine”. Załączony list zawierał warunki: naczelny ma dziesięć dni na wyrażenie zgody na opublikowanie w ciągu czterech miesięcy pełnych danych dotyczących estronatu i objęcie nadzoru nad stworzeniem międzynarodowej komisji, która przejęłaby odpowiedzialność za wprowadzenie w życie metody kontroli przyrostu naturalnego według metody Beckera.

Gabinet wyglądał jak pobojuwisko – niemal całą podłogę i meble pokrywały podręczniki, skrawki papieru, filiżanki po kawie, opakowania po batonach i brudne szklanki. Willi Becker, bardziej przypominający szkielet niż człowieka, stał na środku niczym bokser po wygranej walce i wyrzucał w górę pięści. Po czterdziestu latach przebijania się przez niemal niewyobrażalne problemy zakończył pracę. Teraz pozostało jedno – uznanie.

Była pewna ironia w tym, że dziesięciolecia najbardziej drobiazgowych badań zostały sprowadzone do kilku gorączkowych dni, ale tak musiało być. Z powodu wężącej w Omnicenter lekarki o nazwisku Bennett i wysuniętych anten Cyrusa Reddinga czas stał się luksusem, na który nie było go stać.

BADANIA ESTRONATU 250. Becker zrzucił papiery z fotela, usiadł i zaczął się w myślach pławić wizją pochwał, honorów i innych wyrazów uznania jego geniuszu oraz poświęcenia, co bez najmniejszej wątpliwości nastąpi po publikacji i upowszechnieniu się stworzonej przez niego metody. Właśnie był na etapie przyjmowania Nagrody Nobla, kiedy zadzwonił telefon. Dopiero po kilku dzwonkach zdołał otrząsnąć się ze swoich fantazji, a potrzebne były jeszcze cztery, by znalazł aparat pod stertą czasopism.

–Halo?

–John? Tu Redding. W piersi Beckera pojawiło się uczucie dziwnej pustki. Przez kilka sekund nie był w

stanie się odezwać.

–John?

Becker odchrząknął.

–Tak, tak, Cyrus. Jestem.

–Świetnie. Znakomicie. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam w niczym ważnym.

–Nie. Tylko trochę... czytałem przed snem. – Czy w jego głosie słyhać było wielkie zmęczenie? – Czym mogę ci służyć? – Proszę, niech będzie to coś związanego z miastenią. Niech chodzi o wszystko, byle nie...

–Cóż, John, chciałem chwilę z tobą porozmawiać o tym, co się dzieje w Omnicenter. – Becker poczuł, jak coś go dusi. – Wiesz, o kobietach z patologią jajników, które się wykrwawiają na śmierć.

–Co z nimi?

–Dowiedziałeś się czegoś nowego od czasu naszej ostatniej rozmowy?

–Nie. Właściwie nie. – Becker miał wrażenie, że jest obiektem igraszki.

–Cóż, John, jak wiesz, sprawa mnie mocno zaciekawiała, zacząłem się także martwić bezpieczeństwem naszych programów testowych. Zbyt wiele przypadków. Zbyt wiele dymu, choć podobno nigdzie nie ma ognia.

–Może... – powiedział Becker, czepiając się nadziei, że Redding, mistrz tego typu zagrywek, strzela w ciemno. Przez chwilę jego rozmówca się nie odzywał. Becker nerwowo wiercił się na krześle. – Cyrus? – spytał w końcu.

–Jestem.

–Było... coś jeszcze?

–John, nie chcę prowadzić z tobą potyczek słownych. Tyle razem przeszliśmy i osiągnęliśmy tak dużo, że nie zamierzam próbować cię upokorzyć zmuszaniem do potykania się o własne kłamstwa.

–Nie... rozumiem.

–Oczywiście, że rozumiesz, John. Wiem, kim jesteś. Z tego powodu dzwonię. Wiem o Wilhelmie Beckerze, co zaś znacznie ważniejsze... o estronacie dwieście pięćdziesiąt.

Becker popatrzył na swój manuskrypt, ułożony w staranny stosik na drukarce i zmusił się do spokoju. W tej fazie gry istniało niewiele sposobów, by mu zaszkodzić,

Cyrus Redding pozostawał jednak Cyrusem Reddingiem i wszelka ostrożność była wskazana. Zachowaj spokój, ale nie lekceważ go.

–Twoje możliwości mogą wyrzeć wrażenie – stwierdził.

–John, powiedz mi szczerze... to estronat dwieście pięćdziesiąt spowodował problemy, które wystąpiły w Omnicenter?

–Tak.

–Krwawienie jest niepożądanym efektem ubocznym?

Becker zamierzał wyjaśnić, że problem został już usunięty, a hormon poprawiony, powstrzymał się jednak w ostatniej chwili.

–Tak – odparł. – To nieszczęśliwa wada, której nie udało się usunąć.

–Powinieneś był mi powiedzieć. Powinieneś był mi zaufać.

–Czego chcesz?

–John, daj spokój. Wystarczy, że nie okazałeś mi odpowiedniego szacunku,

postanawiając nie obdarzyć mnie zaufaniem. Wystarczy, że twoje eksperymenty, na które nikt

nie wyrażał zgody, zagroziły istnieniu mojej firmy. Nie próbuj obrażać mnie, nie doceniając

mojej inteligencji. Chcę rozszerzyć naszą współpracę o ten godny podziwu hormon. W końcu

został przetestowany w ośrodku, który założyłem.

–Praca nie jest jeszcze zakończona. Są problemy. Poważne problemy.

–Więc powinniśmy je pokonać. Zdajesz sobie sprawę z możliwości estronatu tak samo jak i ja. Jestem gotów złożyć ci natychmiastową ofertę, powiedzmy... pół miliona dolarów teraz i podobna suma, kiedy efekty twojej pracy zadowolą moich biochemików. Będziesz miał także oczywiście procent od sprzedaży.

SPRZEDAŻ. Becker pojął, że szykuje się najgorszy możliwy scenariusz. Redding nie tylko zrozumiał chemiczną naturę estronatu, ale także jego bezgraniczną wartość dla określonych rządów. W jaki sposób? Jak, u diabła, ten człowiek dowiedział się tyle w

tak krótkim czasie?

–Zamie... zamierzałem opublikować wyniki moich prac.

Redding się roześmiał.

–To nie byłby dobry pomysł, John. Wręcz bardzo zły. Wartość produktu znacznie by

spadła, gdyby fakt jego istnienia oraz unikatowe właściwości stały się ogólnie znane.

Proponuję, byś dał sobie spokój z naukowym aspektem i pozwolił mi się zająć zastrzeżeniem

preparatu.

–A jeśli odmówię? Zabijesz mnie?

Redding znów się roześmiał.

–Może. Może tak. Jestem jednak przekonany, że istnieje kilka osób zdecydowanych słono zapłacić za informacje o lekarzu, którego więźniarki z Ravensbrück nazywały Wężem.

Przez chwilę panowała cisza.

–Jak się o wszystkim dowiedziałeś? – spytał w końcu Becker.

–Doktorze Becker, może zachowajmy wyjaśnienia do momentu, aż skonsumowane zostaną pierwsze owoce naszej rozszerzonej umowy.

–Potrzebuję czasu do zastanowienia.

–Oczywiście. Zastanawiaj się, ile chcesz, powiedzmy do... dwudziestu czterech godzin.

–Może się okazać, że pewne zasadnicze problemy, leżące w naturze hormonu, nie dadzą się usunąć.

–Zaryzykuję. Jesteś mi to winien. Choćby za problemy, jakie spowodowałeś w moim ośrodku testowym. Chciałbym się dowiedzieć od ciebie jeszcze jednej rzeczy.

–Tak?

–Chciałbym wiedzieć, kto ci pomagał w Omnicenter.

Becker zamierzał zaprotestować i twierdzić, że nikogo takiego nie było, uznał jednak,

że nie będzie sprawdzał granic cierpliwości Reddinga. Za niecałe dwanaście godzin posłaniec dostarczy artykuł o estronacie i slajdy do „The New England Journal of Medicine” i hormon stanie się w zasadzie sprawą ogólnie znaną. Becker postanowił ujawnić swą prawdziwą tożsamość i zaryzykować spędzenie krótkiego czasu, który mu jeszcze pozostał, w więzieniu. Była to niewielka cena za nieśmiertelność.

–Czterdzieści osiem godzin – odparł.

Redding wahał się chwilę.

–Dobrze, niech ci będzie – stwierdził w końcu. – Niech będzie czterdzieści osiem godzin. Masz mój numer. Będę czekał na wiadomość od ciebie w ciągu dwóch dni. Na materiały o estronacie i nazwisko współnika. Do usłyszenia. – Powiedziawszy to, odłożył słuchawkę.

–Do usłyszenia – rzucił Becker, słysząc już sygnał płynący z aparatu. Kiedy odsuwał słuchawkę od ucha, dotarł do niego cichy, wyraźny trzask. Dźwięk sprawił, że poczuł ukłucie za mostkiem. Ktoś – niemal na pewno William – był przy telefonie na dole. Od kiedy? Jak długo podsłuchiwał?

Siedząc w półmroku zagraconego gabinetu, Willi Becker wytężał osłabiony słuch. Przez chwilę panowała cisza. Pomyślał, że może nie było żadnego trzasku. Zaraz jednak na schodach rozległ się charakterystyczny odgłos kroków.

–William? – Nikt nie odpowiadał. – William?

–Tak, ojcze, to ja. – Zimmermann nagle pojawił się w otwartych drzwiach, stanął ze splecionymi na piersi ramionami i spokojnie patrzył przez pokój na ojca.

–Trochę... ee... dość mocno mnie zaskoczyłeś. Od kiedy tu jesteś?

–Wystarczająco długo. – Zimmermann podszedł do regału, wziął stojącą tam butelkę, i nalał sobie drinka. Był jak zwykle nienagannie ubrany. Światło padające z lampki na biurku

migotało na grubym sygnecie z diamentem, który nosił na małym palcu lewej dłoni, i podkreślało blask idealnie wypolerowanych włoskich trzewików.

–Podsłuchiwałeś moją rozmowę, prawda?

–Może. – Zimmermann złamał na pół drewniany patyczek do mieszania drinków i zaczął ostrym końcem czyścić sobie paznokcie.

–Podśluchiwanie to nieprzyzwoita rzecz.

–Twierdzisz, że zachowałem się nieprzyzwoicie? Ojczy...

–Cóż, jeśli coś usłyszałeś, to usłyszałeś. To i tak już bez różnicy.

–Naprawdę?

–Powiedz mi tylko, jak długo podsłuchiwałeś?

Zimmermann nie odpowiedział. Zamiast tego podszedł do drukarki, wziął do ręki manuskrypt o estronacie i zaczął go obracać w dłoni, jakby chciał oszacować ciężar.

–Pół miliona dolarów, potem więcej. Wygląda na to, że jest coś prawdziwego w powiedzeniu, że dobre rzeczy przychodzą w niewielkich dawkach.

–Daj mi t o. – Becker był tak słaby i wycieńczony narkotykami, że nie mógł wstać.

Zimmermann zignorował go.

–Doktor nauk medycznych, doktor filozofii Wilhelm W. Becker – przeczytał. – A więc to jest mój ojciec.

–William, proszę cię...

–Jak przyjemnie jest się dowiedzieć, że John Ferguson, który przez tyle lat ignorował i wykorzystywał moją matkę, wcale nie był moim ojcem. Wąż z Ravensbrück. Oto mój prawdziwy ojciec.

–Nigdy jej nie wykorzystywałem. Robiłem, co musiałem.

–Ojczy, przestań. Wiedziała, że mogłeś częściej przychodzić do domu. Wiedziała o twoich kobietach, niezliczonych kobietach. Wiedziała, że żadne z nas nie znaczyło dla ciebie tyle, ile twoje cenne badania.

Becker wpatrywał się w syna rozszerzonymi, zaczerwienionymi oczami.

–Nienawidzisz mnie, prawda? – W jego głosie była całkowita niewiara.

–W zasadzie nie. Jesteś mi obojętny.

–Ale przecież zawsze ci pomagałem. Ukończyłeś szkoły dzięki moim pieniądząom. Jak myślisz, w jaki sposób zdobyłeś pozycję w Omnicenter? Naprawdę uważasz, że Harold French przypadkiem utonął w momencie, kiedy nabrałeś doświadczenia, by przejąć jego stanowisko? Ja o to zadbałem! – Chrapliwy, mętny głos Beckera stał się ledwo słyszalny. –

Jeśli tak mało ci na mnie zależy, Williamie, dlaczego przez tyle lat pomagałeś mi w pracy? Dlaczego?

Zimmermann obojętnie wpatrywał się w ojca.

–Oczywiście z powodu twoich koneksji. Twój przyjaciel Redding potroił to, co płacił mi szpital. Zaproponowałeś mnie i wszystko załatwiłbym dostał kierownictwo. Wiedziałem, że tak będzie.

–Załatwił ci stanowisko na moją prośbę i w taki sam sposób może ci je odebrać.

–Naprawdę? – Zimmermann uniósł manuskrypt o estronacie. – Okłamałeś go. Powiedziałeś, że praca jest niedokończona. Dlaczego? Naprawdę sądzisz, że kiedy się dowie, iż wysłałeś pracę do publikacji, pogodzi się z tym i da nam spokój? Myślisz, że nie dowie się, kim jestem? Ile ci pomogłem za jego plecami? Naprawdę w to wierzysz?! – podniósł głos. – Cóż, ojczu, oświadczam ci tu i teraz, że to należy do mnie. Zapłaciłem za to przez lata niezliczonymi poniżeniami. Cyrus Redding dostanie swój estronat, a ja należne mi dziedzictwo.

–Nie! – Wykrzykując, Willi Becker poczuł rozrywający ból w lewej części klatki piersiowej. Osłabione chorobą serce, jeszcze bardziej wycieńczone amfetaminą, waliło bezlitośnie i nieregularnie. – Mój tlen... – wycharczał. – W sypialni. Tlen i nitrogliceryna. – Gabinet zaczynał wirować wokół niego.

William Zimmermann po raz pierwszy się uśmiechnął.

–Obawiam się, ojczu, że cię nie słyszę – powiedział w sposób mający udawać życzliwy. – Mógłbyś powtórzyć niego głośniejsze?

–Will... iam... proszę... – Ostatnie słowa Beckera zostały zagłuszone przez bulgot płynu wydobywającego się z jego płuc i podchodzące z żołądka do gardła wymioty. Bezradnie wbił palce w oparcie fotela, jakby chciał wstać, po czym przewrócił się, padając na dywan, a twarz zalały mu wymiociny.

Zimmermann ostrożnie obszedł ciało ojca i włożył artykuł o estronacie do dużej koperty, wyjął dyskietkę z komputera i wrzucił ją do środka. Następnie na zarzuconym papierami biurku odszukał oprawiony w skórę notes i przepisał numer telefonu. Na koniec wziął trzy notatniki z luźnymi kartkami, w których znajdowały się zapiski związane z estronatem, i wsadził je sobie pod pachę. Postanowił zadzwonić

do Cyrusa Reddinga z aparatu na dole.

Magnat farmaceutyczny nie okazał wielkiego zdziwienia telefonem od Zimmermanna oraz szybką zmianą sytuacji w Newton. Wysłuchał cierpliwie tych szczegółów z życia Williego Beckera, które znał jego syn.

–Doktorze Zimmermann – powiedział w końcu – przerwijmy w tym momencie, chcę się bowiem upewnić, że dobrze rozumiem. Nadzorując budowę Omnicenter, pański ojciec potajemnie umieścił w piwnicy własne laboratorium?

–Zgadza się – odparł Zimmermann. – Jeśli się nie mylę, zostało na planach zaznaczone jako magazyn.

–I można tam wejść jedynie po wyłączeniu elektronicznego systemu zabezpieczającego?

–Zamek jest ukryty i zakodowany elektronicznie. Drzwi są za półkami.

–Czy ktoś poza panem zna kod?

–Nie. Przynajmniej o ile wiem.

–Godne uwagi, doktorze Zimmermann. Pański ojciec był błyskotliwym człowiekiem.

–Mój ojciec nie żyje – odparł zimno Zimmermann.

–Oczywiście. Nie żyje. Proszę mi powiedzieć, czy problem z krwawieniem został wyeliminowany?

–Ojciec zmodyfikował syntezę hormonu mniej więcej rok temu. Krwawienie pojawiało się w okresie od pół do półtora roku po kuracji, trzy znane panu pacjentki przyjmowały hormon w zeszłym roku w lipcu. O ile wiemy, od tego czasu nie pojawił się nikt

z identycznymi objawami. Niech pan jednocześnie pamięta, że u wielu testowanych osób nie

doszło do tego rodzaju reakcji, a w większości wypadków objawy były łagodne.

–Rozumiem. Zadziwia mnie, że byliście w stanie wprowadzić wasz program testowy do systemu Carla Homera tak, że się nie domyślił.

–Jak pan powiedział, mój ojciec był błyskotliwym człowiekiem.

**–Oczywiście. Wydaje mi się, że powinniśmy we dwóch zastanowić się nad
możliwością nowej spółki.**

**–Warunki, które zaproponował pan ojcu, są dla mnie do przyjęcia. Mam manuskrypt
i notesy. Ponieważ praca jest zakończona, jestem gotów przekazać wszystkie
materiały, bez zadawania dalszych pytań, za sumę, którą mu pan obiecał.**

–To dużo pieniędzy, doktorze.

**–Najdziwniejsze w tym wszystkim jest to, że do momentu podsłuchania rozmowy,
którą prowadził pan z moim ojcem, nie doceniałem potencjalnej wartości hormonu. –**

**Zimmermann ledwo mógł się powstrzymać od wybuchnięcia śmiechem na myśl o
szczęściu, jakie mu się przytrafiło.**

–Jest pan biochemikiem, doktorze?

–Nie. Właściwie nie.

**–W takim razie powstrzymam się z decyzją o ostatecznej ofercie do momentu, aż
mój biochemik będzie mógł przejrzeć materiały, obejrzeć laboratorium oraz
przeprowadzić syntezę hormonu.**

–Kiedy?

**–Dlaczego nie jutro? Doktor Paquette, którego pan zna, przyjdzie do pańskiego
biura o, powiedzmy... siódmej wieczór. Będzie mu towarzyszył mój człowiek, Nunes,
którego upoważnię do sfinalizowania naszej umowy, jeśli doktor Paquette będzie w
pełni zadowolony, oraz wyposaże w odpowiednią gotówkę.**

–Brzmi idealnie. Zadbam o to, by boczne wejście do Omnicenter pozostało otwarte.

–To nie będzie potrzebne, doktorze Zimmermann. Paquette ma klucze.

–Dobrze, w takim razie o siódmej. Coś jeszcze?

**–Jeszcze jedno, doktorze Zimmermann. Chodzi o zamieszanie z Omnicenter i tą
lekarką... patologiem.**

–Ma pan na myśli doktor Bennett?

**–Okazała się bardzo aktywną osobą. Sądzi pan, że rozmowa z naszym człowiekiem
z Fundacji Ashburtonów przekonała ją?**

–Nie. Nie do końca. Stwierdziła, że będzie badać sprawę dalej. Pacjentka obecnie

hospitalizowana z powodu komplikacji po estronacie jest jej bliską przyjaciółką.

–Rozumiem. Zdaje pan sobie sprawę z tego, doktorze, że nic takiego by się nie stało, gdyby nie prowadził pan z ojcem tak lekkomyślnych i samodzielnych badań. – W głosie Reddinga był groźny podtekst. – Nie czuje się pan wobec mojej firmy odpowiedzialny za to, co zrobiliście?

–Odpowiedzialny?

–Jeżeli mamy zostać współnikami, chciałbym wiedzieć, że miliony, które wydałem na Omnicenter, nie zostaną zmarnowane, bo nie byliśmy w stanie unieszkodliwić jednej kobiety.

–Ależ to już się stało! Popelniła poważny błąd podczas analizy preparatu. Została zawieszona przez swego ordynatora. To nie dość, by ją zdyskredytować?

–Nie mówię o jej zdyskredytowaniu, przyjacielu. Mówię o powstrzymaniu jej. Słyszał pan moją rozmowę z pańskim ojcem, więc powinien pan pojmować wagę utrzymania w tajemnicy istnienia estronatu. Wystarczy, że doktor Bennett przez swą zawziętość niemal

sprawiła, że Omnicenter o mały włos zawalił nam się na głowy. Jeśli odkryje istnienie estronatu, możemy stracić więcej... znacznie więcej.

–Zadbam o to, by do tego nie doszło.

–Doskonale. Niech pan jednak wie, że nie znoszę rozczarowań. W takim razie do jutra, doktorze.

–Do jutra.

William Zimmermann ostatni raz rozejrzył się po domu, starając się dokładnie wytrzeć

wszystko, czego mógł dotknąć. Środek ostrożności był prawdopodobnie zbędny – o ósmej rano miał przyjść chłopak do pomocy w domu, a śmierć, z którą zetknie się na górze, zostanie z pewnością przypisana przyczynom naturalnym.

Kiedy wyslizgiwał się tylnymi drzwiami z domu ojca, ściskając pod pachą fortunę w notesach i wydruku komputerowym, Zimmermann myślał o Kate Bennett.

Koszmar był jak wielka ciężarówka – z każdą godziną robił się coraz bardziej wszechobecny i coraz bardziej przytłaczający. Co prawda zmieniła się sceneria – ciasnotę swego gabinetu zamieniła na pełne tapicerowanych mebli, ogrzane ogniem z kominka bogactwo gabinetu Wina Samuela, ale dla Kate Bennett zmiana

oznaczała jedynie jeszcze większe zagubienie, silniejsze upokorzenie, kolejne wątpliwości.

Wiem, jak to wygląda. Wiem, jak to brzmi. Ale to nieprawda... Nie wiem, kto to zrobił... Nie wiem... Niech to wszystko szlag trafi – po prostu nie wiem!

Powrót Jareda wczesnym wieczorem był źródłem pozytywnych doznań, związanych z pełnym uczuciem objęciem się i pocałunkiem, pierwszym od niemal tygodnia. Kiedy przechodzili przez tłum do strefy wydawania bagażu, wydawało się, że nie był w stanie oderwać od niej rąk i ust. Wyglądało na to, że rozkoszuje się wolnością, jaką dało mu wreszcie utwierdzenie się w przekonaniu, że ją kocha. „Akceptuję cię bez względu na to, w co jesteś zamieszana, bez względu na to, jaki może to mieć wpływ na mnie. Akceptuję cię, ponieważ w ciebie wierzę. Akceptuję cię, ponieważ cię kocham”.

Kiedy jednak podzieliła się z nim swym koszmarem, czuła niemal fizycznie, jak się odsuwa, jak jego entuzjazm niknie. Najpierw zmiana była widoczna w oczach, potem w głosie, na koniec w dotyku. Kate zdawała sobie sprawę z tego, że Jared próbuje, prawdopodobnie najlepiej jak umie, widziała jednak równocześnie, jak pojawia się w nim niezrozumienie i ogarnia go zwątpienie. Dlaczego tak wielka firma jak Redding miałaby robić coś takiego, o co Kate ją oskarżała? Fundacja Ashburtonów cieszyła się nieskazitelną opinią. Jakie miała dowody na to, że to oszuści? Z jakiego powodu ktoś miałby zrobić coś tak

przerażającego, jak zamiana preparatów biopsyjnych? Jak miano by tego dokonać? Nie było żadnych zapisów analiz, które przeprowadzono na jej zlecenie w laboratorium stanowym? I wreszcie jak do tego wszystkiego pasuje list w sprawie Bobby’ego Geary’ego?

Wiem, jak to wygląda. Wiem, jak to brzmi. Ale to nieprawda...

Z każdym „dlaczego”, z każdym „nie wiem”, Kate czuła, że Jared coraz bardziej odplywa w głąbiny koszmarnego snu. Kiedy powiedziała o jego ojcu i siostrze, czuła się kompletnie samotna, stłamszona tak samo jak przedtem – może nawet bardziej. Byli mniej więcej w połowie drogi do domu.

–To absolutnie nie do wiary – stwierdził Jared, gwałtownie skręcił na pobocze i zahamował. – Nie... nie mogę uwierzyć. – Po raz pierwszy od powrotu wypowiedział to zdanie. – Dlaczego miałby mi nie powiedzieć, że moja siostra żyje?

–Nie wiem. – Fraza dudniła w głowie Kate. – Może chciał ci zaoszczędzić niemiłego widoku.

–To bez sensu. Mówisz, że wziął cię do tej instytucji, by przekonać do rezygnacji ze stanowiska w szpitalu i skoncentrowania się na rodzeniu dzieci?

–Tak powiedział.

Jared pokręcił głową.

–Momencik, chcę sprawdzić, czy dobrze rozumiem: mój ojciec, który od początku nie najlepiej dogadywał się z moją żoną, wysłał mnie za miasto, by mógł ją zawieźć do ośrodka na pustkowiu i pokazać jej moją siostrę, o której mówił mi zawsze, że zmarła trzydzieści lat temu. Czy to ma, twoim zdaniem, sens?

–Jared – głos Kate zaczynał powoli drżeć – od kilku dni w niczym nie dostrzegam sensu. Mogę tylko mówić prawdę.

–Cóż, jeśli tak jest – rzekł w końcu – chętnie się dowiem z pierwszej ręki, dlaczego ojciec trzymał mnie w niewiedzy.

–Nie moglibyśmy poczekać przynajmniej do chwili, aż...

–Nie! Nie jestem w stanie nic zrobić z Bobbym Gearym, Omnicenter, Fundacją Ashburtonów, technikiem, który uciekł, ani przekłętymi biopsjami piersi, ale na pewno jestem w stanie coś zrobić z własnym ojcem!

Nie czekając na odpowiedź, ruszył, skręcił pod autostradę, zawrócił i z piskiem opon wjechał na pas prowadzący na południe, do Bostonu.

Teraz Kate siedziała w nieprzyjemnie nagrzanym gabinecie, przy liczącym sto trzydzieści lat oknie osadzonym w ramach pokrytych ołowiem i wyglądając na bajkowo-bożonarodzeniowe światła na placu Louisburg, przysłuchiwała się sporowi męża i teścia, o to

czy jest notoryczną kłamczynią, osobą gwałtownie potrzebującą profesjonalnej pomocy, czy połączeniem jednego z drugim. Jared z całą uczciwością robił, co mógł, by bronić prawdomówności Kate, ale koniec końców dyskusja sprowadziła się do przeciwstawienia jej słowa słowu jego ojca. Biorąc pod uwagę inne fakty – dziwactwa, jakimi go częstowała od wyjazdu z lotniska – nietrudno było zrozumieć, dlaczego miał trudności z trzymaniem jej strony.

–Powtórzę jeszcze raz, Jared – stwierdził Win Samuels z pełnym autorytetu spokojem.

–Zjedliśmy razem kolację., kaczkę Jocelyn... a potem rozmawialiśmy. Następnie

pojechaliśmy na długą wycieczkę na wieś. Nie wychodziłem cały dzień z domu i zaczynałem

się źle czuć. Zatrzymaliśmy się w szkoli-Stonefield... jestem tam w radzie

nadzorczej.

Zapewniam cię jednak, synu, że nasza wizyta była spontaniczna. Przejeżdżaliśmy kilka

kilometrów od szkoły, kiedy przypomniałem sobie, że mam na tylnym siedzeniu papiery,

które zamierzałem następnego dnia wysłać Gusowi Leggattowi, administratorowi. Będąc na

miejsku, rzuciliśmy okiem na kilkoro dzieci. Głównie z powodu naszej wizyty w szkole, w

drodze powrotnej podzieliłem się z Kate moimi obawami na temat wzrostu liczby dzieci z

wadami wrodzonymi, w sytuacji kiedy kobiety zachodzą w ciążę w późniejszym wieku.

Kate przedstawiła mi postępy, jakie się dokonały w zakresie punkcji owodni, i przyznam, że

fakty te nieco mnie uspokoiły. Wspomniałem oczywiście o twojej siostrze, na pewno jednak

nie sugerowałem, że żyje. Przykro mi, Jared. Przykro mi także z twojego powodu, Kate. –

Popatrzył na nią ze zrozumieniem. – Byłaś ostatnio pod wielkim naciskiem. Może... odpocznij, weź kilka dni wolnego.

Kilka dni wolnego. Kate westchnęła. Winfield nie mógł wiedzieć, że Stan Willoughby już się tym zajął. Wstała powoli i podeszła do Jareda.

–Szkoła Stonefield jest wymieniona w książce branżowej. Broderick w stanie Massachusetts. Jeśli nie zacznie gęściej padać śnieg, mogę nas tam zawieźć w ciągu trzech

kwadransów, może godziny. Powinno to raz na zawsze rozwiać wątpliwości.

–Chcesz jechać z nami, tato?

–Nie ma powodu dokądkolwiek jechać – stwierdził Win Samuels. – Kate, siostra

Jareda miała bardzo poważne wady wrodzone i zmarła dokładnie wtedy, kiedy Jared sędzi, czyli trzydzieści lat temu. Może coś ci się przyśniło. Elementy wyobraźni splotły się z rzeczywistością. To się zdarza, zwłaszcza u osób, które, tak jak ty, znajdują się po wpływie bardzo silnego stresu...

–To nie stres! Nie stres, nie sen ani rozpaczliwe kłamstwo zdesperowanej kobiety, to nie... szaleństwo. – Patrzyła Winowi wyzywająco w oczy, wytrzymał jednak spojrzenie z

nieruchoma twarzą. – To prawda. Prawda! Nie wiem, dlaczego to robisz, nie wiem, co masz nadzieję w ten sposób osiągnąć, ale wiem jedno: nie przestanę działać. Manipulujesz ludźmi ze swego otoczenia jak figurami na wielkiej szachownicy. Jocelyn na ce cztery, Jared na e trzy. Nie twój ruch? Rzucasz na stół kilka tysięcy dolarów i już jest twój ruch. – Samuels otworzył usta, by odpowiedzieć, ale Kate powstrzymała go ruchem ręki. – Jeszcze nie skończyłam. Coś ci powiem, Win. Nie doceniłeś mnie. Poważnie. Spędziłam dzieciństwo praktycznie w samotności, a lata szkolne, dryfując kompletnie bez celu, potem przeszłam małżeństwo z alkoholikiem, który upierał się, że będzie mi wybierać rajstopy. Przeżyłam wszystko i utrzymuję się w zawodzie, w którym jestem traktowana protekcyjnie i dyskryminowana. Miałam do czynienia z wystarczającą liczbą mężczyzn, którzy nie umieli wznieść swojego wzroku – nie wspominając o umysłach – powyżej moich piersi. Zdecydowałam się na walkę z nimi i wygrałam. Nie było łatwo. Czasami było wręcz okropnie, ale przez ostatnie pięć lat miałam tajną broń. Jest tutaj, Win. Stoi przed tobą. – Skinęła głową w kierunku Jareda. – Kiedy zapominam, że wszystko jest ze mną jak należy, on mi o tym przypomina. Kiedy muszę stawić czoło Nortonom Reese’om, Arlenom Paquette’om i... o tak... Winfieldom Samuelsom tego świata, on daje mi siłę. Kocham go i wierzę mu. Prędzej czy później dostrzeże, jak igrasz życiem otaczających cię ludzi. Prędzej czy później postanowisz przesunąć nim na szachownicy, ale go tam nie będzie.

–Skończyłaś? – spytał, Samuels.

–Tak, skończyłam. I nie mam ochoty słyszeć nic więcej od ciebie, chyba że przeprosiny albo prawdę o wieczorze w szkole. Jak mogłeś pomyśleć, że nie opowiem o nim

Jaredowi? Jak mogłeś wpaść na pomysł, że nie zapamiętam, gdzie byliśmy i co robiliśmy?

Jared, proszę cię, chodźmy stąd. Jest późno, a przed nami długa droga.

W tym momencie od strony drzwi rozległ się cichy hałas, właściwie odchrząknięcie. Cała trójka się odwróciła. Stała tam Jocelyn Trent – ze srebrną tacą, na której

przyniosła kawę i herbatniki.

–Jak długo tu jesteś? – spytał ze złością Samuels. Kiedy nie odpowiedziała, ponowił pytanie: – Jak długo?

Jocelyn wahała się z odpowiedzią, potem postawiła tacę na najbliższym stole i wybiegła z gabinetu.

–Szkoła Stonefield – powiedziała Kate. – Widzisz, mówiłam ci, że bez trudu ją znajdę.

Tylko dwa razy źle skręciłam. – Wjechała na podjazd, minęli nieduży szyld i podjechali do

frontowych drzwi. – Byliśmy tu niemal o tej samej godzinie. Jeśli dopisze nam szczęście,

dyżur będzie miała ta sama pielęgniarka. Nazywa się Bicknell, Sally Bicknell albo podobnie. Poznam ją. Miała przynajmniej osiemdziesiąt złotych bransoletek i pierścionki na trzech palcach każdej dłoni. Co za typ!

Zdawała sobie doskonale sprawę z tego, że jej paplanina jest nieco nerwowa. Jared nie odzywał się zbyt często w czasie podróży. Jego zaduma była oczywiście zrozumiała, ale Kate marzyła o tym, by znów okazał choć trochę uczuć, które ujawnił na lotnisku. Nieważne, pocieszyła się w końcu. Dwie minuty w szkole i będzie wiedział, że – przynajmniej w tym zakresie – jego żona mówi prawdę. Jakaż głupotą ze strony Wina było sądzić, że sprawa potoczy się inaczej. Jakie to do niego niepodobne, by tak źle przewidzieć czyjeś zachowanie...

Pielęgniarka o nazwisku Bicknell siedziała za biurkiem w niewielkim gabinecie, znajdującym się tuż obok holu wejściowego. Włosy spięła w ciasny kok, z biżuterii miała jedynie cienki złoty łańcuszek na jednym nadgarstku. Nie wyglądała na rzucającą się w oczy ekscentryczkę. Z niejakim niepokojem Kate stwierdziła, że Jared natychmiast to zauważył.

–Jesteś pewna, że to ta sama kobieta? – szepnął, kiedy przechodzili przez hol.

–To ona. Dobry wieczór, panno Bicknell. Pamięta mnie pani? Kobiecie wystarczyła sekunda.

–Oczywiście. Była pani u nas z panem Samuelsem cztery... nie... trzy dni temu. Zgadza się?

–No właśnie. Ma pani znakomitą pamięć.

–Jak słońca – odparła Sally Bicknell, dotykając palcem skroni.

–Panno Bicknell, to jest mój mąż Jared. Syn pana Samuela.

–Miło pana poznać. – Pielęgniarka ujęła podaną dłoń. – Wieczorami nie mamy zbyt wielu gości. Prawdę mówiąc, w innych porach dnia również nie. – Rozejrzała się. – To chyba coś w rodzaju zapomnianej krainy.

–Panno Bicknell, przyjechaliśmy zobaczyć się z siostrą mojego męża.

Pielęgniarka wyraźnie się zasępiła.

–Chyba... obawiam się, że nie rozumiem. Kate kolejny raz poczuła paskudny niepokój.

–Z Lindsey Samuels – powiedziała z lekką irytacją w głosie... czyżby były to początki

paniki? – Dziewczyną, którą widzieliśmy tam w poniedziałkowy wieczór. – Wskazała na

aksamitną zasłonę.

Sally Bicknell dziwnie popatrzyła na Kate, po czym zaprowadziła gości we wskazane miejsce i odsunęła kurtynę.

–Z nią?

Dziewczyna była w „sali zabaw” i, tak jak poprzednio, krzątała się wokół bez celu.

–Tak – odparła Kate. – To ona, Jared. To jest Lindsey.

–Przykro mi, pani Samuels, ale to jakieś nieporozumienie. Ta dziewczyna nazywa się Rochelle Coombs. Ma szesnaście lat i cierpi na genetycznie uwarunkowane zaburzenie zwane zespołem Huntera.

Kate w ostatniej chwili powstrzymała się przed zarzuceniem pielęgniarce oszustwa.

–Czy mogłabym rzucić okiem na historię choroby tej dziewczyny?

Pielęgniarka zasunęła zasłonę.

–Historia choroby jest poufnym dokumentem, zapewniam jednak, że nazywa się Rochelle Coombs, a nie... jak pani mówiła?

–Lindsey – odpowiedział Jared. – Lindsey Samuels. – Do Kate dotarło, że Jared odezwał się po raz pierwszy od ich przybycia do szkoły.

–To nie jest Lindsey Samuels – stwierdziła zdecydowanie Sally Bicknell.

Kate zrozumiała nagle, co jej nie pasowało w wyglądzie dziewczyny podczas pierwszej wizyty. Była zbyt młoda, aby móc być siostrą Jareda. Dużo za młoda. Grube rysy i inne zniekształcenia fizyczne dodawały jej kilka lat, ale nie dwadzieścia. Groteskowy wygląd powstrzymał ją przed dokładnym przyglądaniem się – czyżby Win Samuels na to właśnie liczył? Zaklęła w myśli z powodu własnej głupoty. Bezradna i kolejny raz pokonana, mogła jedynie wzruszyć ramionami i pokręcić głową.

–Czy mogę czymś jeszcze służyć? – spytała Bicknell. Kate popatrzyła na Jareda.

–Nie – powiedział chrapliwym tonem. – Przepraszamy... przepraszamy za kłopot.

–W takim razie państwo pozwolą, że udam się na obchód – stwierdziła pielęgniarka.

Odwróciła się i nie odprowadzając ich do drzwi, wyszła.

Kate czuła coś silniejszego niż złość. Kiedy podchodzili do samochodu, podała Jaredowi kluczyki.

–Poprowadź, proszę. Nie mam siły. Twój ojciec naprawdę powiedział mi, że to

Lindsey. Przysięgam. A ta kobieta to słyszała.

Nie było sensu dłużej dyskutować nad tą sprawą. Win Samuels tak wszystko zorganizował, że musiał wyjść na osobę mającą rację. Wiedział, że albo pokaz wywrze na niej takie wrażenie, że zgodzi się zrezygnować z pracy w szpitalu i zająć, zgodnie z jego życzeniem, sprawami domu, albo zrobi dokładnie to, co zrobiła. Jego syn, już i tak mający liczne wątpliwości co do decyzji Kate, zamiast problemami małżeńskimi zajmie się karierą polityczną, nie licząc się z opinią żony o zaburzonej hierarchii wartości i psychice. A

wszystko za cenę baku benzyny i łapówki dla Sally Bicknell. Dobra robota, Win, pomyślała Kate. Cholernie dobra robota. Opadła na fotel i zapatrzyła się niewidzącym wzrokiem w noc.

Rozdział 13

Piątek, 21 grudnia

–Wyrzucona, zawieszona, skończona! Dzięki mnie! – wykrzykiwał rozradowany

Norton Reese. – Wczoraj po południu. Próbowałem od razu dzwonić, ale nikt nie odbierał.

Arlen Paquette leżał w łóżku w hotelu Ritz i wpatrywał się w tarczę zegarka, próbując skoncentrować wzrok, by dostrzec wskazówki. Wpół do ósmej? Nie mylił się? Cholerny Reese budził go o wpół do ósmej rano? Pomacał po stoliku, by znaleźć lampkę, jęcząc przy każdym ruchu z powodu, który niczym szrapnel rozrywał jego skronie. W którymś momencie w ciągu minionych czterech godzin jego upicie się przeszło w stan kaca. W ustach miał obrzydliwy smak, a mięśnie bolały go, jakby bił się z bandą opryszków.

–Norton, zaczekaj sekundę, aż się trochę rozbudzę. – Wyjął ze zgniecionej paczki

papierosa i zapalił go za trzecią próbą. W minionym tygodniu zamiast czterech albo pięciu

papierosów na dzień wypalał zawartość trzech paczek. Przez chwilę patrzył na stojącą na

komodzie, opróżnioną do połowy, wielką butelkę whisky. – O nie, niech cię diabli...

– wymamrotał pod nosem. – Jeszcze nie teraz. – Musiał użyć obu rąk, by utrzymać słuchawkę

nieruchomo przy uchu. – Teraz słucham, drogi panie. Jak udało się dokonać czegoś tak

znakomitego?

Paquette wysłuchał podnieconej rekapitulacji wydarzeń, które doprowadziły do nieoficjalnego zawieszenia Kate Bennett przez Stana Willoughby'ego. Nim administrator skończył, Paquette zdążył dojść do komody i wlać w siebie pół szklanki whisky. Opowieść była niesmaczna. Jedna kobieta niepotrzebnie straciła pierś, druga została zniszczona zawodowo, a on był za to odpowiedzialny, podobnie jak idiota po drugiej stronie linii. Słuchając jazgotu Reese'a, czuł, jak dojrzewa w nim decyzja. Z podłogi przy łóżku podniósł zdjęcie Kate Bennett; przez moment się zastanawiał, skąd się tam wzięło.

–Norton – powiedział wesoło – zrobiłeś cholernie dobrą robotę. Kiedy opowiem o tym

naszemu przyjacielowi, na pewno będzie zadowolony. Bardzo zadowolony. Powiedz mi,

będiesz przez jakiś czas u siebie?...Świetnie. Wpadnę niedługo i osobiście zapytam o dalsze

szczegóły. Prawdopodobnie około wpół do dziesiątej, w przybliżeniu... Wspaniale. To do

zobaczenia.

Odłożył słuchawkę i przyjrzał się zdjęciu, które trzymał. Whisky sprawiła, że ręce przestały mu się trząść, a dudnienie w głowie słabło.

–Sądzę, że obrzuciliśmy panią gównem w wystarczającym stopniu, doktor Bennett.

Czas, by ktoś pani pomógł oddać.

Popatrzył na zegarek i zatelefonował do Darlington. Żona podniosła po drugim dzwonku.

–Skarbie, dzieci wyszły już do szkoły...? To dobrze. Nie pójdą dziś. Chcę, byś je

spakowała i pojechała z nimi do swojej matki... Skarbie, wiem, gdzie mieszka twoja matka.

Jeśli dasz gazu, możesz być u niej na kolację. Pojawiło się kilka problemów ze starym

Cyrusem i chcę mieć pewność, że jesteś z dziećmi bezpieczna... Może kilka dni, tydzień. Nie

wiem. Proszę cię, skarbie. Zaufaj mi w tej akurat sprawie. Wszystko ci wyjaśnię. Kocham cię.

Przepraszam za ostatnią noc i naprawdę cię kocham. Nikomu na razie ani słowa. Wsiadajcie

do samochodu i jedź do matki.

Paquette wziął prysznic i się ogolił, przykładając znacznie większą niż zwykle wagę do tego, by się nie pozacinać. Ubrał się w nowy garnitur, rezygnując przy tym z kamizelki na korzyść jasnobrązowego kaszmirowego swetra. Kilka kropli do oczu,

jeszcze jeden mały łyk whisky, kilka miętówek i był gotów. W drodze do szpitala zajmie się ostatnim drobiazgiem -kupi miniaturowy dyktafon.

–No, dobrze, pani doktor – powiedział, patrząc na zdjęcie Kate. – Zdobądźmy kilka dowodów. – Spojrzał w lusterko i po raz pierwszy od dwóch tygodni widok mu się spodobał.

Nie można nic zrobić. Nie ma gdzie pójść. Nie ma nikogo, kogo można by się przytrzymać. Podobne myśli i poczucie beznadziejności udaremniały próby Kate, by wydrzeć porankowi jeszcze godzinę, choć pół godziny snu. Spędzili noc, a raczej to, co z niej pozostało po powrocie ze Stonefield, w osobnych łóżkach. A może Jared w ogóle nie spał? Zaoferowała mu kolację, towarzystwo, w końcu seks, lecz chciał jedynie pozostać sam. Po mniej więcej godzinie wpatrywania się w ciemny sufit nad ich małżeńskim łóżem poszła korytarzem na paluszkach i zajrzała do salonu. Jared leżał na kanapie w tej samej pozycji, w jakiej go zostawiła, zagryzał dolną wargę i wpatrywał się w linie we wnętrzu swej dłoni. Chciała odruchowo podejść do niego, błagać, by jej uwierzył, prosić o zaufanie, ale chęć ta odeszła tak samo szybko, jak przyszła. Jeśli jej małżeństwo miało polegać na błaganiu, to przegrała je. Myśląc o tym, przez co musi przechodzić i jakich dokonywać wyborów, obolała wróciła bezszelestnie do łóżka, z nadzieją, że wkrótce poczuje, jak Jared wsuwa się pod kołdrę.

Nie można nic zrobić. Nie ma gdzie iść. Nie ma nikogo, kogo można by się przytrzymać. Litanię przerwał dzwonek telefonu. Kate popatrzyła na zegarek. Wpół do dziewiątej. Nie tak źle. Kiedy patrzyła po raz ostatni, była szósta.

–Halo?

–Kate? – Telefonowała Ellen.

–Cześć. Jak się czujesz?

–Zmartwiłam się, kiedy rano nie przyszłaś, i zadzwoniłam do twojego gabinetu. – Głos Ellen był chrapliwy, mowa wyraźnie zaburzona. – Ponieważ nie odbierałaś, zadzwoniłam do sekretariatu. Kate, co się dzieje? Jesteś chora?

–Hej, hej, sekundę, dobrze? Nie zapominajmy, kto jest pacjentem, a kto lekarzem, dobrze?

–Kate, bądź poważna. Powiedziano mi, że nie wiadomo, kiedy wrócisz. Jestem... boję się. Podają mi znowu krew i mam w nosie rurkę. Chyba zaczęłam krwawić z żołądka.

–Cholera... – wyrwało się Kate.

–Co?

–Powiedziałam: „Cholera”.

–O! Kate, wszystko u ciebie w porządku?

W ostatniej chwili postanowiła powiedzieć prawdę.

–Właściwie nie. Fizycznie czuję się dobrze, ale miałam kłopoty w pracy i mam kłopoty w domu. Poproszono mnie o wzięcie kilku dni wolnych, gdyż mój ordynator chce wyjaśnić pewne problemy, które wynikły w związku z biopsją.

–Och, Kate... a ja cię jeszcze zanudzam swoimi kłopotami. Przepraszam. Wiem, że to może zabrzmieć głupio, ale czy mogę coś dla ciebie zrobić?

–Nie, El, bądź tylko silna i wyzdrowiej. To wszystko.

–Powiedz to płytkom, czy jak je nazywacie. To one nie dają sobie rady. Powiedziałaś, że masz też problemy w domu, tak? Z Jaredem?

Przestań mnie wypytywać o moje sprawy, do jasnej cholery! Wykrwawiasz się na śmierć!

–Obawiam się, że zarówno żona Jareda, jak i jego ojciec... oboje w swej nieskończonej mądrości... postawili go w sytuacji, w której musi wybrać jedno z nich. –

Powiedziawszy to, Kate zadała sobie pytanie, gdzie jest Jared. W pokoju gościnnym na

górze? Leży ciągle jeszcze na kanapie? Wsłuchiwała się, czy nie doleci do niej jakiś charakterystyczny dźwięk, ale wszędzie panowała cisza.

–Ty kontra Win? Żaden konkurent. Dzięki Bogu, bo już myślałam, że to coś poważnego. – Choć usiłowała zachować wesołość, ton jej głosu świadczył wyraźnie o osłabieniu.

–Posłuchaj, kochana – powiedziała Kate. – Przyjdę do ciebie w ciągu dnia. Mogą mnie wyrzucić z oddziału patologii, ale nie mogą z biblioteki. Spodziewam się dostać dziś z Narodowych Instytutów Zdrowia dwa artykuły z Australii. Pokonamy razem to choróbko. Obiecuję ci.

–Wierzę. Naprawdę – odparła Ellen. – Do zobaczenia, pani doktor.

Kate delikatnie odłożyła słuchawkę, ubrała się w błękitny flanelowy szlafrok – prezent od Jareda – i poszła do salonu. Roscoe, który nagle wysunął się spod łóżka, dreptał przy jej nodze. Zajrzała do salonu, po czym systematycznie zaczęła sprawdzać resztę domu. Jak się obawiała, dobrze oceniła ciszę. Jared wyszedł.

–Cóż, staruszkę – szepnęła, drapiąc psa za uchem – wygląda na to, że znów zostaliśmy

sami. Co powiesz na przebieżkę, a potem omlet na śniadanie? Później może się pokochamy.

List – napisany starannym pismem Jareda – leżał na stole w kuchni. Do przytrzymania kartki użył ich ślubnego zdjęcia, które zdjął z półki na ścianie. Kate odsunęła zdjęcie, by móc czytać tekst, ale tak, by ramka dotykała kartki.

Brzmia tak prosto, tak oczywście, aż nie jestem pewien, czy słuchałem, kiedy pastor mówił te słowa. NA DOBRE I NA ZŁE. Brzmia tak prosto, że któregoś dnia człowiek się zatrzymuje i zadaje sobie pytanie: Na czyje dobre? Na czyje złe? Co mam robić, jeśli jej dobro wygląda na zło dla mnie? Cholera, Kate, mam czterdzieści lat i czuję się jak dziecko. Wiesz, że dopóki matka żyła, ani razu nie usłyszałem, by powiedziała ojcu „nie”? Dobry wzorzec, co? Po niej była Lisa – bystra, piękna i pozbawiona jakichkolwiek ambicji oraz dążeń. Sądziłem, że będzie idealną żoną. Gotowała zupy, przycinała kwiatki, a ja dbałem, by jej fajeczka z haszyszem zawsze była napełniona, i podejmowałem decyzje, kiedy na co nas stać... Na tym sprawa się kończyła. W dalszym ciągu nie wiem, dlaczego uciekła, jak uciekła, i gdyby pojawiła się kolejna Lisa, prawdopodobnie natychmiast bym się z nią ożenił. Nie pojawiła się jednak kolejna Lisa. Pojawiłaś się ty.

Jeszcze zanim zdałem sobie z tego sprawę, zakochałem się i ożeniłem z kobietą, która miała, tak samo jak ja, bogate, interesujące i skomplikowane życie poza małżeństwem. Prawdopodobnie ciekawsze ode mnie. Po matce i Lisie było to dla mnie niczym przeprowadzka do innego kraju. Nowe zwyczaje. Nowe maniery. Co to znaczy, że nie miałem prawa z góry zakładać, iż będziemy nosić to samo nazwisko? Co to znaczy, że nie miałem prawa oczekiwać, iż weźmiesz sobie wolne, by uczestniczyć ze mną w trzech wyjazdach w

ramach kampanii i być obecną podczas kolacji z wyborcami? Co to znaczy, że powinienem był przedtem zapytać? Co to ma znaczyć, że jesteś zamieszana w problemy zawodowe, które mogą mieć negatywny wpływ na moją karierę? Mógłbym przez całą noc wyliczać błędne założenia, jakich dokonałem w tym małżeństwie. Tak jakbym nie miał programu przystosowanego do wczego.

Cóż, może go nie mam, ale za to mam jedno pragnienie. Przekonanie się o tym zajęło mi niemal całą noc. Jeśli to, co mówiłaś, jest prawdą, zrobię wszystko, co w mojej mocy, by wyjaśnić sytuację. Jeśli to, co mówiłaś, nie jest prawdą, chcę się wszystkiemu przyjrzeć, sprawdzić me oddanie tobie i uzyskać najlepszą możliwą pomoc. Jeśli nam się nie uda, nie stanie się tak dlatego, że uciekłem.

Pojechałem porozmawiać z ojcem, potem spotkam się może z Nortonem Reese'em. Wytrwaj ze mną, Kate. Kalendarz mówi, że minęło pięć lat, ale to małżeństwo ciągle jest dla mnie nowością. Kocham cię. Naprawdę.

Jared

Kate ponownie przeczytała list, równocześnie śmiejąc się i płacząc. Zdawała sobie sprawę z tego, że słowa Jareda to nic więcej jak chwilowa ulga, moment wytchnienia od koszmaru, a jednak dał jej jedną rzecz, której – poza odpowiedziami – najbardziej potrzebowała. Był nią czas. Czas, by przebić się przez wydarzenia, które miażdżyły jej życie jak walec drogowy.

–Wszystkiego się dowiemy, Rosc – powiedziała ponuro. – Dowiemy się, kto i dowiemy się dlaczego.

Z salonu doleciało głośne szczeknięcie i Kate pojęła, że mówiła do siebie. Spojrzała w tamtym kierunku – pies wiercił się zdenerwowany przy drzwiach wyjściowych.

–Biedne maleństwo... – roześmiała się Kate. – Przepraszam. – Skoncentrowana na wypuszczeniu psa, nie dostrzegła minimalnego ruchu za kuchennym oknem i nie wyczuła

obserwujących jej oczu. Otworzyła psie drzwiczki i Roscoe wyprysnął w przepiękny poranek.

Termometr za oknem wskazywał zero stopni. Grube płatki śniegu, powoli opadające z

jarzącego się srebrnobiałego nieba, znikwały w przygruntowej mgle tak gęstej, że Kate nie

mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz taką widziała. Roscoe pognął pomostem i zniknął

we mgle mniej więcej w połowie schodzących do portu schodów.

Kate oceniała wysokość mgły na metr, może metr dwadzieścia. Podejrzewała, że

unoszą się głównie z niedalekiego Zielonego Stawu, niewielkiego jeziora, które z powodu wpływających do niego ciepłych źródeł zawsze późno zamarzało i wcześniej odmarzało.

Zimowe mgły nie są niczym niezwykłym na North Shore, zwłaszcza wokół Essex, ta jednak była niesamowita. Poranek, aż prosił, by pójść.

Ubrała się i zaczęła robić ćwiczenia rozciągające, zastanawiając się nad tym, jak pójść, by na ośmiokilometrowej trasie uwzględnić zbieganie, podbiegi i długie płaskie proste. Włożyła widoczną z daleka jaskrawoczerwoną bluzę i ciepłą czapkę, zrobioną z barwionej na złoto wełny, po czym wybiegła truchtem frontowymi drzwiami i zagwizdała na Roscoe'a. Dostrzegła go dopiero, kiedy był tuż przy niej.

–Dziś rano osiem – oświadczyła, kiedy ruszyli wznoszącym się podjazdem. Po chwili wybiegli z mgły. – Myślisz, że dasz radę?

Na końcu podjazdu skręciła w prawo. Gdyby pójść w lewo, prawdopodobnie zdziwiłby ją widok BMW stojącego przy drodze, może nawet zauważyłaby przyklejony do tylnej szyby znaczek parkingowy szpitala Metro.

Powietrze było niemal idealne do biegania – zimne i nieruchome. Mgła pokrywała ściółkę lasu po obu stronach wąskiej drogi niczym bawełniana mata.

–Roscoe, dziś tempo biegowe – poinformowała psa. – Kilometr w pięć minut albo i szybciej. I nie będę na ciebie czekać, więc się sprężaj. – Wiedziała, że Roscoe jest w stanie

dotrzymać jej kroku przez cały dzień, na dodatek od czasu do czasu się zatrzymać, by

powąchać jakiś krzaczek. Po czterystu metrach zbiegli z asfaltu i skręcili w polną drogę,

wijącą się wzdłuż strumienia zaznaczonego na mapach jako Martha's Brook. Kate uwielbiała

malownicze mostki o niskich kamiennych bokach – tak naprawdę wybrała dzisiejszą trasę ze

względu na nie.

Po pierwszym kilometrze jej myśli zaczęły się uniezależniać od wykonywanych ruchów. Wiedziała, że przez następne trzy kilometry, może nawet pięć, jej myśli będą

swobodnie wędrować, a wyobraźnia zrobi się jaśniejsza niż w każdej innej sytuacji. Po przejściu przez kalejdoskop skojarzeń, co było czymś w rodzaju selekcji, skupiła się na biopsji sutka. Może rzeczywiście – z wycieńczenia, przejęcia się stanem Ellen i pozostałym chaosem, jaki wkradł się w jej życie – popełniła błąd? Przez jakiś czas niemiła myśl utrzymywała się, powodując bardzo bolesny skurcz w brzuchu, stopniowo jednak prawda zaczęła wypływać na wierzch – odradzała się niczym Feniks z popiołów... Komórki, które analizowała – wiedziała o tym ze stuprocentową pewnością – były rakowe. Jeśli to jednak prawda, wniosek jest jeden: ktoś zamienił preparat przed badaniem i ponownie po nim. Jak to zrobiono? Dlaczego? Uznała, że częścią łamigłówek musi być popsuty kriostat. Sheila? Możliwe. Ale dlaczego? Obrazy, jakie miała przed oczami, kazały jej myśleć o innych tkankach – próbkach pobranych z jajników Beverly Vitale i Ginger Rittenhouse. Po

stwierdzeniu w należących do niej witaminach kwasu antranilowego Kate kilka razy dziennie sprawdzała, czy nie ma siniaków i zadawała sobie pytanie, czy zbliżowacenia w jej własnych jajnikach już spowodowały, że dyskusja z Jaredem o rodzeniu dzieci jest satyrą. Musiała się tego dowiedzieć. Odpowiedź niemal na pewno kryła się w Omnicenter -dokładnie zaś w bazach danych Małp Carla Homera.

Zbiegała dość stromą w tym miejscu drogą do pierwszego z kamiennych mostków, kiedy niebieskie BMW wyjechało z za szczytu i przyśpieszyło. Zaabsorbowana biegiem i rozmyślaniami, Kate straciła kilka cennych chwil, zanim się odwróciła, słysząc dźwięk silnika. Jadący z dużą prędkością samochód zrobił ostry, wyraźnie zamierzony skręt w prawo i sunął prosto na nią. Nie było czasu na myślenie. Mogła jedynie zareagować. Sięgający do pasa mur był oddalony jedynie o dwa metry. Jeszcze jeden krok i wybiła się, by wskoczyć na jego szczyt. Była w powietrzu, kiedy błotnik BMW uderzył ją tuż pod kolanem. Impet uderzenia obrócił ją w powietrzu, rąbnęła o skraj muru udem i wyrzuciło ją za most. Spadając, słyszała zgrzyt metalu o kamień i przerażające wycie psa.

Upadek – cztery metry, licząc od szczytu obmurowania mostu do ziemi – skończył się, zanim zdążyła się w jakikolwiek sposób fizycznie do niego przygotować. Wylądowała na plecach w zaspie na w pół zamarzniętego śniegu, co spowodowało gwałtowne wypchnięcie powietrza z płuc. Gałąź gnijącego przewróconego drzewa przebiła jej bluzę i utknęła w boku, tuż pod żebrami. Zaczęła rozpaczliwie walczyć o powietrze. Przez pięć, dziesięć sekund nic się nie działo, wreszcie jednak poczuła z tyłu gardła strumyczek powietrza, które, choć z trudem, wpłynęło do płuc. Spróbowała nasilić wysiłki, powstrzymał ją jednak przeszywający ból w boku. Dotknęła bolącego miejsca, po czym spojrzała na wełniane rękawiczki, które miała na rękach. Były przesiąknięte krwią.

Zaczęła gorączkowo myśleć, co się stało. Potrącił ją samochód. Roscoe też został potrącony. Prawdopodobnie zginął. To nie był wypadek. Ten kto prowadził, świadomie próbował ich rozjechać. Zaczęła delikatnie obmacywać ręce, potem nogi.

W prawej czuła pulsowanie i zorientowała się, że stopa tkwiąca w lodowatej wodzie strumienia wygląda na przekręconą pod dziwnym kątem. Proszę, Boże, oby nie była złamana. Bolało, ale na szczęście nogą mogła poruszać.

Nad nią otworzyły się, po czym zamknęły drzwi samochodu. Odwróciła głowę w kierunku dźwięku, nic jednak nie było widać. Kilka sekund zajęło zrozumienie, dlaczego tak się dzieje. Była niemal całkiem schowana we mgle. W górze, nieco po lewej, trzasnęła gałąź, potem następna. Kierowca samochodu schodził stromym brzegiem, zapewne chcąc sprawdzić, czy udało mu się w zaplanowany sposób wykonać robotę. Czy ją widział?

Prawdopodobnie nie. Mgła mogła czynić ją niewidoczną – przynajmniej na odległość ponad trzech metrów. Ostrożnie zdjęła z głowy złotą czapkę i wetknęła ją w śnieg. Palące rwanie w boku sprawiało, że miała trudności z koncentracją. Spróbować odpełznąć, wykorzystując zasłonę z mgły? Czy poobijane nogi wytrzymają? Bolały także plecy. Sprawdzić, co z nogami, przekręcając się na bok? Zaryzykować?

Z lewej strony, nieco dalej niż poprzednio, doleciał kolejny trzask łamanej gałęzi, cichy plusk i stęknienie. Prześladowca wszedł albo ześlizgnął się do wody. Był to mężczyzna, może nawet dwóch. Pomyślała o Roscoe'em. Żył? Leżał bezradny? Cierpiał? Wizje możliwych scenariuszy sprawiały, że robiło jej się mdło.

Przez jakiś czas panowała cisza. Kate wpatrywała się w mgłę, nie była jednak w stanie niczego dostrzec. Ból w nogach, plecach i boku wyciskał jej na policzki zimne łzy. Usłyszała kolejny dźwięk – cichy, w dalszym ciągu poniżej miejsca, w którym leżała, ale zdecydowanie przesuwający się w jej kierunku. Przeciągnęła dłonią wokół siebie w nadziei, że znajdzie jakiś kamień albo kij. Jej palce dotknęły, po czym zacisnęły się na suchej gałęzi o średnicy trzech, może czterech centymetrów. Przyciągnęła kij do siebie. Nie był za długi... zbyt nieporęczny. Jeśli w ogóle, będzie miała tylko jedno uderzenie i koniec. Znów pociągnęła gałąź ku sobie. Wyglądała na niesplątana z innymi, ale pewne będzie to dopiero, kiedy spróbuje jej użyć jako broni.

Nagle dostrzegła ruch po lewej stronie – niecałe trzy metry od niej mignęły nogi i dłoń w rękawiczce. W dłoni ktoś trzymał, luźno nim poruszając, klucz do kół. Kate wciągnęła powietrze, zatrzymała je w płucach i napięła mięśnie. W każdej chwili mógł ją zobaczyć. Nogi właśnie kierowały się ku niej, kiedy, nie zważając na ból, uniosła się do pozycji klęczącej i jednocześnie zamachnęła gałęzią. Jej broń – metrowy kij z wystającymi drzazgami – oderwała się od śniegu i trafiła w kolano mężczyzny. Wpadł do wody – bardziej z zaskoczenia atakiem i ze względu na miejsce uderzenia niż z powodu jego siły.

Ignorując ból w nogach i boku, Kate wstała, zamachując się po raz drugi. W tym momencie ujrzała twarz napastnika.

–Bill! – krzyknęła, wbijając wzrok w dziko wybałuszającą oczy postać. Jej wahanie okazało się kosztowne. Zimmermann skoczył stopami do przodu i podciął Kate, która upadła ciężko na skały i stoczyła się do wody. Klucz do kół upadł w śnieg, tuż po prawej stronie Billa. Zimmermann chwycił narzędzie i klęcząc w wodzie, wściekle się zamachnął. Trafił w nieduży głaz, niewiele centymetrów od biodra Kate, wywołując eksplozję iskier. Kiedy ponownie się zamachnął, by zadać cios, przetoczyła się na bok i klucz musnął jedynie jej udo. Po jeszcze jednym obrocie była na suchym grancie i zaczęła się wdrapywać po

zlodowaciałych skałach i śniegu. Zimmermann, ściskając klucz, wylazł na kolanach z wody i starał się dosięgnąć kostki Kate. Udało mu się złapać koniec nogawki dresu, Kate stała już jednak na nogach, dzięki czemu bez trudu strząsnęła rękę. Nim zdążył kolejny raz sięgnąć, zerwała się do ucieczki, kuśtykając wzdłuż brzegu w stronę kamiennego mostu.

Niska mgła, jeszcze tak niedawno jej sprzymierzeniec, stała się teraz utrudnieniem. Raz za razem Kate ześlizgiwała się z kamieni i potykała o leżące na ziemi kawały drewna. Jęki i okrzyki za jej plecami świadczyły o tym, że Zimmermann miał takie same trudności. Mimo wszystko zbliżał się. Była tak głupia, że nawet nie wzięła pod uwagę, iż mógł być także zamieszany w aferę w Omnicenter, w swej naiwności założyła, że nie ma pojęcia, co się tam dzieje.

Spojrzała przez ramię. Ujrzała go od tułowia w górę – jego postać podskakiwała niecałe dziesięć metrów z tyłu. Miał dobrze ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i wyglądało na to, że lepiej niż ona radzi sobie z przebijaniem się przez śnieg. Przeszkadzał jej ból w miejscu, gdzie nogę trafił błotnik BMW. Choć miała nad nim przewagę – była dobrze wytrenowana i знаła okolicę – zdawała sobie sprawę, że jeśli ją dogoni, przestanie to mieć jakiegokolwiek znaczenie. Zaryzykowała kolejne spojrzenie za siebie. Był bliżej, zdecydowanie bliżej. Śnieg za bardzo ją spowalniał. Skręciła w lewo i wbiegła do wody. Przynajmniej tutaj długie nogi Zimmermanna przestaną dawać mu przewagę, może nawet staną się przeszkodą. Zimna, sięgająca kostek woda wlała się Kate do butów, powodując nową falę bólu. Uda jej się uciec albo przynajmniej przetrzymać go kondycyjnie? Było to prawdopodobne, ale wystarczyło jedno potknięcie, jedna gałąź pod nogami i będzie po niej. Musiała dotrzeć do drogi. Dotrzeć do drogi albo... się ukryć.

Zwolniła, zaczęła się rozglądać za znajomymi punktami orientacyjnymi. Niedaleko powinna być stalowa rura o średnicy może metra, biegnąca w poprzek przez wysoki nasyp, na którym zbudowano drogę. Gdyby udało jej się ją znaleźć i nie byłaby zatkana, mogłaby wpełznąć do środka i liczyć na to, że Zimmermann nie dostrzeże kryjówki, a jeśli nawet... jest zbyt szeroki w ramionach, by wcisnąć się do środka.

Patrzyła w dół strumienia, kiedy Zimmermann się przewrócił. Natychmiast jednak wstał i machając ramionami dla zachowania równowagi, znów zaczął się zbliżać.

Wiedziała, że jeżeli chce się uratować, musi działać szybko. Niemal w tym samym momencie dostrzegła to, czego szukała. Był to wielki, stary wiąz, rozłupany na pół przez uderzenie pioruna. Jedna jego część tworzyła naturalny most przez strumień. Pięćdziesiąt metrów dalej – jeśli pamięć jej nie myliła – strumień ostro skręcał w lewo i tuż za zakrętem, mniej więcej na wysokości kolan, była rura, którą Roscoe odkrył dwa, może trzy lata temu.

Kate schyliła się pod wiązem i pobiegła ku wodzie, ledwie unosząc głowę nad mgłę. Na zakręcie pochyliła się jeszcze bardziej i na czworakach posuwała się wzdłuż zlodowaciałego brzegu. Proszę, bądź tam. Bądź tam. Twarz drapały jej kawałki zamrożonego śniegu, kamienie rozrywały dres na kolanach. Czowała, że ma pełne gardło i kaszlnęła, opryskując śnieg krwią... najprawdopodobniej pochodzącą z przebitego płuca.

Brnęła dalej. Jej nadzieja już zaczynała błędnąć, kiedy wreszcie ujrzała rurę. Średnicę miała nieco mniejszą, niż zapamiętała – raczej około sześćdziesięciu centymetrów niż metra -ale na pewno zdoła się precyzyjnie. Cienki strumyk informował o tym, że woda w stawiku po drugiej stronie nasypu opadła bardzo nisko. Z mgły za jej plecami doleciał plusk. Zimmermann był blisko. Kate wsunęła się w wilgotną, zardzewiałą rurę i przesuwając się po kilka centymetrów naraz, zmierzała w kierunku słabego, srebrzystobiałego światła na drugim końcu.

Rura – szorstka i skorodowana – była boleśnie zimna. Bieg co prawda ją rozgrzał, teraz jednak zaczynała błyskawicznie marznąć. Stopy, zwłaszcza palce, pulsowały, a uderzające o siebie zęby rezonowały w metalowym zamknięciu niczym stukot kastanietów. Znowu zakaszłała i znowu splunęła krwią. Pokonała może jedną trzecią długości rury, kiedy usłyszała chrzęst butów na śniegu. Bojąc się, że zdradzi ją najłżejszy ruch, zamarła, zagryzając kołnierz bluzy, by powstrzymać szczykanie.

–Kate, wiem, że jesteś ranna – zawołał. – Chcę ci pomóc. Koniec z przemocą.

Możemy wszystko załatwić polubownie.

Wiedział, gdzie się schowała? Cholera, dlaczego nie jest w stanie opanować dygotu?

–Kate, chcesz poznać prawdę o lekach, mogę odpowiedzieć na twoje pytania. Wiem,

jak uratować Ellen, wiem, czy jesteś płodna... Zaprowadzę cię, gdzie jest ciepło.

Przestraszona krwawieniem z ust i odrętwieniem tych części ciała, które nie bolały, Kate stwierdziła, że zaczyna rozpatrywać propozycję. Ciepło. Obiecał, że sprawi, by było jej ciepło. Ciepło i odpowiedzi. Może powinna rozsądnie się z nim dogadać. Zmusiła się do przypomnienia sobie klucza w jego ręce i jeszcze mocniej zagryzła

kołnierzu bluzy.

–Dobrze wiesz, że jeśli nawet zdołasz wrócić do domu, nikt ci nie uwierzy! –

wykrzykiwał Zimmermann. – Mam całkowite alibi. Oszalałaś i jesteś patologicznym kłamcą.

Wszyscy o tym wiedzą. Jesteś w szpitalu tematem rozmów numer jeden. Połowa ludzi uważa,

że bierzesz narkotyki, druga, że jesteś chora. Jestem jedyną osobą, która może ci pomóc,

Kate. Jedynym człowiekiem, który może uratować twoją przyjaciółkę. Tylko ja mogę sprawić, by było ci ciepło. Chodź więc do mnie i porozmawiajmy.

Siedem metrów od miejsca, gdzie stał Zimmermann, Kate wcisnęła twarz w zagłębienie łokcia i walczyła z szaleńczą myślą, że wróg naprawdę chce skończyć z przemocą.

–Jak chcesz – usłyszała go znowu. – To twój pogrzeb. I twojej przyjaciółki.

Parująca kawa. Żółty ogień. Blask słońca. Biała plaża. Flanela. Ciepłe prześcieradło.

Futrzane kapcie. Tłumiąc pochlipywanie rękawem bluzy, Kate walczyła ze strachem, bólem i zimnem, przywołując obrazy rzeczy kojarzących się z ciepłem. Kakao. Kominek. Jacuzzi. Herbata. Grzejnik. Elektryczne prześcieradło. Zupa. Za jej plecami zapadła cisza. Poszedł sobie? Wysilała słuch, by sprawdzić, czy nie dobiegnie do jej uszu odgłos silnika samochodu. A może dostrzegł rurę i przeszedł przez drogę, by znaleźć się tam, gdzie zamierzała wypełznąć? Jej ręce i nogi były od zimna ciężkie jak ołów. Czy w ogóle uda jej się wyjść na zewnątrz? Niech go cholera. Przesunęła się kolejne kilka centymetrów. Wiedział, jak uratować Ellen. Niech go szlag. Jeszcze dwa centymetry. Nawet wiedział, czy jest płodna, czy nie. Niech go szlag. Niech go szlag. Niech go szlag. Srebrnoszara dziura zamazała się. Oczy Kate się zamknęły. Zmysły otępiały. Kilka sekund później resztki jej świadomości odpłynęły w niebyt.

Wydawało mu się, że ostatnich dziesięciu lat w ogóle nie było. Patrzył na ojca tak samo, jak w niejasnym okresie życia w Vermoncie, a potem życia z Lisa; próbował zachować względny spokój i patrzeć mu prosto w oczy.

–Kate jest chora, synu. Bardzo chora – mówił Samuels. – Proponowałbym jak

najszybsze umieszczenie jej w szpitalu, a kiedy to nastąpi, powinieneś zacząć oddzielać swą

kariere od jej osoby. Ściągnie cię na dno. Tego jestem pewien. Martha Mitchell zrobiła to ze

swoim mężem i Kate robi to z tobą... jeśli już do tego nie doszło. Kontaktowałem się z

Solem Creightonem w Laurel Hill. Przygotował dla niej łóżko i uważa, że w razie czego

mamy podstawy do uzasadnienia potrzeby hospitalizacji przymusowej. Zapewnia jednak, że

biorąc leki przez dłuższy czas, można pomóc nawet najbardziej socjopatycznej osobowości.

–Tato, przestań używać tego słowa. Nie masz prawa stawiać diagnozy.

–Jared, spójrz na fakty. Kate jest kochaną dziewczyną. Bardzo mi na niej zależy, ale kłamie i prawdopodobnie wierzy we własne wymysły. Wiem, że wygląda całkiem zdrowo i mówi logicznie, ale tak bywa z socjopatami. Jedynym sposobem na zauważenie, z kim ma się do czynienia, jest przyłapywanie takiej osoby na kolejnych kłamstwach.

–Ale...

–Naprawdę sądzisz, że ktoś inny wysłał list w sprawie Bobby'ego Geary'ego?

–Nie wiem.

–A chemik? Fundacja Ashburtonów? Pielęgniarka w Stonefield? Wszyscy twoim zdaniem kłamią?

–Nie...

–A co z biopsją? Sam powiedziałaś, że współpracownicy Kate są przekonani, iż popełniła błąd. Preparaty ukazują prawdę, a Kate uparcie twierdzi, że nie zrobiła nic złego.

Samuels wyjął z pojemnika cygaro, pociągając nosem wzdłuż całej jego długości, sprawdził aromat, obciął koniec i zapalił. Dał synowi znak, że może się poczęstować. Jared popatrzył na zegarek, zrobił minę wyrażającą niesmak i pokręcił głową.

–Boże, tato, jest dopiero wpół do dziewiątej rano. Samuels wrzucił ramionami.

–To mój poranek i moje cygaro. Jared spojrzał przez biurko na ojca, szczupłego i pewnego siebie człowieka,

obchodzącego się z symbolami sukcesu i władzy z taką łatwością, jakby smarował bułkę masłem. Niezdolny do wypowiedzenia słowa, wpatrywał się w złożone nogi biurka, stojące na luksusowym orientalnym dywanie. „Tajna broń” – tak Kate go nazwała. Źródło jej siły. Mówiła te słowa do Wina, ale tak naprawdę były skierowane do niego. Z wielkim trudem podniósł wzrok.

–Słyszę, co mówisz, tato. I rozumiem, czego chcesz.

–I?

–I nie mogę się zgodzić. Kate twierdzi, że nie dopuściła się żadnych kłamstw, i wierzę jej.

–Że co?

Jared miał wrażenie, że wędnie pod spojrzeniem ojca.

–Wierzę jej. I zamierzam zrobić, co w mojej mocy, by pomóc jej oczyścić się z zarzutów. – W słowach tych była siła, która zdziwiła nawet samego Jareda. Wstał. – Powiem

ci coś jeszcze, tato. Jeśli się okaże, że Kate mówi prawdę, będziesz musiał cholernie dużo

wyjaśnić.

Samuels wstał również, jego oczy rzucały błyskawice.

–Chyba pamiętam podobną rozmowę. Byliśmy w twoim mikrobiurze w Vermoncie.

Ostrzegałem cię, byś się nie żenił z tą pozbawioną korzeni hipiską, z którą mieszkałeś.

Powiedziałem, że nic się dla niej nie liczy. Stałeś wtedy przede mną tak samo jak teraz i

wyrzucałeś mnie z gabinetu. Dwa lata później twoja żona i córka zniknęły, a ty przypełzłeś do

mnie po pomoc. Zapomniałeś?

–Tato, to było kiedyś. To...

–Zapomniałeś?

–Nie, nie zapomniałem.

–Zapomniałeś, ile pieniędzy i czasu przeznaczyłem na znalezienie tej kobiety mimo moich uczuć do niej?

–Posłuchaj, nie chcę się kłócić.

–Wynoś się – powiedział obojętnie Samuels. – Kiedy odzyskasz zmysły i kolejny raz odkryjesz, że miałem rację, zadzwoń.

–Tato...

–Powiedziałem, idź stąd. – Samuels odwrócił się i zaczął wyglądać przez okno.

Jared otworzył drzwi i niemal się zderzył z Jocelyn Trent, która równocześnie się prostowała i cofała. Szybko zamknął za sobą drzwi.

–Co tu robisz? – spytał.

–Jared, pozwól, że coś ci wyjaśnię. – Wzięła go za ramię i poprowadziła do garderoby w holu wejściowym, gdzie podała mu szybko płaszcz. – Spotkajmy się za dziesięć minut -szepnęła mu do ucha. – W sklepiu na rogu Charles i Mount Vernon. Mam dla ciebie coś ważnego, właściwie to dla Kate.

Gdy wychodził z domu, otworzyły się drzwi gabinetu Wina. Samuels Senior stał ze splecionymi ciasno na piersi ramionami i patrzył, jak syn odchodzi.

Nawet skromnie ubrana, w spodniach i prostym wełnianym płaszczu, Jocelyn Trent przyciągała spojrzenia przechodniów. Jared stał przed sklepem i widział, jak przy krawężniku po drugiej stronie ulicy Charles kilku kierowców zwolniło, mijając ją. Wyszedł z osłony głębokiego portalu i spotkał się z nią na rogu. Ich stosunki – choć serdeczne – nigdy nie osiągnęły stadium przyjacielskości. Ojciec dbał o to, by kontakt Jareda z Jocelyn pozostał powierzchowny i żadne z nich nie miało wielkiej potrzeby tego zmieniać.

–Dziękuję, że zechciałeś się ze mną spotkać – powiedziała, wprowadzając go z powrotem w cień portalu. – Nie mam wiele czasu, powiem, co mam do powiedzenia, i natychmiast pójdę sobie.

–Nie mam nic przeciwko temu.

–Jared, odchodzę od twojego ojca. Zamierzam powiedzieć mu o tym po południu.

–Przykro mi. Wiem, jak bardzo mu na tobie zależy.

–Naprawdę? Sądzę, że wiesz tak samo jak i ja, że Winowi Samuelsowi raczej na nikim nie zależy. Wielka szkoda, bo, choć brzmi to dziwnie, może go nawet Kocham.

–Dlaczego więc...

–Jared, proszę cię, naprawdę nie mam wiele czasu, a to, co robię, jest dla mnie bardzo trudne. Wiedz, że mam swoje powody, aby go opuścić i aby dać ci to. – Podała mu zamkniętą kopertę. – Kate jest wspaniałą kobietą i nie zasługuje na takie traktowanie z jego strony. Zawsze byłam wobec twojego ojca stuprocentowo lojalna... Do dziś. Wiem, jak ciężko jest mu się przeciwstawić. Bóg wie, że nieraz miałam na to ochotę. Uważam, że dobrze zrobiłaś.

–Jocelyn, możesz mi powiedzieć, czy mój ojciec kłamie, czy mówi prawdę? To bardzo ważne.

Uśmiechnęła się.

–Zdaję sobie sprawę z tego, jakie to ważne. Chyba zauważyłaś, że podsłuchiwałam pod drzwiami. A jednak muszę ci odpowiedzieć, że nie wiem... nie jestem pewna. Jared, w kopercie jest numer telefonu. Idź w jakieś spokojne miejsce i zadzwoń pod ten numer. Jeśli moje podejrzenia są prawidłowe, powinieneś być w stanie sam zdecydować, kto mówi prawdę... Kate czy twój ojciec.

–Nie rozumiem. Co to za numer? Skąd go masz?

–Nie chcę więcej na ten temat mówić, ponieważ istnieje niewielka możliwość, że się mylę. Pozostańmy przy tym, że odkąd znam twojego ojca, dzwonił od czasu do czasu pod ten numer. Przez moje ręce przechodzą wszystkie rachunki, także telefoniczne, stąd wiem. Rok albo dwa lata temu przypadkiem podsłuchiwałam fragment jego rozmowy telefonicznej, a ponieważ to, co usłyszałam, mną wstrząsnęło, zanotowałam czas, o której rozmowa była prowadzona. W ten sposób poznałam ten numer. Nie chcę mówić więcej na ten temat. Może tak być?

–Może, ale...

–Życzę ci wszystkiego dobrego, Jared. Wam obojgu. To, co Kate powiedziała wczoraj wieczór, pomogło mi podjąć kilka decyzji, które powinnam była podjąć dawno temu. Mam nadzieję, że to, co zrobiłam, pomoże jej. – Ujęła dłoń Jareda, krótko ją uścisnęła i już jej nie było.

Jared chwilę patrzył, jak Jocelyn idzie szybkim krokiem ulicą Mt. Vernon, po czym rozerwał kopertę. Zapisany na kartce formatu osiem na dziesięć centymetrów numer telefonu miał kierunkowy 213. Los Angeles.

Pojechał do swego biura. Całą drogę zastanawiał się nad tym, jaka tajemnica może

kryć się pod tym numerem. Kiedy usiadł za biurkiem, przez długą minutę wpatrywał się w kartkę, dopiero potem zadzwonił.

Po trzecim dzwonku podniesiono słuchawkę. Kobieta, wyraźnie obudzona telefonem, rzuciła senne:

–Halo?

Jared nagle zaczął walczyć o powietrze i tak mocno przycisnął słuchawkę do ucha, aż

zaczęło go boleć.

–Halo? – spytała ponownie kobieta. – Jest tam kto? Nawet po tylu latach natychmiast rozpoznał głos.

–Lisa? – spytał, z trudem wypowiadając sylaby.

–Tak. Kto mówi? Słucham, kto mówi?

Jared powoli odłożył słuchawkę na widełki.

Rozdział 14

Piątek, 21 grudnia

Ból, spotęgowany niewygodną pozycją, sprawił, że Kate powoli odzyskiwała przytomność. W momencie umysłowego półmroku, tuż przed całkowitym ocknięciem się, miała wrażenie, że została pogrzebana żywcem przez okrutnych porywaczy. Za kilka godzin udusi się albo zamrze na śmierć. Jared miał bardzo niewiele czasu na zebranie okupu, a jedyną osobą, do której mógł się zwrócić, był jego ojciec. Dźwięk śmiechu Wina Samuela odbijał się echem w jej grobowcu, narastał i narastał, aż obudziła się z krzykiem.

Leżała na plecach. Wargi i policzki miała pokryte zaschniętą i zamrznętą krwią. Słabe światło, wpadające z obu stron rury, ledwie wydobywało z ciemności skorodowany metal, mniej więcej trzydzieści centymetrów przed jej oczami. Leż spokojnie, nakazywała sobie. Nie poruszaj się. Spij, aż przyjdzie Jared. Zamknij oczy i śpij. Myśli były tak pocieszające... tak dodawały otuchy, że musiała bardzo się starać, by uzmysłwić sobie, że są wynikiem zimna paralizującego ją od środka. Przez jakiś czas była w stanie myśleć jedynie o śnie... śnie i szyderym stwierdzeniu Zimmermanna, że jeśli nawet przeżyje, nikt nie uwierzy w jej opowieść. Była chora, szalona, napchana narkotykami... tak powszechnie uważano. Jej sytuacja stała się beznadziejna. Nie tylko Zimmermann tak oświadczył... taka była prawda. Raz za razem zimno przypominało jej, w jak rozpaczliwym znalazła się położeniu... Powinna spać... to wydawało się kojącym niczym gorąca kąpiel.

Kate rozprostowała dłonie i stopy, próbując walczyć z wygodnymi urojeniami i inercją. Pozostań w bezruchu, to umrzesz. Poddaj się zimnu, to nigdy więcej nie zobaczysz Jareda; nigdy nie będziesz mogła mu wyznać, ile znaczy dla ciebie jego list i decyzja.

Spróbowała przesunąć się do przodu, ale nie mogła na tyle zgiąć kolan, by odepchnąć się stopami. Musiała się zobaczyć z Jaredem. Chciała mu powiedzieć, że ona jest gotowa dokonywać wyborów. Z powodu bólu nóg i znacznie silniejszego bólu w boku, wijąc się i szarpiąc, przekręciła się na brzuch. Popełniła błąd, pozwalając Willoughby'emu na wysunięcie jej kandydatury, nie próbując ocenić sytuacji z punktu widzenia Jareda. Popełniła błąd, a teraz mogła jedynie przyznać się do tego i mieć nadzieję, że Jared uwierzy, iż to dzięki niemu, a nie z powodu wyniszczających wydarzeń, dostrzegła prawdziwą kolejność priorytetowych spraw.

Pomału posuwała się do przodu, pokonała już połowę drogi. Wyglądało na to, że mgła się podniosła. Widziała sylwetki drzew na tle białego nieba. Jeszcze dwa metry i zrobiło się

wystarczająco jasno, by dostrzec wskazówki zegarka. Piętnaście po jedenastej. Tkwiła zamknięta w grobowcu ponad godzinę. Czy Zimmermann czekał w pobliżu? Czy chciało mu się tak długo stać w śniegu, na mrozie?

Gnana chęcią zobaczenia się z Jaredem i naprawienia wszystkiego, przesuwała się kawałek po kawałku po lodowatej powierzchni. Kilkadziesiąt centymetrów przed wylotem zatrzymała się i zaczęła słuchać. Poza cichym odgłosem jej własnego oddechu nie dochodził do niej żaden dźwięk. Czy godzina wystarczyła? Zimmermann chyba odjechał z obawy, że jego samochód ściągnie na siebie uwagę. W końcu zrezygnowała z prób rozmyślenia o możliwych wariantach. Jeśli czekał, nie będzie w stanie wiele zdziałać. Jeśli nie czekał, pokona ból i wyziębienie i dotrze do domu. Trzeba było sporo naprawić.

Ze stłumionym okrzykiem złapała palcami skraj rury i pociągnęła się do przodu.

„Przykro nam, ale nie jesteśmy w tej chwili w stanie odebrać twojego telefonu. Zaczekaj na sygnał, po czym podaj nazwisko, numer swego telefonu oraz godzinę, o której dzwoniłeś, a Kate albo Jared oddzwonią najszybciej jak tylko się da”.

–Kate, to znów ja. Nie zwracaj uwagi na poprzednie dwie wiadomości. Nie zostaję w biurze i nie będę rozmawiał z Reese'em. Wracam do domu. Nigdzie nie wychodź. Dzięki. Kocham cię.

Coś było nie tak. Przez niemal pięć lat ich małżeństwa Jared nigdy nie czuł tak intensywnego związku duchowego z żoną. Przewrażliwienie oraz niepokój związany z trzema nieodebranymi telefonami do domu spowodowały pojawienie się złego przeczucia, które ciążyło mu na piersi niczym kowadło. Raz za razem powtarzał sobie, że uczucie jest irracjonalne, bezzasadne i głupie. Była u sąsiadów albo biegała. Jego samochód stał od tygodnia w garażu w biurze, więc wziął jej volvo, ale mimo to pozostawało mnóstwo miejsc, dokąd mogła pójść na piechotę.

Wyjechał z centrum na most Mystic River. Racjonalna część umysłu zmuszała go, by nie przekraczać stu dziesięciu kilometrów na godzinę. Z Kate nic złego się nie działo. Istniało jakieś wyjaśnienie, dlaczego przez ostatnie półtorej godziny nie podnosiła słuchawki. Nie potrafił jedynie na nie wpaść, bo jego koncentracja i zdolność logicznego myślenia były nieco zaburzone. Miał piekielny poranek.

Telefon do Kalifornii i dźwięk głosu Lisy przyniósł mu ulgę i jednocześnie spowodował niesmak. Ojciec kłamał. Kłamał w sprawie Lisy... Prawdopodobnie kłamał także na temat Stonefield. Jared aż się skulił na myśl, jak bliski był popełnienia błędu. W duchu dziękował sobie, że podjął decyzję i napisał czarno na białym o swym oddaniu Kate, nim się

dowiedział prawdy o ojcu. Win przez wszystkie lata płacił Lisie. Wniosek narzucił

się sam i budził obrzydzenie. Niezła z nich para – jego była żona i Winfield Samuels. Jedno kompletnie otępiałe, drugie do cna zepsute. Cholerny tandem.

Była jednak jeszcze Stacy. Mijając naćkane wzdłuż trasy numer jeden beznadziejne bary szybkiej obsługi, sklepy fabryczne, tanie motele, jaskrawe restauracje i kluby nocne z programem erotycznym, Jared z bólem o niej myślał. Co powiedziano jej o ojcu? Czy istniała możliwość, by wkroczył z powrotem w jej życie, nie niszcząc szacunku do matki... nie krzywdząc dziewczynki? Kate na pewno dobrze wyczuje, co należy zrobić. Razem podejmą odpowiednią decyzję. Cholera, jak niewiele brakowało, jak niewiele brakowało i obróciłby wszystko w perzynę...

Dom zastał pusty. Zniknął strój Kate do biegania, nie było Roscoe'a. Od jego pierwszego telefonu minęło jednak już kilka godzin – zbyt wiele jak na przebieżkę. Jared rozejrzał się po podwórzu i wokół domu. Niczego i nikogo. Miał dwie rzeczy do wyboru: czekać albo dzwonić na policję. Wrażenie ciężącego jak ołów niepokoju, które miał w Bostonie, jeszcze się nasiliło. Czekanie nie miało sensu.

Kiedy szedł do telefonu w kuchni, wyjrzał przez frontowe okno. Trójka dzieci z sąsiedztwa, każde mniej więcej ośmioletnie, szła podjazdem, ciągnąc za sobą sanki. Stało na nich kartonowe pudło. Ostatni fragment ścieżki, wykopany jedynie na szerokość łopaty, był zbyt wąski na sanki. Dwoje młodszych dzieci zostało z tyłu i uklęknęło przy kartonie, trzecie podbiegło do frontowych drzwi. Jared wyszedł dziewczynce naprzeciw.

–Panie Samuels... to... Roscoe – wydyszała mała. – Znaleźliśmy go w śniegu.

Jared, z paskudnym skurczem mięśni brzucha, przebiegł obok dziewczynki i podbiegł

do sanek. Owinięty kocem Roscoe podniósł na niego oczy i słabo spróbował wstać. Jego ogon uwolnił się spod koca i zaczął z podnieceniem stukać w tekturę.

–Ma złamaną łapę – bez wahania oświadczył klęczący przy psie chłopiec.

Jared przycisnął psa, by leżał, i odsunął koc. Prawa łapa Roscoe'a była złamana tuż nad stawem kolanowym; spod skóry wystawała kość.

–Chodźcie, dzieci – powiedział Jared, biorąc karton. – Wejdźcie do środka i zajmijmy się nim. Moglibyście mnie później zaprowadzić do miejsca, gdzie go znaleźliście?

–Oczywiście – odparła dziewczynka. – Dziś jest rada pedagogiczna, więc nie mamy lekcji. Zjeżdżaliśmy na sankach z górki do mostu i tam był... leżał, ot tak, na śniegu. Moja mama dała nam karton i koc.

–Wygląda, jakby został potrącony przez samochód... Dzieci, to bardzo ważne, czy ktoś z was widziało Kate, moją żonę? – Zgodnie pokręciły głowami. Jared pogłaskał psa po

łbie. Ze skaleczonej wargi sączyła się krew. – No cóż, zadbajmy o pomoc dla Roscoe’ a, potem pójdziemy tam, gdzie go znaleźliście. – Zżerało go przerażenie i niepokój i musiał się mocno starać, by jego głos brzmiał spokojnie. Przestraszone i roztrzęsione dzieci w niczym mu nie pomogą... ani Kate.

Kilka minut później byli w samochodzie – Jared i dwójka młodszych dzieci. Najstarsza dziewczynka została w domu, by zająć się psem i czekać na weterynarza.

–Dobra, dzieciaki, powiadacie, że jeździliście na sankach przy moście. Przy kamiennym na strumieniu? – Oboje entuzjastycznie pokiwali głowami. – Świetnie. Wiem, gdzie to jest.

Krótką jazdą wąską, zaśnieżoną drogą zdawała się nie kończyć. Wreszcie Jared zaparkował na szczycie wzgórza i wpół biegnąc, wpół się ześlizgując, dotarł do zagłębienia w śniegu, gdzie według dzieci leżał Roscoe. Wziął długą, ciepłą kurtkę, ale nie zmienił ani spodni, ani butów, a wyprawa do otaczającego lasu zapowiadała się niemilo i zimno. Pomijając jego własne ślady stóp, śnieg wokół był nienaruszony. Po rozejrzeniu się wrócił na drogę i zaczął schodzić ze wzgórza. Dzieci szły na jego prośbę z tyłu – każde po innej stronie drogi – i patrzyły, czy czegoś nie przeoczył.

Zatrzymał się przy kamiennym moście. U podstawy jednego z obramowań widać było wyraźne ślady kolizji. Wyrwany został fragment granitu, od tego miejsca odchodziło mniej więcej półmetrowej długości wyżłobienie. Śnieg na jednym brzegu strumienia wydawał się ugnieciony. Na samym środku uklepanego miejsca, jakby częściowo spod śniegu, mignęło coś jaskrawożółtego.

Poprosił dzieci, by zostały na miejscu, i zbiegł stromym nasypem tuż nad wodę. Żółtym przedmiotem okazała się czapka Kate, najwyraźniej rozmyślnie wciśnięta w śnieg. Mniej więcej metr od czapki dostrzegł plamę innego koloru. Niemal na pewno była to krew -zaschnięta, rozsmarowana na kawałku ubitego śniegu. Odbyła się tu walka. Widać to było wyraźnie. Czy Kate została dokądś zawleczone? Rozejrzał się za mogącymi potwierdzić to znakami, zamiast tego dostrzegł tuż za mostem biegnące równolegle do skraju wody ślady stóp. Wpadając raz za razem do wody, podbiegł do miejsca, gdzie się zaczynały. Mógłby przysiąc, że ślady pozostawiły dwie osoby. Spojrzał w górę. Dzieci przeszły na jedną stronę drogi i patrzyły na niego, stojąc przy samym murze. Wiedział, że dziewczynka mieszka niedaleko od mostu, najwyżej kilometr od miejsca, gdzie się znajdowali.

–Crystal! – zawołał. – Twoja mama jest w domu?

–Jest.

–Mogłabyś do niej pójść?

–Mogłabym.

–Więc zrób to, proszę. Powiedz jej, że Kate zaginęła i może być ranna. Spytaj, czy mogłaby tu przyjechać i pomóc nam szukać. Dobrze?

–Dobrze.

–Crystal! Świetnie się spisałaś, przywożąc Roscoe’a. Leć teraz do domu.

Jared stał w miejscu, aż ucichł chrzęst butów dzieci. Potem zamknął oczy i próbował

nasłuchiwać, czy w ciszy rozlegnie się jakiś dźwięk, jakiś znak. Nie słyszał niczego. Czując coraz wyraźniej zimno w stopach i łydkach, ruszył przed siebie głębokimi śladami. Obawiał się najgorszego i spodziewał po każdym kroku potwierdzenia swych lęków. Sto metrów od mostu ślady skręcały ostro w lewo i znikaly w strumieniu.

–Kate? – Kilka razy zawołał jej imię. Głos był natychmiast tłumiony przez śnieg i

drzewa. – Kate, to ja, Jared! – W okolicy było coś surowego i przytłaczającego, a panująca

cisza hipnotyzowała. Miał wrażenie, że w miarę jak posuwa się wzdłuż strumienia, szukając

nowych śladów stóp, cisza się jeszcze pogłębia.

Nagle nabrał pewności. Było to wrażenie tak przenikliwe jak zimno. Kate musiała być w pobliżu. Była blisko i milczała. Wołał ją co kilka kroków. Pochylił się, by przejść pod wielkim przewróconym drzewem i poszedł wzdłuż ostrego skrętu strumienia w lewo. Zatrzymał się. Daleko po prawej stronie, ze stromego nasypu, którym biegła droga, wystawała końcówka rury drenażowej. Przy niej widać było ślady stóp.

–Kate? – Jared zamknął oczy i niemal natychmiast poczuł coś dziwnego, jakby ktoś przekazywał mu sygnał. Kate była niedaleko i żyła. Dokładnie to czuł... życie ich obojga, ich energie, zostały połączone cienką jedwabną nicią świadomości.

–Jared? – Było to słowo, choć nie słowo, słyszał dźwięk i nie słyszał. W dalszym ciągu z zamkniętymi oczami wypuścił powietrze i zaczął nasłuchiwać. – Jared, pomóż

mi. – Zdawało się, że głos nie tyle dochodzi z zewnątrz, co z jego wnętrza. Ruszył szybko wzdłuż nasypu, raz za razem wołając Kate po imieniu. Po dojściu do rury krzyknął z całej siły do środka długiego, pustego cylindra. W końcu, w nadziei, że będzie miał stamtąd lepszy widok, wspiął się na drogę.

Kate leżała, twarzą do ziemi, po drugiej stronie nasypu, mniej więcej na jednej trzeciej wysokości i – choć słabo – wpijała się palcami w śnieg. Jared skoczył w dół, potykając się i ześlizgując; dotarł do niej w kilka sekund. Delikatnie ją odwrócił i położył sobie na kolanach. Włosy Kate były zmatowiałe i zmrożone, twarz spryskana krwią. Porwany w wielu miejscach dres był sztywny od lodu. Miała zamknięte oczy.

–Katey, to ja. Znalazłem cię. Wszystko będzie dobrze. Oderwał jej włosy w miejscach, w których przymarzły do twarzy. Oddychała płytko, każdemu wydechowi towarzyszył cichy jęk bólu.

–Skarbie, słyszysz mnie? Otworzyła oczy i powoli skupiła na nim wzrok.

–Och, Jared... proszę cię... Roscoe... Pocałował ją.

–Jest ranny, ale nic mu nie będzie. Doktor Finnerty zaraz się nim zajmie. Co z tobą? Coś sobie złamałaś?

–Żeb...ra... – udało jej się powiedzieć tonem, który był mieszanką jęku i kaszlu. – Mogę... mieć... przebite... płuco...

–Boże... Kate, podniosę cię. Spróbuję nie sprawić ci bólu, ale musimy dostać się na drogę.

Pod wpływem napięcia wywołanego sytuacją bez trudu uniósł Kate, ale wędrówka stromym, pokrytym lodem nasypem okazała się całkiem innym zadaniem. Każde postawienie nogi było niebezpieczne i po każdym dwóch, trzech małych krokach musiał kłaść Kate na ziemi, by znaleźć odpowiedni punkt podparcia. Centymetr po centymetrze, posuwali się jednak do przodu. Kiedy wreszcie Jared wszedł na drogę, opadł na kolana, przycisnął Kate do piersi i zaczął łapczywie łąpać powietrze.

Kłęczał bezradnie, ogrzewał twarz Kate oddechem i obserwował powolne, ale równomierne unoszenie się i opadanie klatki piersiowej. Wkrótce przez odgłos ich oddechów przebił się pomruk samochodu. Kilka chwil później zza zakrętu wyjechało beżowe kombi. Za kierownicą siedziała kobieta, a obok niej dwoje bardzo podnieconych dzieci.

–Świetnie się spisałaś, Crystal – szepnął Jared. Przysunął usta do ucha Kate. –

Przybyła pomoc, skarbie. Wytrzymaj jeszcze trochę. Przybyła pomoc.

Kate na chwilę otworzyła oczy. Jej usta ułożyły się w grymas, który miał być uśmiechem.

–To robota Zimmermanna – powiedziała.

Jared to wychodził z małej przyjemnej poczekalni na korytarz, to do niej wracał.

Szpital imienia Mary T. Henderson miał opinię jednego z najlepszych szpitali wiejskich w całym stanie, był to jednak tylko szpital wiejski, kilkadziesiąt razy mniejszy od bostońskich klinik.

Mijały prawie trzy godziny od chwili, kiedy zabrano Kate na salę operacyjną. Według opinii lekarza dyżurnego w izbie przyjęć doktor Lee Jordan był najlepszym chirurgiem tutejszego szpitala. Jared niemal wybuchnął śmiechem, gdy się okazało, że dystyngowany pan

o skroniach przyprószonych siwizną – tak bowiem wyobraził sobie chirurga – jest szczupłą, niezwykle atrakcyjną kobietą w wieku około czterdziestu pięciu lat. Czy kiedykolwiek uda mu się uciec od efektów programowania, któremu poddawano go przez tyle lat?

Obrażenia Kate były poważne i, zdaniem doktor Jordan, wymagały chirurgicznej interwencji – przewidywała konieczność wykonania zabiegu na otwartej klatce piersiowej.

Jaredowi pozwolono przez chwilę zobaczyć się z Kate przed operacją, nie była to jednak okazja do porozmawiania o szczegółach związanych z zamachem na jej życie. Przyjechał oficer z Wydziału Policji Essex, zapisał kilka danych, które znał Jared, i obiecał, że jak tylko Kate będzie w stanie złożyć oświadczenie, w śledztwo włączy się policja stanowa. Do tego czasu nie należało się spodziewać aresztowania, gdyż oświadczenie Jareda było prawnie niewystarczające.

Jared właśnie przyglądał się plakietce informującej, że poczekalnia jest darem małżeństwa o nazwisku Berman, kiedy uchyliły się oszklone drzwi, prowadzące na salę operacyjną, i na korytarz wyszła doktor Lee Jordan. Jej twarz – świeża i czujna kilka godzin temu, kiedy przyjechała do szpitala – była teraz szara i ściągnięta i przez chwilę Jared się obawiał, że może mieć złe wieści.

–Stan pańskiej żony jest dobry – powiedziała doktor Jordan, kiedy podeszła na tyle blisko, że mogła mówić, nie podnosząc głosu. Popatrzyła na niego oceniająco – A co z panem?

–Ja... ze mną wszystko w porządku. – Oparł się o ścianę. – Tylko tak wyglądam, bo

przez moment się bałem, że...

Poklepała go po ramieniu.

–Ożenił się pan z twardą dziewczyną, przyjacielu. Ma odmrożenia na palcach stóp, brzegach uszu i czubku nosa, ale wygląda na to, że została zabrana w ciepłe miejsce akurat na czas, by nic nie stracić. Uszkodzenie płuca nie okazało się aż tak wielkie. Zaszylałam ją i zrobiłam co trzeba z raną w boku. Czeka ją kilka bolesnych dni, ale nie spodziewam się niczego złego. Będzie się pan mógł z nią zobaczyć za mniej więcej pół godziny. Poprosiłam pielęgniarkę, by po pana przyszła.

–Dziękuję pani. Bardzo pani dziękuję.

–Cieszę się, że mogłam pomóc.

Nim Jared dotarł do domu, minęła piąta. Z powodu podanych leków, może także w wyniku narkozy, Kate udało się jedynie ścisnąć mu dłoń, by dać do zrozumienia, że wie, iż

jest przy jej łóżku. Doktor Jordan ostrzegła, że Kate najprawdopodobniej nie będzie pamiętała pierwszych pięciu albo sześciu godzin po zabiegu.

Całkiem inaczej było z psem. Kiedy Jared zjawił się u weterynarza, Roscoe wstał i zaczął skakać po klatce, nie zwracając najmniejszej uwagi na gipsowy opatrunek ani nie zdradzając jakichkolwiek śladów po narkozie, którą dostał, by można mu było wstawić w miejscu złamania metalową płytkę. Po widoku Kate, z której ciała wystawało kilka różnych plastikowych rurek, obraz poobijanego zwierzęcia był kroplą, która przelała dzban. Zimmermann zapłaci. Jared poprzysiągł, że bez względu na to, ile to będzie kosztować, Zimmermann słono zapłaci za to, co zrobił.

Wycieńczony wydarzeniami dnia i prawie trzydziestoma sześcioma godzinami bez snu, Jared poszedł do sypialni z butelką löwenbräu dark, dwoma dużymi haustami opróżnił połowę, rozebrał się do bielizny i wyciągnął na łóżku. Pielęgniarki powiedziały, że nie ma sensu wracać do szpitala przed ranem. Niech tak będzie. Odpocznie, poczyta i odmówi kilka modlitw dziękczynnych za życie Kate i Roscoe'a, za to, iż dane mu było poznać smutną prawdę o ojcu, nim zrobiło się za późno, pomodli się także o szczęście dla Jocelyn Trent.

Podłożył sobie pod plecy dwie poduszki i właśnie przeglądał leżące na stoliku przy łóżku czasopisma, kiedy jego wzrok padł na automatyczną sekretarkę. Była włączona od momentu, kiedy Kate wyszła pobiegać i nagrało się na niej kilka wiadomości. Pierwsze trzy pochodziły od niego samego, następna od Ellen, kolejna od jednego z ważnych klientów jego firmy, którego prawdopodobnie zapewniono, że syn Winfielda nie będzie miał nic przeciwko temu, by dzwonić do niego do domu. Ostatnia wiadomość była przeznaczona dla Kate i pochodziła od człowieka, który nazywał się

Arlen Paquette.

„Witam, pani Bennett. Mówi Arlen Paquette z Redding – powiedział mężczyzna tak, jakby się bardzo śpieszył i czymś mocno niepokoił. – Będę sam jeszcze tylko kilka sekund. Mam dla pani odpowiedzi. Wiele odpowiedzi. Proszę przyjść dokładnie o wpół do dziewiątej dziś wieczór do sutereny Omnicenter. Proszę przyprowadzić ze sobą pomoc. Mogą być kłopoty. Proszę mi zaufać. Wiem, co pani zrobiliśmy, ale proszę mi zaufać. Już idzie, muszę kończyć. Do zobaczenia”.

Jared znalazł kartkę papieru i coś do pisania, po czym ponownie odtworzył wiadomość i spisał ją słowo w słowo. ODPOWIEDZI. Wreszcie ktoś obiecywał odpowiedzi. Włożył dżinsy, roboczą koszulę i sweter. Było już po siódmej. Ledwie zdąży na wpół do dziewiątej do szpitala Metropolitan, a co tu mówić o zorganizowaniu wsparcia policji. Będzie musiał iść sam do sutereny Omnicenter i liczyć na własne siły. OMNICENTER. Włożył

kurtkę i pobiegł do volvo Kate. To był teren Zimmermanna. Na pewno tam będzie. Był tego pewien.

–Idę po ciebie, zasrańcu – wydyszał, wyjeżdżając z poślizgiem z podjazdu na Salt Marsh Road.

Rozdział 15

Piątek, 21 grudnia

Jak wiele wspaniałych dzieł, wzory stworzone przez ojca Williama Zimmermanna były eleganckie w swej prostocie. Arlen Paquette uważał, że byłby w stanie powtórzyć wszystkie etapy syntezy estronatu 250 nawet bez pomocy Zimmermanna – polegającej na przetłumaczeniu dodatkowych informacji z niemieckiego – zwłaszcza w znajdującym się w suterenie Omnicenter laboratorium, które było specjalnie do tego celu wyposażone.

Kiedy Paquette wrócił do Ritza po rozmowie z Nortonem Reese'em (którą potajemnie nagrywał i w której napawający się swym „sukcesem” administrator kilkakrotnie oskarżył zarówno siebie, jak i kobietę o nazwisku Pierce), w recepcji czekała na niego wiadomość, by zadzwonił do Cyrusa Reddinga. Paquette wszedł do windy z przypiętym do paska dyktafonem.

–Już zaczynałem myśleć, że uciekłeś – usłyszał za plecami męski głos.

Zaskoczony gwałtownie się odwrócił. Stał za nim ochroniarz Reddinga – dość drobnej

budowy, żylasty, pozbawiony emocji człowiek, którego w obecności Paquette'a nigdy nie nazywano inaczej jak Nunes.

–Dlaczego? Witam – odparł Paquette i zaczął żałować, że nie został w pubie na trzeciego drinka. – Właśnie przekazano mi informację od pana Reddinga, że mam zadzwonić, ale podany został numer darlingtoński. Jest...

–Jest tutaj – stwierdził Nunes, w niczym nie zmieniając wyobrażenia Paquette'a, że jest zawodowym zabójcą, bezgranicznie lojalnym wobec swego chlebodawcy. – Czekaj na twój telefon.

Od tego momentu Paquette był praktycznie cały czas pod okiem Nunesa.

Teraz, w jaskrawym jarzeniowym świetle laboratorium w suterenie, Paquette popatrzył najpierw na Zimmermanna, potem na Nunesa i krótko się pomodlił, by trzy kwadransy, jakich brakowało do wpół do dziewiątej, minęły bez żadnego incydentu. Redding i Zimmermann załatwili transakcję – pieniądze za zestaw wzorów. Więcej Paquette nie wiedział, lecz obecność małomównego opryszka sugerowała, że Redding spodziewał się kłopotów albo nie zamierzał do końca wywiązać się ze swej części umowy. Możliwe, że przewidywał obie możliwości.

–Siedem minut – stwierdził Zimmermann na kilka sekund przed rozdzwonieniem się

minutnika. – W tym miejscu ojciec robił skrót w procedurze, ale nigdy go do końca nie

zrozumiałem. Doktorze Paquette, proponuję, by przeszedł pan do następnej strony i kontynuował według podanych tam szczegółów. Kolejne reakcje przeprowadzał w tym kącie i sprawdzał czystość destylatu tamtym spektrofotometrem.

Paquette skinął głową i obszedł pokryty łupkiem stół roboczy, kierując się do miejsca, które wskazał Zimmermann. Dyrektor Omnicenter nie był ani biochemikiem, ani geniuszem, wystarczająco często obserwował jednak ojca przy pracy, by móc nadzorować każdy etap syntezy. A robił to dokładnie – znał każdy ruch i wiedział o każdej dodawanej kropli.

Laboratorium było dość niezwykle. Ukryte za całkowicie niewidocznymi, zamykanymi elektronicznie drzwiami, mieściło w sobie trzy skomplikowane spektrofotometry, które tak zaprogramowano, by badały skład hormonu w poszczególnych fazach syntezy i za pomocą wbudowanych sterowników zwrotnych automatycznie regulowały przebieg reakcji chemicznej. Pomieszczenie nie było duże – miało może pięć na dziesięć metrów – ale jego projektant z największą starannością wykorzystał każdy centymetr powierzchni.

–Pański ojciec sam to wszystko zaprojektował? – spytał Paquette.

–Doktorze, niech pan uważa, pański odczynnik się przegrzewa – odparł Zimmermann, ignorując pytanie na temat ojca, tak samo jak wszystkie poprzednie. – Przepraszam, ale oblicza pan czas czegoś, o czym nie wiem?

–Nie. Dlaczego?

–Po raz trzeci w ciągu ostatnich dziesięciu minut popatrzył pan na zegarek.

–Ach, o to chodzi... – Paquette miał nadzieję, że jego śmiech nie zabrzmiał zbyt nerwowo. Kątem oka widział, jak Nunes, który siedział na wysokim stołku u szczytu stołu laboratoryjnego, poprawił się, by móc lepiej słyszeć. – To nawyk jeszcze ze szkoły średniej, może nawet wcześniejszy.

Doszedł do wniosku, że nie ma warunków do tego, by skończył swoją pracę i przekazał trzy notesy Nunesowi. Podejrzewał, że synteza będzie ostatnią rzeczą, jaką zrobi w życiu. Zarówno on, jak i Zimmermann nie mieli żywi opuścić laboratorium. W miarę upływu czasu był coraz bardziej o tym przekonany. Popatrzył na umieszczoną obok drzwi metalową płytkę. Choć nie została oznakowana, musiała służyć do ich otwierania.

Zostało jeszcze niecałe pół godziny. Jeśli Kate Bennett otrzymała wiadomość i potraktowała ją poważnie, będzie czekać – z kimś do pomocy – w magazynie na

zewnątrz.

Plan Paquette'a był prosty. Pięć po wpół do dziewiątej – ze względu na możliwość ewentualnego spóźnienia się doktor Bennett – oznajmi, że musi pójść do toalety. Idąc do laboratorium, minęli toaletę piętro wyżej. Uwzględniając element zaskoczenia, bez względu

na to, z kim przyjdzie lekarka, powinni poradzić sobie z Nunesem. Jeśli w magazynie nie zostanie nikogo, będzie musiał improwizować. Jedno było pewne: kiedy wyjdzie z laboratorium, nie wróci tu za żadną cenę. Boże, jak brakowało mu łyka alkoholu...

Ruch na drodze w kierunku miasta był jak na piątkowy wieczór niezwykle słaby i Jared obliczył, że jeśli nie pojawi się żadna niespodziewana przeszkoda, zdąży dojechać do szpitala przed czasem. Mimo to jechał, bez przerwy trąbiąc i migając światłami.

„Proszę przyprowadzić ze sobą pomoc. Mogą być kłopoty”.

Z każdym kilometrem ostrzeżenia Arlena Paquette'a nabierały mocy. Popełnił błąd, że nie zadzwonił przed wyjazdem z Essex na policję w Bostonie. Teraz dokładnie to zrozumiał. Co miałby im jednak powiedzieć? Ile musiałby tłumaczyć? Tylko jego ojciec mógł podnieść słuchawkę i bez jakiegokolwiek wyjaśnienia sprawić, by kilku funkcjonariuszy czekało przy drzwiach Omnicenter. Odpowiedzi. Paquette obiecał odpowiedzi. Przez chwilę pomyślał, czy dla dobra Kate nie powinien zapomnieć o dumie i złości i zdecydować się na telefon do Winfielda? Wiedział jednak, że chodzi o coś więcej niż dumę i złość. Ojcu nie można było ufać. Ani teraz, ani nigdy więcej.

„Proszę przyprowadzić ze sobą pomoc”. Jared zjechał z autostrady i gwałtownie zahamował przy budkach telefonicznych. Za piętnaście ósma. Miał do Omnicenter jeszcze dwadzieścia, góra dwadzieścia pięć minut jazdy. Był czas na to, by coś zrobić... ale co? Bez jasnego pomysłu zatelefonował do bostońskiego wydziału policji.

–Eee... chciałbym rozmawiać z detektywem Finnem – usłyszał własny głos. – Tak, zgadza się, Martinem Finnem. Przepraszam, nie wiem, w którym jest dystrykcie. Może w

czwartym.

Finn. Jared stwierdził, że myśl o tym facecie kiełkowała już od dłuższego czasu w jego głowie. „Twardy, ale uczciwy” – tak ojciec go określił. Jeśli taka była prawda, do Omnicenter sprowadzi go jedynie obietnica uzyskania konkretnych informacji w jakiejś sprawie, która może go zainteresować.

Finna nie było u siebie.

–Wyszedł do domu? – spytał Jared dyżurnego. – A ktoś może to wiedzieć?... Samuels.

Jared Samuels. Jestem prawnikiem. Detektyw Finn mnie zna. Jak się pan nazywa? ...Świetnie,

sierżancie, to bardzo pilna sprawa i nie mam wiele czasu. Mógłby pan przekazać porucznikowi Finnowi wiadomość, by spotkał się ze mną piętnaście po ósmej przy frontowym wejściu do Omnicenter w szpitalu Metropolitan?...Tak, zgadza się, za pół godziny.

Aha, sierżancie, jeśli go pan nie złapie, mógłby pan posłać tam kogoś innego?...Nie wiem, czy to sprawa życia i śmierci. Nie mam czasu na wyjaśnienia. Proszę spróbować.

Jared pobiegł z powrotem do volvo, zżymając się, że nie wie dokładnie, kim jest ten Arlen Paquette, nie wie, czego może się spodziewać w Omnicenter. Kiedy pędził długą, wznoszącą się prostą i ujrzał z przodu, po prawej stronie, migoczący diadem, jakim jest Boston nocą, była dokładnie ósma.

Może wynikało to ze zdenerwowania, może z tego, że od ostatniego drinka minęło sześć godzin, w każdym razie Arlen Paquette czuł, że zaczynają mu drżeć ręce i ma trudności z koncentracją. Wyjął z tylnej kieszeni spodni wygniecioną chusteczkę i starł zimny pot z czoła oraz górnej wargi. Było dopiero dziesięć po ósmej. Wykonał więcej niż połowę pracy.

–Dobrze się pan czuje? – spytał Zimmermann.

–Oczywiście. Jak najbardziej – odparł Paquette, który oburącz ścisnął kubek wody z lodem, by nie rozpryskiwać zawartości. – Chciałbym... porozmawiać chwilę z panem Nunesem. Na osobności.

–Po co? Jak na razie nie ma żadnych problemów z procedurą. Zapewniam. Doskonale kopiuje pan to, co zawierają notatki mojego ojca. Proszę kontynuować.

–Nie chodzi o to. Zaraz wrócę. Nunes... – szepnął, odwracając się plecami do Zimmermanna – potrzebuję drinka.

–Żadnej gorzały do końca pracy. Polecenie pana Reddinga. – Kiedy Nunes pochylił się

do przodu, by odpowiedzieć, poła jego doskonale skrojonej marynarki odchyliła się na tyle,

że Paquette dostrzegł rewolwer w kaburze pod pachą. Resztką wątpliwości co do swego losu

po zweryfikowaniu wzorów rozwiała się jak dym.

–Nunes, bądź człowiekiem.

Jedyną odpowiedzią zabójcy było niecierpliwe kiwnięcie głową w kierunku aparatury,

sugerujące, że robota nie została jeszcze zakończona.

–Jakiś problem? – zawołał Zimmermann.

–Nie ma żadnego problemu – odparł Nunes, kiedy Paquette ruszył z powrotem do przyrządów. – Doktorze Zimmermann, gdzie jest najbliższy kibel?

Paquette zwolnił i zaczął uważnie słuchać. Za niecałe dwadzieścia minut zamierzał zadać to samo pytanie i poczekać, aż Nunes otworzy mu drzwi. Wystarczyłoby wtedy szybkie pchnięcie w plecy i Nunes wyładowałby w ramionach policji. Plan był idealny – oczywiście zakładając, że Kate Bennett odebrała wiadomość.

William Zimmermann wskazał na ścianę.

–Widzi pan tę klamkę w zagłębieniu w ścianie, tuż pod półką? Trzeba ją przekręcić i pociągnąć.

Nunes zrobił, jak mu polecono, i od ściany odsunął się metrowej szerokości segment półek, ukazując sporą łazienkę z kabiną prysznicową.

–Ojciec miał obsesję na punkcie ukrytych drzwi i tak dalej – wyjaśnił Zimmermann.

Jego dalsza wypowiedź – jeśli zamierzał ją kontynuować – została uniemożliwiona przez hałas; kubek wody z lodem wyslizgnął się Paquette'owi z rąk i roztrzaskał na kafelkowej podłodze.

Poza światłem awaryjnym w holu wejściowym w gmachu było ciemno. Jared zaparkował po drugiej stronie ulicy i ruszył wzdłuż budynku, przyglądając się jego fasadzie, kiedy pojawił się radiowóz. Wsiadł z niego Martin Finn, który w mroku wyglądał jak wielki blok granitu z zatkniętym na szczycie płaskim kapelusikiem.

Nawet z daleka widać było, że policjant jest zniecierpliwiony i zirytowany.

–Dostałem pańską wiadomość – stwierdził Finn w ramach przywitania się. – Co jest grane? – Za jego plecami, za kierownicą radiowozu, widać było mundurowego policjanta. Silnik samochodu ciągle pracował.

–Dziękuję, że przyjechał pan tak szybko – powiedział Jared. – Nie... nie wiedziałem, do kogo mogę zadzwonić.

–I?

Jared popatrzył na zegarek. Mieli jeszcze trzynaście minut.

–Moja żona leży w szpitalu imienia Mary T. Henderson. Dziś rano, kiedy biegała, ktoś próbował potrącić ją samochodem. – Finn nie zareagował. – Nie była w stanie powiedzieć wiele, przekazała mi jednak, że sprawcą był doktor Zimmermann, dyrektor Omnicenter, który potem ścigał ją z kluczem do kół w ręku.

–William Zimmermann?

–Tak. Zna go pan? Finn patrzył lodowato.

–Przyjmował poród mojej córki. Jared jęknął w duchu.

–Cóż, w każdym razie był zamieszany w jakąś nielegalną sprawę, prawdopodobnie mającą związek z działalnością jednego z koncernów farmaceutycznych. Kate odkryła, co się dzieje, więc próbował ją zabić.

–Ale mu się nie udało? – W głosie policjanta nie było śladu współczucia ani wiary.

–Tak, na szczęście się nie udało. – Jared przełknął narastającą złość. Gra szła o znacznie wyższą stawkę i nie było czasu na spory. – Kiedy wróciłem do domu ze szpitala, niedawno temu, na naszej automatycznej sekretarce była nagrana wiadomość dla Kate od niejakiego Arlena Paquette'a. Wydaje mi się, że pracuje dla tego koncernu farmaceutycznego. Prosiłby się tu z nim spotkała... w suterenie, i radził, by wezwała pomoc. Dlatego zatelefonowałem do pana. Podejrzewam, że Zimmermann tkwi w centrum wydarzeń i znajduje się w tym ośrodku.

–Tutaj? – Finn wskazał gestem ręki ciemny budynek.

–Powiedział, że w suterenie.

–Panie Samuels, gabinet doktora Zimmermanna mieści się na drugim piętrze. Na rogu, tuż nad nami. Byłem u niego kilka razy. Co miałby, na Boga, robić w suterenie?

–Nie... nie wiem. – Zostało jeszcze jedenaście minut. – Panie poruczniku, do

spotkania ma dojść dokładnie o wpół do dziewiątej. Nie mamy już dużo czasu.

–Chce pan, bym wtargnął do zamkniętego budynku szpitalnego, poszukał i aresztował ginekologa mojej żony, dlatego że ktoś nagrał na pańskiej automatycznej sekretarce dziwaczną wiadomość?

–Jeśli drzwi są pozamykane, możemy wejść tunelami. Nie musimy się włamywać. Cholera, poruczniku, moja żona o mało dziś nie zginęła! Uważa pan, że wymyśliła sobie połamane kości i przebite płuco?

–Nie – odparł Finn. – Ale wszystko inne tak. Panie Samuels, miałem okazję co nieco sprawdzić pańską żonę. Wygląda na to, że jest skłócona z wszystkimi w mieście. Mówi się też, że wyrzucono ją ze szpitala za schrzanienie roboty.

Niech pan spojrzysz prawdzie w oczy, mecenasie, ma pan chorą kobietę. Potrzebuje pan pomocy, ale nie takiej, jaką ja mogę dać.

–Więc nie pójdzie pan ze mną? – Jared czuł, że traci panowanie nad sobą.

–Panie Samuels, przez pańską żonę ciągle jeszcze mam na gębie tyle jajek, że mógłbym usmażyć potężny omlet. Jeśli pan sobie życzy, przyjmę zgłoszenie, a jeśli poda mi

pan coś, co to uzasadni, jestem gotów złożyć wniosek o wydanie nakazu rewizji. Mowy

jednak nie ma o komandoskich wyczynach. Na pańskim miejscu pojechałbym do domu i

zastanowił się nad znalezieniem żonie dobrej, profesjonalnej opieki.

Nie zastanawiając się nad konsekwencjami, Jared uderzył policjanta... szerokim sierpem, który trafił go prosto w policzek i posłał na stertę śniegu. Mundurowy funkcjonariusz natychmiast wyskoczył z auta, z dłonią na rękojeści służbowego rewolweru.

Finn, któremu z kącika ust zaczął spływać strumyczek krwi, machnął na niego, że nie jest potrzebny.

–Nie trzeba, Jackie. Nic się nie stało. Pan mecenas uznał, że ma ze mną rachunki do wyrównania, i właśnie to zrobił. – Odpychając się rękami od ziemi, wstał. Widać po nim było

efekt ciosu. – A teraz, mecenasie, niech pan spieprza. Jeśli się dowiem, że wziął pan

udział w

jakiejś rozróbie, przegonię pana do Toledo. Jasne?

Jared wpatrywał się w detektywa.

–Myli się pan, Finn. Co do mojej żony, co do konieczności przyjscia z pomocą, co do

wszystkiego. Nawet pan nie wie, jak cholernie się myli. – Popatrzył na zegarek, po czym się

odwrócił i ruszył biegiem do głównego wejścia i schodów, którymi wchodziło się do tunelu

prowadzącego do Omnicenter. Zostało niecałe pięć minut.

Zakończyły się już godziny wizyt. W szpitalu panowała cisza. Jared przeszedł przez hol, starając się nie zwracać na siebie uwagi, i zbiegł w dół pierwszymi schodami, na które się natknął. Choć rzadko korzystał z ponurych tuneli, mętnie przypominał sobie znak informujący o drodze do Omnicenter. Gdzie on mógł być?

Tunel był pusty i jakby słabiej oświetlony niż zazwyczaj. Wzdłuż jednej ściany stała karawana noszy, między którymi poustawiano puste wózki na brudną bieliznę. Na przeciwległej ścianie znajdował się znak wskazujący drogi do różnych budynków. Dolne trzy nazwy, wśród których niemal na pewno znajdowało się OMNICENTER, były całkowicie zamazane mieszanką brudu i graffiti. Kate powiedziała mu kiedyś, że zamiłowanie do pracy w szpitalu Metro mogło powstać jedynie u ludzi określonego charakteru, sugerując przy tym, że duch personelu i lojalność wielu pacjentów ma jakiś związek z niedostatkami tego miejsca. Jared stwierdził, że zrozumienie tej idei – co zresztą dotyczyło wielu innych rzeczy związanych z jego żoną – będzie wiązało się z pewnym wysiłkiem umysłowym.

Niezawodny zmysł orientacji kazał mu iść w prawo. Nie było sensu wątpić w odruchowe reakcje. Biegł, powodując głośnie dudnienie na betonowej posadzce, i rozglądał się za czymś, co mógłby wykorzystać jako broń. Był wściekły na siebie za to, że nie zdołał ściągnąć pomocy.

Tym razem instynktowny wybór go nie zawiódł. Prowadząca do Omnicenter odnoga znajdowała się pięćdziesiąt metrów przed nim.

Było dokładnie wpół do dziewiątej. Zaciemnione przejście rozświetlało jedynie światło wpadające z głównego tunelu. Ponieważ Jared biegł mocno pochylony do przodu, za późno dostrzegł błysk metalowej bramki i walnął w nią głową. Zapora, będąca udoskonaloną wersją zabezpieczenia schodów, mającego zapobiec

spadnięciu małego dziecka, była

rozciągnięta w poprzek tunelu i przymocowana do ściany solidnymi ryglami. Oszołomiony, opadł na kolano i zaczął obmacywać miejsce tuż nad prawym okiem. Po chwili ukląkł. Jeśli koordynacja w czasie była tak istotna, jak przedstawił to Arlen Paquette, zostali pokonani. Zapora niemal dotykała podłogi, od sufitu dzieliło ją maksimum dwadzieścia pięć centymetrów i wyglądała solidnie.

Wycieńczony i zrozpaczony, Jared podciągnął się, chwycił pręty i zaczął bezlitośnie nimi potrząsać... niczym siedzące w klatce zwierzę. Przepraszam, Katey. Był w stanie myśleć tylko o tym. Przepraszam, że wszystko tak koncertowo spieprzyłem.

–A teraz się nie ruszaj, synu, i odwróć bardzo powoli. – Jared zamarł, nie puszczał prętów. – Celuję do ciebie z broni, więc nie podnieć się za bardzo ani nie wpadnij na żaden

inny głupi pomysł.

Zrobił, co mu kazano. Dziesięć, może dwanaście metrów od niego, widoczny na tle tunelu jako czarny kontur, stał nocny strażnik.

–Kim jesteś? Co tu robisz? – spytał.

–Proszę, musi mi pan pomóc! – Jared zrobił dwa kroki w jego stronę.

–Małe szanse, młody człowieku. Jak mam się zastanawiać nad udzieleniem ci pomocy, jeśli nie wiem, jak się nazywasz?

Jared zmusił się do zachowania spokoju.

–Nazywam się Samuels. Moja żona pracuje w tym szpitalu. Doktor Bennett. Doktor Kate Bennett. Zna pan ją?

Strażnik opuścił rewolwer.

–Pan jest tym prawnikiem?

–Tak. To ja. Niech pan posłucha... musi mi pan pomóc. – Jared podszedł do strażnika, który nie próbował go powstrzymać.

–Jasne, robi się – odparł. Jego mundur w kolorze khaki wydawał się numer, może dwa, za duży, spod czapki wystawały siwe włosy. Nawet z bronią w ręku nie wyglądał groźnie.

–Proszę, panie...

–MacFarlane. Walter MacFarlane. Znam pańską żonę od lat... jeszcze zanim wzięliście ślub.

–Panie MacFarlane, moja żona leży właśnie w szpitalu w North Shore. Ktoś próbował

ją przejechać samochodem. Wiemy kto, ale nie wiemy dlaczego. Kilka godzin temu

zadzwoił do mnie mężczyzna i obiecał to wyjaśnić, jeśli właśnie o tej porze spotkam się z

nim w suterenie Omnicenter.

–W suterenie?

–Tak. Powiedział, żebym przyprowadził kogoś do pomocy, ponieważ mogą być kłopoty, ale nie udało mi się nikogo znaleźć.

–Jest pan pewien, że chodzi o suterenę? To poziom pod nami. Nie ma tam nic poza kilkoma kartonami i zapasowymi butlami z tlenem.

–Wiem tylko to, co mi powiedział. Proszę... już jestem spóźniony.

–Kate ostatnio narobiła sobie sporo kłopotów...

–Wiem. Proszę, panie Mac...

–Ludzie gadają i gadają. Wie pan, jak to jest, ale coś panu powiem. Oni wiedzą swoje, ja wiem swoje. Przez dziesięć lat odprowadzałem ją do samochodu, kiedy zostawała do późna. Dziesięć lat. Powiem panu... pańska żona to klasa. Pierwsza klasa.

–Czyli pomoże mi pan?

Walter MacFarlane wybrał z wielkiego pęku, który miał przy pasku, odpowiedni klucz

i otworzył bramkę.

–Jeśli zlikwiduje to problemy, jakie ma doktor Bennett, może pan na mnie liczyć.

Arlen Paquette był przerażony. Nie miał innego sposobu na wyjście z laboratorium jak „przebicie się” przez Nunesa, a pozostanie i dokończenie syntezy estronatu

oznaczało śmierć. Była za dwadzieścia pięć dziewiąta. Jak na razie zza elektronicznie zamykanych drzwi nie dobiegł nawet najcichszy dźwięk. Kate Bennett albo nie otrzymała jego wiadomości, albo ją zlekceważyła. Tak czy owak, był zdany na własne siły.

Zaczął desperacko rozważać aspekty sytuacji oraz opcje działania. Nie miał możliwości zyskania na czasie stwierdzeniem, że coś jest nie tak z procedurą. Zimmermann obserwował każdy jego ruch. Czy dałoby się jakimś sposobem namówić Zimmermanna na obezwładnienie Nunesa? Wątpliwe. Nie, gorzej jeszcze, niemożliwe. Nunes już pokazał mu pieniądze, elegancko zapakowane w aktówce, która leżała teraz na blacie stołu. Na widok zawartości Zimmermann zrobił minę, jaką miałyby przymierający głodem wilk, który dostrzegł złapanego w pułapkę zająca.

–Coś się stało? – spytał Zimmermann, dając do zrozumienia, że Paquette znów zaczął się guzdrać.

–Nie! – odwarknął Paquette. – I niech mi pan nie siedzi ciągle na karku. Jestem odpowiedzialny za zweryfikowanie wzorów i będę to robił dopóty, dopóki uznam za stosowne.

Siedzący po drugiej stronie laboratorium Nunes poprawił się, by mieć obu lepiej na oku. Nagle zamachał, chcąc zwrócić na siebie ich uwagę, i przyłożył palec do ust, nakazując ciszę. Drugą ręką wskazał drzwi. Ktoś był za nimi. Pewnym, płynnym ruchem profesjonalisty wyciągnął rewolwer z kabury i przycisnął się plecami do ściany tuż obok drzwi.

Paquette uznał, że pozostała mu jedna możliwość – aczkolwiek mało pociągająca. W pierwszych klasach szkoły średniej ćwiczył zapasy, niestety nie był w tym sporcie dobry i tak naprawdę się ucieszył, kiedy kontuzja szyi zmusiła go do zaprzestania treningów. Od tego czasu nigdy nie walczył z nikim fizycznie. Nunes był wyższy od niego o jakieś pięć centymetrów i bez wątpienia bardziej doświadczony, ale szansa Paquette'a mogła być zwiększona przez zaskoczenie i desperację.

Między nim a zabójcą znajdował się spektrofotometr wraz z plątaniną rurek aparatury destylacyjnej, więc mógł zbliżyć się do niego w miarę niezauważony, wzdłuż stołu roboczego. Zatrzymał się mniej więcej trzy metry od Nunesa. Przez kilka sekund niczego nie słyszał, potem doleciały do niego stłumione strzępki rozmowy prowadzonej przez przynajmniej dwie osoby. Paquette nie był w stanie usłyszeć, czego może dotyczyć, ale Nunes, który stał znacznie bliżej drzwi, zapewne co nieco zrozumiał. Paquette był ciekaw, czy za ścianą padło jego nazwisko. Jeśli tak – a Nunes je usłyszał – był to ostatni gwóźdź do trumny.

Głosy stały się mniej wyraźne. Paquette zastanawiał się, czy przybysze jedynie się przesuwają, czy już odchodzą. Gdyby nawet odkryli drzwi – co wydawało się mało

prawdopodobne – nie było możliwości, by odkryli także i uruchomili ich zamknięcie.

Paquette ostrożnie pokonał ostatnie dwa metry, dzielące go od końca stołu roboczego. Zimmermann znajdował się dobre osiem metrów z tyłu – wystarczająco, by nie móc się wtrącić i przeszkodzić. Paquette oszacował dystans i skoncentrował się na dwóch celach: broni Nunesa i płytce z prawej strony drzwi. Wystarczył mu jeden krok i był przy ochroniarzu. Obie ręce zacisnął na nadgarstku dłoni z bronią i mocnym szarpnięciem sprawił, by uderzyła w metalową płytkę.

Drzwi się odsunęły i Paquette dostrzegł umundurowanego mężczyznę, który manipulował przy kaburze na biodrze. Tuż za nim stał drugi mężczyzna, w którym Paquette rozpoznał męża Kate Bennett. Nunes wyrwał w tym momencie rękę i z wielką siłą zdzielił Paquette'a w twarz lufą rewolweru. Ten opadł na kolana i przycisnął dłonie do uderzonego miejsca. Z policzka i skroni tryskała mu krew.

–Nie ruszaj się, człowieku, i rzuć broń! Natychmiast, na ziemię!

W drzwiach stanął Walter MacFarlane, ciężki służbowy rewolwer kierując na Nunesa, którego broń była odchylona przynajmniej o metr w bok. Nunes zamarł, z głową lekko zwróconą w stronę intruza.

Stojący półtora metra za MacFarlane'em Jared doskonale widział minę zabójcy. Był on spokojny, opanowany i całkowicie pewny siebie.

Cofnij się! Odsuń się od niego! Zanim Jared zdążył wypowiedzieć te słowa głośno, Nunes zaczął działać. Odrzucił rewolwer na tyle daleko, by MacFarlane powiódł za nim wzrokiem, po czym usunął się z linii ognia strażnika i zanurkował pod jego rękę. Rewolwer MacFarlane'a wystrzelił z hukiem.

Pocisk rozbił kilka szklanych kolb, zrykoszetował od ściany i uderzył w dużą puszkę eteru, stojącą na półce za Williamem Zimmermannem. Eter eksplodował z taką siłą, że zostały rozbite niemal wszystkie szklane przedmioty w laboratorium. Jared z przerażeniem patrzył, jak w płomieniach stanęły włosy i skóra na potylicy Zimmermanna, zaraz potem zapaliło mu się ubranie.

–Ratunku! – zawył Zimmermann, odbiegając od ściany. – Jezus Maria, niech mi ktoś pomoże!

Machał bezradnie na jężory ognia. Ponieważ szarpał się jak wściekły, zrzucił na podłogę sporo naczyń z chemikaliami. Rozległ się drugi wybuch i prawe przedramię Zimmermanna zniknęło. Stał jednak dalej, kręcił się bez ładu i składu, wpatrywał w krwawiący kikut ręki i przerażająco wył. Trzeci wybuch, tuż po jego lewej, cisnął nim -bardziej już trupem niż człowiekiem – w resztki stojącego na stole roboczym szkła.

Wrzaski Zimmermanna skończyły się, kiedy jego ciało spadło ze stołu – prosto na

Arlena Paquette'a. Choć stół osłonił chemika przed falą uderzeniową, był on zbyt oszołomiony ciosem Nunesa, by zareagować.

MacFarlane i Nunes padli na podłogę, gdy dosięgła ich fala gorąca. Jaredem rzuciło do tyłu, ale udało mu się utrzymać na nogach. Ruszył chwiejnym krokiem w kierunku laboratorium, by oszacować sytuację.

Wzdłuż blatów wystrzeliwały intensywnego koloru płomienie, wypełniając powietrze gęstym, śmierdzącym dymem. Na prawo od niego, wśród potłuczonego szkła, leżał Walter MacFarlane i mężczyzna z rewolwerem. Jedna strona twarzy strażnika wyglądała tak, jakby pokiereszował ją tygrys. Obaj mężczyźni poruszali się, choć dość mechanicznie i bez celu. Po jego lewej też coś się poruszało. Mężczyzna – który musiał być zdaniem Jareda Arlenem Paquette'em – bezskutecznie próbował wygrzebać się spod zwęglonego ciała Williama Zimmermanna.

Posuwając się ostrożnie, by ominąć kłęby trującego dymu, Jared dotarł do Zimmermanna, złapał trupa za pasek spodni i przód tłącej się koszuli i odrzucił na bok.

–Paquette? – wydyszał Jared. – Pan jest Paquette?

Mężczyzna słabo skinął głową i przetarł dłonią oczy zalane krwią własną i

Zimmermanna.

–Notesy... – jęknął. – Znajdź notesy.

Jared przydusił kilka palących się jeszcze miejsc na ubraniu Paquette'a, uniósł go do

pozycji siedzącej i oparł plecami o ścianę. Wyziewy i dym wokół nich robiły się coraz gęstsze.

–Muszę pana stąd wyciągnąć. Rozumie mnie pan? Głowa Paquette'a opadła do tyłu.

–Notesy... – powtórzył. Jared rozejrzał się wokół. Na podłodze, tuż obok stóp Zimmermanna, leżał czarny

notes z luźnymi kartkami. Wsadził go sobie pod pachę i – klęcząc – zaczął ciągnąć Paquette'a do wyjścia. Kilka razy poczuł, jak materiał spodni i skórę na kolanach przecina mu szkło. Raz obsunęła mu się dłoń i ściał sobie płat skóry. Drewniane szafy i półki paliły się; w laboratorium zrobiło się niemożliwie gorąco.

Paquette utrudniał Jaredowi wyciągnięcie go z laboratorium, gdyż wpijał się w niego, w pewnej chwili wsadził mu nawet rękę do kieszeni kurtki.

–Na boga, Paquette! Daj mi pan spokój! Próbuje pana stąd wyciągnąć. Nie pojmujesz

tego, człowieka? Próbuje cię stąd wyciągnąć!

Dym oślepił. Oczy Jareda łzawiły tak bardzo, że musiał je prawie zamknąć, wstał jednak i nisko pochylony, oddychając przez przyciśniętą do ust kurtkę, przerzucił sobie ramię Paquette'a przez plecy i podniósł rannego na nogi. Chwiejąc się przy każdym kroku, wspólnymi siłami wyszli z laboratorium. Jared zamierzał postawić Paquette'a pod ścianą i wrócić po MacFarlane'a, kiedy przypomniał sobie o butlach z tlenem. W kącie magazynu stało trzydzieści albo i czterdzieści dużych, stalowych cylindrów. Podejrzewał, że przy wybuchu mogłyby zrównać z powierzchnią ziemi sporą część budynku.

–Paquette! Pomogę panu wejść na schody. Potem będzie pan musiał sam odejść jak najdalej tunelem. Rozumie mnie pan? – Paquette skinął głową. – Może pan mocniej oprzeć się na własnych nogach?

–Mogę... spróbować... – wydusił między dwoma kaszlnięciami Paquette, którego twarz wyglądała jak krwawa maska.

Powoli, krok za krokiem, weszli na podest parteru. Gryzący dym, który niemal całkiem wypełnił przestrzeń magazynową, płynął za nimi ku górze.

–W porządku, jesteśmy na miejscu! – krzyknął Jared. – Muszę wracać na dół. Pan pójdzie tędy, tunelem. Jasne? Świetnie. Niech pan weźmie książkę ze sobą i rusza! – Wsunął

notes Paquette'owi w rękę.

W tym momencie na dole rozległa się ostra eksplozja. Zaraz potem następna. Jared patrzył, jak Paquette gwałtownie odskakuje od niego, po czym zwała się ciężko na podłogę. Z rany na szyi trysnęła mu krew.

Jared ukląkł obok, zaskoczony i zdezorientowany tym, co się stało.

–Paquette!

–Notes... Kate... – Paquette powiedział tylko te dwa słowa, po czym fala krwi z ust uniemożliwiła mu dalsze mówienie i zamknął po raz ostatni oczy.

Jared zrozumiał, że Paquette został zastrzelony, a odgłosy nie pochodziły z laboratorium, lecz spowodował je strzał z rewolweru. Odwrócił się w chwili, gdy Nunes strzelił do niego z dołu schodów. Pocisk przebił mu prawe udo, po czym,

jeszcze rozpadnięty, odbił się płasko od podłogi i ściany za nim. Czarny od dymu człowiek z rewolwerem, krwawiący z ran ciętych na twarzy, wycelował ponownie.

Sparaliżowany palącym bólem w nodze, Jared zareagował w ostatniej chwili, udało mu się jednak zejść z linii strzału.

W tunelu rozdzwoniły się dzwonki alarmowe. Mężczyzna zaczął się wspinać po schodach przez gęsty dym.

„Notes... Kate”... Jared wyjął czarny notes spod ciała Arlena Paquette’a, wetknął go sobie pod pachę niczym piłkę i kuśtykając, ruszył w kierunku głównego budynku szpitala. Zimmermann, Paquette, Walter MacFarlane – wszyscy prawdopodobnie nie żyli, głównie dlatego, że przyszedł na spotkanie do sutereny Omnicenter bez wsparcia policji. Ta niemiła refleksja miała przynajmniej ten plus, że przestał myśleć o bólu. Paquette obiecał wyjaśnić problemy Kate, a teraz nie żył... Jared szpetnie zaklął.

W tunelu huknął strzał. Jared skulił się i kuśtykał dalej zygzakiem, zastanawiając się, czy ma to jakikolwiek sens, gdyż poruszał się w ten sposób wolniej i tracił przewagę nad człowiekiem z rewolwerem. Do głównego tunelu zostało niecałe trzydzieści metrów. Tam będą ludzie... i pomoc... jeśli uda mu się tak daleko dotrzeć. Rozległ się kolejny strzał -głośniejszy od poprzedniego. Do Jareda dotarło, że był to wystrzał z ciężkiego służbowego rewolweru MacFarlane’a. Pocisk przeszył mu rękaw kurtki i z grzechotem pomknął po

cementowej podłodze. Jared potknął się, niemal upadł, i z impetem uderzył całym ciałem o przeciwległą ścianę głównego tunelu.

–Ratunku! – zawył. – Niech mi ktoś pomoże!

Ciemny tunel był kompletnie pusty.

Chwilę później Jared został ponownie postrzelony. Tym razem pocisk trafił tuż nad lewym pośladkiem, obracając jego ciało o trzysta sześćdziesiąt stopni i powodując niesamowity ból w całej nodze, promieniujący w górę, aż do łopatki. Opadł na kolano, natychmiast jednak się podniósł i przyciskając notes do piersi, sunął dalej wzdłuż ściany. Gdzieś w oddali rozległy się dzwonki kolejnych alarmów, syreny, wreszcie stłumiony wybuch.

Był – przynajmniej na chwilę – poza polem ostrzału goniącego go zabójcy i oddalał się od głównego budynku szpitala, idąc w kierunku bojlerowni i pralni. Mimo bólu w nodze i plecach był zdecydowany, że nic poza śmiertelnym postrzałem go nie powstrzyma. Po śmierci Paquette’a i Zimmermanna czarny notes – bez względu na to, co zawierał – mógł stanowić jedyną szansę dla Kate.

Zabójca, nisko przykucnięty i gotów do strzału, wysunął się zza rogu w tym samym momencie, kiedy Jared dotarł do odnogi prowadzącej do pralni. Jared czuł, że mężczyzna zamierza strzelić, ale nie usłyszał strzału, nie doleciał do niego żaden odgłos. A może jednak coś się za jego plecami rozległo? Wchodząc w głąb zaciemnionej pralni, mógłby przysiąc, że chyba coś usłyszał. Nagle zrozumiał – zabójca strzelił, ale w rewolwerze MacFarlane'a nie było nabojów, kurek stuknął „na sucho”. Teraz, mimo że ranny, miał jakąś szansę.

W pomieszczeniu, do którego wszedł, stały dziesiątki wózków. Niektóre były puste, w innych piętrzyła się brudna bielizna. Spodziewał się, że za nimi dostrzeże zarysy wielkich przemysłowych prasowalnic parowych. Przez chwilę myślał, czy nie wskoczyć na któryś z wózków i schować się w stercie bielizny, natychmiast jednak odrzucił ten pomysł – po pierwsze dlatego, że znalazłby się w biernym, bezradnym położeniu, po drugie dlatego, że jego prześladowca już skręcił w odnogę i szedł – choć ostrożnie – w kierunku pralni.

Ignorując ból w plecach, Jared zaczął się posuwać na czworakach, centymetr po centymetrze, między dwoma szeregami wózków, w stronę wielkiego, pełnego sprzętów pomieszczenia stanowiącego główną pralnię. Prasowalnice, pralki, suszarki, półki i sterty prześcieradeł, jeszcze więcej wózków – gdyby udało mu się tam dotrzeć, miałby dziesiątki kryjówek... GDYBY udało mu się tam dotrzeć.

Mniej więcej siedem metrów dzieliło ostatni wózek od pierwszej prasowalnicy. Siedem metrów otwartej przestrzeni. Musiał ją pokonać niezauważony. Klęcząc w ciemności,

nasłuchiwał. Nie usłyszał niczego – oddechu, szurnięcia butów – absolutnie niczego. Gdzie, do cholery, był ten człowiek? Czy może wyjrzeć i sprawdzić? Ból w plecach szalał, mącąc koncentrację i rzeczowy osąd. Jared znów się wsłuchał. Cisza. Powoli podniósł głowę i się odwrócił.

Zabójca, poruszający się ze sprawnością i spokojem kota, był oddalony o półtora metra i zamierzał właśnie znokautować go rękojęcią ciężkiego rewolweru. Jared gwałtownie się odsunął, mimo to dosięgnął go potężny cios tuż nad uchem. Oszołomiony zatoczył się kilka kroków do tyłu i osłonił się najpierw jednym, potem drugim wózkiem na bieliznę.

Napastnik zatrzymał się, by podnieść z podłogi notes, potem położył go na jednym z wózków i z całkowitym spokojem ruszył dalej.

–To nic nie da, koleś – powiedział, odsuwając wózki tak szybko, jak Jared się nimi zastawiał – ale nie przejmuj się i uatrakcyjnij sprawę.

Jared, który potrzebował wózków nie tylko do ochrony, ale także do podparcia,

wiedział, że prześladowca ma rację. Ranny i bezbronny nie miał szansy.

–Kim jesteś? – spytał. Nunes uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

–Kimś, kto robi swoją robotę – odparł.

–Pracujesz dla Redding Pharmaceuticals, prawda?

–Ta zabawa chyba już trwa za długo, nie sądzisz, koleś? Jared pomyślał o Kate i tym, przez co przeszła, pomyślał o Paquetcie i starzejącym się

strażniku, który chciał mu pomóc. Jeśli sam miał umrzeć, nie nastąpi to podczas ucieczki. Niewiele się zastanawiając, chwycił kolejny wózek i udając, że zamierza się zasłonić, pchnął go z maksymalną siłą do przodu, trafiając zaskoczonego zabójcę tuż poniżej talii. Nunes zatoczył się do tyłu, uderzył plecami o inny wózek i o mało się nie przewrócił.

Jared skoczył do przodu i natychmiast z powodu przeszywającego bólu stracił tę niewielką przewagę, jaką dało mu zaskoczenie przeciwnika. Zabójca – z wyrazem rozbawienia na twarzy – sparował jedną ręką próbę kopnięcia, drugą przeciągnął Jaredowi lufą rewolweru przez twarz, robiąc mu paskudną ranę ciętą tuż nad skronią. Zataczając się, Jared cofnął się, zaraz jednak znów zaatakował kolejnym kopniakiem, który, choć z niezbyt wielką siłą, dotarł jednak do krocza Nunesa.

Nunes ponownie zamachnął się rewolwerem, trafiając najpierw mocno w przedramię, potem w kark. Jared przykląkł na kolano. Nunes stanął za nim i fachowo objął go ramieniem za szyję.

–Przykro mi, koleś – powiedział, zaciskając chwyt.

Jared machał rękami jak wiatrak i próbował się opierać, ale przeciwnik miał perfekcyjną technikę. Nacisk na krtań był niewyobrażalny. Pierś Jareda dygotała w bezradnej próbie złapania oddechu. Krew zaczęła mu uderzać do głowy, chrapliwy oddech Nunesa zdawał się coraz głośniejszy. Kiedy odgłosy zaczęły cichnąć, Jared wiedział, że umiera. Opadł całkiem z sił i poczuł, jak puszcza mu pęcherz. Przepraszam, Kate. Przepraszam. Słowa wirowały w jego głowie. Przepraszam...

Przez zamknięte oczy bardziej wyczuł, niż dostrzegł jaskrawe, błękitno-białe światło. Z daleka, z bardzo daleka, usłyszał stłumiony wybuch. Po pierwszym nastąpił drugi.

Nagle nacisk na jego kark osłabł. Przedramię zabójcy zadrgało w chaotyczny sposób i ześlizgnęło się. Jared upadł na bok, podniósł jednak wzrok i zdążył dostrzec, jak mężczyzna się zatacza, po czym groteskowym, zwolnionym ruchem wpada do wózka na bieliznę.

Jared zaczął się rozglądać, co się stało. Najpierw dostrzegł zapalone górne światła, a następnie rozpoznał pokrytą szczeciną twarz Martina Finna.

–Byłem w drodze na komisariat, kiedy przyszło mi do głowy, że nie wałnąłby mnie pan, gdyby nie był krańcowo zdesperowany – stwierdził policjant. – Jest pan poważnie ranny?

Jared kaszlnął, niepewny, czy jest w stanie mówić, gdy nagle usłyszał własny głos.
–Postrzelił mnie dwa razy... – wycharczał. – Tuż nad tyłkiem i w udo. Nogi mam pocięte szkłem. Wariat sprzął mnie poza tym rewolwerem.

–Pogotowie jest już w drodze – odparł Finn i ukląkł. – Powinni tu być za kilka minut. Jak pan pewnie podejrzewa, sporo się tu teraz dzieje. Zimmermann nie żyje?

Jared skinął głową. Przypomniawszy sobie MacFarlane'a.

–Finn! Jest tu jeszcze ktoś... MacFarlane, nocny strażnik. Został...

–Ma pan na myśli jego? – Detektyw wskazał na lewo od siebie. Oparty o wózek na bieliznę stał Walter MacFarlane. Jedno oko miał tak zapuchnięte,

że nie mógł go otworzyć, a pół twarzy było maską pokrytą częściowo zaschniętą, częściowo sączącą się krwią.

–Dzięki Bogu... – jęknął Jared.

–Bez niego w życiu byśmy nie wiedzieli, którędy iść – stwierdził Finn. Pojawiła się ekipa lekarzy i pielęgniarek z noszami. Pomogli położyć się

MacFarlane'owi na jednych, potem delikatnie położyli na drugich Jareda.

–Kiedy pana posklejają, mecenasie, będzie mi pan musiał co nieco wyjaśnić. Zdaje pan sobie z tego sprawę?

–Oczywiście. Powiem wszystko, co wiem. Finn... Dziękuję, że pan wrócił.

–Jestem chyba winien przeprosiny, ale zaczekam z nimi do momentu, aż ktoś mi wyjaśni, co tu się, do cholery, stało.

–Gotowe – stwierdził jeden z lekarzy. – Możemy iść.

–Chwileczkę! – krzyknął Jared. – Finn, gdzieś musi tu leżeć notes. Czarny, z luźnymi kartkami.

Detektyw chwilę szukał, po czym przyniósł Jaredowi zgubę.

–Pański?

–Właściwie nie. – Jared wetknął sobie notes pod pachę i uśmiechnął się. – Należy do mojej żony.

Rozdział 16

Sobota, 22 grudnia

–Panie Samuels, chcę pana zabrać do pańskiego pokoju. Panie Samuels?

Jared otworzył oczy, wyrwany ze snu pozbawionego marzeń. Leżał na łożku na

kólkach; jego wzrok zatrzymał się na nierównym, łuszczącym się suficie pomieszczenia, gdzie kilku rezydentów z chirurgii zajęło się jego urazami. Ostatni widok, jaki pozostał mu w pamięci, to obraz lekarki o twarzy niemowlaka i patrzących zza rogowych okularów oczach staruszki, która oznajmiła, że zamierza dać mu „drobiazg”, by zbadać, oczyścić i opatrzyć jego rany.

–Nazywam się Cary Dunleavy i jestem pielęgniarzem z Berenson Sześć – usłyszał głos dochodzący z tyłu.

Jared spróbował przekręcić głowę w kierunku pielęgniara, ale przeszkodził mu w tym gruby kołnierz ortopedyczny na szyi i szeroki skórzany pas, którym go przypięto przez pierś do łożka. Bolało go w kilku miejscach i zorientował się, że niewiele widzi na lewe oko.

Dunleavy’emu zajęło kilka sekund, by zrozumieć położenie swego podopiecznego. Wymamrotał przeprosiny i przesunął się do miejsca przy prawej ręce Jareda.

–Witamy w krainie żywych – stwierdził. Mówił uprzejmie, lecz oczy miał zapadnięte i zmęczone. – Nie było pana z nami sporo czasu. Najwyraźniej źle ocenili, ile dać panu narkozy.

Jared podniósł lewą rękę i delikatnie pomacał się po lewym oku.

–Jest zamknięte opuchlizną – wyjaśnił pielęgniarz. – Wygląda pan, jakby kopnął pana muł.

Jared czuł, że jego zmysły zaczynają normalnie funkcjonować. Próbował rekonstruować mętne chwile, które nastąpiły po eksplozji w Omnicenter. Ujrzał przed oczyma obraz Williama Zimmermanna, wirującego jak szalony bąk, w płonącym ubraniu, z paskudnie spaloną połówką twarzy. To było za ciebie, Katey, pomyślał brutalnie. Prezent od męża, na przeprosiny, że ci nie wierzył.

–Która godzina? – spytał.

–Prawie czwarta.

–Rano?

Pielęgniarka skinęła głową.

–Z raportu pielęgniarek z urazówki wynika, że był pan nieprzytomny jeszcze przez trzy godziny, po tym jak pana opatrzyli. Byliśmy za bardzo zajęci, by wcześniej po pana przyjść. Przepraszam.

–Muszę się stąd wydostać – stwierdził Jared i zaczął manipulować lewą dłonią przy mocującym go pasie. Prawą rękę, z kroplówką, przymocowano mu do poręczy łóżka.

–Hej, kolego! – upomniał go pielęgniarka i położył mu dłoń na ramieniu. – Spokojnie.

–Muszę się zobaczyć z moją żoną. Miałem... – Nagle przypomniał sobie o notesie. – Moje rzeczy... gdzie są moje rzeczy?

–Mamy wszystko, panie Samuels. Są schowane w bezpiecznym miejscu do momentu, aż dostaniemy od pańskiego lekarza formalny wypis. Obchód jest zazwyczaj o siódmej. Do tego czasu, jeśli będzie pan chodził, to w szpitalnej koszuli.

Jared wbił wzrok w pielęgniarkę. Miał ochotę wykrzyknąć: Jestem prawnikiem! Mogę zaskarżyć ciebie i cały ten szpital o naruszenie praw obywatelskich i wygram! Zamiast tego zastanowił się nad sytuacją. Za jedyne trzy godziny lekarze pojawią się na obchodzie i będzie mógł wyjaśnić, dlaczego musi opuścić szpital. Trzy godziny. Niemal na pewno Kate i tak je prześpi. Opadł na plecy.

–Wygrał pan.

Pielęgniarka podziękowała w myśli, popatrzył w górę i zaczął manewrować łóżkiem, by wyjechać z maleńkiego pokoju.

–Jeszcze jedno – powiedział Jared.

Pielęgniarka zatrzymała się i znów obszedł łóżko, by nawiązać kontakt wzrokowy.

–Wysłucham, ale niczego nie obiecuję. – W jego zmęczonym głosie było mniej wyrozumiałości, niż zamierzał weń włożyć.

–Miałem notes. Czarny, z luźnymi kartkami w środku. Niech mi go pan zdobędzie, to obiecuję, że będę wzorowym pacjentem.

Cary Dunleavy zawahał się, wyjął jednak notes z torby z rzeczami Jareda, leżącej w nogach łóżka.

–Biorę pana za słowo, panie Samuels. Wzorowy pacjent. Kończę właśnie drugą zmianę. To ponad szesnaście godzin pracy na oddziale, który pasowałby najlepiej do zoo

imienia Franklina. Mieliśmy cholernie długą noc i mój zwykły zapas dobroci dla ludzi właśnie się kończy. Proszę więc nie krzyżować mi szyków.

Jared uśmiechnął się, zabandażowaną lewą dłońią spróbował wykonać gest mający wyrażać znak pokoju i wetknął notes pod siebie. Zmęczony pielęgniarz wrócił do wezgowia łóżka i zaczął je powoli pchać tunelami w kierunku Budynku Berensona.

Kiedy zbliżali się do jednej z wind, jej drzwi się otworzyły i dwie pielęgniarki wypchnęły na zewnątrz takie samo łóżko na kółkach, jak to, na którym pielęgniarz wiozł Jareda. Dostrzegając jedynie dwa worki z krwią, z których życiodajny płyn skapywał do dwóch różnych żył, i zmierzwiłone kobiece włosy. Cary Dunleavy zatrzymał się, by porozmawiać z pielęgniarkami.

–Co jest? – spytał.

–Krwawienie z przewodu pokarmowego. Pogarsza się. Bierzemy ją na gastroskopię, zespół już czeka.

–Życzę szczęścia. Dajcie znać o wynikach.

–Jasne – odparła jedna z pielęgniarek. Łóżka się minęły. – Przepraszamy za opóźnienie, pani Sandler. Będziemy na miejscu za parę minut.

Pani Sandler. Kilka sekund minęło, nim informacja dotarła do Jareda.

–Ellen! – zawołał, znów walcząc z pasem. Dunleavy stanął.

–Hej, co pan wyprawia?! Jared zmusił się do spokoju. Ellen jechała na salę operacyjną. Krwawiła. W takiej

sytuacji nie mógł czekać na lekarza do siódmej rano. Kate musi jak najszybciej zobaczyć notes. Jeśli nawet szansa znalezienia ratunku dla Ellen wynosiła jeden do miliona, miał obowiązek spróbować.

–Dunleavy, muszę z panem porozmawiać – powiedział, starając się nadać swemu

głosowi sugestywne brzmienie. – Proszę.

Pielęgniarsz niechętnie stanął tak, by mógł być widoczny.

–Dunleavy, to, co pan robi, nie jest panu obojętne. Widzę to na pańskiej twarzy. Jest pan zmęczony, przepracowany, a mimo to nie zubożył pan.

–I co?

–Kobieta, którą minęliśmy przed chwilą, to Ellen Sandler, przyjaciółka moja i mojej żony. Ona krwawi... być może wykrwawia się na śmierć. Istnieje szansa na wyjaśnienie przyczyn tego krwawienia... znajduje się w tym notesie, tyle że zapiski w nim są w połowie po angielsku, a w połowie po niemiecku, poza tym są cholernie specjalistyczne.

–No i?

–Moja żona to Kate Bennett, patolog z waszego szpitala. Zna ją pan? – Mina

Dunleavy'ego świadczyła o tym, że chyba wie zbyt wiele. – Zna trochę niemiecki i orientuje

się, co się dzieje z kobietą, którą właśnie minęliśmy. Muszę jej dostarczyć ten notes. Jest

pacjentką w szpitalu imienia Mary Henderson w Essex.

–Panie Samuels, nie mogę...

–Dunleavy, proszę pana. Nie ma czasu na pierdoły. Niech pan odepnie ten pas i pomoże mi wsiąść do taksówki. Mogę poruszać wszystkimi kończynami. Widzi pan? Nic mi nie będzie.

–Ja...

–Cholera, człowieku, popatrz na mnie! Ta kobieta umiera, a możemy jej pomóc! Daj pan formularz, że robię to wbrew zaleceniowi lekarskiemu. Podpiszę. Podpiszę wszystko, co pan chce, ale proszę się pośpieszyć!

Pielęgniarsz nie był zdecydowany.

–Ta kobieta nas potrzebuje, przyjacielu – rzucił Jared. – W tej właśnie chwili potrzebuje nas obu.

Dunleavy sięgnął do pasa i zaczął go rozpinać.

–Jeśli pan nie wróci i nie wyjaśni wszystkiego naczelnej, dobiorą mi się do dupy.

Prawdopodobnie tak czy siak mi się do niej dobiorą.

–Porozmawiam, z kim trzeba. Obiecuję. Moja żona też. Dunleavy zmrużył oczy.

–Panie Samuels, proszę nie robić mi żadnych przysług.

Nawet przez demerolową mgłę i utrudniający skupienie ból w klatce piersiowej Kate Bennett dostrzegła zmianę, jaka zaszła w jej mężu. Mimo bandaży, siniaków i kuli miał wspaniałe, teatralne wejście. Minął w drzwiach protestującą szefową nocnej zmiany pielęgniarek, głośno oznajmiając:

–Skurwiel nie żyje, Katey. Nie żyje. Nic ci więcej nie robi.

Potem podszedł do łóżka, pocałował ją prosto w usta i grzecznie, choć stanowczo, poprosił szefową zmiany i pielęgniarkę, która czuwała przez noc przy łóżku Kate, o opuszczenie pokoju.

Siedział teraz na niskim krześle po jej lewej stronie i nie zwracając uwagi na niewygodę, patrzył, jak Kate otwiera notes – jedyną użyteczną rzecz, jaka pozostała po pożarze, cierpieniu i śmierci w Omnicenter. Jared emanował siłą i pewnością siebie, której dotychczas nigdy w nim nie widziała. „Skurwiel nie żyje, Katey. Nie żyje. Nic ci więcej nie robi”.

Słowa na pierwszej stronie trafiły ją niczym uderzenie młotem. *Badania estronatu 250. Tom III.* Kate poczuła, jak cały jej optymizm odpływa.

–Jared... – powiedziała, próbując przełknąć i poprawiając dren, przez który odsysany był płyn z jej płuc. – Oglądałeś to?

–Tylko przekartkowałem. Dlaczego pytasz? Za dużo niemieckiego? Znajdziemy kogoś, kto przetłumaczy.

–Nie, nie ma zbyt wiele niemieckiego. Tyle tylko że... to tom trzeci...

–Co?! – Przysunął się i popatrzył na stronę tytułową. – Cholera jasna! Nie widziałem pozostałych dwóch. Mogły być, ale w tym dymie... Wszystko wydarzyło się tak szybko. Paquette mógłby wszystko wyjaśnić.

Kate obserwowała twarz męża. To, co powiedział, nie było wymówką ani przeprosinami, jedynie stwierdzeniem faktu. Paquette miał w ręku klucz do rozwiązania śmiertelnej zagadki, lecz nie żył, a Jared – poobijany, posiniaczony, zbolący – żył. Gdyby udało jej się rozwikłać zagadkę, to dlatego, że zaryzykował dla

niej życie.

–Zrobimy, co się da, dysponując tym, co mamy – powiedziała Kate, odszukując stronę

notatek, na której zaczynał się opis testów klinicznych preparatu zwanego estronat 250. –

Jestem jeszcze zmulona narkozą i ostatnim zastrzykiem, który mi dali, bądź więc cierpliwy.

Było w sumie sto dwadzieścia starannie ponumerowanych kartek. Paquette, czy ten, kto prowadził zapiski, był niezwykle pieczołowity. Badania stabilności preparatu; badania zmian dawkowania; eksperymenty z podawaniem środka w mleku, w wodzie, w pokarmach stałych; badania efektów ubocznych. Kate śledziła trzydzieści lat zwięzłych wyjaśnień po niemiecku i angielsku oraz długie listy obiektów badawczych – początkowo z państwowego szpitala dla psychicznie chorych w Wickford, potem z Omnicenter. TRZYDZIEŚCI LAT. Głos Arlena Paquette’a nie kojarzył się z człowiekiem, który mógłby tyle lat pracować, ale być może przejął badanie estronatu od kogoś innego.

Minęło dziesięć minut, potem dwadzieścia. Jared nerwowo wiercił się na krześle i wpatrywał w szary, sterylny świt.

–Ile czasu trwa gastroskopia? – spytał.

Kate, nie chcąc stracić z trudem uzyskanej koncentracji, popatrzyła jedynie krótko w

jego kierunku.

–To zależy, co się stwierdzi i jakie podejmie decyzje. Jared, chyba jestem bliska jakiegoś pomysłu. Potrzebuję jeszcze kilku minut.

–Wyglądasz na dość wycieńczoną. Jeśli trzeba, zrób przerwę.

–Nic mi nie jest.

–Proszę. Napij się trochę wody.

Kate wzięła łyk, zwilżyła spękane, krwawiące wargi, po czym wróciła do notesu. Minęło kolejne dziesięć minut, nim znów podniosła wzrok. Mimo bólu i leków jej oczy błyszcząły.

–Jared, chyba zrozumiałam. Chyba wiem, co to jest estronat dwieście pięćdziesiąt.

–Tak?

–To niesamowite. Jeśli to on prowadził te badania... albo je dokończył... zmarły doktor Paquette był dla Redding Pharmaceuticals wart złota. Estronat dwieście pięćdziesiąt to doustny środek antykoncepcyjny, powodujący nieodwracalną bezpłodność. Może być podawany w tabletkach albo, bez wiedzy pacjentki... na przykład w szklance mleka.

–Nieodwracalną?

Kate gwałtownie pokiwała głową, natychmiast jednak jęknęła z powodu bólu w boku.

–Tak. Zastanów się nad tym. Koniec z podwiązywaniem jajników, mniej wazektomii, pomoc dla krajów Trzeciego Świata, w których panuje przeludnienie.

–Czyli zniszczone jajniki nie były pomyłką?

–Raczej nie. Jeśli się nie mylę, mikroostwardnienia były efektem pożądanym, nie ubocznym.

–A co z krwawieniami? Co z Ellen?

Kate dała znak, by zaczekał. Oglądała kolumnę zatytułowaną NEBENWIRKUNG.

–Popatrz, Jared! Widzisz to słowo? Oznacza „efekty uboczne”. Wygląda na to, że wszystkim tym kobietom podawano estronat i obserwowano ewentualne dodatkowe konsekwencje. Jezuu, oni powariowali! Paquette, Zimmermann, Horner... wszyscy powariowali! Są kompletnie chorzy! Potraktowali setki kobiet jak świnki morskie.

–E. Sandler – powiedział Jared.

–Co?

–E. Sandler. Na samym dole strony.

Kate jęknęła.

–Chyba gorzej ze mną, niż sądzę. Dwa razy przeglądałam stronę i nie zauważyłam.

Dzięki, Jared.

Nazwisko Ellen znajdowało się prawie na końcu kolumny, na której umieszczono mniej więcej czterdzieści innych nazwisk. Na innej liście Kate zauważyła wpisy „B. Vitale” i „G. Rittenhouse”. Pokazała je Jaredowi, po czym dalej starannie sprawdzała zapisane informacje.

–Zdawało mi się, że te przypadki krwawienia znasz.

–Zgadza się.

–Więc czyjego nazwiska szukasz?

Podniosła głowę i przez chwilę popatrzyła na męża, wytrzymując jego spojrzenie.

–Mojego. – Jeszcze raz sprawdziła kartki i dopiero wtedy uznała, że ma pewność. –

Nie ma mnie tutaj, Jared. Może jestem w notesie dotyczącym „kwasu antranilowego”, ale

tutaj mnie nie ma.

–Bogu dzięki... Przynajmniej do tego przydał się tom trzeci.

Kate nic nie powiedziała. Znow zagięła się w czytaniu, odwracała kartki, do

niektórych wracała. Jared obserwował jej twarz – napięcie w oczach, determinację... W tym momencie był z niej bardziej dumny niż w jakiegokolwiek chwili ich małżeństwa... Z Kate jako lekarza, jako osoby, jako żony.

–Jared... – odezwała się w końcu, nie odwracając wzroku od notesu. – Chyba ci się udało. Wydaje mi się, że znajdziemy tu rozwiązanie.

–Wyjaśnij mi t o.

–Widzisz te dwa słowa: *Trombocytopenia i Hipofibrynogenamia*? Oznaczają niedobór krwinek płytkowych i niski poziom fibrynogenu. Z tego powodu Ellen krwawi. Jest tu notka odwołująca się do Badania Cztery B z Omnicenter: *Modyfikacja trombocytopenii i hipofibrynogenamii za pomocą kombinacji kwasu nikotynowego i kwasu delta-aminokapronowego.*

–Słyszałem o kwasie nikotynowym. To jakaś witamina, tak?

–Zgadza się... inna nazwa niacyny. Drugi związek to odmiana kwasu epsilon-aminokapronowego, którego używa się do leczenia pewnych chorób powodujących krwawienie. Popatrz tutaj. W sumie u siedmiu kobiet z tej strony pojawiły się problemy z obrazem krwi. Zostały wychwycone wcześniej, podczas rutynowych badań krwi w Omnicenter.

–Ale Ellen i dwóch pozostałych nie wymieniono wśród osób z problemami z krwią. Obok ich nazwisk w kolumnie „efekty uboczne” nie ma żadnych opisów.

Kate z podnieceniem kiwnęła głową.

–W tym sedno, Jared. To jest klucz. Ellen i dwie kobiety, które zmarły, nie zostały zdiagnozowane. Może nie miały w odpowiednim czasie wyznaczonych wizyt w Omnicenter.

–Te dwie były leczone?

Kate potaknęła.

–Badanie Cztery B zostało przeprowadzone w tym właśnie celu. Podawano im duże dawki kwasu nikotynowego i drugiego preparatu i wygląda na to, że wszystkie wyzdrowiały.

Tu, z prawej strony, są wypisane wyniki późniejszych badań krwi. Chyba naprawdę ci się

udało. W tym chyba kryje się odpowiedź. Miejmy tylko nadzieję, że nie jest za późno i że w szpitalu znajdzie się postać delta drugiego kwasu. Jeśli nie, można spróbować z postacią epsilon.

Jared podał Kate słuchawkę stojącego przy łóżku telefonu.

–Powiedz tylko, jaki numer mam wybrać.

Kiedy odkładała słuchawkę, dłoń mocno jej drżała.

–Ellen jest ciągle na sali operacyjnej. Prawie od trzech godzin.

–Z kim rozmawiałaś?

–Z Tomem Engelsonem. Jest rezydentem w Ashburton Service. Tak naprawdę to dzwonił... nieważne. W każdym razie był kilka razy na sali operacyjnej, by sprawdzić, jak wiedzie się Ellen. Gastrolog znalazł krwawiący wrzód. Próbowali różnych sztuczek, by powstrzymać krwawienie, ale jak na razie bez efektu. Musieli wezwać zespół chirurgiczny.

–Zamierzają operować? Kate pokręciła głową.

–Jeśli uda im się przeciwdziałać brakowi krzepnięcia krwi, to nie.

–I?

–Tom poszedł po hematologa i szpitalnego farmaceutę. Jestem pewna, że znajdą kwas nikotynowy. Jeśli chodzi o wersję delta EACA, nie jestem przekonana. Cholerne Redding Pharmaceuticals! Przyprę ich do muru, Jared! Zapłacą za to, na co narazili

innych, jeżeli nawet będzie to ostatnia rzecz, jaką zrobię w życiu.

–Znam pewnego ostrego adwokata, który chętnie ci pomoże.

–Obawiam się, że może ci nie wystarczyć ostrości.

–O co ci chodzi?

–Cóż, mamy notes i twoje słowo, że należy do Paquette'a, poza tym masz tylko mnie, a wątpię, by aktualnie moja opinia była brana pod uwagę.

–To się zmieni, kiedy zobaczą te zapiski.

–Oby.

–W każdym razie spróbujemy. Ktoś będzie musiał dać logiczne wyjaśnienie, że Redding Pharmaceuticals nie ma z tą sprawą nic wspólnego, a nie sądzę, by to było możliwe. Wierzysz, że im się uda?

–Mam nadzieję, że nie.

–Ile czasu potrwa, nim ten lekarz się zgłosi... jak on się nazywa?

Kate nagle przypomniał się pełen czułości, śnieżny wieczór wysoko nad portem bostońskim i się zaczerwieniła.

–Tom. Tom Engelson. – Czy głos jej się załamał, kiedy wymawiała jego nazwisko? –

Nie wiem. Nie powinno to zbyt długo potrwać. – Pomyślała, że im krócej, tym lepiej.

Czekali w milczeniu. W końcu Jared poprawił kołnierz ortopedyczny i potarł otwarte oko grzbietem dłoni.

–Kate, jest jeszcze coś, o czym muszę ci powiedzieć. Ma związek z tym, co powiedziałaś o wartości twojej opinii.

Popatrzyła na niego ze zdziwieniem. Mocno ujął ją za rękę.

–Kate, wczoraj rano rozmawiałem z Lisa.

Siedziała w słabym świetle poranka, głaskała Jareda po czole i cieszyła się, że przynajmniej w jego oczach została zrehabilitowana. Skradziono mu czternaście lat kontaktowania się z córką. Czternaście lat. Jego nienawiść do Wina Samuela była niemal fizycznie wyczuwalna. W jej oczach Win nie był godzien nienawiści – był żaloszny.

Próbowała jak mogła, by uzmysłwić Jaredowi, że niezależnie od okoliczności i upływu czasu miał prawo być ojcem dla swej córki. Słuchał, jasne było jednak, że jego ból i złość są zbyt świeże, by mógł racjonalnie myśleć. Zakończyła swe uwagi stwierdzeniem, że nadejdzie czas zarówno dla niej, jak i dla niego.

Zadzwonił telefon, wrywając Jareda z sennego odrętwienia.

Kate miała słuchawkę w dłoni, nim przebrzmiał pierwszy dzwonek. Przez kilka minut słuchała, kiwała głową, że rozumie, odzywała się tylko wtedy, gdy chciała zachęcić rozmówcę do dalszej wypowiedzi.

Jared obserwował jej minę, by wyczytać z niej jakąś informację o stanie Ellen, widział jednak tylko najwyższe skupienie.

W końcu Kate odłożyła słuchawkę.

–To był hematolog. Zaczęli podawać jej leki.

–Oba? Kate kiwnęła głową.

–Niechętnie. Chcieli więcej uzasadnienia biologicznego, niż Tom mógł im przekazać, ale jej stan na tyle się pogorszył, że dali sobie spokój z umysłowymi wygibasami. Podają

wysokie dawki obu preparatów.

–Co dalej?

Wzruszyła ramionami.

–Zawiadomią nas, kiedy nastąpi jakakolwiek zmiana... w tę czy w tamtą stronę. Ellen jest ciągle na sali operacyjnej.

–Wyjdzie z tego – mruknął Jared i położył głowę tuż obok dłoni Kate. Dziesięć minut później telefon ponownie zadzwonił.

–Tak? – spytała z niepokojem Kate. – Jared, to do ciebie. Pan Dunleavy. Znasz go? Jared ze zdziwieniem skinął głową i wziął słuchawkę.

–Panie Dunleavy? Mówi Jared Samuels.

–Panie Samuels, cieszę się, że dotarł pan na miejsce cały.

–Ma pan kłopoty z mojego powodu?

–Nie takie, z którymi nie mógłbym sobie poradzić. Ale nie dlatego telefonuję. Jared popatrzył na zegarek. Była za dziesięć ósma. Szesnastogodzinna zmiana

Dunleavy’ego skończyła się niemal godzinę temu.

–Niech pan mówi.

–Jestem w pokoju pielęgniarek przy sali operacyjnej. Właśnie zaczęli operować panią Sandler. Chyba będą próbowali coś zrobić z krwawiącym wrzodem.

Jared zasłonił mikrofon dłonią.

–Kate, to pielęgniarz, który zajmował się mną w Metropolitan. Operują Ellen. – Odsunął dłoń. – Dziękuję, Cary. Dziękuję, że pan został i mnie zawiadomił.

–To dopiero pierwszy powód. Są jeszcze dwa inne.

–Tak?

–Chciałbym, byście... pan i pańska żona... wiedzieli, że zostanę i zajmę się osobiście panią Sandler, kiedy już opuści salę operacyjną.

–Ale pracuje pan już...

–Proszę pana, byłem sanitariuszem w Wietnamie i wiem, gdzie kończą się moje możliwości. Czuję się częścią tego, co się dzieje i... cóż, chcę uczestniczyć w tym jeszcze trochę. Jeśli wysiądę, dam znać.

–Dziękuję.

Dunleavy miał jednak coś jeszcze do powiedzenia.

–Chciałem... chciałem też przeprosić za to, co powiedziałem o pańskiej żonie. To było całkiem nie na miejscu, zwłaszcza że to, co wiem, dotarło do mnie z drugiej albo i trzeciej ręki. Przepraszam.

–Przeprosiny przyjęte – odparł Jared. – Prawda jest taka, że Kate nie zrobiła niczego, o czym ludzie plotkują, i udowodnimy to.

–Mam nadzieję – odparł Cary Dunleavy.

–Ciekawa wymiana zdań – stwierdziła Kate, kiedy Jared odstawił telefon na miejsce.

–
Przynajmniej część, którą słyszałam.

Jared streścił rozmowę z pielęgniarem.

–Zaczynają zabieg. To świetnie – ucieszyła się Kate, ignorując wzmiankę na swój temat. – Jeśli się zdecydowali, krwawienie musiało na tyle osłabnąć, że...

Zamilkła. Jared od razu się domyślił, że zadumała się nad swoją sytuacją.

–Katey... – powiedział. – Posłuchaj mnie. Zimmermann nie żyje, ale Ellen żyje, ty żyjesz, ja żyję. Jeśli o mnie chodzi, to wystarczający powód, by się cieszyć. Nie żartowałem,

mówiąc do Dunleavy’ego to, co powiedziałem. Jesteś niewinna... we wszystkim... i udowodnimy to. Razem. – Pochylił się do niej i delikatnie pocałował. – Odpoczywaj. Zaczekam przy tobie, aż będzie jakaś wiadomość.

Kate opadła na poduszkę.

Chwilę później, jak na zawołanie, do pokoju weszła kierowniczka dziennej zmiany i jeszcze jedna pielęgniarka.

–Doktor Bennett – powiedziała kierowniczka zmiany – doktor Jordan jest w szpitalu.

Będzie wściekła, jeśli się dowie, że nie pokazałyśmy się z rana u naszej najcenniejszej

pacjentki, nie wspominając o zabiegach pielęgnacyjnych.

–Proszę się mną nie przejmować – stwierdził Jared. – Proszę robić, co powinnyście.

Kierowniczka zmiany wbiła w niego poważne spojrzenie.

–W głębi korytarza są automaty z kawą i ciastkami. Panna Austin przyjdzie po pana natychmiast po tym, jak skończymy.

Jared popatrzył na Kate, która skinęła głową.

–Jeśli zadzwonią, pošlę po ciebie – obiecała.

–No dobrze, niech będzie kawa. – Wstał i zarzucił na ramiona kurtkę. Z którejś kieszeni coś wypadło i z terkotem zatrzymało się przed stopami kierowniczki zmiany pielęgniarek.

Kobieta uklękała; kiedy wstała, miała w dłoni kasetę do dyktafonu.

–Wypadła mi z kurtki? – spytał Jared, oglądając mini-kasetę, która nie była opisana.

–Oczywiście – odparła kierowniczka zmiany. – To pańska? Jared popatrzył na Kate, mięśnie jego twarzy nagle się napięły.

**–Nigdy przedtem nie widziałem tej kasety... – Przypomniał sobie ogień i dym i...
dłoń,**

rozpaczliwie wciskając mu się do kieszeni kurtki. – Kate, musimy odtworzyć tę kasetę.

**Natychmiast. – Odwrócił się do pielęgniarek. – Przepraszam panie. Proszę iść do
innych**

zadań, w tej chwili musimy znaleźć gdzieś dyktafon, aby sprawdzić, co zawiera ta kasetę.

Kierowniczka zmiany zaczęła protestować, powstrzymało ją jednak spojrzenie Jareda.

–Mam w swoim gabinecie urządzenie, które powinno się nadać... jeśli to takie ważne –

oświadczyła.

**Jared znów przypomniał sobie szarpiącą go dłoń, przeszkadzającą się poruszać.
„Na Boga, Paquette! Daj mi pan spokój! Próbuję pana stąd wyciągnąć. Nie pojmujesz tego, człowieku? Próbuję cię stąd wyciągnąć!”.**

–Bardzo możliwe – stwierdził. – Bardzo możliwe.

„No więc, Norton, najpierw wspaniały list do prasy w sprawie baseballisty, a teraz ta biopsja. Poprosiliśmy o coś kreatywnego, by powstrzymać doktor Bennett, i dał nam pan, co trzeba”.

Taśma zawierała trwającą niecałe piętnaście minut rozmowę między Arlenem Paquette'em a Nortonem Reese'em, lecz dla dwójki poobijanych słuchaczy z sali 201 szpitala imienia Hendersona było to zdecydowanie za dużo.

„Zrobiłem to z przyjemnością, doktorze. Naprawdę. Ta baba była cierniem w moim boku od dnia, kiedy się tu pojawiła. Jest zuchwała do granic możliwości. Stale chce komuś pomagać, ciągle prowadzi jakąś pieprzoną krucjatę. Rozumie pan, co mam na myśli?”.

Podniecenie spowodowane słowami Reese'a tłumiła upiorna melancholia. W Paquetcie odezwało się sumienie, niestety za późno dla niego samego. Mężczyzna, którego płynne, wypowiedane z łatwością słowa wydobywały z Reese'a to, na czym mu zależało, nie żył – został pobity, brutalnie zamordowany, na koniec spalony.

„Wiesz, co mnie zadziwia, Norton? To, jak szybko i całkowicie udało ci się ją wyeliminować. Prosimy, a ty robisz natychmiast co trzeba. Proste. Tak jakbyś cały czas na niej siedział”.

„W pewnym sensie tak było. Tyle że siedziałem na szefowej jej techników. Właściwie to nawet leżałem, jeśli mnie pan rozumie”.

–Sheila... – wysyczała Kate. – Próbowałam tłumaczyć sobie, że to ona mnie wrobiła, ale nie byłam w stanie.

–Spokojnie, Dzieciaku. Jeśli ściśniesz mi jeszcze trochę mocniej rękę, odpadnie.

–Jared, kobieta straciła pierś! Pierś!

„Musi być z ciebie niezły kochanek, jeśli jesteś w stanie zdobyć sobie taką lojalność kobiety. Może mógłbyś dać mi kiedyś parę rad?”.

„Może i mógłbym, Arlen. Lecz namówienie Sheili do zamiany preparatów nie było aż takie trudne. Ma osobiście na pieńku z naszą drogą, nieszczęsną, wkrótce była panią

specjalistką w zakresie patologii. Jedynie osłodziłem jej pracę, pozwalając, by pobawiła się trochę moim pieńkiem”.

Śmiech Nortona Reese'a dudnił w cichej szpitalnej sali. Kate pokazała pantomimicznie, że ma ochotę zwymiotować na myśl o dyrektorze do spraw administracyjnych.

–Ciekaw jestem – powiedział Jared – jak zareaguje droga pani Pierce, kiedy odtworzy

jej to prokurator z biura prokuratora okręgowego i poprosi o oświadczenie. Założę się, że

spróbuje ratować skórę, idąc na pełną współpracę z oskarżycielem.

–Może robić, co chce, a i tak straci licencję. Już nigdy nie będzie pracować w szpitalu.

„Cóż, spisałeś się znakomicie. Mamy chemika z laboratorium stanowego w kieszeni,

jej teść robi, co chcemy, by jeszcze bardziej ją zdyskredytować, teraz ta biopsja... wątpię, by kiedykolwiek była w stanie przysporzyć nam kłopotów w Omnicenter. Nasz przyjaciel będzie bardzo zadowolony”.

„I, mam nadzieję... odpowiednio wdzięczny”.

„Nawet nie potrafisz wyobrazić sobie, co cię czeka za to, czego dokonałeś, Nort. Świetne przedstawienie. Tylko tyle powiem: Znakomite przedstawienie”.

„Cała przyjemność po mojej stronie”.

Panowie wymienili jeszcze kilka formalności, po czym nagranie się skończyło.

Jared wyłączył dyktafon i usiadł, patrząc z zachwytem na żonę.

–Ja bym się załamał – stwierdził.

–Słucham?

–Gdyby to wszystko zważyło się na mnie, tak jak na ciebie, pękłbym. Zabiłbym kogoś... może siebie. Nie wiem, w jaki dokładnie sposób, ale poszedłbym na dno. Niedobrze mi się robi na myśl, jaka byłaś samotna, w jak potwornej izolacji.

–Właśnie, że się mylisz. Miałaś co do mnie wątpliwości, zresztą uzasadnione, ale ja ani przez chwilę nie wątpiałam w ciebie, więc wcale nie byłam taka samotna, jak sądzisz.

–Wcale? Kate ujęła męża za rękę i uśmiechnęła się.

–Cóż znaczą między przyjaciółmi drobne wątpliwości?

EPILOG Piątek, 9 sierpnia

Choć dopiero minęło wpół do dziewiątej rano, wilgoć niemal się skraplała, a temperatura dochodziła do trzydziestu stopni. Sierpień w Dystrykcie Kolumbii. Nie lepiej niż w Afryce Centralnej.

Kate i Jared szli w milczeniu pasażem prowadzącym do Budynku Huberta H. Humphreya na posiedzenie, które powinno być ostatnim w sprawie ich petycji do FDA, postulującej wystąpienie przeciwko Redding Pharmaceuticals.

Przesłuchania były dla wszystkich uczestników pełne emocji i wycieńczające. Terry Moreland, kolega ze studiów, którego Jared wynajął, by ich reprezentował, spisywał się znakomicie, radząc sobie z kolejnymi komplikacjami, wymyślanymi przez falangę adwokatów przeciwnika, oraz zaskakująco mało współczującą komisją w trzyosobowym składzie. W jednym momencie oskarżenia wobec giganta farmaceutycznego wydawały się tak niepodważalne, jak były przerażające, w następnym zaś przerabiano je na mściwe, kapryśne i nieuzasadnione wymysły. Przesłuchania zbliżały się do końca i pozostały już tylko krótkie mowy końcowe obu stron, po których powinno nastąpić ogłoszenie werdyktu.

–Halo, Kate! Jared! – Stan Willoughby, nie zwracając uwagi na parny poranek, szedł w ich kierunku z aktówką w dłoni, ubrany w tweedowy garnitur, niepasujący do pogody.

Uczestniczył we wszystkich posiedzeniach i długo opowiadał o charakterze i kwalifikacjach

Kate. – To co, dziś koniec? – Pocałował Kate w policzek, serdecznie uściśnął Jaredowi dłoń.

W ciągu miesięcy po aresztowaniu Sheili Pierce i Nortona Reese'a między Willoughbym i Jaredem wytworzyła się przyjaźń oparta na czymś znacznie ważniejszym niż powierzchowny wzajemny szacunek. To Jared zaproponował utworzenie na pewien czas dwuosobowego kierownictwa na oddziale patologii i to on przygotował kolację, w trakcie której Willoughby i Kate dogadali się co do podziału obowiązków.

–Nie wyobrażamy sobie, by mogło dziś coś pójść nie tak – stwierdził Jared.

–Od początku miałaś rację – dodała Kate. – Większość tego przesłuchania była brutalna. Najpierw niczym poranna mgła wyparowały oskarżenia łączące to zwierzę Nunesa z

Redding Pharmaceuticals. Potem Carl Horner dostał bólów w klatce piersiowej, przyjęto go

do szpitala w Darlington i przedstawiono zaświadczenie lekarskie, w którym informowano, że

nie może zeznawać. Nie wiem. Po prostu nic nie wiem.

–Ciągłe mamy notes i taśmę – oświadczył Jared.

Kate roześmiała się sardonicznie.

–Notes, taśmę i... co zapomniałeś dodać... tuzin poważnych adwokatów, pytających, czy choć raz wymieniono tam nazwisko Cyrus Redding albo nazwę Redding Pharmaceuticals.

–Daj spokój, dziecko – stwierdził Willoughby. – Gdzie się podział duch Bennettów? Zdobyliśmy kilka punktów. Nawet sporo. Zaufaj starym koniom bojowym. Może ich nie przyszpiliśmy do ściany, ale kilka gwoździków siedzi mocno.

–Mam nadzieję, że się nie mylisz. – W tym momencie Kate dostrzegła czekającego na nich na schodach Terry’ego Morelanda.

Szare kręgi pod jego oczami i napięta twarz świadczyła o tym, jak spędził miniony tydzień, a także wyrażała niepokój co do wyroku, który miał zapaść za godzinę lub dwie.

–Jak twoje wibracje? – spytała Kate po wymianie pozdrowień i słów zachęty.

Moreland pokręcił głową.

–Nie da się opowiedzieć. Z emocjonalnego punktu widzenia twoje zeznanie i opis gehenny Ellen powinny zbić ich z nóg, niestety wydaje mi się, że nie mamy do czynienia z

bardzo uczuciowymi członkami komisji. Kiedy najgrubszy z nich zaczął w najbardziej

przykrym momencie zeznań Ellen wydmuchiwać nochal w chusteczkę, o mało nie wstałem i

nie trzasnąłem go w gębę.

Obserwując opanowującą jego twarz obojętność, wcale nie jestem pewien, czy nie podjął decyzji przed zeznaniami.

–Albo ktoś inny ją za niego podjął – dodał Jared.

–Też możliwe – odparł Moreland. Weszli do klimatyzowanego budynku i ruszyli na pierwsze piętro. – To się często nie zdarza, ale się zdarza. Wystarczy rozejrzeć się po sali, by pojąć, z czym walczymy. Cholera, ułamkiem tego, co płacą adwokatom, dałoby się przekupić Franciszka z Asyżu.

Sala przesłuchań, nowocześnie urządzona, lecz o surowej atmosferze, była prawie pusta z powodu niecodziennego braku zainteresowania ze strony mediów. Zdaniem Morelanda było to skutkiem władzy, jaką miał Cyrus Redding, oraz poczynań jego znakomitego działu *public relations*.

Obecny był batalion adwokatów Reddinga, dwoje stenografów oraz prawnik z Biura Leków. Fotele trzech członków komisji – każdy za osobnym stołem na podwyższeniu – stały puste.

Moreland i Stan Willoughby weszli do środka, Jared i Kate zatrzymali się przy drzwiach. Przez północne okno widać było amerykańską flagę, zwisającą bez ruchu na senackim skrzydle Kapitolu.

–Nie wiem, co jest bardziej przerażające – kontrolujący się samodzielnie przemysł farmaceutyczny czy rządowa kontrola przemysłu farmaceutycznego – powiedziała Kate. –

Myślę, że taktyka Cyrusa Reddinga nie sprawdziłaby się w Związku Radzieckim.

–Nie zakładałbym się o to, doktor Bennett.

Zaskoczeni odwrócili się. Niecałe trzy metry od nich dostrzegli Cyrusa Reddinga na wózku inwalidzkim, pchanym przez blondyna, który wyglądał na ciężarowca. Były to pierwsze słowa, jakie w ich obecności wypowiedział od początku przesłuchań.

–Mam tam wielu przyjaciół i prowadzę sporo interesów – dodał Redding. – Proszę mi wierzyć... biznesmeni to biznesmeni, niezależnie od kraju i ustroju.

–To naprawdę uspokajające – lodowato odparła Kate. – Może powinnam wysłać artykuł o leczeniu krwawień spowodowanych estronatem dwieście pięćdziesiąt do radzieckiego czasopisma?

–Zapewniam panią, pani doktor, że wszystkiego, co wiem o tym środku,

dowiedziałem się od pani w trakcie tutejszych przesłuchań. Jeśli ma pani chwilę czasu,

chętnie zamieniłbym z panią kilka słów na osobności.

Kate popatrzyła na Jareda, który dał gestem znak, że spotkają się w środku, po czym odszedł. Redding kazał swemu ochroniarzowi usiąść na ławce pod ścianą.

–Podejrzewam, że to przesłuchanie skończy się dzisiaj – oświadczył.

–Może.

–Chciałem wyrazić wobec pani mój szacunek. Jest pani najbardziej godną uwagi i najbardziej upartą młodą osobą, jaką znam.

–Panie Redding, mam nadzieję, że nie oczekuje pan podziękowań. Przyjmuję komplementy wyłącznie od ludzi, których szanuję.

Redding łaskawie się uśmiechnął.

–W dalszym ciągu jest pani dość naiwna w paru sprawach.

–Na przykład?

–Na przykład w tym, że wprowadzenie nowego leku na rynek kosztuje przynajmniej sześćdziesiąt milionów dolarów, zazwyczaj znacznie więcej.

–Nie robi to na mnie wrażenia. Panie Redding, przez pana i z powodu pańskiej polityki ludzie niepotrzebnie cierpieli i umierali. Nie ciąży to panu?

–Przeze mnie i z powodu mojej polityki do potrzebujących trafiły dziesiątki tak zwanych leków dla sierot... zwykle za darmo. Przeze mnie i z powodu mojej polityki milionom ludzi poprawiła się jakość życia, a niezliczonym rzeszom życie uratowano. Najwięcej dobra dla największej liczby ludzi, za najniższą cenę.

–Gdyby pan w to nie wierzył, miałby pan moim zdaniem sporo problemów z patrzeniem w lustro. Może i tak je pan ma. Mechanizmy racjonalizacyjne człowieka mają swoje granice.

Oczy Reddinga błysnęły, ale zewnętrźnie zachował spokój.

–Biorąc pod uwagę kłopoty, jakich narobił pani mój zmarły pracownik, rozumiem pani złość – stwierdził. – To przesłuchanie wkrótce jednak zostanie zakończone i oboje będziemy musieli żyć dalej. Chętnie zaprosiłbym panią do Darlington, moglibyśmy omówić korzystne dla nas obojga przedsięwzięcie. Jest pani typem

człowieka, który umie przeżyć w trudnych okolicznościach, doktor Bennett, kobietą, która wie, że w obliczu drobnych nacisków ze strony otoczenia nie należy rezygnować z własnych potrzeb. To czyni panią zwycięzcą. A we mnie wyzwala chęć robienia z panią interesów.

–Panie Redding – odparła Kate, nie wierząc własnym uszom. – Chyba nie zauważył pan, iż powodem naszego tutaj spotkania jest to, że mogę wyrzucić pana z interesu.

Uśmiech Reddinga był boleśnie protekcyjny.

–Oto moja wizytówka. Telefonując pod zapisany na niej numer, połączy się pani bezpośrednio ze mną. Jeśli uda się pani wysadzić z siodła Redding Pharmaceuticals, może

pani nie telefonować.

Kate wpatrywała się w niego. Był zbyt zadowolony z siebie, zbyt pewny swego. Czyżby obawa Terry’ego Morelanda przed ewentualnym przekupstwem była uzasadniona?

–Wygramy – stwierdziła, ale bez wielkiego przekonania. Odwróciła się i nie przyjmując zaoferowanej wizytówki, weszła do sali przesłuchań.

–Czego chciał doktor Strangelove? – spytał Jared, kiedy Kate wsunęła się między niego i Terry’ego Morelanda.

Kate lekceważąco pokręciła głową.

–On jest kompletnie szurnięty – powiedziała. – Zaczął od tego, jak mało mam zrozumienia dla kłopotów, utrapień i trosk multimilionera, który jest magnatem farmaceutycznym, po czym zaproponował mi pracę.

–Pracę?

–Określił to chyba mianem: „korzystne dla nas obojga przedsięwzięcie”.

–Jezu...

W tym momencie, bez żadnej ceremonii, otworzyły się drzwi i wkroczyli trzej

członkowie komisji przesłuchującej, po czym zasiedli za swoimi stołami. Ich miny świadczyły o tym, że jest sporo miejsc na świecie, gdzie woleliby się w tej chwili znajdować.

Zanim się usadowił gruby, nieporządnie ubrany przewodniczący, wyjął z kieszeni

używaną chustkę i wydmuchał w nią wielki nochal.

Kate i Jared stali przy schodach, w pewnym oddaleniu od grupek adwokatów, dziennikarzy i innych osób, wypełniających korytarz przed salą przesłuchań. Przerwa trwała drugą godzinę i z każdą minutą rosło napięcie.

Jeśli nawet w ciągu minionych czterech dni armia Reddinga była górą, błyskotliwe słowo końcowe Terry'ego Morelanda sprawiło, że werdykt przestał być jednoznaczny.

Ze wszystkich osób na korytarzu jedynie Cyrus Redding wyglądał na całkowicie opanowanego i spokojnego.

–Mam niemiłe wrażenie, że on wie coś, czego my nie wiemy – powiedziała Kate, wskazując na Reddinga.

–Nie wyobrażam sobie, jak komisja mogłaby zignorować przedstawione przez Terry'ego argumenty, Dzieciaku. Jest jeszcze lepszy, niż był na uczelni, a już wtedy wydawał się miniaturką Clarence'a Darrowa*[Clarence Seward Darrow (1857-1938) – amerykański prawnik, znany z prowadzenia obrony wielu nagłaśnianych publicznie „przeegranych spraw”. Wsławił się m.in. w 1925 roku obroną Johna Scopesa, nauczyciela oskarżonego o nauczanie teorii ewolucji Darwina.]. Przyznam jednak, że Strangelove wygląda na dość zrelaksowanego. Aha... coś mi to przypomniało... nie powiedziałaś, jak brzmiała twoja odpowiedź na ofertę pracy z jego strony.

Kate się uśmiechnęła.

–Myślałam, że nie zapytasz. Powiedziałam mu, że nie mogę się u niego zatrudnić, ponieważ lada chwila wezmę urlop macierzyński.

Jared wbił w nią wzrok.

–Powtórz jeszcze raz końcówkę zdania.

–Zamierzałam ujawnić ci tę nowinę po werdykcie, ale co mi tam! W kwietniu, Jared. Jestem bardzo podniecona i szczęśliwa... Hej, skarbie, nic ci nie jest? Wyglądasz dość blado.

–To nie żarty?

Kate skinęła głową.

–Na pewno nic ci nie jest? Rozumiem, że nagle przejście od bezdzietności do sytuacji

ojca, który odnalazł czternastoletnią córkę i na dodatek dowiaduje się, że jego żona jest

ciężarna, może... jak to powiedzieć...? może się okazać zbyt wymagające.

Jared mocno ją objął.

–Chodzi mi po głowie, że powinienem powiedzieć coś dowcipnego, ale jedyne, co mi się pcha do ust, to słowo „dziękuję”. Dziękuję ci za to i za pomoc w nawiązaniu kontaktu ze Stacy.

–Podziękowania przyjęte, ale oczekuję czegoś dowcipnego zaraz po zakończeniu tego, co się dzieje w tej sali. I, proszę, nie traktuj sprawy, jakbym dokonała altruistycznego czynu. Jestem nie mniej od ciebie podniecona przed wizytą Stacy.

Córka Jareda miała przyjechać do Bostonu za dziesięć dni. Będzie to jej pierwsza wycieczka na Wschód. Mieli obejrzeć Cape Cod i Bunker Hill, Gloucester, łabędzie łodzie* [Łabędzie łodzie – rzeźby zaprojektowane przez Roberta Pageta, umieszczone w 1877 roku na stawie bostońskiego Public Garden. Jedna z największych atrakcji turystycznych miasta.] i kościół Old North. Nie planowano wizyty u Wina Samuela. Jeszcze nie tym razem. Gdyby wszystko miało się odbyć po myśli Jareda, to nie powinno do tego dojść nigdy.

–Hej! Wchodzą! – zawołał Terry Moreland.

–Jaką najgorszą rzecz komisja mogłaby zrobić Reddingowi? – spytała Kate, zadowolona, że Jared postanowił nie dekoncentrować swego przyjaciela informacją o ciąży.

–Moim zdaniem największym dla nas zwycięstwem byłoby przekazanie sprawy do Ministerstwa Sprawiedliwości w celu dalszego zbadania i wysunięcia oskarżenia. Dobrym

kopniakiem byłoby przekazanie sprawy FDA w celu zebrania dokładniejszych informacji i

przygotowania bardziej szczegółowego przesłuchania. – Usiedli. – Tak czy owak za minutę się

dowiemy – stwierdził Moreland.

Kate wzięła leżący na blacie czarny notes i przycisnęła go mocno do siebie.

–Panie i panowie! – oznajmił przewodniczący, przerzucił plik papierów i wyjął jedną

kartkę. – Komisja podjęła jednogłośnie decyzję względem oskarżeń wysuniętych przez doktor

Kathryn Bennett wobec spółki Redding Pharmaceuticals z Darlington w stanie Kentucky.

Uważamy, że zmarły doktor Arlen Paquette prowadził nielegalne i niebezpieczne eksperymenty na ludziach, wykorzystując do tego syntetyczny hormon o nazwie estronat

dwieście pięćdziesiąt i być może używając także innych niezbadanych substancji. Wszystkie

dostarczone dowody wskazują jednak na to, że choć był zatrudniony w Redding Pharmaceuticals, działał na własną rękę i jedynie dla swojej korzyści. Dowody nie wystarczają do stwierdzenia, że o działalności pana Paquette'a wiedział pan Cyrus Redding

ani którykolwiek z dyrektorów Redding Pharmaceuticals. Z tego powodu zalecamy, by w tej

materii nie były podejmowane dalsze działania i aby uznano, iż wszystkie oskarżenia wobec

Redding Pharmaceuticals zostały odpowiednio i wystarczająco sprawdzone. Dziękuję

wszystkim za udział w pracy komisji.

Bez żadnego komentarza członkowie komisji wstali i wymaszerowali z sali. Kate i trójka mężczyzn siedzieli w kompletnej niewierze, podczas gdy po drugiej stronie sali duża grupa prawników hałaśliwie sobie gratulowała.

**–Nie wierzę – stwierdziła Kate. – Żadnego słowa o przeprowadzeniu dalszych badań, żadnej nagany za zatrudnienie kogoś tak pozbawionego zasad jak Arlen Paquette...
kompletnie nic.**

Spojrzała w bok i niemal natychmiast jej wzrok padł na Cyrusa Reddinga. Obdarował ją kolejnym protekcyjnym uśmiechem oraz wzruszeniem ramion, co miało wyrażać: „Jeśli grasz na ostro z dużymi chłopcami, młoda damo, musisz się takich rzeczy spodziewać”.

Wbijala w niego wzrok. Bitwa moze zostala zakonczona, panie Redding, ale wojna nie. Jeszcze doczekasz sie tak ciasnej petli, pomyslala, ze nawet ty nie wyciagniesz z niej glowy, przyczynie sie do tego. Reese, Horner, Sheila Pierce. Gdzieś, kiedyś, ktoś dostarczy dowodu na to, co robisz.

Jared wziął ją pod rękę i wyszli razem z sali przesłuchań.

–Przykro mi – powiedział łagodnie.

–Mnie też. Przede wszystkim jestem jednak przerażona.

–Przerażona? Nie sądzę, by się odważyli zrobić ci krzywdę. Kate sardonicznie się roześmiała.

–Słyszałeś werdykt. Ich zdaniem nawet nie warto marnować energii na robienie mi krzywdy.

–Więc o co chodzi?

–O cholerne leki, Jared. Zaczniemy od estronatu. Pomyśl, ile w tym jednym notesie jest ludzkich świnek morskich. Skontaktowaliśmy się z tyloma kobietami, z iloma nam się udało, ale wielu nie znaleźliśmy. Jestem pewna, że podawano im także inne preparaty. U ilu kobiet w tej chwili zaczynają pojawiać się siniaki? Ilu ludzi... kobiet i mężczyzn... dostaje dziwnych wrzodów od leków, którym ufają i o których sądzą, że zachowają ich w zdrowiu?

Jared zrobił gest bezradności.

–Kate, na całym świecie utrzymuje się niesprawiedliwość. Możemy zrobić jedynie to, na co nas stać.

–To za mało, Jared. Te preparaty są jak bomby zegarowe... nieprzewidywalne, małe bomby zegarowe, mogące w każdej chwili eksplodować w czyimś wnętrzu. Muszę dalej ścigać Reddinga. Muszę znaleźć jakiś sposób, by zwrócić uwagę ludzi... jeśli nie tych tutaj, to opinii publicznej. Musi być jakiś sposób. Można by...

–Co, Kate?

–Co sądzisz o ogłoszeniu?

–Ogłoszeniu?

–W „Globe”, w „Heraldzie”, we wszystkich gazetach bostońskich i podmiejskich. Ogłoszenie z prośbą do kobiet, by przeszukały apteczki i przekazały nam do zbadania leki wydawane przez Omnicenter. Może to będzie lina, na której da się

powiesić tego drania... ostrzeżenie dla innych firm. Zajrzeć do apteczek. Gdyby udało się znaleźć odpowiednią liczbę produktów Reddinga, tych, które powodują skażenie leków wydawanych w Omnicenter, nawet komisja FDA nie mogłaby zignorować tej wiedzy... Zrobię to, Jared! Zaraz po powrocie do Bostonu się tym zajmę. A jeśli się nie uda, to spróbuję czegoś innego.

Popatrzyła w głąb korytarza w momencie, kiedy wwożono Reddinga do windy. Ten odgłos, który słyszysz, Cyrus, to dźwięk moich kroków, myślała. Lepiej się do niego przyzwyczaj.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-11-08

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/